



**IAN
RANKIN**

**OTWARTE
DRZWI**

TRÓJE PRZYJACIÓŁ: PLANUJE SKOK NA SZKOCKĄ GALERIĘ NARODOWĄ...

IAN RANKIN

OTWARTE

DRZWI

Z angielskiego przełożył

ROBERT GINALSKI



Tytuł oryginału: DOORS OPEN

Doors *Open* first appeared, in a somewhat different form, in The New York Times Magazine

Copyright © John Rebus Ltd. 2008 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Robert Ginalski 2011

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Lauren Burke/Digital Vision/Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-230-5

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.gandalf.com.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2011. Wydanie I

Druk: Opolgraf S.A., Opole

Od otwartych drzwi dzieliło ich ledwie kilka metrów, a dalej rozciągał się świat zewnętrzny, przedziwnie obojętny na wszystko, co rozgrywało się w opustoszałej sali bilardowej. Dwóch zakrwawionych osiłków zważyło się na podłogę. Na krzesłach siedziały jeszcze cztery osoby, ze skrzepowanymi na plecach rękami i nogami związanymi w kostkach. Piąty człowiek z wysiłkiem pełzł niczym wąż w kierunku wyjścia. Jego dziewczyna krzykiem dodawała mu otuchy, podczas gdy mężczyzna zwany Nienawiść zrobił kilka kroków i zatrzasnął drzwi, unicestwiając wszelkie ich nadzieje i marzenia, a potem szarpnął krzesła, ustawiając je i siedzących na nich ludzi w jednej linii jak poprzednio.

– Zabiję was wszystkich – wycedził z twarzą ubabraną własną krwią.

Mike Mackenzie nie wątpił w to ani przez chwilę. Cóż innego mógł zrobić ktoś, kogo zwali Nienawiść? Mike gapił się na drzwi, przypominając sobie, że cały ten łańcuch wydarzeń zapoczątkowała – jakże niewinna! – zabawa z przyjaciółmi.

I chciwość.

I pożądanie.

A przede wszystkim otwierające i zamykające się drzwi.

Kilka tygodni wcześniej

1.

Mike widział to na własne oczy. Dwa skrzydła drzwi sąsiadowały ze sobą. Zdawało się, że jedne są stale uchylone na kilka centymetrów, no chyba że ktoś pchnął te obok. Kiedy kolejny kelner w liberii wnosił tacę kanapek do sali aukcyjnej, efekt zawsze był taki sam. Jedne drzwi wahadłowe się otwierały, drugie powoli się zamykały. Mike pomyślał, że skoro więcej uwagi poświęca drzwiom niż obrazom, wiele to mówi o jakości wystawianych dzieł. Wiedział jednak, że jest w błędzie – wcale nie świadczyło to o eksponatach, a tylko o nim samym.

Mike Mackenzie, lat trzydzieści siedem, był bogaty i znużony. Na stronach gospodarczych rozmaitych gazet pisano o nim „potentat w branży oprogramowania komputerowego, który do wszystkiego doszedł sam”, tyle tylko, że nie był już potentatem w żadnej dziedzinie. Swoją spółkę sprzedał za gotówkę konsorcjum inwestującemu w przedsięwzięcia wysokiego ryzyka. Chodziły słuchy, że się wypalił, i może rzeczywiście

tak było. Wraz z kumplem, Gerrym Pearsonem, zaraz po studiach na uniwersytecie założyli firmę produkującą oprogramowanie komputerowe. To właśnie Gerry był prawdziwym mózgiem firmy, genialnym programistą. Niestety tak nieśmiały, że wkrótce to Mike reprezentował publicznie spółkę. Podzielili się zyskami ze sprzedaży po połowie, a następnie Gerry zaskoczył byłego wspólnika oświadczeniem, że wyjeżdża do Sydney, gdzie zamierza rozpocząć nowe życie. Z Australii przysyłał Mike'owi e-maile, wychwalając zalety tamtejszych klubów nocnych, tętno miasta i surfowanie (przynajmniej choć raz nie po Internecie). W załącznikach dodawał JPEG-i i robione telefonem komórkowym zdjęcia poznanych kobiet. Dawny spokojny i skryty Gerry zniknął, zastąpił go rozbuchany playboy... nie zmieniało to jednak faktu, że Mike w jakimś sensie czuł się oszustem. Zdawał sobie bowiem sprawę, że bez Gerry'ego w żadnym razie nie odniósłby sukcesu w wybranej przez siebie dziedzinie.

Budowanie firmy było dla niego podniecające, ale i stresujące zarazem – sypiał po trzy, góra cztery godziny na dobę, przeważnie w pokojach hotelowych z dala od domu, natomiast Gerry wołał ślęczeć u siebie w Edynburgu nad płytkami obwodów drukowanych i kwestiami związanymi z programowaniem. Zlikwidowanie usterek ich najbardziej znanego programu dało im kopa na całe tygodnie. Ale jeśli chodzi o pieniądze... no cóż, forsa płynęła strumieniem, wraz z nią pojawili się jednak prawnicy i księgowi, doradcy i planiści, asystenci, sekretarki pilnujące ich rozkładu dnia, zainteresowanie mediów, zaproszenia na imprezy towarzyskie od bankierów i doradców

inwestycyjnych... i nic poza tym. Mike'a znudziły supersamochody (lamborghini szpanował raptem dwa tygodnie, ferrari niewiele dłużej; teraz jeździł używanym maserati, kupionym pod wpływem impulsu z ogłoszenia). Miał także dość podróży odrzutowcami, pięciogwiazdkowych apartamentów, różnych gadżetów i innego ustrojstwa. Jego luksusowe mieszkanie na szczycie wieżowca zaprezentowano w snobistycznym czasopiśmie, podkreślając zwłaszcza widok – odcinające się na tle nieba kominy, iglice kościołów, a za nimi pień wulkaniczny, na którym rozsiadł się Zamek Edynburski. Jednakże sporadyczni goście widzieli, że Mike nie starał się dopasować swojego życia do nowego otoczenia – kanapa była ta sama co w jego poprzednim mieszkaniu, podobnie stół w jadalni i krzesła. Po bokach kominka piętrzyły się sterty starych czasopism i gazet, a olbrzymi płaski telewizor plazmowy z zestawem głośników do kina domowego sprawiał wrażenie nieużywanego. Uwagę gości przykuwały jednak obrazy.

Jeden z doradców podsunął Mike'owi pomysł, by inwestował w sztukę, bo to świetna lokata kapitału. Zaproponował mu także marszanda, który miał dopilnować, żeby Mike kupował mądrze; „mądrze i dobrze”, jak się dokładnie wyraził. Mike zorientował się jednak, że oznaczałoby to nabywanie obrazów, które niekoniecznie mu się podobają, w dodatku autorstwa uznanych artystów, a nie widział powodu, żeby napychać im kieszenie. Wiązałoby się to także z koniecznością rozstawiania się z ulubionymi dziełami, tylko po to, żeby reagować na wahania cen na rynku. Wobec tego zajął się tym po swojemu,

po raz pierwszy wybrał się na aukcję i usiadł z przodu zaskoczony, że wiele osób tłoczy się z tyłu sali, mimo że wciąż są wolne krzesła. Rzecz jasna wkrótce poznał powód – ci z tyłu mieli widok na wszystkich licytujących, dzięki czemu mogli odpowiednio korygować swoje posunięcia. Jak wyznał mu potem jego przyjaciel Allan, przepłacił jakieś trzy tysiące za martwą naturę Bossuna, bo marszand zauważył, że ma do czynienia z nowicjuszem, i zabawił się jego kosztem, podbijając cenę ze świadomością, że ręka w pierwszym rzędzie znowu pójdzie w górę.

– Ale po kiego diabła to robił? – zapytał Mike, zbulwersowany.

– Pewnie ma na składzie jeszcze kilka Bossunów – wyjaśnił mu Allan. – Jeżeli wyjdzie na to, że ceny na danego artystę idą w górę, to odkurzy stare zapasy i od razu znajdzie chętnych.

– Ale gdybym się wycofał, to zostałby z tym obrazem.

Allan skwitował jego słowa wzruszeniem ramion i uśmiechem.

Teraz też Allan był gdzieś na sali i z otwartym katalogiem w ręku przeglądał dzieła, które warto kupić. Inna sprawa, że z pensji bankiera nie mógł sobie pozwolić na zbyt wiele. Ale jako koneser sztuki mający doskonałe wyczucie i smak, w dniu aukcji z tęsknotą patrzył, jak jego upragnione płótna kupują ludzie, których nawet nie znał. Powiedział Mike'owi, że obrazy te często stają się niedostępne dla publiczności na całe pokolenie albo i dłużej.

– Najgorzej, jeżeli ktoś je kupuje jako lokatę kapitału

i chowa w skrytkach bankowych... samo dzieło znaczy dla niego mniej więcej tyle co procent składany.

– Chcesz powiedzieć, że nie powinienem niczego kupować?

– Nie w ramach inwestycji... powinienesz kupować tylko to, co naprawdę ci się podoba.

W rezultacie ściany apartamentu Mike'a obwieszane były obrazami artystów dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych, przeważnie szkockich. Miał eklektyczny gust, więc płótna kubistów sąsiadowały z sielankami, a portrety z kolażem. Allan przeważnie pochwalał jego wybór. Poznali się przed rokiem na przyjęciu w siedzibie inwestycyjnej filii banku przy George Street. The First Caledonian Bank – nazywany powszechnie First Caly – posiadał imponującą kolekcję sztuki. Wielki hol wejściowy zajmowały abstrakcyjne płótna Fairbairna, a za recepcją wisiał tryptyk Coultona. Bank zatrudniał własnego kustosa, którego zadaniem było wyszukiwanie nowych talentów – nierzadko na wystawach dyplomowych studentów uczelni artystycznych – a potem sprzedawanie ich dzieł, gdy osiągną odpowiednie ceny, i uzupełnianie kolekcji. Mike wziął Allana za kustosa i nawiązali rozmowę.

– Allan Cruikshank – przedstawił się tamten, podając Mike'owi rękę. – Ma się rozumieć, wiem, kim pan jest.

– Przepraszam za nieporozumienie – usprawiedliwił się Mike, uśmiechając się z zażenowaniem. – To dlatego, że pomijając nas dwóch, chyba nikogo nie interesuje, co tu wisi na ścianach...

Allan Cruikshank dobiegał pięćdziesiątki i, jak to ujął, miał za sobą „kosztowny rozwód”, a do tego dwóch nastoletnich synów i córkę po dwudziestce. Zajmował się klientami z kategorii HNW – czyli takimi, którzy dysponują co najmniej milio-
nem dolarów wolnych aktywów – ale zapewnił Mike'a, że nie zaczepił go, by zrobić na nim interes. Pod nieobecność kustosza oprowadził go natomiast po ogólnie dostępnej części kolekcji.

– Gabinet dyrektora naczelnego jest zamknięty. A wisi u niego jeden Wilkie i dwa Raeburny...

W ciągu następnych tygodni pisali do siebie e-maile, wyskoczyli kilka razy na parę głębszych i zaprzyjaźnili się. Tego wieczoru Mike wpadł na pokaz eksponatów przeznaczonych na aukcję tylko dlatego, że namówił go Allan. Miało być fajnie, ale jak dotąd nie zauważył nic, co by zaostrzyło jego apetyt i odpowiadało wybrednym gustom. Może poza rysunkiem węglem autorstwa jednego z czołowych szkockich kolorystów, tyle że miał już w domu trzy bardzo podobne, zapewne wydarte z tego samego szkicownika.

– Mam wrażenie, że się nudzisz – zauważył Allan z uśmiechem. W jednej ręce trzymał katalog z pozaginanymi rogami, w drugiej pusty kieliszek po szampanie. Okruszki pieczywa na jego krawacie w paski świadczyły o tym, że skosztował kanapek.

– Bo faktycznie się nudzę.

– Nie napastowała cię żadna jasnowłosa naciągaczka z ofertą, której trudno byłoby się oprzeć?

– Jak dotąd nie.

– No cóż, bądź co bądź, jesteśmy w Edynburgu. Prędzej ktoś cię zaprosi, bo potrzebuje czwartego do brydża... – Allan rozejrzał się. – Typowy wieczór, jak zwykle. Ta sama zgraja pieczeniarzy, marszandów i elity finansowej.

– A w której kategorii my się mieścimy?

– My, Michael, jesteśmy koneserami sztuki... tylko i wyłącznie.

– Znalazłeś coś, o co chciałbyś powalczyć podczas aukcji?

– Niestety, nie. – Allan westchnął i wpatrzył się w dno opróżnionego kieliszka. – Kolejna sterta rachunków za czesne leży na moim biurku i czeka, aż wypiszę stosowne czeki. Wiem, co mi zaraz powiesz: że w tym mieście nie brakuje dobrych szkół, za które nie trzeba płacić. Ty też chodziłeś do dziadowskiego ogólniaka i jakoś ci to nie zaszkodziło, ale tu chodzi o tradycję. Trzy pokolenia Cruikshanków kształciły się w tej samej zatęchłej budzie. Ojciec przewróciłby się w grobie, gdybym posłał chłopców do innej szkoły.

– Nie wątpię, że Margot też ma tu coś do powiedzenia.

Na wzmiankę o byłej żonie Allan teatralnie wzruszył ramionami. Mike uśmiechnął się, grając swoją rolę. Był na tyle mądry, żeby nie proponować pomocy finansowej – już raz popełnił ten błąd. Bankier, człowiek na co dzień mający do czynienia z najbogatszymi ludźmi w Szkocji, nie mógł sobie pozwolić na to, by się rozeszło, że przyjął od kogoś jałmużnę.

– Powinieneś skłonić Margot, żeby dzieliła z tobą koszty – droczył się dalej Mike. – Stale powtarzasz, że zarabia nie mniej niż ty.

– I zrobiła dobry użytek ze swoich pieniędzy, jak przyszło

do wyboru prawników. – Obok nich przemykała kolejna taca niedopieczonych kanapek. Mike odmówił ruchem głowy, natomiast Allan zapytał, czy w ich kierunku nie nadciągają aby bąbelki. – Choć w zasadzie szkoda zachodu – mruknął do Mike'a. – Sztuczne popłuczyny, jeśli chcesz znać moje zdanie. To dlatego owijają butelki tymi białymi serwetkami z bawełny. Żeby nie dało się odczytać etykiety. – Znów się rozejrzał po gwarnej sali. – Wymieniliście już z Laurą uścisk rączki?

– Tylko jeden rzut oka i uśmiech – odparł Mike. – Wygląda na to, że ma dzisiaj wzięcie.

– Zimowa aukcja była pierwszą, którą prowadziła, ale jakoś nie zrobiła furory – przypomniał mu Allan. – Musi zabiegać o względy potencjalnych nabywców.

– A my nimi nie jesteśmy?

– Z całym szacunkiem, Mike, ale ciebie łatwo przejrzeć... brak ci tego, co hazardziści nazywają „pokerową twarzą”. Ten jeden rzut oka, co to podobno wymieniliście, prawdopodobnie powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć. Kiedy spodoba ci się jakiś obraz, stoisz przed nim całymi minutami wyprostowany jak struna, a jeśli zdecydujesz się go kupić, odchodzisz na paluszkach. – Allan spróbował naśladować jego ruchy, bujając się z pięt na palce, i jednocześnie wyciągając kieliszek w kierunku nadchodzącego szampana.

– Znasz się na ludziach, co? – rzucił Mike z uśmiechem.

– Taka praca. Wielu bogatych klientów chce, żebyś wiedział, co myślą, ale żeby nie musieli ci tego tłumaczyć na głos.

– Wobec tego o czym teraz myślę? – Mike zakrył dłonią kieliszek, a kelner skłonił się lekko i poszedł dalej.

Allan teatralnie zaniknął oczy, udając, że się zastanawia.

– Myślisz, że moje wymądrzanie się na nic ci się nie przyda – powiedział, otwierając oczy. – Poza tym chciałbyś stać teraz minutami przed naszą uroczą hostessą, pal licho czy na piętach, czy na palcach. – Przerwał na chwilę. – No i zaraz zaproponujesz mi, żebyśmy skoczyli do jakiegoś baru, gdzie dają do picia coś porządnego.

– Niesamowite. – Mike udał, że przyznaje mu rację.

– Mało tego – dodał Allan, unosząc kieliszek, jakby wznosił toast. – Jedno z twoich życzeń lada chwila się spełni...

Rzeczywiście, Mike też ją zobaczył: Laura Stanton przeciskała się przez tłum, wyraźnie zmierzając w ich kierunku. Na szpilkach miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, a do tego kasztanowe włosy zebrane do tyłu w prosty koński ogon. Czarna, sięgająca kolan suknia bez rękawów była głęboko wycięta, żeby w całej okazałości zaprezentować naszyjnik z wisiorkiem z opalu.

– Gratuluję, Lauro – pochwalił Allan, cmokając ją w oba policzki. – Przygotowałaś aukcję jak się patrzy.

– Powiedz to swoim pracodawcom z First Caly... mam tutaj co najmniej dwóch agentów węszących za czymś dla konkurencyjnych banków. Wygląda na to, że wszyscy chcą zdobyć coś do swoich sal konferencyjnych. – Ale jej uwaga skierowana już była na Mike'a. – O, witam – rzuciła, nachylając się, żeby znów wymienić pocałunki. – Mam wrażenie, że dzisiaj nic ci się tu nie spodobało.

– Tego bym nie powiedział – sprostował Mike takim tonem, że się zarumieniła.

– Skąd wytrzasnęłaś Matthewsona? – pytał tymczasem Allen. – U nas jeden z tej samej serii wisi przed windami na trzecim piętrze.

– Z posiadłości w Perthshire. Właściciel chce kupić sąsiednie tereny, żeby żaden deweloper nie mógł mu spaskudzić widoku. – Odwróciła się do niego. – A może First Caly byłby zainteresowany...?

W odpowiedzi Allan nieznacznie wzruszył ramionami i wydał policzki.

– Który to Matthewson? – zainteresował się Mike.

– Ten śnieżny pejzaż – wyjaśniła Laura, wskazując ścianę po drugiej stronie sali. – Ozdobna połączana rama... zupełnie nie w twoim guście, Mike.

– Ani w moim. – Allan nie mógł się oprzeć, żeby nie wyrazić swojego zdania. – Bydło i owce stłoczone w górach pod drzewami bez liści, żeby im było cieplej.

– Z obrazami Matthewsona jest ciekawa sprawa – powiedziała Laura, kierując swoje słowa do Mike'a. – Wyższe ceny osiągają te, na których widać pyski zwierząt. – Wiedziała, że taka ciekawostka go zainteresuje, a on podziękował jej skinieniem głowy.

– Ktoś z zagranicy za czymś węższy? – dopytywał się Allan.

Laura z zadumą wydeła policzki, zastanawiając się tymczasem nad odpowiedzią.

– Rynek rosyjski ma się dobrze... to samo dotyczy Chin i Indii. Na mój gust w dniu aukcji będziemy mieli sporo licytujących przez telefon.

- Ale nikt nie zastrzegł sobie prawa pierwokupu?
- Laura udała, że chce mu przyłożyć swoim katalogiem.
- Teraz to ty wężysz – zbeształa go.
- A swoją drogą, powiesiłem Monbodda – wtrącił się Mike.
- Gdzie? – zapytała.
- Zaraz za drzwiami wejściowymi. – Martwa natura Alberta Monboddo była jego jedynym zakupem na zimowej aukcji. – Obiecałaś, że wpadniesz go zobaczyć – przypomniał jej.
- Dam ci znać e-mailem. – Leciutko zmrużyła oczy. – Tymczasem masz okazję dać odpór pogłoskom, które do mnie dotarły.
- Oho! – rzucił Allan i prychnął do kieliszka.
- Jakim pogłoskom?
- Że przymilasz się do innych, mniej sympatycznych domów aukcyjnych.
- Skąd o tym wiesz? – zainteresował się Mike.
- Świat jest mały – odparła. – I rozplotkowany.
- Niczego tam nie kupiłem – powiedział obronnym tonem.
- Zarumienił się, świntuch jeden! – skomentował Allan.
- Chyba nie chcesz, żebym wpadła obejrzeć Monbodda i z miejsca musiała się wynieść, bo obok będzie wisiąca połowa oferty z Christie's i Sotheby's – podjęła Laura. – A może jednak?

Zanim Mike zdążył odpowiedzieć, na jego ramieniu wylądowało mięsiste łapsko. Obejrzał się i zobaczył ciemne,

przeszywające oczy Roberta Gissinga. Olbrzymia łysina starszego mężczyzny spływała potem. Tweedowy krawat miał przekrzywiony, a niebieską marynarkę z lnu pogniecioną i rozciągniętą tak, że do niczego już się nie nada. Gissing miał tubalny głos i mówił, co chciał.

– Widzę, że playboye zjawili się w samą porę, żeby uratować mnie przed tym szajsem! – zagrzmiał, wymachując pustym kieliszkiem do szampana niczym dyrygent batutą, i wbił wzrok w Laurę. – Nie mam do ciebie pretensji, moja droga, w końcu to twoja praca...

– Prawdę mówiąc, to Hugh odpowiada za catering.

Gissing teatralnie pokręcił głową.

– Dziecko, ja mówię o obrazach! Nie wiem, po kiego w ogóle się fatyguję na te tragiczne imprezy.

– Żeby się ubzdryngolić za darmo? – podsunął Allan, ale Gissing potraktował go jak powietrze.

– Dziesiątki, setki prac reprezentujących szczyt tego, co artyści zdołali z siebie wykrzesać... Za każdym pociągnięciem pędzla kryje się jakaś historia, każdy starannie przemyślany wybór przedmiotu czy tematu... – Gissing złączył kciuk i palec wskazujący, jak gdyby trzymał mikroskopijny pędzel. – One należą do nas wszystkich, stanowią część naszej zbiorowej świadomości, relację o dziejach naszego kraju... to nasza historia. – Był w swoim żywiole. Mike podchwycił spojrzenie Laury i puścił oko. Oboje wielokrotnie słyszeli już tę przemowę albo wariacje na jej główny temat. – Ich miejsce nie jest w salach posiedzeń rad nadzorczych, gdzie normalny człowiek nie wejdzie bez przepustki – ciągnął. – Ani w kasie pancерnej

jakiejś instytucji ubezpieczeniowej czy w pawilonie myśliwskim potentata przemysłowego...

– Ani w apartamencie milionera samorodka – zakpił Allan, lecz Gissing pogroził mu paluchem grubości kiełbasy.

– Wy tam, w tym waszym First Caly, jesteście największymi winowajcami... przepłacacie niedojrzałe młode talenty, którym potem woda sodowa uderza do głowy! – Przerwał, żeby nabrać tchu, i znów walnął Mike'a łapskiem w ramię. – Ale na młodego Michaela nie dam powiedzieć złego słowa. – Mike skrzywił się, gdy Gissing zacisnęła palce. – Zwłaszcza że zaraz mi postawi pół literka whisky.

– To ja was, chłopcy, zostawię – powiedziała Laura, przebijając palcami wolnej ręki na pożegnanie. – Aukcja odbędzie się za tydzień od dzisiaj... nie zapomnijcie wpisać jej do swoich terminarzy.

Mike odniósł wrażenie, że na odchodnym uśmiechnęła się i że ten ostatni uśmiech posłała właśnie jemu.

– Do Świecącej Gwiazdy?

Mike dopiero po chwili uświadomił sobie, że Gissing proponuje im wypad do winiarni przy tej samej ulicy.

2.

Lokal mieścił się w niskiej piwnicy bez okien, o ścianach krytych mahoniową boazerią, i wyposażonej w meble z brązowej skóry. Swego czasu Gissing utyskiwał, że czuje się tu niczym złożony do wypasionej trumny.

Po pokazach przedaukcyjnych oraz po samych aukcjach mieli w zwyczaju wpadać do Świecącej Gwiazdy na – jak to określał Gissing – „analizę pomeczową”. Tego wieczoru w lokalu było sporo klientów – na oko głównie studenci, aczkolwiek z tych nadzianych.

– Pomieszkują kątem u tatusia w eleganckiej dzielnicy – burknął Gissing pod nosem.

– Ale to dzięki nim zarabiasz na życie – przyciął mu Allan.

Znaleźli wolną wnękę i czekali, aż kelner przyjmie zamówienie – whisky dla Gissinga i Mike'a, firmowy szampan dla Allana.

– Potrzebuję kieliszka prawdziwych bąbelków, żeby spłukać wspomnienie – wyjaśnił.

– Wiecie, ja wcale nie żartowałem – mówił Gissing, zaciera-
jąc ręce, jakby je namydłał. – O tych wszystkich obrazach
zamkniętych dla świata... Każde moje słowo to szczerą prawdą.

– Wiemy – powiedział Allan. – Ale nawracasz nawróco-
nych.

Robert Gissing był rektorem tutejszej akademii sztuk pięk-
nych, aczkolwiek już na wylocie. Za miesiąc czy dwa, z koń-
cem semestru letniego, miał przejść na emeryturę. Wydawało
się jednak, że zamierza głosić swoje poglądy do samego końca.

– Nie uwierzę, że to jest to, czego by chcieli artyści – ob-
stawał przy swoim.

Mike nie mógł się oprzeć, żeby nie zapytać:

– A czy w przeszłości każdy z nich nie marzył, żeby mieć
swojego mecenasa?

– Tyle że ci mecenasicy zwykle udostępniali ważne dzieła –
odciął się Gissing. – Wypożyczali je do zbiorów narodowych i
gdzie indziej.

– First Caly robi to samo – dowodził Mike, szukając wzro-
kiem wsparcia u Allana.

– To prawda – przytaknął bankier. – Wystawiamy nasze
obrazy w całym kraju.

– Ale to nie to samo – burknął Gissing. – Dzisiaj wszystko
się skomercjalizowało, a chodzi o czerpanie radości z obcowania
z samą sztuką. – Zaciśnął pięść i walnął w stół dla podkre-
ślenia swoich słów.

– Wyluzuj – rzucił Mike. – Obsługa pomyśli, że straciliśmy

cierpliwość. – Zauważył, że Allan wpatruje się w jakiś punkt przy barze. – Ładniutka kelnerka, co? – domyślił się i zaczął odwracać głowę.

– Nie patrz tam! – ostrzegł go bankier, zniżając głos i nachylając się nad blatem tak, jakby chciał go uściskać. – Trzej faceci przy barze obalają butelkę czegoś, co podejrzenie wygląda mi na szampana, i to roederer cristal...

– Marszandzi?

Allan pokręcił głową.

– Zdaje się, że jeden z nich to Majcher Calloway.

– Ten gangster? – Słowa Gissinga zbiegły się w czasie z końcem muzyki i w nagłej ciszy jego głos wydał się jeszcze bardziej donośny. Profesor obejrzał się, ale kiedy to robił, facet zwany Calloway zauważył ten ruch i wlepił wzrok w ich trójkę. Jego potężna, wygolona na łyso głowa osadzona była na szerokich zgarbionych barach. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i rozciągnięty czarny T-shirt. Trzymał kieliszek szampana tak, jakby chciał go zadusić.

Allan otworzył na białce stołu katalog i udawał, że go przegląda.

– No pięknie – mruknął.

– Chodziłem z nim do szkoły – rzekł cicho Mike. – Ale na pewno mnie nie pamięta...

– I chyba nie jest to stosowna pora, żeby mu o tym przypominać – dodał bankier w chwili, gdy kelnerka zjawiała się z zamówieniem.

Calloway był w mieście znaną figurą: wymuszanie haraczy za ochronę, kluby z panienkami, a pewnie i narkotyki. Kelnerka

na odchodnym też posłała im ostrzegawcze spojrzenie, ale było za późno – zwalista postać zmierzała już w ich kierunku. Majcher Calloway oparł się kostkami dłoni o blat i pochylił nad stołem, rzucając cię na trzech siedzących mężczyzn.

– Czy ktoś tu mnie obgaduje? – zapytał. Nie uzyskał odpowiedzi, jedynie Mike wbił wzrok w gangstera. Calloway był od niego tylko o pół roku starszy, ale czas nie obszedł się z nim łaskawie. Miał przetłuszczoną skórę, a pokancerowana i pobrużdżona twarz nosiła ślady stoczonych przez niego walk. – Coś cicho się zrobiło, no nie? – ciągnął. Wziął katalog i obejrzał okładkę. Otworzył go na chybił trafił i przyjrzał się wczesnemu arcydziełu Bossuna. – Siedemdziesiąt pięć do stu? Za takie bohomy? – Rzucił katalog na stół. – Otóż, przyjaciele, po mojemu to rozbój w biały dzień. Ja bym za to nie wybulił nawet siedemdziesięciu pięciu pensów, a co dopiero kawałków. – Przez chwilę on i Mike mierzyli się wzrokiem, ale skoro nikt przy stole nie przerwał ciszy, uznał, że w zasadzie nic już go nie zatrzymuje. Chichocząc pod nosem, wrócił do baru i dopił szampana, po czym, wciąż parszkając śmiechem, wyszedł w noc w towarzystwie gniewnych kompanów.

Mike patrzył, jak kelnerki rozluźniają się i zgarniają kubek z lodem i kieliszki. Allan nie spuszczał wzroku z drzwi.

– Mogliśmy ich załatwić – rzucił, odczekawszy jeszcze kilka sekund.

Ale gdy podnosił do ust kieliszek szampana, jego ręka wyraźnie drżała.

– Chodziły słuchy, że to nasz kumpel Calloway obrobił First Caly w dziewięćdziesiątym siódmym – dorzucił znad krawędzi kieliszka.

– Wobec tego powinien już przejść na emeryturę – zawyrokował Mike.

– Jeśli chodzi o forszę, nie każdy emeryt jest taki obrotny jak ty.

Profesor wychylił resztę whisky i dawał znaki barmanowi, żeby szykował następną kolejkę.

– Może dałoby się go namówić, żeby nam pomógł – oświadczył, wymachując ręką.

– Pomógł? – powtórzył za nim bankier jak echo.

– Zrobić kolejny skok na First Caly – wyjaśnił Gissing, zwracając się do pustej szklanki. – Bylibyśmy bojownikami o wolność, Allan, walczylibyśmy dla dobra sprawy.

– A cóż to za sprawa? – wyrwało się Mike'owi. Ze wszystkich sił starał się opanować oddech i spowolnić łomotanie serca, żeby biło we względnie normalnym rytmie. Przez ten czas, kiedy się nie widzieli, a było tego ze dwadzieścia lat, Calloway znacznie się zmienił. Roztaczał teraz aurę człowieka groźnego, któremu nikt nie dobierze się do skóry.

– Repatriacja przynajmniej części tych uwięzionych dzieł sztuki. – Gissing uśmiechnął się szeroko, kiedy podano kolejne whisky. – Ci niewierni ukrywali je już dostatecznie długo. Czas, żebyśmy wzięli odwet.

– Podoba mi się twój sposób myślenia – rzekł Mike z uśmiechem.

– Ale dlaczego akurat First Caly? – marudził Allan. – Mało to innych złoczyńców?

– I nie wszyscy są tak powszechnie znani jak imię Calloway – przytaknął Gissing. – Mówiłeś, Mike, że chodziłeś z nim do szkoły?

– Ten sam rocznik – odparł Mike, powoli kiwając głową. – Każdy dzieciak chciał być jego kumplem.

– Być jego kumplem czy być taki jak on?

Mike spojrzał na Allana.

– Może i masz rację. Poczucie władzy to miła rzecz.

– Zdobywanie władzy poprzez zastraszenie to gra niewarta świeczki – burknął Gissing.

Kiedy kelnerka zamieniła mu pustą szklaneczkę na pełną, zapytał, czy Calloway jest stałym klientem.

– Zagłęda tu od czasu do czasu – odparła. Mike uznał, że sądząc z akcentu, pochodziła z Republiki Południowej Afryki.

– Zostawia duże napiwki? – zapytał ją.

Nie spodobało jej się to pytanie.

– Proszę pana, ja tu tylko pracuję...

– Nie jesteśmy z policji ani nic w tym rodzaju – zapewnił ją Mike. – Zwykła ciekawość.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – skwitowała, odwracając się na pięcie.

– Ładne ciało – ocenił Allan z uznaniem, kiedy oddaliła się poza zasięg słuchu.

– Prawie tak ładniutka jak nasza kochana Laura Stanton – dodał Gissing, puszczając oko do Mike'a. Ten w odpowiedzi oświadczył, że wychodzi na dwór, zapalić papierosa.

– Mogę wycygnąć od ciebie jednego? – zapytał tradycyjnie Allan.

– I zostawicie starego człowieka na pastwę losu? – Gissing udał, że narzeka, otwierając katalog na pierwszej stronie. – No już, znikajcie obaj, mam was gdzieś...

Mike i Allan otworzyli drzwi i weszli po pięciu schodkach z baru w piwnicy na chodnik. Zapadał zmierzch i jak to w środku tygodnia, po ulicy krążyły taksówki w poszukiwaniu klientów.

– Stawiam funta przeciwko orzechom, że jak wrócimy do knajpy, będzie suszył głowę komuś innemu – rzekł bankier.

Mike przypalił papierosa dla nich obu i zaciągnął się głęboko. Zszedł do czterech, pięciu fajek dziennie, ale nie był w stanie całkiem rzucić palenia. O ile wiedział, Allan palił tylko w towarzystwie innych palaczy, którzy go częstowali. Rozejrzał się po ulicy, ale nie zauważył Callowaya i jego kompanii. Pewnie weszli do któregoś z licznych w tej okolicy barów. Przypomniał sobie składziki na rowery w szkole – mieli je tam naprawdę, chociaż korzystano z nich tylko do zorganizowanych naprędce bójek. A na przerwach i podczas lunchu zbierali się tam palacze. Majcher – który już na początku swojej kariery zyskał taką ksywkę – przewodził całemu towarzystwu, otwierał małą albo dużą paczkę fajek i sprzedawał je na sztuki po wygórowanych cenach, plus jeszcze kilka pensów za ogień. Mike wtedy jeszcze nie palił. Kręcił się jednak w pobliżu, licząc na to, że przyjmą go do swojej paczki – ale nigdy nie doczekał się zaproszenia.

– Spokojnie dzisiaj – zauważył Allan, strząsając popiół. – Widać turyści się przyczaili. Zawsze mnie ciekawiło, co sądzą o tym mieście. Wiesz, dla nas to dom, trudno to ocenić z punktu widzenia innych.

– Sęk w tym, że to także miasto takich szumowin jak Majcher Calloway, Allan. Dwa różne Edynburgi złączone wspólnym układem nerwowym.

Bankier pogroził mu palcem.

– Myślisz o tym programie na Kanale Czwartym z wczorajszego wieczoru... o braciach syjamskich.

– Rzuciałem na niego jednym okiem.

– Jesteś całkiem jak ja... oglądamy za dużo telewizji. Jak już całkiem zdzieciniejemy, będziemy zachodzić w głowę, dlaczego tak sobie zmarnowaliśmy życie.

– Wielkie dzięki.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli... gdybym miał tyle forsy co ty, stałbym za sterem swojego jachtu na Karaibach albo lądował własnym śmigłowcem na dachu tego hotelu w Dubaju...

– Chcesz powiedzieć, że się marnuję? – Mike pomyślał o Gerrym Pearsonie, o jego e-mailach z załączonymi zdjęciami ślizgaczy i skuterów wodnych...

– Ja tylko twierdzę, że skoro nadarza się okazja, powinieś ją chwytać obiema rękami... a dotyczy to także przeuroczej Laury. Skocz z powrotem do domu aukcyjnego, ona wciąż tam jest. Zaproś ją na randkę.

– Na kolejną randkę – sprostował Mike. – Sam wiesz, jak to się skończyło ostatnim razem.

- Zbyt łatwo się poddajesz. – Allan wolno pokręcił głową.
- Nie mogę wyjść ze zdumienia, że prowadząc interes, doszedłeś do jakichś pieniędzy.
- Ale doszedłem, no nie?
- Bez dwóch zdań. Tylko że...
- Tylko że co?
- Odnoszę wrażenie, że nie czujesz się z tym dobrze.
- Nie lubię się obnosić z forszą, jeśli o to ci chodzi. Afiszować się swoim sukcesem przed innymi.

Allan wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale jego wrodzona ostrożność wzięła górę i tylko skinął głową. Nagle rozproszyło ich dudnienie muzyki dobiegające z nadjeżdżającego samochodu. Było to błyszczące czarne bmw, chyba model M5. Z aparatury leciało Thin Lizzy (*The Boys are Back in Town*), a na fotelu obok kierowcy siedział Majcher Calloway i podśpiewywał do wtóru. Szyba po jego stronie była opuszczona i znów napotkał wzrok Mike'a. Złożył palce na kształt pistoletu, zagiął kciuk niczym spust, wziął na muszkę obu palaczy... i zniknął. Mike zauważył, że Allan obserwuje tę scenę.

- Nadal uważasz, że mogliśmy ich załatwić? – zapytał.
- Na cacy – odparł bankier, pstrykając wypalonym w połowie papierosem na jezdnię.

• • •

Tego wieczoru Mike jadł samotnie. Gissing zaproponował wspólną kolację, lecz Allan powiedział, że w domu czeka na niego robota. Mike także się wymówił, licząc na to, że nie

nadzieje się przypadkiem na profesora w restauracji. Bo w sumie lubił jadać w samotności. W otwartym do późna kiosku kupił gazetę. Idąc w kierunku Haymarket, zdecydował się na kuchnię hinduską. Restauracje niespecjalnie dbały o czytających – oświetlenie było przeważnie za słabe – ale udało mu się znaleźć stolik pod kinkietem. W gazecie wyczytał, że dla restauracji hinduskich nadchodzą ciężkie czasy – nieurodzaj ryżu spowodował znaczny wzrost cen, a na skutek zaostżenia przepisów imigracyjnych do kraju przyjeżdżało coraz mniej szefów kuchni. Kiedy powiedział o tym kelnerowi, młody człowiek tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

W restauracji panował tłok, a stolik Mike'a stał zbyt blisko stolika zajętego przez pięciu pijanych kompanów. Powiesili marynarki na oparciach krzeseł. Krawaty poluzowali albo całkiem zdjęli. Mike domyślał się, że kumple z firmy wypuścili się na miasto, by oblać udaną transakcję. Znał to z autopsji, wiedział, jak kończą się takie wypadki. Ludzie, z którymi pracował, często powtarzali, że nigdy nie ubzdryngala się na całego, że nigdy nie wpada w skrajną euforię po podpisaniu ważnego kontraktu. Mógłby im powiedzieć: „Lubię panować nad tym, co robię”. I dodać: „Od jakiegoś czasu”. Kiedy podano mu jedzenie, tamci byli już przy kawie i brandy, co oznaczało, że będą się zbierać mniej więcej wtedy, gdy on poprosi o rachunek. Wstając od stołu, zobaczył, że jeden z nich traci równowagę, zmagając się z rękawami płaszcza. Wyglądało na to, że zwali się na jego stół, więc wyciągnął rękę, żeby go podtrzymać.

Odwróciła się do niego czerwona gęba.

– A ty czego? – wybełkotał facet.

– Pilnuję, żeby się pan nie wykopyrtnął.

Któryś z jego kumpli postanowił wtrącić swoje trzy grosze.

– Dotknąłeś go? – zapytał Mike'a, po czym zwrócił się do swojego kompana: – Tknął cię choćby palcem, Rab?

Ale Rab był pochłonięty utrzymaniem równowagi i nie miał nic więcej do powiedzenia na ten temat.

– Chciałem mu pomóc – tłumaczył Mike.

Tamci wstali i otoczyli go półkolem. Wiedział, jak łatwo takie sytuacje przekształcają się w walki plemienne... ich pięciu kontra reszta świata.

– Lepiej pomóż sam sobie i wypierdalaj! – warknął jeden ze znajomków Raba.

– Chyba że chcesz szukać gęby we własnej dupie – pisnął inny z nich.

Kelnerzy przyglądali się temu z niepokojem. Jeden z nich pchnął pobliskie drzwi, żeby ostrzec personel w kuchni.

– Nie ma sprawy. – Mike pojednawczo uniósł ręce i wyszedł na ulicę. Na dworze ruszył szybko chodnikiem, oglądając się za siebie. Wolał się nieco oddalić na wypadek, gdyby tamci postanowili puścić się za nim. Dystans dawał czas na namysł i ocenę sytuacji. Ryzykować czy dać nogę.

Zanim nawalona piątka wyszła z lokalu, zdążył odejść pięćdziesiąt metrów. Szli, trzymając się pod ręce i wskazując swój cel po drugiej stronie ulicy – następny bar.

Pewnie już o mnie zapomnieli, pomyślał Mike. Wiedział, że ten incydent w restauracji na długo zostanie mu w pamięci.

Przez kilka tygodni albo i miesiące wspomnienia będą powracały i będzie sobie wyobrażał inne scenariusze, takie, w których tylko on trzyma się już na nogach, a te opoje leżą bezwładnie u jego stóp. Mając trzynaście lat, wdał się w bójkę z kolegą z klasy i zajął zaszczytne drugie miejsce. Potem aż do ukończenia szkoły obmyślał skomplikowane warianty zemsty, których jednak nigdy nie wprowadził w czyn.

Ale teraz obracał się w świecie, w którym nie musiał się pilnować. Ludzie byli uprzejmi i cywilizowani. Dobrze wychowani, potrafiący się zachować. W Świecącej Gwieździe Allan chojraczył, ale Mike nie sądził, żeby bankier choć raz się bił, odkąd dorósł. Idąc w kierunku Murrayfield, wspominał studenckie czasy. Kilkakrotnie wdał się w burdy w barze. Innym razem napażął się z takim jednym, który przystawiał się do jego dziewczyny... Chryste, nawet nie pamiętał, jak tamten miał na imię! A kiedyś, jak wracał z kumplami do mieszkania, które razem wynajmowali, paru pijaków rzuciło w nich metalowym kubłem na śmieci. Nigdy nie zapomniał rozróbny, do jakiej wtedy doszło. Bójka przeniosła się z ulicy do najbliższej czynszówki, a potem na podwórko na tyłach, aż w końcu jakaś kobieta wrzasnęła przez okno, że wzywa policję. Mike wyszedł z tego z otartymi kostkami dłoni i podbitym okiem. Jego przeciwnik padł i już nie powstał.

Mike zastanawiał się, jak Majcher Calloway zachowałby się w restauracji, gdyby doszło co do czego. No, ale Calloway prowadził się z obstawą – ci dwaj, którzy siedzieli z nim przy barze, nie przyszli tam na pogaduszki. Kiedyś jeden z kolegów Mike'a zażartował, że powinien chyba sprawić sobie

ochroniarza, „skoro wszyscy już wiedzą, jaki jest obrzydliwie bogaty”. Miał na myśli ranking z poprzedniej niedzieli – jakaś gazeta umieściła Mike'a w pierwszej piątce najlepszych partii do wzięcia w Szkocji.

– W Edynburgu nikt nie potrzebuje ochroniarza – odparł Mike.

A jednak kiedy zatrzymał się przed bankomatem, żeby wyjąć trochę gotówki, rozejrzał się na prawo i lewo, oceniając, czy nic mu nie grozi. Obok banku siedział oparty o szybę sklepu żebrak, ze zwieszoną głową. Wydawał się przemarznięty i samotny. Allan zarzucił kiedyś Mike'owi, że jest samotnikiem, i trudno było temu zaprzeczyć – ale to nie oznaczało, że był samotny. Wrzucił żebrakowi do kubka jednego funta i ruszył do domu, posłuchać przed snem muzyki i popatrzeć na swoją kolekcję obrazów. Przypomniały mu się słowa profesora (o „części tych uwięzionych dzieł sztuki”), a potem Allana („skoro nadarza się okazja, powinienes ją chwytać obiema rękami...”). Uchyliły się drzwi baru i na ulicę wytoczył się jakiś pijak. Mike zrobił unik przed zataczającym się facetem i poszedł dalej.

Gdy otwierają się jedne drzwi, inne się zamykają...

3.

Jak dotąd Majcher Calloway miał kolejny gówniany dzień.

Kłopot z inwigilacją polega na tym, że nawet jeśli się orientujesz, że ktoś cię śledzi, nie zawsze wiesz, kto to taki. Majcher wisiał ludziom trochę grosza... no dobra, kupę forsy. Był wienien jeszcze parę innych rzeczy, więc nie wychylał się i odbierał tylko jeden czy dwa ze swoich kilkunastu telefonów komórkowych – te, których numery znali jedynie przyjaciele, rodzina i najbliżsi współpracownicy. W porze lunchu miał umówione dwa spotkania, ale oba odwołał. Załatwił to telefonicznie, nie fatygując się, żeby wyjaśnić powody. Gdyby się rozniosło, że jest śledzony, jego reputacja jeszcze bardziej by ucierpiała. Wypił więc tylko dwie kawy w Cento Tre przy George Street. To był elegancki lokal, kiedyś mieścił się tam bank. Wiele edynburskich banków zamieniono na bary i restauracje. Skoro na każdym kroku znajdowały się bankomaty, banki przestały być potrzebne. Rzecz jasna, wraz z bankomatami pojawiły się nowe przekręty – skanowanie i klonowanie

kart kredytowych, instalowanie nad automatami kamer rejestrujących niezbędne dane klientów wypłacających pieniądze... Z niektórych stacji benzynowych nikt nie ośmielał się korzystać, bo handlowały informacjami na temat kart. Majcher uważał na takie rzeczy. Gangi dysponujące wiedzą na temat machlojek z kartami kredytowymi najwyraźniej wywodziły się z zagranicy – z Albanii, Chorwacji, Węgier. Majcher też próbował się wkręcić w ten interes, ale dowiedział się, że na pokładzie jest komplet – co było tym bardziej bolesne, że te gangi wzięły na cel akurat Edynburg.

W tym niewielkim mieście mieszkało niespełna pół miliona ludzi. Nie przyciągało więc najważniejszych graczy, co oznaczało, że duża część terytorium należy do Majchra. A on miał układy z właścicielami wielu klubów i barów. Już od kilku lat nie doszło tu do wojny gangów. Majcher zdobywał szlify podczas takich właśnie wojen i wyrobił sobie znakomitą reputację jako żołnierz. Robił dla Billy'ego McGeehana jako wykidajło w jego sali bilardowej i w kilku klubach w Leith. Takie tam chałtury w sobotnie wieczory, kiedy stali bywalcy z upływem czasu coraz bardziej zaczynali rozrabiać, a przyjezdni szukali zwady z miejscowymi.

Jako nastolatek uważał się za niezłego piłkarza, ale próbna gra w drużynie Hearts okazała się niewypałem. Uznano, że jest za duży i zbyt niezdamny.

– Przerzuć się na rugby, synu – doradził mu łowca talentów.

Rugby! Też coś!

Żeby nie wyjść z formy, próbował sił jako bokser, ale nie

potrafił się opanować – stając w ringu, chciał zniszczyć przeciwnika stopami, kolanami, łokciami, chciał go sprać na kwaśne jabłko i łomotać dalej.

– Zapasy, synu, to jest to – brzmiała kolejna rada. Ale akurat wtedy Billy McGeehan złożył mu propozycję, która Majchrowi bardzo przypadła do gustu: miał się zarejestrować jako bezrobotny i udawać, że szuka pracy, a w weekendy zajmować się ściąganiem długów, co mu powinno wystarczyć do kolejnego zasiłku z funduszy państwowych. Stopniowo Billy nabierał do niego coraz większego zaufania, tak że kiedy Majcher postanowił zmienić barwy i zaczął robić dla Lenny'ego Corkery, przeszedł do nowego pracodawcy ze sporym zapasem wiedzy. Nastąpiła wojna gangów, w wyniku której Billy wyniósł się na Florydę, przepisawszy swoje sale bilardowe i bary na Lenny'ego. W rezultacie Corkery został królem dżungli, a Majcher jego zaufanym przybocznym.

Któregoś dnia jednak Lenny padł trupem przy jedenastym dołku na polu w Muirfield i Majcher się usamodzielniał. Myślał o tym już od jakiegoś czasu, a ludzie Lenny'ego nie mieli nic przeciwko temu – w każdym razie nikt nie wyraził tego na głos.

– Dla interesów gładkie przejęcie władzy zawsze jest najlepsze – skomentował to jeden z właścicieli klubów.

Gładkie... przynajmniej przez pierwsze kilka lat.

Od jakiegoś czasu narastały kłopoty. Nie była to wina Majchra, w każdym razie nie tylko. Gliniarzom pofarciło się i zgarnęli transport koki i ekstazki, zaraz po tym, jak forsa przeszła z rączki do rączki, co dla Majchra oznaczało podwójny

cios. Dodatkowy pech polegał na tym, że Majcher odebrał właśnie transport trawy, którą dostarczył do kraju norweski kuter, a dostawca – członek Aniołów Piekieł o nazwisku nie do wymówienia – dał mu tylko dziewięćdziesiąt dni na uregulowanie płatności.

Od tej pory minęło sto dwadzieścia dni.

I wciąż ich przybywało.

Majcher mógłby pojechać do Glasgow i zaciągnąć tam pożyczkę u jakiejś grubej ryby, tyle że zaczęłyby się plotki. I straciłby twarz. A wystarczy jedna oznaka słabości, żeby zleciały się sępy... i nie tylko.

Wydudlił dwie filiżanki włoskiej kawy, nawet nie czując jej smaku, ale po łomotaniu serca poznał, że była ekstramocna. Był w towarzystwie Johnna i Glenna. We trzech wcisnęli się do wnęki pod oknem, a że co ładniejsze kobitki zajęły inne stoliki, nie bardzo mieli na co rzucać okiem. Nadęte kurwiszony! Majcher znał ten typ: zakupy u Harveya Nicksa, potem koktajl w Świecącej Gwieździe i liść sałaty na przekąskę, żeby nie paść z głodu. Ich mężowie i narzeczeni robili w bankowości albo jako prawnicy... innymi słowy, krwiopijcy. Wielkie chałupy w Grange, wypadki na narty, wystawne kolacyjki. Gdy Majcher dorastał, nie miał pojęcia, że istnieje takie oblicze Edynburga. Jako chłopak w soboty chodził na mecze (jeżeli Hearts grali u siebie i była szansa na ustawkę z kibolami przeciwnika) albo przesiadywał w barze. Czasem uganiał się za spódniczkami po Rose Street albo próbował poderwać jakąś pannę w St James Centre. George Street, z butikami i sklepami jubilerów, gdzie na wystawach nie podawano cen, to był dla

niego całkiem obcy świat – i wtedy, i teraz. Co wcale nie przeszkadzało mu tu bywać... a niby czemu nie? Miał w kieszeni nie mniej forsy niż inni. Nosił koszulki polo od Nicole Fahri i marynarki od Donny Karan. Buty od Kurta Geigera, skarpetki od Paula Smitha... W niczym nie ustępował tamtym skurwielom. Mało tego, był lepszy niż większość z nich. On przynajmniej żył w prawdziwym świecie.

– Pierdolę ich wszystkich.

– Co jest grane, szefie? – zapytał Glenn.

Majcher zdał sobie sprawę, że powiedział to na głos. Puścił pytanie mimo uszu, poprosił przechodzącą kelnerkę o rachunek i przeniósł uwagę na swoją obstawę. Tymczasem Glenn wyszedł sprawdzić, co słychać na dworze, i wrócił z wiadomością, że nikt się nie czai w pobliżu.

– A w oknach biur? – zapytał Majcher.

– Sprawdziłem.

– A w sklepach nikt nie udaje, że się za czymś rozgląda?

– Już mówiłem – zachnął się Glenn. – Jeżeli na zewnątrz ktoś czeka, to musi być świetny.

– Nie musi być świetny – odciął się Majcher. – Wystarczy, żeby był lepszy od ciebie.

Zaczął przygryzać dolną wargę, jak zwykle, kiedy nad czymś się zastanawiał. Dopiero po zapłaceniu rachunku podjął decyzję.

– W porządku... możecie spierdalać.

– Szefie? – Tym razem odezwał się Johnno, nie bardzo wiedząc, czy go słuch nie myli.

Majcher nie odpowiedział. Uznał, że jeśli dybią na niego

Anioły Piekieł czy ktoś w ich rodzaju, to spróbują go dopaść, kiedy będzie sam. A jeśli to gliny... ba, nie miał pewności. Ale przynajmniej w ten czy inny sposób się dowie. A to już jakiś plan. To już coś.

Tyle że sądząc z miny Glenna, niekoniecznie było to najlepsze wyjście...

Majcher wykombinował, że wmiecha się w tłum kupujących na Princes Street. Samochody nie miały tam prawa wjazdu, więc gdyby ktoś chciał go ścigać, musiałby zasuwać pieszo. Wszedłby wtedy po stromych schodach na zboczu the Mound i ukrył się na spokojnych uliczkach Starego Miasta, gdzie bez trudu zauważyłby każdy ogon.

Miał plan.

Wkrótce jednak przekonał się, że niewiele mu z niego przyszło. Kazał Glennowi i Johnno czekać w samochodzie i obiecał, że wezwie ich w razie potrzeby. Potem ruszył Frederick Street i przeszedł na spokojniejszą stronę Princes Street, tę bez sklepów. Przed sobą miał wyniosły zamek. Widział małe postacie turystów pochylających się nad murami obronnymi. Od lat nie zaglądał do zamku. Był tam chyba kiedyś z wycieczką szkolną, ale po dwudziestu minutach urwał się na miasto. A ze dwa lata temu przyczepił się do niego w barze jakiś facet, którego kiedyś poznał. Gość sprzedał mu starannie obmyślany plan kradzieży szkockich klejnotów koronnych, w zamian za co dostał od Majchra po gębie.

– Zamek to nie atrakcja dla turystów – wyjaśnił nieszczęsnemu pijakowi. – To jeden wielki garnizon. I jak chcesz wynieść stamtąd te klejnoty, he?

Teraz przeszedł na światłach u podnóża the Mound i skierował się do schodów. Co chwila przystawał, zerkał do tyłu... ale nikogo nie zauważył. Jasny gwint...! Spojrzał w górę i uświadomił sobie, jak strome są te schody. Nie był przyzwyczajony do pieszych wycieczek. A ruch na Princes Street podniósł mu ciśnienie. Już tylko unikanie autobusów podczas przechodzenia przez jezdnię spowodowało, że był zlany potem. Co za sens ma zakaz ruchu samochodów osobowych, skoro ten odcinek ulicy to istny tor wyścigowy dla taksówek i piętrowych autobusów? Zdał sobie sprawę, że nie da rady wejść po tych schodach, więc przystanął na chwilę, zastanawiając się, co ma do wyboru. Mógł wrócić do ogrodów przy Princes Street – ale na samą myśl o tej ulicy robiło mu się niedobrze. Przed sobą miał wielki budynek w greckim stylu – a właściwie dwa, jeden ukryty za drugim. No i galerie sztuki – był na tyle obeznany z okolicą, że wiedział. W zeszłym roku filary jednej z nich okleili czymś takim, żeby wyglądały jak puszki zupy. Miało to coś wspólnego z wystawą w środku. Majcher przypomniał sobie tych trzech facetów w barze. Podszedł do ich stołu, wiedząc, że jeśli tylko popatrzy na nich przez kilkanaście sekund, to będą robili pod siebie ze strachu. I rzeczywiście tak się stało. A ten katalog, co to go oglądali... same obrazy. Teraz zaś stał przed szkocką Galerią Narodową. A właściwie czemu nie? To chyba niebiosy zesłały mu znak. Poza tym jeśli wejdzie do środka, to zauważy każdego, kto by go śledził. Gdy podszedł do wejścia, odźwierny przytrzymał mu drzwi. Majcher sięgnął do kieszeni i zawahał się.

- Ile? – zapytał.
- Wstęp wolny, proszę pana – odparł odźwierny i nawet się lekko uklonił.

• • •

Ransome patrzył, jak za Majchrem Callowayem zamykają się drzwi.

– No to widziałem już wszystko – mruknął pod nosem, sięgając do kieszeni marynarki po telefon komórkowy. Był inspektorem śledczym z policji okręgu Lothian i Borders.

Jego partner, detektyw sierżant Ben Brewster, siedział w nieoznakowanym samochodzie zaparkowanym gdzieś między the Mound a George Street.

Brewster odebrał po pierwszym sygnale.

– Wszedł do Galerii Narodowej – poinformował go Ransome.

– Ma z kimś spotkanie? – Głos Brewstera brzmiał jak transmisja ze stacji kosmicznej.

– Nie mam pojęcia, Ben. Odniosłem wrażenie, że chciał wejść po schodach Playfair, ale się rozmyślił.

– Ja też bym zrezygnował. – Brewster parsknął śmiechem.

– Nie da się ukryć, mnie również nigdy nie przyszło do głowy, żeby się tam wspinać – przyznał Ransome.

– Myślisz, że cię zauważył?

– Niemożliwe. Gdzie jesteś?

– Parkuję w drugim rzędzie na Hanover Street. Chyba narobiłem sobie przez to wrogów. Wejdiesz za nim?

– Sam nie wiem. W środku łatwiej może dać mi w łeb niż na zewnątrz.

– On wie, że ktoś go śledzi... Więc może zdjąć tych jego dwóch przydupasów?

– To jest pomysł, Ben. – Ransome spojrzął na zegarek, chociaż wcale nie musiał. Wybuch po jego prawej stronie oraz kłęby dymu unoszące się znad murów zamku oznaczały, że właśnie wybiła pierwsza. Spojrzął w dół na ogrody... Z galerii prowadziło tam drugie wyjście; nie ma mowy, by zdołał obstarwić oba. – Nie ruszaj się z miejsca – rzucił do komórki. – Zejdzie mi pięć do dziesięciu minut.

– Twoja decyzja – odparł Brewster.

– Moja – przyznał Ransome. Schował komórkę do kieszeni i oburącz ścisnął poręcz. Na dole, w ogrodach, wszystko wyglądało tak spokojnie. Pociąg turkotał po torach, zmierzając na dworzec Waverley. Nic, tylko spokój i porządek – ot, cały Edynburg. Można było spędzić tu całe życie i nie mieć zielonego pojęcia, co dzieje się dookoła, nawet jeśli dotyczyło to sąsiadów. Ransome spojrzął na zamek. Czasami odnosił wrażenie, że to surowy ojciec z dezaprobatą obserwujący bezeceństwa dziejące się poniżej. Kogoś patrzącego na plan miasta uderzał kontrast między Nowym Miastem na północy i starówką na południu. Pierwsze było rozplanowane geometrycznie i sensownie, drugie zaś beładnie – budynki stawiano wszędzie, gdzie tylko znalazł się kawałek wolnej przestrzeni. Podobno w dawnych czasach dobudowywano na czynszówkach tyle nowych pięt, że w końcu zapadały się pod własnym ciężarem. Ransome lubił atmosferę starówki, chociaż marzyło mu się

mieszkanie w eleganckim szeregowcu na Nowym Mieście. Dlatego co tydzień kupował los na loterię – nie widział innej szansy na poprawę standardu życia z pensji gliniarza z dochodzeniówki.

Dla odmiany Majchra Callowaya spokojnie stać było na lokum w Nowym Mieście, a jednak wybrał tandetną posiadłość na zachodnich obrzeżach miasta, kilka kilometrów od miejsca, gdzie się wychował. Zdaniem Ransome'a coś takiego jak gust nie miało dla gangstera znaczenia.

Detektyw wątpił, żeby Majcher zabawił dłużej w galerii. Dla niego sztuka była pewnie czymś z innej planety. Powinien wyjść albo głównymi drzwiami, albo jednymi z tych, które prowadziły do ogrodów. Ransome wiedział, że musi podjąć decyzję. Z drugiej strony... w sumie na dłuższą metę nie robiło to wielkiej różnicy. Spotkania zaplanowane przez Majchra – przynajmniej te, o których wiedział detektyw – i tak się nie odbędą. Wobec tego nie uda mu się zebrać żadnych dowodów i w rezultacie zmarnuje tylko kilka kolejnych godzin. Ransome był nieco po trzydziestce, ambitny i chętnie chwycił wszelkie nadarzające się okazje. Bez dwóch zdań Majcher Calloway to byłaby zdobycz co się zowie. Dzisiaj już może nie aż taka, jak cztery czy pięć lat temu, ale wtedy Ransome był zaledwie posterunkowym, który nie mógłby poprowadzić (ani nawet zaproponować przełożonym) długotrwałej inwigilacji. Teraz jednak miał informatora w środku, a to mogło przechylić szalę na jego korzyść. Jedną z jego pierwszych spraw w dochodzeniówce było przymknięcie Callowaya, ale sownie opłacani adwokaci gangstera rozbili w sądzie policyjne dowody w puch –

za co zapłacili najmłodszy członkowie ekipy śledczej.

„Detektyw posterunkowy Ransome... czy to aby na pewno właściwy stopień? Znam zwykłych posterunkowych, którzy wykazują większą fachowość”. Zadowolony z siebie czerwony na twarzy adwokat w peruce; Majcher Calloway ryczący ze śmiechu na ławie oskarżonych i wygrażający palcem młodemu detektywowi, gdy ten schodził z miejsca dla świadków. Później szef ekipy próbował mu tłumaczyć, że nic się nie stało. Ale stało się, jeszcze jak. I wlokło się za nim przez te wszystkie lata.

Ransome czuł, że nadszedł jego czas... właśnie tu, właśnie teraz. Wszystko, co wiedział, wszystko, co podejrzewał, świadczyło o tym, że życie Majchra Callowaya wkrótce się zawali.

Sprawa mogła okazać się brudna, mogła się odbyć w ogóle bez udziału Ransome'a, co nie znaczy, że nie będzie przy tym obecny, żeby napawać się triumfem.

Ani że nie będzie mógł przypisać sobie sukcesu...



Majcher Calloway przez kilka minut czekał w foyer, ale po nim z ulicy weszła jedynie para w średnim wieku, z australijskim akcentem i spaloną od słońca skórą. Udawał, że studiuje plan parteru, po czym uśmiechnął się półgębkiem do strażników na znak, że podoba mu się rozkład sal. Odetchnął głęboko i wszedł do galerii.

W środku panowała cisza. Cholernie wielkie sale rozbrzmiewały echem kaszlu i szeptów. Majcher znów zobaczył

Australijczyków oraz grupkę zagranicznych studentów oprowadzanych przez przewodnika. Niemożliwe, żeby byli tutejsi – zbyt opaleni, zbyt modnie ubrani. Powoli, w niemal absolutnej ciszy snuli się przed olbrzymimi płótnami, wyraźnie znudzeni. Strażników było niewielu. Majcher zadarł głowę, szukając wszędobylskich kamer przemysłowych. Znajdowały się tam, gdzie podejrzewał. Ale od obrazów nie biegły żadne przewody, czyli że nie było instalacji alarmowej. Niektóre dzieła wyglądały, jakby przymocowano je do ścian śrubami, choć bynajmniej nie wszystkie. Lecz gdyby nawet, to wystarczyłoby raptem pół minuty z nożem do wykładzin, żeby zwinąć wszystko, a przynajmniej większość z tego, co się chciało... Płótna, aczkolwiek bez ram. A tych kilku emerytów w mundurach... żaden problem.

Majcher usiadł na wielkiej kanapie na środku jednej z sal i poczuł, że serce nareszcie bije mu wolniej. Udawał, że interesuje go obraz na przeciwległej ścianie – górski pejzaż ze świątyniami skąpanymi w promieniach słońca. Na pierwszym planie widać było kilka postaci w powłóczystych białych szatach. Majcher nie miał pojęcia, co właściwie ten obraz przedstawia. Jeden z zagranicznych studentów – mocno opalony chłopak wyglądający na Hiszpana – na chwilę zasłonił mu widok, po czym przeszedł na bok, by odczytać informacje na ściennej tabliczce. Nie zdawał sobie sprawy, że Majcher przeszywa go wzrokiem, który mówi: „Hej, kolego, to mój obraz, moje miasto, mój kraj...”.

Do sali wszedł inny mężczyzna – starszy od studenta i lepiej ubrany. Miał na sobie czarny wełniany płaszcz, niemal

sięgający ziemi. Do tego czarne buty, wypastowane i niepodrapane. Trzymał złożoną gazetę i wydymając policzki, sprawiał wrażenie, jak gdyby wpadł tu dla zabicia czasu. Majcher zmierzył go wzrokiem i uznał, że gdzieś już go widział. Poczuł skurcz żołądka – czyżby ktoś jednak go śledził? Facet nie wyglądał na zbira, ale gliniarza także nie przypominał. Gdzie mogli się spotkać? Gość obrzucił obraz przelotnym spojrzeniem i ruszył dalej, ocierając się o studenta. Wyszedł z sali, zanim Majcher zdążył go sobie przypomnieć. Gangster wstał i ruszył za nim.

4.

Mike Mackenzie rozpoznał gangstera na pierwszy rzut oka. Miał nadzieję, że szybkim wyjściem z sali nie zwróci na siebie jego uwagi. Zresztą ta kolekcja nie była w jego guście. Przyjechał do centrum na zakupy: przede wszystkim po koszule (choć nie znalazł ani jednej, która by mu się spodobała). Poza tym po wodę kolońską, no i chciał też zajrzeć na Thistle Street, do sklepu jubilerskiego Josepha Bonnara. Joe specjalizował się w eleganckich antykach i Mike wpadł tam po jakiś drobiazg dla Laury. Gdy wcześniej myślał o niej z tym opalem na szyi, wyobraził ją sobie z czymś innym, niecodziennym.

Z czymś, co dostanie od niego.

Ale mimo że Joe był mistrzem w swoim fachu – o czym świadczył zegarek kieszonkowy, który Mike miał w domu – to jednak tym razem niczym nie oczarował swojego klienta. Może dlatego, że Mike pomyślał zniecka: Co ja właściwie wyprawiam? Czy Laura podziękuje mi za taki gest? A jeśli

zrozumie to opacznie? Poza tym czy ona w ogóle lubi ametysty, rubiny i szafiry?

– Zapraszam szanownego pana ponownie – powiedział Bonnar, otwierając mu drzwi. – Dawno pana u nas nie było.

No i tak: ani koszul, ani biżuterii. O pierwszej Mike znalazł się na Princes Street. Nie miał ochoty na lunch, ale był o rzut kamieniem od Galerii Narodowej. Nie mógł pozbierać myśli, właściwie trudno powiedzieć, co go tu ściągnęło. Niektóre płótna były nawet niezłe – musiał to przyznać – tyle że zbyt sztywne i nabożne. „Sztuka dobrze ci zrobi – zdawała się mówić kolekcja. – Chodź, kup coś”.

Od kilku dni zastanawiał się nad słowami profesora Gissinga o traktowaniu sztuki jako inwestycji. Ciekaw był, jaki procent obrazów na świecie ukryty jest w skrytkach bankowych czy domowych sejfach. Czy tak jak w przypadku książek, których nikt nie czyta, albo muzyki, której nikt nie wykonuje, ma to jakiegokolwiek znaczenie? W kolejnym pokoleniu obrazy te wciąż będą na swoim miejscu, czekając, aż ktoś je odkryje. A czy sam był wiele lepszy? Odwiedzał galerie i oglądał płótna artystów ze świadomością, że ich najlepsze dzieła wiszą u niego na ścianach. Czyż każdy dom i salon w mieszkaniu nie był swego rodzaju prywatną galerią?

A gdyby tak pomóc tym uwięzionym dziełom sztuki w ucieczce?

Rzecz jasna, nie z państwowych galerii, tylko z kas pancernych, skrytek bankowych i zamkniętych dla gości korytarzy i gabinetów firm inwestujących w sztukę. Taki na przykład First Caly miał kolekcję ocenianą na dziesiątki milionów funtów –

większość uznanych malarzy (szczycili się nawet posiadaniem wczesnego Bacona), a także śmietankę nowych talentów wyszukiwanych co roku przez kustosza banku na wystawach dyplomowych w całej Wielkiej Brytanii. Inne edynburskie firmy też miały własne zbiory i siedziały na nich niczym skąpiec na wypchanym gotówką materacu.

A gdybym to ja zrobił pierwszy ruch? – pomyślał Mike. Otworzył galerię i wstawił tam swoją kolekcję... czy udałoby mi się namówić innych? Pogadać z First Caly i pozostałymi wielkimi graczami na rynku? Nagłośnić sprawę? Możliwe, że właśnie te myśli ściągnęły go do Galerii Narodowej – idealnego miejsca, żeby to sobie przemyśleć. Tyle że w życiu nie spodziewałby się spotkać tam Majchra Callowaya. Mike odwrócił się... i oto Calloway skradał się za nim, z przyklepionym do twarzy uśmiechem i zimnymi oczami.

- Co jest, śledzisz mnie? – warknął gangster.
- Nie przypuszczałem, że jest pan mecenasem sztuki. – Mike nie potrafił wymyślić na poczekaniu lepszej odpowiedzi.
- Bo co? – najeżył się Calloway. – To wolny kraj, no nie? Mike wzdrygnął się.
- Przepraszam, źle się wyraziłem. Jestem Mike Mackenzie. Wymienili uścisk rąk.
- Charlie Calloway.
- Ale zwykle mówią na ciebie Majcher, mam rację?
- A więc wiesz, kim jestem? – Po chwili namysłu Calloway powoli skinął głową. – Już pamiętam... twoi kumple

unikali mojego wzroku, ale ty cały czas patrzyłeś mi prosto w oczy.

– A ty, odjeżdżając, udałeś, że do mnie strzelasz.

Gangster uśmiechnął się niechętnie.

– Dobrze chociaż, że nie z prawdziwego gnata, no nie?

– A co pana tu sprowadza?

– Przypomniałem sobie tę książkę z obrazami, tę, coście ją wtedy oglądali w barze. Po mojemu znasz się na sztuce, Mike, co?

– Wciąż się uczę.

– No więc... ten, obok którego stoimy... – Calloway cofnął się o krok. – Na moje oko to facet siedzący na koniu. Nawet całkiem udany. – Wsadził dłonie do kieszeni. – Ile coś takiego jest warte?

– Wątpliwe, żeby kiedykolwiek trafił na aukcję. – Mike wzruszył ramionami. – Pewnie ze dwa miliony.

– Jasny gwint! – Calloway przeszedł do następnego obrazu. – A ten tutaj?

– No, to jest Rembrandt... Kilkadziesiąt milionów.

– Kilkadziesiąt!

Mike rozejrzał się. Zwrócili na siebie uwagę dwóch strażników w liberii. Uśmiechnął się do nich z pewnością siebie i ruszył w przeciwną stronę. Calloway jeszcze przez kilka sekund gapił się na autoportret Rembrandta, po czym dołączył do Mike'a.

– Ale przecież tu nie chodzi o pieniądze, prawda? – wyrwało się Mike'owi.

– Nie? A o co?

– Co by pan wołał oglądać... dzieło sztuki czy oprawione w ramę banknoty?

Calloway wyciągnął jedną rękę z kieszeni i pogładził podbródek.

– Coś ci powiem, Mike – rzekł. – Dziesięć milionów w gotówce nie wisiąłoby u mnie na ścianie dostatecznie długo, żeby się zdążył przekonać.

Obaj parsknęli śmiechem. Gangster przeciągnął wolną dłoń po włosach. Mike zastanawiał się nad jego drugą ręką – tą, którą trzymał w kieszeni. Czy ścisnął w niej splotkę? A może nóż? Czyżby Calloway nie przyszedł tu tylko po to, żeby się rozejrzeć?

– No więc o co w tym chodzi, jeśli nie o forszę? – pytał gangster.

– Pieniądze są ważne – przyznał Mike. Spojrzał na zegarek. – Na dole jest kafejka. Co by pan powiedział na szybką kawę?

– Opiłem się już powyżej uszu. – Gangster pokręcił głową. – Ale herbaty nie odmówię.

– Ja stawiam, panie Calloway.

– Mów mi Majcher.

Kiedy schodzili krętymi schodami, gangster dopytywał się o ceny, a Mike tłumaczył mu, że interesuje się sztuką od niedawna i nie jest jeszcze ekspertem. W każdym razie nie chciał się przed nim zdradzić, że ma kolekcję, którą wiele osób niewątpliwie nazwałoby „pokaźną”.

Stojąc w kolejce do lady, Calloway zapytał go, jak zarabia na życie.

– Piszę programy komputerowe – odparł Mike; postanowił mówić o sobie jak najmniej.

– Morderczy biznes, no nie?

– Konkurencja nie śpi, jeśli o to ci chodzi.

Calloway uśmiechnął się przelotnie i wdał się w dyskusję z dziewczyną za ladą: który z dostępnych tutaj gatunków herbaty – Lapsang, różne zielone czy Orange Pekoe – najbardziej przypomina w smaku zwykłą herbatę. Potem zajęli stolik z widokiem na ogrody przy Princes Street i pomnik Scotta.

– Wszedłeś kiedyś na szczyt tego pomnika? – zapytał Mike.

– Mama zabrała mnie tam, jak jeszcze byłem szczeniakiem. Mało nie zlałem się ze strachu. Pewnie dlatego kilka lat temu zawlokłem tam Donny'ego Devlina i zagroziłem, że go zrzucę na ziemię... wisiał mi trochę grosza, wiesz, jak to jest. – Calloway wsadził nos do dzbanka z herbatą. – Pachnie cokolwiek dziwnie.

Mimo to nalał sobie filiżankę, a tymczasem Mike mieszał swoje cappuccino, zastanawiając się nad stosowną odpowiedzią na tak osobliwe wyznanie. Gangster najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że powiedział coś niecodziennego. Wspomnienie matki gładko przeszło w opis makabrycznej sceny. Mike nie potrafił powiedzieć, czy Calloway specjalnie chciał go zaszokować; może zresztą wcale nie była to prawda – pomnik Scotta, zawsze oblegany przez turystów, kompletnie nie nadawał się do takich celów. Allan Cruikshank sugerował wprawdzie, że to Majcher obmyślił skok na First Caly. Ale teraz trudno było go sobie wyobrazić jako mózg gangu...

– Próbował się tu kto kiedy włamać? – zapytał Calloway, rozglądając się dookoła.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Gangster zmarszczył nos.

– Zresztą te obrazy są wielkie jak cholera... Gdzie zamelinować coś takiego?

– Może w magazynie? – podsunął Mike. – Obrazy kradną na okrągło... kilka lat temu dwaj faceci wynieśli arrasy z kolekcji Burrella.

– Naprawdę? – Gangster wyraźnie się ożywił.

Mike odchrząknął.

– Chodziliśmy razem do podstawówki... byliśmy nawet z tego samego rocznika.

– Co ty powiesz? Jakoś cię nie pamiętam.

– Bo nigdy nie zwracałeś na mnie uwagi. Ale pamiętam, że mniej więcej rządziłeś całym tym interesem, nawet nauczycielom mówiłeś, co im wolno, a czego nie.

Calloway pokręcił głową, ale był wyraźnie połączony.

– E tam, przesadzasz. Ze mnie był wtedy zwyczajny łobuz. – Jego oczy zasnuła mgła; Mike wiedział, że gangster wrócił wspomnieniami do tamtych czasów. – Ledwo skończyłem budę... Na świadectwie mam coś związanego z robotą w metalu.

– Kiedyś na zajęciach kazali nam robić śrubokręty – przypomniał mu Mike. – Ty ze swoich zrobiłeś niezły użytek...

– Bo kazałem gówniarzom wyskakiwać z forsy – przytaknęła Majcher. – Masz dobrą pamięć. Jak się wkręciłeś w komputery?

- Poszedłem do szkoły średniej, a potem na studia.
- I nasze drogi się rozeszły – skwitował Majcher, kiwając głową. Nagle rozprostował ramiona. – A teraz siedzimy tu sobie po latach, dorośli, cali i zdrowi.
- Skoro już mowa o zdrowiu... jak skończył Donny Devlin?

Majcher zmrużył oczy.

- A tobie co do tego?
- Nic, po prostu jestem ciekawy.

Gangster zastanawiał się przez chwilę.

– Wyjechał z miasta – odparł w końcu. – Ale najpierw mnie spłacił co do grosza, nie myśl sobie. Masz jeszcze kontakt z kimś z dawnych czasów?

– Nie – odrzekł Mike. – Raz wpadłem na spotkanie klasowe po latach, ale jakoś z nikim nie chciało mi się gadać.

– Zdaje się, że z ciebie był lepszy samotnik.

– Stale przesiadywałem w bibliotece.

– Może dlatego cię nie pamiętam... w bibliotece byłem tylko raz, pożyczyłem *Ojca chrestnego*.

– Dla przyjemności czy żeby się czegoś nauczyć?

Twarz Majchra pociemniała, ale tylko na chwilę. Nagle wybuchnął gromkim śmiechem na znak, że docenia żart.

I tak, gadając sobie na luzie o niczym, nie zauważyli postaci, która dwukrotnie przeszła za oknem.

A był to detektyw inspektor Ransome.

5.

Mike stał z tyłu sali aukcyjnej, tuż za progiem. Laura Stanton weszła na mównicę i właśnie sprawdzała, czy mikrofon działa jak należy. Po bokach miała dwa ekrany plazmowe do wyświetlania wizerunków licytowanych dzieł. Ich oryginały miały być wystawiane na sztalugach albo wskazywane przez fachowy personel (gdyby akurat wisały na ścianach). Mike widział, że Laura jest zdenerwowana. Bądź co bądź prowadziła aukcję dopiero po raz drugi, a jej debiutancki występ uznano w najlepszym razie za „porządny”. Nie wydobyła na światło dzienne żadnego prawdziwego skarbu, nie padł też rekord licytacji. Jak zauważył Allan Cruikshank, na rynku sztuki taka sytuacja mogła się ciągnąć jeszcze miesiącami, jeśli nie przez całe lata. W końcu działo się to w Edynburgu, a nie w Nowym Jorku czy Londynie. Tutaj zainteresowanie skupiało się na artystach ze Szkocji.

– Nie wystawią tu Freuda ani Bacona – uprzedzał Allan. Teraz Mike zauważył go, siedzącego w drugim rzędzie od

końca; Allan nie zamierzał niczego kupować, chciał tylko po raz ostami rzucić okiem na każdy obraz, zanim zniknie w jakiejś kolekcji prywatnej bądź firmowej. Z miejsca, gdzie stał, Mike miał widok na całą salę. Ludzie szeptali w oczekiwaniu. Po raz ostatni przeglądano katalogi. Personel domu aukcyjnego siedział przy telefonach, gotów zbierać oferty od klientów z zagranicy. Mike'a zawsze ciekawiło, kim są ci ludzie po drugiej stronie linii telefonicznej. Finansiści z Hongkongu? Celtowie z Manhattanu, którzy upodobali sobie pejzaże przedstawiające szkockich pasterzy w kiltach? Gwiazdy rocka albo ekranu? Wyobrażał sobie, jak wykrzykują oferty, poddając się zabiegom manikiuru, masażu albo ćwicząc na siłowni czy siedząc w swoich prywatnych odrzutowcach. Nie wiadomo czemu zawsze miał wrażenie, że to ludzie z większą klasą niż ci, którzy osobiście fatygują się na aukcje. Kiedyś spróbował wyciągnąć od Laury dane o jednym z klientów licytujących przez telefon, ale poklepała się tylko w bok nosa na znak, że takich tajemnic nie może ujawniać.

Znał pewnie z połowę ludzi na sali – głównie byli to marszandzi, którzy liczyli na odsprzedaż kupionych dzieł po wyższej cenie. Do tego kilku ciekawskich, ubranych byle jak, jakby wpadli tu przypadkiem, z braku czegoś lepszego do roboty. Niektórzy może mieli zachomikowane w domu obrazki – spadek po dawno zmarłej ciotce – a teraz chcieli się przekonać, ile można wyciągnąć za danego artystę. Było też kilku ludzi takich jak Mike – kolekcjonerów z prawdziwego zdarzenia, którzy mogli sobie pozwolić na wszystko, co znalazło się w ofercie. No i kilka nowych twarzy. A w pierwszym rzędzie – na

„ławce nowicjuszy” – siedział Majcher Calloway. Nie miał łopatki do licytacji, a zatem przyszedł jedynie zaspokoić ciekawość. Mike zauważył go natychmiast po wejściu do sali, ale (jak dotąd) udało mu się nie zwrócić na siebie uwagi gangstera. Rozpoznał też dwóch mężczyzn opartych o ścianę po lewicy Callowaya – tych samych, których widział z nim tydzień temu w Świecącej Gwieździe. Kiedy wpadł na Callowaya w Galerii Narodowej, gangster najwyraźniej nie potrzebował ochrony swoich goryli. Ciekawe, co dziś się zmieniło? Może chciał, żeby go zauważono, żeby ludzie na sali wiedzieli, że mają do czynienia z kimś, kto chodzi w towarzystwie obstawy? Ot, taki publiczny pokaz tego, jaki to jest ważny.

Stuknięcie młotkiem obwieściło początek aukcji. Pierwsze pięć eksponatów poszło błyskawicznie, po cenie wywoławczej. Ktoś stanął w progu sali i Mike skinął mu głową na powitanie. W przededniu emerytury Robert Gissing najwyraźniej miał więcej czasu na pokazy przedaukcyjne i same aukcje. Z marsem na czole, omiół wzrokiem całą salę. O ile Allan zapewne żałował, że tyle obrazów sprzątało mu sprzed nosa, o tyle Gissing słynął z tego, że bliski apopleksji wypadał z sali, wrzeszcząc na cały korytarz: „To dzieła prawdziwych geniuszy! Zaprzędane w niewolę, żeby nie mogli podziwiać ich ci, którym się to należy!”. Mike miał nadzieję, że dzisiaj profesor nie urządzi sceny – Laura miała dostatecznie dużo na głowie. Zwrócił uwagę, że Gissing także nie wziął do licytacji i zaczął się zastanawiać, ile osób na sali rzeczywiście jest zainteresowanych kupnem jakiegoś eksponatu. Kolejne dwa dzieła nie

uzyskały nawet ceny wywoławczej, co tylko wzmogło obawy Mike'a. Wiedział, że niektórzy marszandzi umawiają się przed aukcją, co kogo interesuje, i dogadują się, żeby nie podbijać cen. Dzięki temu dzieła kupowano tanio, chyba że na sali albo po drugiej stronie telefonu znalazł się prawdziwy kolekcjoner.

Mike'owi zdawało się, że widzi, jak krew zabarwia szyję i policzki Laury. Odchrząknęła cicho i przerwała licytację na chwilę, by napić się wody i zlustrować wzrokiem salę, szukając zainteresowanych klientów. Atmosfera była duszna, jakby w pomieszczeniu zabrakło powietrza. Mike czuł zapach kurzu pokrywającego staroświeckie ramy obrazów, zmieszany z wonią tweedu i pasty do podłogi. Próbował odgadnąć sekretne życie każdego płótna, jego drogę od wyobraźni twórcy do szkicownika i ze szkicownika na sztalugi. To, w jaki sposób obraz został ukończony, oprawiony, wystawiony na sprzedaż i kupiony. Jak przechodził z rąk do rąk, a to jako spadek, a to jako bezwartościowy rupieć, który ktoś ocalił z graciarni i przywrócił mu świetność. Przed kupnem obrazu zawsze długo przyglądał się odwrotnej stronie płótna, szukając wskazówek – znaków kredą zostawionych na ramie przez malarza czy nalepki galerii, w której dzieło sprzedano po raz pierwszy. Przeglądał katalogi, próbując wytropić kolejnych właścicieli. Jego ostatni nabytek – martwa natura Monbodda – został namalowany podczas podróży na Riwierę Francuską, przywieziony z powrotem do Anglii i pokazany na wystawie zbiorowej w rezydencji w Mayfair, ale zaledwie kilka miesięcy później sprzedała go nieduża galeria z Glasgow. Pierwszym kupcem był potomek

fabrykantów tytoniu. Większość tych informacji Mike uzyskał od Roberta Gissinga, który napisał kilka monografii na temat Monbodda. Teraz ośmielił się zerknąć na profesora i zobaczył, że ten stoi ze splecionymi na piersi rękami i zagniewaną miną.

Tymczasem z przodu sali coś się działo. Calloway podniósł rękę, chcąc zalicytować, na co Laura zapytała, czy ma łopatkę.

– A co ja jestem, grabarz? – odparł Calloway, wzbudzając śmiech sąsiadów. Laura przeprosiła go i wyjaśniła, że licytować mogą tylko ci, którzy zarejestrowali się w recepcji, ale jeśli szanowny pan sobie życzy, to ma jeszcze czas, żeby...

– Nieważne – rzucił gangster, lekceważąco machając ręką.

Na sali zapanowało odprężenie i licytacja się ożywiła. Kolejnym obrazem było dzieło Matthewsona – owca w śnieżnej zaspie, koniec dziewiętnastego wieku. Na pokazie przed aukcją Laura wspomniała, że płótno cieszy się zainteresowaniem i właśnie dwóch klientów podbijało cenę przez telefon, skupiając uwagę obecnych na pracownikach ze słuchawkami przy uszach. Cena wciąż rosła, aż w końcu dwukrotnie przebiła wywoławczą. Ostatecznie młotek stuknął przy osiemdziesięciu pięciu tysiącach, co Laurze wyraźnie dobrze zrobiło. Nabrała pewności siebie i zaryzykowała dowcip, który spotkał się z powszechnym aplauzem i ożywił obecnych na sali, a także wywołał spóźniony rechot Majchra Callowaya. Mike przerzucił następne strony katalogu, ale nie zobaczył nic, co by go

skusiło. Przecisnął się przez tłum marszandów i uściśnął dłoń Gissinga.

– Czy to nie ten łobuz, z którym mieliśmy przepychankę w tamtej winiarni? – mruknął profesor, ruchem głowy wskazując front sali.

– Nie oceniaj książki po okładce, Robercie – szepnął mu Mike do ucha. – Pogadamy później?

– A czemu nie teraz? – odparł Gissing. – Zanim mnie tu szlag trafi...

Po drugiej stronie korytarza znajdowały się schody prowadzące na piętra z wystawą antycznych mebli, starych książek i biżuterii. Mike zatrzymał się u ich stóp.

– No więc? – ponaglił go Gissing.

– Podobała ci się aukcja?

– A skąd, jak zwykle.

Mike wolno pokiwał głową, nie bardzo wiedząc, jak by tu przejść do rzeczy.

Profesor uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Nie daję ci to spokoju, Michael – wycedził. – To, co mówiłem wtedy w winiarni. Od razu zobaczyłem, że rozumiesz, rozumiesz wagę tego, co proponuję.

– Ale twoja propozycja nie była serio. No wiesz, nie można iść przez życie, kradnąc obrazy. Taki First Caly nie byłby zachwycony tym pomysłem... A co by powiedział Allan?

– Sami go zapytajmy. – Gissing wcale nie żartował.

– Zgadzam się, że pomysł jest kuszący... obmyślenie jakiegoś... skoku – przyznał Mike.

Gissing znów splótł ręce na piersi, słuchając go uważnie.

– Mnie też to nie daje spokoju – wyznał w końcu. – Od dawna, jak to się mówi, ćwiczę w ten sposób moje małe szare komórki. I od razu uznałem, że First Caly się nie nadaje, mają zbyt dobrą ochronę. Ale gdyby tak udało się wyzwolić pewną liczbę obrazów w taki sposób, że nikt nie zauważyłby ich zniknięcia?

– Ze skrytki w banku?

Gissing pokręcił głową.

– Nic tak uciążliwego. – Poklepał się po wydętym brzuchu.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto zdolny jest włamać się do banku?

Mike roześmiał się cicho.

– Mówimy czysto hipotetycznie, prawda?

– Skoro tak twierdzisz.

– Zgoda, wobec tego oświeć mnie... skąd ukradniemy te obrazy?

Profesor milczał przez chwilę, przesuwając językiem po dolnej wardze.

– Z Galerii Narodowej – oświadczył w końcu.

Mike gapił się na niego przez kilka sekund, po czym parsknął śmiechem.

– Jasne, co to dla nas. – Przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Majchrem Callowayem. „Próbował się tu kto kiedy włamać?”.

– Twój sarkazm jest całkiem nie na miejscu – zbeształ go Gissing.

– A co, wejdziemy tam sobie jakby nigdy nic, wyjdziemy i nikt nas nie zauważy?

– Z grubsza o to chodzi. Jeśli jesteś zainteresowany, wyjaśnię ci to przy kieliszku.

Skrzyżowali wzrok. Mike pierwszy spuścił oczy.

– Od dawna się nad tym zastanawiasz?

– Pewnie od roku albo i dłużej. Kiedy przejdę na emeryturę, Mike, chciałbym coś zabrać ze sobą. Coś, czego nie ma nikt inny na świecie.

– Rembrandta? Tycjana? El Greca...?

Gissing skwitował to wzruszeniem ramion. Mike zobaczył, że Allan wychodzi z sali aukcyjnej, i przywołał go ruchem ręki.

– Ten Bossun, którego kupiłeś, to chyba nie był zły interes – oznajmił Allan i westchnął. – Jeden właśnie poszedł za trzydzieści osiem kawałków. W zeszłym roku o tej porze z trudem osiągnął dwie dychy... – Przyjrzał się obu mężczyznom po kolei. – Co z wami? Wyglądacie jak dzieciaki przyłapane na wyjadaniu konfitur.

– Właśnie się wybieramy na kielicha – powiedział Gissing. – I żeby pogadać.

– O czym?

– Robert wyraził zainteresowanie kradzieżą kolekcji obrazów ze zbiorów państwowych w taki sposób, żeby nikt nie zauważył ich zniknięcia – wyjaśnił Mike. – Chce sobie sprawić prezent przed odejściem na emeryturę.

– To lepsze niż złoty zegarek – przyznał Allan.

– Tyle że moim zdaniem on wcale nie żartuje.

Allan spojrział na Gissinga, który tylko wzruszył ramionami.

– Najpierw się napijmy, pogadamy potem – oświadczył profesor.

• • •

Detektyw inspektor Ransome patrzył, jak trzej mężczyźni opuszczają dom aukcyjny i zacierają do mieszczącej się pół przecznicy dalej winiarni Świecząca Gwiazda. Rozpoznał jednego z nich – kilka dni wcześniej widział go, jak popijał kawę z Majchrem Callowayem w Galerii Narodowej. Najpierw galeria, a teraz dom aukcyjny... Ransome sprawdził ogłoszenie w oknie: sprzedaż zaczynała się o dziesiątej rano. Calloway zjawił się dwadzieścia minut wcześniej, kupił katalog i został skierowany do właściwej sali. Co on kombinuje, u licha? Wziął ze sobą Glenna i Johnno, jakby chciał ubić jakiś interes. Po kwadransie Johnno wyszedł na papierosa, wyraźnie znudzony, i zaczął sprawdzać SMS-y i nieodebrane połączenia w swojej komórce. Z pewnością nie mógł zauważyć detektywa, który stał dwadzieścia pięć metrów dalej, za filarem przed salą koncertową.

Tyle że Ransome nie miał pojęcia, co tu jest grane.

Tego dnia wypuścił się sam. Ben Brewster został na posterunku i odwał robotę papierkową. Biurko Ransome'a też nie było puste, ale nie mógł zignorować cynku, jaki dostał przez telefon. A teraz za cenę jednego miał dwa obiekty: Callowaya i przystojnego, dobrze ubranego mężczyznę. Nie mógł się zdecydować, czy iść do winiarni – gdzie a nuż podsłucha coś ciekawego – czy zostać na miejscu. Żałował, że jednak nie zabrał Brewstera ze sobą.

Minęło kolejne pół godziny, zanim klienci zaczęli opuszczać dom aukcyjny. Ransome patrzył zza filara, jak Calloway pojawia się w obstawie Johnno i Glenna. Zaledwie wyszli, Johnno zapalił papierosa. Ale gangster nagle zmienił zdanie i szybko wrócił pod dach, a jego dwa zbiry zostały na ulicy, wznosząc oczy do nieba. Praca dla takiego świrusa jak Calloway musiała być niełatwa. Johnno i Glenn byli notowani. Najpierw siedzieli razem w więzieniu Saughton, a potem w innych – za przypadkowe pobicie, groźby karalne, zastraszanie. Johnno był mniej przewidywalny, w każdej chwili mogła mu odbić palma. Glenn miał przynajmniej za grosz rozsądku. Wykonywał rozkazy, ale poza tym się nie wychylał.

Po dwóch minutach Calloway znów wyszedł. Rozmawiał ze znajomą Ransome'a. Wymachiwał ręką, jak gdyby zapraszał ją na kielicha, ale ona uprzejmie odmawiała ruchem głowy. Kiedy podał jej rękę, uścisnęła ją i wróciła do domu aukcyjnego. Johnno poklepał szefa po plecach, jakby chciał mu powiedzieć, że warto było spróbować. Callowayowi wyraźnie się to nie spodobało i obsztorcował go jak należy. Cała trójka ruszyła – no proszę, proszę! – do tej samej winiarni. Ransome znów musiał podjąć decyzję, ale tym razem się nie wahał. Przeszedł na drugą stronę ulicy, wszedł do domu aukcyjnego i uśmiechnął się do recepcjonistki, zmierzając w ślad za Laurą Stanton do opustoszałej sali.

Sala nie była tak całkiem pusta – pracownicy w brązowych kombinezonach zbierali krzesła. Odłączano kable telefoniczne od gniazdek w ścianach. Rozbierano na części mównicę, zdejmowano ekrany plazmowe. Ktoś podał Laurze kartkę pełną

liczb, z zakreśloną na czerwono sumą końcową na samym dole.. Nie sposób było wyczytać z jej twarzy, co o tym myśli.

– Sie masz, Stanton – rzucił Ransome. Kobieta rozpoznała go dopiero po dłuższej chwili i posłała mu zmęczony, acz szczerzy uśmiech.

– Ransome, dawnośmy się nie widzieli.

Studiowali na tym samym roku i mieli wspólnego przyjaciela, więc bywali na tych samych imprezach, razem wypuszczali się na miasto. Nie widzieli się od ponad dziesięciu lat, spotkali się ponownie na zjeździe absolwentów uczelni. Takich spotkań było jeszcze kilka, ale ostatnim razem wpadli na siebie przed kilkoma miesiącami na koncercie jazzowym w Queen's Hall.

Laura podeszła i cmoknęła go w oba policzki.

– Co cię tu sprowadza? – zapytała.

Detektyw udawał, że ogląda salę i jej wyposażenie.

– Pamiętam, jak mówiłaś, że pracujesz w domu aukcyjnym... ale nie sądziłem, że prowadzisz ten interes.

– To gruba przesada. – A jednak pochlebstwo wyraźnie sprawiło jej przyjemność.

– Gdybym wpadł trochę wcześniej, zobaczyłbym cię w środku akcji?

– Raczej w reakcji, na niemrawość. – Spojrzała na kartkę z danymi. – Chociaż jak na zimę, sprzedaż wyraźnie wzrosła, co nastroja optymistycznie...

– Może ci przeszkadzam? – zapytał Ransome z troską w głosie.

– Ależ skąd.
– Widzisz, akurat wtedy przechodziłem i zobaczyłem, że ucinasz sobie pogaduszki z Majchrem Callowayem.

– Z kim?

Spojrzał jej w oczy.

– No wiesz, z tym wygolonym na łyso goryłem. Czy polował na jakiś konkretny eksponat?

Teraz już wiedziała, o kim mówi.

– On chyba nie ma o tym pojęcia. Na koniec pytał mnie o zasady licytowania. – Jej twarz stężała. – Czy ma jakieś kłopoty?

– Wyłącznie, od dnia, kiedy wyszedł z kołyski. Naprawdę nie słyszałaś o Majchrze Callowayu?

– To chyba nie jakiś krewniak Caba*?

* Cab Calloway – słynny amerykański piosenkarz jazzowy, znany m. in. z filmu *Blues Brothers*.

Detektyw uznał, że riposta zasługuje na nagrodę, ale jego uśmiech szybko zgasł.

– Jego naturalne środowisko to przemoc. Macza palce we wszelkich machlojkach.

– Myślisz, że chce tu wyprać pieniądze?

Ransome zmrużył oczy.

– Skąd taki pomysł?

Wzruszyła ramionami.

– Takie rzeczy się zdarzają... To znaczy, słyszałam, że bywa tak w innych domach aukcyjnych. Ale nie u nas, Boże uchowaj... – Jej głos zamarł.

– Chyba powinienem się temu przyjrzeć. – Ransome pomasaował się pod brodą. – Mam przeczucie, że ściągnął go tu dziś jeden z jego „współpracowników”.

– Było z nim dwóch – sprostowała Laura, ale detektyw pokręcił głową.

– Nie mówię o tych tresowanych małpach... jeden to Johnno Sparkes, drugi to Glenn Burns. Calloway zleca im brudną robotę, jeśli uzna, że sam nie da rady. Nie, ja mówię o tym wysokim gościu, dobrze ubranym, z kasztanowymi włosami zaczesanymi do tyłu. Wyszedł stąd z wielkim chłopem w zielonych sztruksach i chudym okularnikiem o krótkich czarnych włosach.

Uśmiechnęła się, słysząc ten opis.

– Trzej muszkietierowie... zawsze tak o nich myślę. Świetnie się dogadują, chociaż są kompletnie różni.

Ransome pokiwał głową, jakby miało to dla niego jakiś sens.

– Tyle że jeśli chodzi o trzech muszkietierów...

– To co?

– Jeśli dobrze pamiętam, było ich czterech. – Co rzekłszy, wyjął notes i poprosił Laurę, żeby podała mu ich nazwiska.

– Jeden chyba nazywał się Portos? – zażartowała. Ale detektyw, jej dawny kumpel od kielicha ze studiów, stracił poczucie humoru i przeszła mu ochota do żartów. W oczach Laury błysnął niepokój. – Nie ma mowy, żeby któryś z nich miał coś wspólnego z takim szemranym typem – powiedziała obronnym tonem.

– A zatem nie ma powodu, dla którego nie miałabyś mi podać ich nazwisk.

– Ransome, to są moi potencjalni klienci. Mam wszelkie powody, żeby nic ci nie mówić.

– Rany boskie, Lauro, nie jesteś klechą ani lekarką od trynia. – Ransome westchnął ciężko. – Nie zapominaj, że jestem detektywem. W każdej chwili mogę zatrzymać ich na środku ulicy i zmusić, żeby się przedstawili. Albo zabrać na posterunek. – Zamilkł na chwilę, żeby jego słowa dotarły do niej w pełni. – I jestem pewien, że masz rację... oni nie mają nic wspólnego z Callowayem. Ja po prostu próbuję być miły i nie rzucać się w oczy. Jeśli mi podasz nazwiska, sprawdzę ich po cichu raz-dwa, tak że żaden o niczym się nie dowie. Nie sądzisz, że to lepsze wyjście?

Laura przemyślała sobie jego słowa.

– Pewnie tak – przyznała w końcu, na co Ransome uśmiechnął się pojednawczo.

– Czyli umowa stoi? – upewnił się. – Wszystko zostanie między nami.

Kiedy kiwała głową, stał z długopisem nad notesem i pytał, co u niej ostatnio słyhać...

6.

Gissing nie śpieszył się z wyjawieniem swojego pomysłu. Kręcił szklaneczką whisky słodowej i co jakiś czas wachał ją, jak gdyby nie miał ochoty spróbować aromatycznego trunku. Dla Mike'a na whisky było jeszcze za wcześnie, Allan natomiast musiał wracać do biura, skąd urwał się pod pretekstem spotkania z klientem. Mieszał więc piankę na swoim cappuccino i co chwila spoglądał na zegarek i wyświetlacz komórki.

– No więc? – powiedział Mike po raz trzeci czy czwarty. Dla siebie zamówił podwójne espresso. Dostał do niego migdałowy biszkopcik, który odsunął na bok. W Świecącej Gwieździe było niemal pusto, tylko dwie kobiety zrobiły sobie przerwę w zakupach. Siedziały po drugiej stronie sali, poza zasięgiem słuchu, z pełnymi torbami na podłodze obok siebie. Z głośników płynęła muzyka elektroniczna, ale tak cicha, że prawie nie było jej słychać.

Gissing wyciągnął rękę, wziął biszkopcik i zamoczył go

w whisky. Ugryzł kęs, a w jego oczach zamigotały wesołe ogniki.

– Zaraz muszę wracać – oświadczył Allan, wiercąc się na krześle.

Siedzieli przy tym samym stole co tydzień temu.

Kelnerka także była ta sama, chociaż najwyraźniej ich nie pamiętała.

Profesor zrozumiał aluzję Allana.

– W sumie to bardzo proste – zagaił; z jego ust posypały się okruszki biszkopta. – Ale jeśli chcesz, Allan, to idź, a tymczasem ja wyjaśnię Mike'owi, jak ukraść obraz bez większej fatygi.

Allan uznał, że może zostać jeszcze kilka minut. Gissing dojadł biszkopt, uniósł szklankę do ust, wychylił ją jednym haustem i mlasnął z aprobatą.

– Słuchamy – zwrócił się Mike do profesora.

– Wszystkie galerie i muzea w tym naszym uczciwym mieście... – Gissing pochylił się, opierając łokcie na stole – nie mają miejsca na wystawienie nawet jednej dziesiątej swoich zbiorów. Nawet dziesięciu procent! – Zamilkł, żeby jego słowa zapadły im w pamięć.

– Ty też nie – skwitował oschle Mike.

– I te smutne dzieła tkwią, niekochane, w ciemnościach... tkwią tam przez całe lata, Michael, i nikt nigdy ich nie ogląda. – Gissing zaczął wyliczać na palcach. – Obrazy, rysunki, szkice, biżuteria, rzeźby, wazy, ceramika, dywany, książki... poczynając od epoki brązu w górę. Setki tysięcy eksponatów.

– I twierdzisz, że możemy sobie kilka zabrać?

Gissing jeszcze bardziej zniżył głos.

– Trzymają je w wielkim magazynie na nabrzeżu w Granton. Byłem tam kilka razy. To istny skarbiec!

– Skarbiec zinwentaryzowany i sprawdzany? – domyślił się Allan.

– Wiem, że wiele rzeczy poprzekładano nie na swoje miejsce... znalezienie którejś z nich to kwestia miesięcy.

– I to jest magazyn? – Mike patrzył, jak Gissing przytakuje ruchem głowy. – Ze strażnikami, kamerami przemysłowymi, a może i z owczarkami niemieckimi i drutem kolczastym?

– Owszem, jest dobrze zabezpieczony – przyznał profesor.

Mike uśmiechnął się – podobały mu się te gierki. Starszy pan też najwyraźniej dobrze się bawił i nawet Allan wydawał się zaciekawiony.

– I co mielibyśmy zrobić? – spytał Allan. – Przebrać się za komandosów i przypuścić frontalny atak?

Tym razem Gissing się uśmiechnął.

– Allanie, mój drogi, myślę, że moglibyśmy to zaplanować ciutkę bardziej misternie.

Mike oparł się na krześle i splótł ramiona na piersi.

– W porządku, znasz to miejsce... jak można się tam dostać? A jeśli już ktoś się dostanie, jak wyjdzie z towarem tak, żeby nikt nic nie zauważył?

– Dwa znakomite pytania – rzekł Gissing takim tonem, jak gdyby dawał za wygraną. – Odpowiedź na pierwsze... wchodzi się drzwiami od frontu. Mało tego, na specjalne zaproszenie.

– A drugie pytanie?

Gissing rozłożył ręce.

– Przecież niczego nie będzie brakowało.

– Poza tym, że w całej tej historii brakuje choć krzty realizmu – burknął Allan.

Profesor spojrział na niego.

– Powiedz, Allanie, czy First Caly bierze udział w organizowanych dorocznie dniach otwartych?

– Oczywiście, że tak.

– Opowiedz mi o tym.

Allan wzruszył ramionami.

– Jest dokładnie tak, jak wskazuje nazwa. Raz w roku wiele instytucji otwiera drzwi dla ogółu, żeby ludzie mogli się rozejrzeć. W ubiegłym roku byłem w obserwatorium...

– Doskonale – przerwał mu profesor takim tonem, jakby chwalił zdolnego ucznia, i zwrócił się do Mike'a: – Ty też o tym słyszałeś?

– Coś mi się obilo o uszy – przyznał Mike.

– No więc magazyn Granton także bierze w tym udział...
Wiem na pewno, że pod koniec miesiąca znów otworzą swoje drzwi dla mas.

– W porządku – rzekł Mike. – Wobec tego wejdziemy razem z resztą publiczności. Sęk w tym, w jaki sposób wyjdziemy.

– To prawda – przytaknął Gissing. – Niestety, moje kompetencje nie obejmują strażników ani kamer przemysłowych. Sedno w tym jednak, że nic nie zginie. Wszystko będzie wyglądało tak samo jak przedtem.

– Przepraszam, znów się pogubiłem – wyznał Allan, gmerając przy pasku zegarka.

– Jest taki malarz... – zaczął profesor, lecz przerwał, gdy padł na nich czyjś cień.

– Coś stale na siebie wpadamy – odezwał się Majcher Calloway do milczącego stołu. Wyciągnął rękę do Mike'a, na co Allan wyraźnie się wzdrygnął, jakby spodziewał się, że padnie cios. – Czy Mike mówił wam, że chodziliśmy do jednej budy?

– Gangster walnął go w ramię. Spotkaliśmy się niedawno... ale na aukcji cię nie widziałem, Mike...

– Stałem z tyłu sali.

– Było podejść i ucisnąć grabulę... Nie wygłupiłbym się i nie wykopał sobie grobu bez niezbędnej łopatkę. – Gangster roześmiał się ze swojego dowcipu. – Czym się trujecie, panowie? Ja stawiam.

– Nic nam nie trzeba – warknął Gissing. – Chcemy tylko pogadać spokojnie... i bez świadków.

Calloway zrewanżował mu się wrogim spojrzeniem.

– To nie było miłe, he?

– Spokojnie, Majcher – wtrącił się Mike, próbując rozładować groźną sytuację. – Robert właśnie opowiadał mi coś ważnego.

– A, znaczy się, to jest spotkanie w interesach? – Calloway wolno pokiwał głową i wyprostował się. – No nic, Mike, jak skończycie, zajrzyj do baru. Chcę skorzystać z twojej wiedzy i podpytać cię o aukcje. Próbowałem zasięgnąć języka u tej smakowitej babeczki, co to prowadziła licytację, ale była zajęta liczeniem szmalu... – Odwrócił się i już miał odejść, lecz nagle

zatrzymał się. – Mam nadzieję, że interesy, o których gadacie, to nic trefnego... pamiętajcie, ściany mają uszy.

I wraz z dwoma goryłami wrócił do baru.

– Mike, nagle się z nim zakolegowałeś? – zapytał Allan z troską w głosie.

– Nie przejmujcie się Majchrem – odparł Mike cicho, nie spuszczać wzroku z Roberta Gissinga. – Mów dalej o tym malarzu.

– Ale najpierw... – Gissing sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął złożoną kartkę. – Mam coś, co powinno ci się spodobać. – Była to kartka wydarta z katalogu. Podczas gdy Mike ją oglądał, profesor mówił dalej: – Zeszły rok w Galerii Narodowej, pamiętasz? Wystawa Monbodda... gdybyś zapomniał, to właśnie tam Allan nas sobie przedstawił.

– Pamiętam, że truleś mi o mocnych i słabych stronach Monbodda... – Mike urwał, bo uświadomił sobie, co trzyma w ręku.

– To twój ulubiony obraz, mam rację? – mówił tymczasem Gissing. Mike tylko skinął głową. Był to namiętny i pełen czułości portret żony artysty... a w dodatku zdumiewająco przypominał Laurę Stanton. (Ją także poznał tamtego wieczoru). Mike sądził, że już nigdy go nie zobaczy.

– I on jest w tym magazynie? – zapytał.

– W rzeczy samej. Wrócił tam prościusieńko z wystawy. Jakie ma wymiary? Najwyżej trzydzieści na czterdzieści pięć centymetrów, ale jakoś nie mogą wygospodarować dla niego stałego miejsca na ścianie. A to przecież wyjątkowe dzieło.

Rozumiesz wreszcie, o co mi chodzi, Michaelu? My nie ukradniemy tych obrazów, my je uwolnimy. Zrobimy to z miłości.

– Ja naprawdę muszę już iść – powiedział Allan, wstając od stołu. – Mike... pamiętaj, że Calloway należy do twojej przeszłości i lepiej, żeby tam pozostał. – Zerknął w kierunku baru.

– Potrafię zadbać o siebie, Allanie.

– Dla ciebie też mam prezent na pożegnanie – przerwał im Gissing. Podał kolejną kartkę, wydartą z innego katalogu. Na jej widok Allan Cruikshank osłupiał.

– Ten Coulton jest lepszy od wszystkich, które są w zbiorach twojego banku – oświadczył profesor, widząc minę Allana. – Wiem, że jesteś jego zagorzałym wielbicielem... a jakby ten ci nie odpowiadał, mają tam jeszcze kilka innych.

Kompletnie oszołomiony Allan usiadł z powrotem.

– A więc – podjął Gissing, zadowolony z jego reakcji – ten malarz, o którym chciałem wam opowiedzieć, to młody człowiek, a przy okazji mój znajomy. Nazywa się Westwater.

7.

Hugh Westwater – dla przyjaciół Westie – siedział wygodnie pośród chaosu w swoim mieszkaniu na ostatnim piętrze czynszówki i palił kolejnego skręta. W salonie z oknami wykuszowymi urządził sobie pracownię. Brudna pościel zakrywała starą kanapę i krzesło, które Westie zwinął ze śmietnika. Przy listwach przypodłogowych stały obrazy, ściany wyklejone były wycinkami z gazet i zdjęciami z czasopism. Podłogę zalegały tłuste pudełka po pizzy i puste puszki po piwie; część puszek była przecięta na pół i służyła za prowizoryczne popielniczki. Westie uważał za cud, że „oni” wciąż pozwalali palić w zaciszu własnego domu. Obecnie palenie było już zakazane w barach, klubach i restauracjach, a nawet w miejscu pracy i na przystankach autobusowych. Kiedy podczas występu Rolling Stonesów na stadionie w Glasgow Keith zapalił na scenie, „oni” zastanawiali się, czy nie postawić go w stan oskarżenia.

Dla Westiego wszelkie władze to zawsze byli „oni”.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie trafiły do jego teczki dyplomowej, był manifest wydrukowany czarną czcionką na błyszczącym krwistoczerwonym tle.

Oni Chcą Cię Dorwać

Oni Wiedzą O Wszystkim, Co Robisz

Dla Nich Jesteś Tylko Przeszkodą...

Na dole płótna napis na czerwonym tle był biały – epilog tekstu Westiego: Ale Ja Jestem Lepszym Malarzem Niż Oni.

Opiekun grupy miał na ten temat własne zdanie, bo z trudem przepuścił go na następny rok. Był jednak zagorzałym wielbicielem Warhola, więc kolejną pracę Westie zaplanował z premedytacją: stylizowana puszka irn-bru na żółtawym tle. Ocena okazała się znacznie łaskawsza i przypieczętowała los Westiego (choć wtedy oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy). Teraz studiował na ostatnim roku i miał już prawie gotową teczkę z pracami dyplomowymi. Dopiero niedawno przyszło mu do głowy, że cały ten pomysł z wystawami dyplomowymi ma w sobie coś dziwnego. Absolwenci nauk politycznych czy filozofii nie obwieszali ścian swoimi wycpinami, żeby inni mogli je przeczytać. Przyszły weterynarz nie musiał prezentować publicznie, jak kroi nożem jakiegoś zwierzaka albo wsadza mu łapę w tyłek. Ale każda uczelnia artystyczna w kraju zmuszała studentów, żeby prezentowali swoje niedostatki całemu światu. Czyżby w ten sposób specjalnie chcieli ich upokorzyć? Przygotować na ciężki los artysty w filisterskiej Wielkiej Brytanii dwudziestego pierwszego wieku? Wyznaczono już przestrzeń na ekspozycję Westiego, głęboko we wnętrzu budynku akademii przy Lauriston Place, obok

rzeźbiarza, który w pracy posługiwał się słomką, i faceta od „instalacji wideo”, którego główną przepustką do sławy była zakręcona animacja ze stopklatek piersi powoli sączącej mleko.

– Znam swoje miejsce – skomentował to zwięźle Westie.

Będąc pod wpływem Banksy'ego (z perspektywy czasu) oraz zachęcony sukcesem butelki irn-bru w stylu Warhole'a, Westie zaczął się specjalizować w pastiszach. Potrafił w najdrobniejszych szczegółach skopiować, powiedzmy, pejzaż Constable'a, ale zawsze dodawał jakiś dziwny drobiazg od siebie – zgniecioną puszkę po piwie, zużytą prezerwatywę (według innych studentów był to niemal jego znak firmowy) albo rozwiane przez wiatr śmieci, na przykład torbę z Teseo czy opakowanie po chipsach. Na portrecie dumnego ogiera pędzla Stubbsa w tle na skraju nieba trafił się lecący odrzutowiec. Na obrazie *Wielebny Robert Walker na łyżwach* Raeburna w wersji Westiego jedyna różnica polegała na tym, że duchowny miał podbite oko i szwy na przeciętym policzku. Jeden z jego nauczycieli długo rozprawiał o „anachronizmie w sztuce”, ale inni zarzucali mu zwykłe kopiowanie – „czego bynajmniej nie należy mylić ze sztuką, to zaledwie talent do rysowania”.

Westie wiedział tylko tyle, że ma rynkowe w branży przewisko oraz już tylko kilka tygodni do końca ostatniego semestru. Oznaczało to, że albo może się ubiegać o studia doktoranckie, albo szukać sobie jakiegoś dochodowego zajęcia. Tyle że właśnie spędził pół nocy nad projektem graffiti – szablonami zamazanej twarzy malarza Banksy'ego z tekstem

„Inwestujcie w Banksy'ego” oraz banknotami dolarowymi na górze i na dole. Nie podpisał się pod tymi szablonami. Miał nadzieję, że miejscowe media podchwycą tę historię i „Szkocki Banksy” trafi do publicznej wyobraźni. Jego dziewczyna Alice chciała, żeby został „grafikiem”, czyli rysownikiem komiksów. Organizowała projekcje w kinie studyjnym przy Lothian Road i uważała, że na początek komiksy to najlepsza metoda, by Westie został wielkim reżyserem w Hollywood. Potem miał się przerwucić na wideoklipy dla niezależnych zespołów rockowych, skąd trafi do filmu. Kłopot w tym – co próbował wyjaśniać na okrągło – że zupełnie nie obchodzi go robienia filmów... to jest jej pragnienie, nie jego.

– Ale to ty masz talent – odpowiadała, tupiąc nóżką. Gest ten wiele mówił o Alice, jedynaczce wychowanej w kochającej rodzinie z klasy średniej, której rodzice wychwalali pod niebiosa wszystko, czego się tknęła. Gdy zaczęła się uczyć gry na fortepianie, uznali ją za Vanesse Mae tego instrumentu; jej teksty piosenek stawiali na równi z tekstami Joni Mitchell, a co najmniej K.T. Tunstall. Sama uważała, że ma wyjątkowy talent malarski, dopóki nauczyciel w płatnej szkole nie wyprowadził jej z błędu. Porzuciła studia na uniwersytecie (kierunek: filmoznawstwo i media oraz wydział scenariuszy) i skupiła uwagę na Westiem. Mieszkanie należało do niej... on nie zdołałaby zarobić na czynsz. Właścicielami byli jednak jej rodzice; zaglądali tu co jakiś czas i nigdy nie zapominali okazać dezaprobaty dla wyboru chłopaka, z którym postanowiła zamieszkać. Kiedyś usłyszał, jak pytali ją z przejęciem: „Czy jesteś pewna, kochanie?”. Wiedział, że mówią o nim, zakale, która

przyczepiła się do ich genialnej córeczki jak rzep. Miał ochotę wpaść tam i opowiedzieć o swojej przeszłości w rodzinie robotniczej... kopalniach węgla w Fife i nauce w Kirkcaldy High. Jemu nigdy nikt nic nie podsuwał pod nos. Wiedział jednak, jak by to zabrzmiało w ich uszach...

Debile!

Kiedys opowiedział Alice o akademii filmowej, którą właśnie zakładano w mieście – mogłaby chodzić tam od czasu do czasu i uczyć się, na czym polega produkcja filmowa. Jej entuzjazm trwał do czasu, gdy w Internecie sprawdzono stan jej finansów.

– Twoi rodzice chętnie pokryją czesne – przekonywał.

Naskoczyła na niego, że ma ją za pijawkę, która tylko patrzy, jak by tu wydoić starych. Znowu tupnęła nóżką i wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami tak, że jeden z jego obrazów zleciał ze sztalugi na podłogę. Ostatecznie zdołał ją jakoś uspokoić, podając herbatę i tuląc ją w zagraconej kuchni.

– Muszę pracować jeszcze z dziesięć lat, a odłożę tyle, że wystarczy nam na całe życie – wychlipała przez łzy.

– Może podniosę swoje ceny na wystawie dyplomowej – podsunął Westie.

Oboje jednak wiedzieli, że nie jest to takie łatwe... bo według wszelkiego prawdopodobieństwa i tak nic nie sprzeda. Choćby miał nie wiadomo jak dobrą technikę, to jeśli chodzi o artyzm, w oczach tych, którzy mieli najwięcej do powiedzenia, wciąż uchodził za miernotę. Rektor uczelni – wiekowy profesor Gissing – nigdy za nim nie przepadał. Westie poszperał

kiedyś na temat Gissinga i dowiedział się, że ten stary zrzęda przestał malować w latach siedemdziesiątych, czyli że od trzydziestu lat pisywał tylko artykuły i prowadził nudne wykłady. Mimo to właśnie od takich jak on zależała jego artystyczna przyszłość. Westie, syn listonosza i ekspedientki, czasami odnosił wrażenie, że istnieje spisek mający na celu wyrugowanie niższych klas z wszelkich sfer artystycznych.

Dopalił skręta i ze splecionymi na piersi rękami przeszedł się po pokoju. Alice prawie już tu nie zaglądała. Trzymała się kuchni i sypialni. Irytował ją ten bałagan, ale sama nie ośmieliła się sprzątać, żeby nie ingerować w jego inwencję twórczą. Wyjaśniła, że na studiach przyjaźniła się z poetą, którego lokatorzy na wiosnę urządzili wiosenne porządki w jego sypialni, kompletnie go zaskakując. Próbował okazać im wdzięczność, ale od tej pory całymi tygodniami nie był w stanie tam pisać. Westie przemyślał to sobie, po czym zapytał, do jakiego stopnia się „przyjaźnili”.

Wywołał tym kolejną sprzeczkę kochanków.

Słyszając dźwięk dzwonka, Westie zdał sobie sprawę, że gapiąc się od kilku minut na przejeżdżające ulicą samochody, prawie przysnął. Teoretycznie mógłby się położyć, ale Alice spodziewała się po nim, że nie zmarnuje całego dnia. Dzwonek zabrzmiał ponownie i Westie zaczął się zastanawiać, któż to może być. Był komuś winien pieniądze? A może rodzice Alice chcieli pogadać z nim na osobności i wetknąć mu parę funciaków, byleby tylko się wyniósł? Ktoś zbierający datki na cele dobroczynne albo ankieter badający przekonania polityczne?

Nie znosił tego ciągłego wtrącania się w jego sprawy. Powinien teraz pracować... nadawać dziełu ostatni szlif... albo krążyć po straganach ze starociami i śmietnikami w poszukiwaniu tanich pozłacanych ram, by mógł oprawić swojego Stubbsa, Constable'a, Raeburna...

Otworzył jednak drzwi i ujrzał jednego z ludzi, których zdanie liczyło się najbardziej: profesora Roberta Gissinga we własnej osobie, który przeprosił go za najście.

– Szukałem pana w pracowniach i w miejscu, które przydzielono panu na wystawę...

– Większość obrazów trzymam tutaj, zwykle pracuję po nocy.

– I stąd ta zapuchnięta twarz, co? – rzucił Gissing z uśmiechem. – Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy weszli do pana na chwilkę, panie Westwater? Zapewniam, że nie zabawimy długo.

Liczba mnoga wynikała stąd, że towarzyszyło mu dwóch mężczyzn. Gissing przedstawił ich jako „swoich przyjaciół”, ale nie wymienił nazwisk, a Westie nie kojarzył ich twarzy. Może marszandzi albo kolekcjonerzy, którzy chcieli zaproponować wstępne ceny za jego prace dyplomowe? Wątpił, żeby tak było, ale wprowadził ich do salonu. Gissing wszedł w rolę gospodarza i dał znak wszystkim, żeby usiedli. Jeden z „przyjaciół” chciał odsunąć prześcieradło okrywające kanapę.

– Na pańskim miejscu bym tego nie robił – ostrzegł go Westie. – Wyciągnąłem ją z konteneru na gruz... ma na sobie kilka ciekawych plam.

- I trąci terpentyną – dodał gość.
- Żeby zabić bardziej interesujące zapachy.

Gissing pociągnął nosem.

– Nie wyczuwam tu terpentyny, panie Westwater, raczej coś w rodzaju starej, wiernej *Cannabis sativa*.

– Przyznaję się bez bicia – odparł student. – To pobudza mój umysł.

Trzej goście wolno pokiwali głowami i zapadła cisza. Westie odkaszlnął.

– Zaproponowałbym wam herbatę albo coś, ale wyszło nam mleko – powiedział ze skruchą.

Gissing zbył jego słowa machnięciem ręki, po czym zatarł dłonie i spojrzał na jednego z dwóch obcych, tego z większą klasą. Ten zabrał wreszcie głos.

– Chętnie pomogliśmy panu kupić nową kanapę... a może i kilka innych rzeczy. – Nie usiadł, tylko przyglądał się niektórym pracom. Mówił z miejscowym akcentem, z okolic niezbyt odległych od tej czynszówki.

– Interesują was moje obrazy? – Westie zaczął się wiercić. – Nie sądziłem, że znajduję uznanie w oczach profesora.

– Potrafię dostrzec pański talent – sprostował Gissing z nikłym uśmiechem. – A moje uznanie jest dostatecznie duże, żeby zapewnić panu dyplom z wyróżnieniem. Wie pan, co to oznacza... prawdziwą szansę załapania się na studia doktoranckie.

– Czy to coś w rodzaju... jak to się mówi...?

– Paktu z diabłem? – podsunął Gissing. – Ależ skąd.

– Chociaż wiąże się z tym bodziec finansowy – przypomniawszy nieznajomy.

– Jako rektor akademii sztuk pięknych przejrzałem twoje akta, Westie – rzekł Gissing. – Co rok ubiegałeś się o wszelkie stypendia i fundusze pomocowe.

– I nigdy mi nic nie przyznano – zauważył student.

– Ile wynoszą obecnie twoje długi? Podejrzewam, że w granicach pięciocyfrowej sumy... Otóż przyjmując naszą propozycję, będziesz mógł zacząć od nowa, z czystą hipoteką.

– No cóż, chętnie pokażę panom część moich prac...

– Właśnie patrzę na pańskie prace, panie Westwater – odezwał się ten bardziej gadatliwy z nieznajomych.

– Wszyscy nazywają mnie Westie.

Mężczyzna skinął głową.

– Jestem pod wrażeniem. – Podniósł konia Stubbsa. Sierść zwierzęcia błyszcząca jak świeżo wyłuskany ze skorupy kasztan. – Masz wyczucie koloru. No i profesor zaświadcza swoim autorytetem, że doskonale się znasz na kopiowaniu. Ale nie interesują nas twoje gotowe prace, Westie...

– Mam zrobić coś na zamówienie? – Student omal nie podskoczył z radości, chociaż wciąż czuł się nieswojo. Dlaczego ten trzeci gość w ogóle się nie odzywa? Siedzi tylko i sprawdza SMS-y.

– Tajne zamówienie – sprostował Gissing z naciskiem. – Żadnych pytań.

Teraz to gadatliwy nieznajomy spojrzał na profesora.

– Widzę, Robercie, że nasz Westie jest nie w ciemni bity... coś podejrzewa, i najzupełniej słusznie. Nie uda nam się

utrzymać przed nim naszego planu w tajemnicy, nie sądzisz? I tak w końcu by się dowiedział. – Trzymając replikę Stubbsa, ruszył w stronę chłopaka i zatrzymał się ćwierć metra przed nim. Ale kiedy się odezwał, wciąż zwracał się do Gissinga. – Trzeba wtajemniczyć go w cały plan, a zatem musimy mu zaufać. – Uśmiechnął się do młodego człowieka. – Profesor mówił mi, że masz w sobie coś z anarchisty... lubisz stroić żarty z uznanych artystów. Mam rację?

Westie nie wiedział, jaka odpowiedź będzie dla niego najbardziej korzystna, więc tylko wzruszył ramionami. Mężczyzna, który jak dotąd się nie odezwał, odchrząknął teatralnie. Przestał gmerać przy telefonie i trzymał zużyty szablon, wyciągnięty spod kanapy.

– Widziałem takie na mieście – rzekł z wytwornym edynburskim akcentem, tak cicho, jakby obawiał się, że ktoś go zbeszta.

Drugi nieznajomy obejrzał szablon i uśmiechnął się szerzej.

– Chcesz zostać następnym Banksym?

– Pisali o tym w gazetach – powiedział drugi z obcych. – Policja bardzo chciałaby pogadać z artystą, który...

– To właśnie ta anarchistyczna postawa, o której mówiłem. – Pierwszy nieznajomy odwrócił się znów do studenta i czekał, aż ten coś powie.

Tym razem Westie spełnił jego oczekiwania.

– Chcecie, żebym skopiował jaki obraz? – wyrwało mu się.

– Konkretnie sześć – sprecyzował Gissing. – Wszystkie ze zbiorów narodowych.

– I mam to zrobić tak, żeby się nikt nie dowiedział? – Westie wybałuszył oczy. Może się naćpał i wszystko to mu się tylko śni? – One zostały skradzione, dobrze mówię? A galeria nie chce, żeby to się rozniosło...

– Mówiłem wam, że chłopak jest bystry. – Nieznajomy odstawił kopię obrazu Stubbsa z powrotem pod ścianę. – To jak, Westie, jeżeli zaostrzyliśmy twój apetyt, może przejdziemy się do gabinetu profesora i pokażemy ci, o co konkretnie nam chodzi...

8.

Wszyscy czterej zasiedli przy osobnych biurkach w gabinecie Roberta Gissinga. Profesor wciąż udzielał czasami lekcji, dlatego stały tu krzesła z pulpitami. Sekretarkę zwolnił wcześniej do domu. Mike i Allan podali w końcu studentowi swoje imiona, uznawszy, że używanie pseudonimów byłoby bez sensu. Przecież Gissing nie mógł występować pod fałszywą tożsamością, a zatem gdyby Westie poszedł na policję i zdradził nazwisko profesora, powiązali by z nim Mike'a i Allana bez uciekania się do takich asów jak Columbo czy Kojak.

Mike nie wiedział, dlaczego w mieszkaniu studenta Allan prawie się nie odzywał – może się wystraszył, a może uznał, że Mike i tak już wyjawiał swój zamiar sfinansowania całej operacji. Było oczywiste, że potrzebne będą fundusze, a z nich trzech tylko Mike miał dostatecznie dużo wolnej gotówki. Na początek należało zapłacić młodemu malarzowi – zarówno za jego talent, jak i za milczenie.

Rzecz jasna, na tym etapie to była tylko zabawa. Sporządzenie kopii obrazów wcale nie oznaczało, że posuną się dalej. Allan chyba się z tym zgadzał, ale może uważał, że skoro Mike wziął na siebie koszty całej operacji, to należy mu się pierwszeństwo głosu.

– Bez względu na to, ile wybulę, i tak dostanę arcydzieło prawie za darmo – zapewnił go Mike.

– Chociaż nie robimy tego dla pieniędzy – burknął Gissing.

W gabinecie profesora panował nieład. Szykując się do przejścia na emeryturę, Gissing spakował do pudeł część książek, ale na biurku wciąż walały się listy, obok komputera i staroświeckiej głowicowej maszyny do pisania. Po bokach biurka piętrzyły się kolejne książki, a sterty czasopism o sztuce w każdej chwili mogły się rozsypać. Ściany obwieszane były odbitkami obrazów. Mike rozpoznał dzieła Giotta, Rubensa, Goi i Brueghla Starszego. Na jednej półce stał zakurzony odtwarzacz CD i kilka płyt z muzyką klasyczną. Wyglądało na to, że obecnie ulubionym dyrygentem profesora jest Herbert von Karajan.

Zaciągnięte żaluzje pogrążyły pokój w półmroku. Z sufitu przed półkami zwisał ekran, na którym Gissing mógł zaprezentować szeroki wybór slajdów ze zbiorów Galerii Narodowej, poczynając od starych mistrzów, przez kubistów aż po najnowszych malarzy. Jadąc tu, Mike wyjawiał Westiemu, o co z grubsza chodzi w ich planie, a ten klepał się po kolanach i rechotał ze złośliwą satysfakcją. Ale może to tylko dlatego, że był naćpany.

– Jeżeli mogę wam się przydać, jestem do usług – powiedział, z trudem łapiąc oddech.

– Nie śpiesz się tak – ostrzegł go Mike. – Przemyśl to dobrze.

– A jeśli nadal będziesz chciał w to wejść, musisz podejść do tego bardziej poważnie – dorzucił Gissing.

Teraz, gdy oglądali przezroczną Westie popijał colę kupioną w automacie. Siedział pochylony, a jego kolana podskakiwały bez przerwy.

– Dam radę – powtarzał, niczym refren, przy każdym kolejnym slajdzie.

Gissing, Allan i Mike już wcześniej przejrzeni te zdjęcia – były to wyłącznie dzieła trzymane w pękającym w szwach magazynie. Profesor dołączył też odbitki na papierze, które udało mu się zdobyć. Leżały na blatach kilku biurków, ale Mike i Allan nie musieli ich oglądać – każdy z nich wybrał sobie już ulubione obrazy, podobnie zresztą jak Gissing. Powinni się jednak upewnić, że młody malarz poradzi sobie z różnymi stylami z rozmaitych epok.

– A tu, od czego byś zaczął? – zapytał Gissing, zresztą nie po raz pierwszy.

Westie uśmiechnął się przełomie. Odpowiadając, kreślił kształty w powietrzu.

– Dla kogoś, kto studiował szkockich kolorystów, Monboddó to łatwizna... szerokie pociągnięcia pędzlem, farba kładziona grubymi zawijasami. Każdy kolor pokrywał kolejnym, i następnymi, tak że widać ledwie ślady tego, co było pierwotnie. To tak, jak nalewanie do kawy śmietanki w taki sposób,

że przez biel wciąż przebija ślad czerni. Jemu nie chodziło o osiągnięcie kontrastu, tylko harmonii.

– Zabrzmiało to jak cytat – zauważył Gissing.

Westie skinął głową.

– Tak powiedział George Leslie Hunter... słyszałem na pańskim wykładzie o Bergsonie.

– Czy będą ci potrzebne jakieś specjalne pędzle? – przerwał im Mike.

– Zależy od tego, na ile wierna ma być kopia.

– Musisz oszukać gołe oko zdolnego amatora...

– Ale nie bieglego sądowego? – upewnił się Westie.

– To akurat nam nie grozi – zapewnił go Gissing.

– Miło byłoby mieć dostęp do szczegółowej dokumentacji i płótna z danego okresu... nowe płótno wygląda po prostu jak nowe, i już.

– Ale znasz sposoby na...?

Westie skwitował pytanie Mike'a uśmiechem i puścił do niego oko.

– Widzisz, każdy ekspert zauważy różnicę w ciągu kilku minut. Bo nawet najwierniejsza kopia nie jest całkiem wierna.

– Słuszna uwaga – mruknął Gissing, ocierając czoło.

– A jednak istnieją fałszerze, którzy nie wpadli przez całe lata – rzekł Mike.

Student wzruszył ramionami, przyznając mu rację.

– Ale dzisiaj, gdy mamy metodę znakowania węglem i Bóg jeden wie, co jeszcze... Nie ogląda pan *Kryminalnych zagadek Nowego Jorku*?

– Panowie, nie zapominajmy o jednym – wtrącił się Gissing,

odsuwając dłoń od czoła. – Skoro nic nie zginie, nie będzie powodu, żeby mieszać w to tych wszystkich speców. Westie parsknął śmiechem, zresztą nie po raz pierwszy.

– Profesorze, powiem to jeszcze raz... pański plan jest szalony, ale genialny.

Mike nie mógł się z tym nie zgodzić: wejść do magazynu podczas dni otwartych i podmienić oryginały na staranne kopie namalowane przez studenta. Wydawało się to proste, wiedział jednak, że to tylko pozory. Czekają ich jeszcze mnóstwo planowania...

I muszą na to poświęcić wiele czasu.

– Dla niekochanych obrazów jesteśmy niczym drużyna A – mówił tymczasem Westie. Uspokoił się nieco; teraz, kiedy wciąż dudlił colę, podskakiwało mu już tylko jedno kolano, ale stracił zainteresowanie slajdami. Odwrócił się wraz z krzesłem do Mike'a. – Słuchaj, tak naprawdę do tego nie dojdzie, mam rację? Jak śpiewali Radiohead, to tylko miłe marzenie. Z całym szacunkiem, wy jesteście facetami z wyższych sfer, macie swoje lata i trzymacie fason. Garniaki i krawaty, wieczorem wyprawy do teatru, a potem kolacyjka w wytwornej restauracji. – Oparł się na krzesło i założył podskakującą nogę na drugą, skupiając wzrok na kiwającej się, poplamionej farbą tenisówce. – Nie jesteście zawodowymi przestępcami i nie ma cudów, żebyście wywinęli taki numer bez fachowego wsparcia.

Mike w skrytości ducha uważał tak samo, ale nie zdradzał się z tym.

– To już nasz problem, nie twój – odparł.

Westie wolno pokiwał głową.

– Jest tylko jeden problem... Ja też chcę mieć działkę.

– Działkę? – powtórzył Allan; były to jego pierwsze słowa od dłuższego czasu.

Student odwrócił się do niego.

– Nie chcę być facetem, który weźmie w łapę za to, że odpicuje wam kilka kopii. Mam być w zespole. Skoro chcecie sześć obrazów, to dlaczego nie siedem? – Skrzyżował ręce na piersi, jak gdyby dobili już targu.

– Rozumiesz, że jeśli weźmiesz obraz, będziesz w tym siedział po uszy jak każdy z nas – powiedział Mike powoli. – Wtedy nie będziesz już tylko facetem, któremu zapłaciliśmy.

– Rozumiem.

– A my nie odsprzedamy nikomu tych obrazów... wiesz, że nigdy, żeby nie wiadomo co się działo, nie mogą trafić na rynek?

Westie wciąż kiwał głową.

– I że gdyby rozniosło się, że maczaliśmy w tym...

– Przecież was nie zakapuję... właściwie to kolejny bodziec. Jeśli przyjmiecie mnie do spółki, będę miał do stracenia tyle samo co każdy z was. – Westie rozłożył ręce dla podkreślenia swoich słów. – Ja w całej pełni popieram wasz szalony pomysł. Ale nie zamierzam być tylko pacykarzem do wynajęcia.

– I w zamian za to chcesz dostać jeden obraz? – upewnił się Mike.

– Zarobię na swój obraz, Mikey, spoko. I na tę forszę, co to mi ją wypłacicie.

– Jeszcze nie uzgodniliśmy sumy – odezwał się Allan, bankier w każdym calu.

Westie wydał usta i znów pochylił się na krześle.

– Nie jestem pazerny – oświadczył. – Chcę tylko tyle, żeby moja przyjaciółka mogła opłacić studia w szkole filmowej...

• • •

Gdy Westie wyszedł, w gabinecie Gissinga przez kilka minut panowała cisza. Profesor, na pozór dla własnej przyjemności, wciąż puszczał slajdy, a Mike gapił się na wydartą z katalogu kartkę z portretem żony Monbodda. W końcu odezwał się Allan Cruikshank:

– Sprawa się robi poważna, nie sądzicie?

– I dobrze, żebyśmy o tym pamiętali – mruknął Gissing. Zgasił rzutnik i wstał, żeby podnieść żaluzje. – W najgorszym razie wszyscy wylądujemy w pudle, a nasze życie i reputacja runą w gruzy.

– Tylko dla dobra kilku obrazów – rzekł cicho Allan.

– Co jest, Allan, spietrałeś się? – zapytał Mike.

Bankier zastanowił się, po czym pokręcił głową. Zdjął okulary i zaczął je przecierać chusteczką.

– Musimy być absolutnie pewni, po co się w to pakujemy – dodał Gissing.

– To akurat proste – odparł Allan, wkładając okulary. – Chcę mieć w domu coś takiego, czego moi pracodawcy nigdy nie będą mieli.

– Ani chłopak twojej byłej żony, skoro już o tym mowa – zadrwił Mike.

Gissing uśmiechnął się pobłażliwie.

– Kiedy jako emeryt wyjadę do Hiszpanii, zabiorę oba obrazy ze sobą. I będę szczęśliwy, gapiąc się na nie przez cały dzień...

Mike obserwował przyjaciół, ale milczał. Nie sądził, żeby mieli ochotę wysłuchiwać, że nudzi się jak mops i po raz pierwszy od bardzo dawna szuka jakiegoś wyzwania. No i, ma się rozumieć, była jeszcze kwestia żony Monbodda...

– Ten Westie ma rację – powiedział w końcu. – Nawet jeśli będzie nas czterech, to wcale nie takie proste. – Spojrzał na profesora. – Zdążyłeś naszkicować jakiś plan?

Gissing przytaknął ruchem głowy i sięgnął do szuflady biurka. Trzej mężczyźni stali nad kartką, przyciskając jej rogi do blatu biurka, podczas gdy Gissing ją rozkładał. Jako profesor i ceniony historyk sztuki, Gissing odwiedzał magazyn dzieł sztuki. Kłopot w tym, że wszyscy znali jego twarz, a więc nie powinien brać udziału w skoku. Ale narysował doskonały plan obiektu, włącznie z umiejscowieniem wartowni, kamer ochrony i przycisków alarmowych.

– Zrobiłeś to z pamięci? – zapytał Mike z podziwem.

– I to tak niemal na poczekaniu? – dorzucił Allan.

– Mówiłem wam, że myślałem nad tym już od dłuższego czasu. Ale ostrzegam, od mojej ostatniej wizyty mogli wprowadzić jakieś zmiany.

– W każdym razie wymiary się zgadzają? – Mike śledził drogę od rampy załadunkowej do wartowni.

Gissing zaznaczył ją linią z czerwonych kropek.

– Powiedziałbym, że są bardzo dokładne.

– Wybierzesz się tam jeszcze raz na rekonesans, zanim zrobimy skok? – spytał Allan.

Gissing potwierdził ruchem głowy.

– Ale potem mogę wam służyć tylko jako kierowca do ucieczki.

– To najpierw obejrzyj kilka odcinków *Top Gear* – doradził Mike z uśmiechem.

– Profesorze, brałeś udział w różnych dniach otwartych, prawda? – zapytał Allan.

Gissing przesunął palcem po zaznaczonej niebieskim kolorem linii. Biegła od głównego wejścia na teren aż do magazynu.

– Mam nadzieję, że obiorą tę drogę... nie widzę innej możliwości. Wpuszczają dwanaście osób na godzinę, na początku każdej godziny. Wizyta trwa tylko czterdzieści minut, więc mają dwadzieścia minut, żeby przygotować się na kolejną turę. Lista nazwisk jest w wartowni. Jeden strażnik patroluje teren, a pozostali trzej popijają herbatę w wartowni i oglądają przekaz z kamer ochrony. Orowadzaniem gości zajmują się pracownicy galerii.

– Ale nie sprawdzają gości po raz drugi?

Gissing zaprzeczył ruchem głowy.

– W każdym razie nie w zeszłym roku.

– Czyli że nie wykryją fałszywych nazwisk? – naciskał Mike.

Profesor zbył to wzruszeniem ramion.

– Proszą o numer kontaktowy, ale z doświadczenia wiem, że nigdy nie oddzwaniają i nie sprawdzają.

Mike podchwycił spojrzenie Allana i zrozumiał, o czym myśli jego przyjaciel – potrzebujemy więcej martwych dusz! Mike'owi chodziło po głowie to samo. Sęk w tym, że...

Skąd wziąć te martwe dusze?

• • •

Kiedy spotkanie dobiegło końca, Allan – z komórką przyciśniętą do ucha – wskoczył do taksówki i wrócił do biura. Mike wolał się przejść. Stojąc z Allaniem przed akademią sztuki, dotknął lekko jego ręki.

– Na pewno jesteś gotów się w to wpakować?

– A kto z nas jest gotów? – odparł bankier. – Lubię klimaty z gatunku *Ocean's Eleven*... profesjonalnie zaplanowany skok. Kiedy sobie przypominam ten film, mam wrażenie, że my też dalibyśmy radę... gdybyśmy naprawdę chcieli.

– A chcemy?

– Ty chyba się do tego zapaliłeś. – Usta Allana drgnęły w uśmiechu. – Ale jeśli chodzi o tego studenta, mam wątpliwości. Sądysz, że możemy mu zaufać?

Mike skinął głową.

– Będziemy mieli oko na sukinkota.

– Jezu, czy ty słyszysz, co mówisz? – Allan parsknął śmiechem. – Nie gadasz jak George Clooney, tylko jak gościu z *Wściekłych psów*.

Mike też zdobył się na uśmiech.

– Ale to może się udać, nie sądzisz?

Bankier przemyślał sobie jego słowa.

– Tylko jeżeli wystraszymy wartowników i będziemy ich trzymać w tym stanie. Muszą uwierzyć, że z nas są wredne typy... myślisz, że jesteśmy do tego zdolni?

– Zacznę ćwiczyć groźne miny.

– A jak je zobaczą, skoro będziesz nosił maskę?

– Co racja, to racja – przyznał Mike. – Musimy przemyśleć całą kupę rzeczy.

– Już jest. – Allan machnął ręką na podjeżdżającą taksówkę. – Profesorek opracował wstępny plan, a ty wykładasz gotówkę... – Spojrzał na Mike'a. – Ale nie bardzo wiem, jaką rolę przeznaczycie dla mnie. – Otworzył tylne drzwi taksówki.

– Ty będziesz się zajmował szczegółami, Allan. Na przykład skąd wziąć maski... Jeśli przewidzisz wszelkie możliwe wady i usterki, masz awans w kieszeni.

Allan uśmiechnął się, i zatrzasnął za sobą drzwiczki wozu.

Mike odprowadził taksówkę wzrokiem, przeszedł przez jezdnię i ruszył Chalmers Street w stronę Meadows. Niegdyś cały ten teren zajmowały pola uprawne, które później przekształcono w plac zabaw, otoczony drzewami. Na każdym kroku spotykało się rowerzystów – Mike przypuszczał, że to głównie studenci jadący na wykłady albo wracający do domów. Poza tym truchtało tu kilku stetryczalnych gości. Mike'owi przyszło do głowy, że może też powinien zacząć dbać o formę. Może łatwiej byłoby zastraszyć wartowników, gdyby nabrał trochę muskulatury? Pewnie nie. W każdym razie

lepiej na nich podziła kawał ciężkiego gnata. Albo jakaś maczeta czy siekiera. W mieście na pewno są sklepy, w których można kupić takie rzeczy. Oczywiście nie prawdziwą broń palną, tylko repliki. W niektórych sklepach dla turystów sprzedawano szkockie miecze, a nawet japońskie katany. Mijając spacerującą z psami parę, uśmiechnął się do siebie. Prawdopodobnie w całej historii parku Meadows nikt tu nie myślał o takich rzeczach.

Mike, z ciebie jest zwyczajny drobny bandzior – powiedział sobie w duchu. Choć wiedział, że to nieprawda. A z drugiej strony...

Znał kogoś, kto jest prawdziwym bandziorem.

• • •

Alice Rule wróciła z kina później niż zwykle. Organizowała na niedzielny wieczór seans studyjny i właśnie kończyła przygotowywanie druków reklamowych. Europejskie kino autorskie z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych; wiedziała, że czeka na to wielu widzów, ale nie była pewna, czy uda jej się ściągnąć ich wszystkich. W niedzielne wieczory kino transmitowało przekaz do barów. Miało to wielkie wzięcie, dlatego chciała wykorzystać sytuację i zobaczyć, jak ludzie oglądają film w trakcie kolacji. Kiedyś puściła wczesne filmy Hitchcocka, te, które kręcił jeszcze w Wielkiej Brytanii. Wyszła na swoje, a po seansie rozdawała przy wyjściu ankiety z prośbą o sugestie. Francuska Nowa Fala... Antoniom... Alexander Mac-kendrick... kino z Hongkongu... Miała się nad czym zastanawiać.

Wchodząc schodami do mieszkania na ostatnim piętrze, myślała o tym, jak minął dzień Westiemu. Powiedział, że wybierze się na poszukiwanie ram do obrazów i dokończy jeszcze kilka starszych prac. Miała tylko nadzieję, że nie przesiedział całego dnia na kanapie, paląc jednego skręta za drugim. Pomyślała, że miło byłoby wejść i poczuć zapach świeżo ugotowanej kolacji, ale nie miała złudzeń. Szczytowym osiągnięciem proletariackiego stylu Westiego były jajka sadzone na grzance. Ewentualnie wypadły do restauracji, za które to ona płaciła.

Otwierając drzwi i wchodząc do mieszkania, nie poczuła woni świeżej farby, nie mówiąc już o zapachu gotowania. Ale marynarka Westiego leżała na podłodze na jego butach – znak, że gdzieś jednak wychodził. W salonie (którego nawet po tylu miesiącach nie potrafiła nazywać „pracownią”) rozejrzała się, na próżno szukając nowych ram, i w tej samej chwili usłyszała głośny odgłos strzelającego korka i syk piany wypływającej z butelki szampana, którą trzymał Westie.

– A z jakiej to okazji dziś świętujemy? – zapytała, doskonale wiedząc, że te bąbelki zostały kupione z jej pensji.

Zrzuciła żakiet i położyła torebkę na podłodze. Tymczasem Westie nalewał szampana do dwóch kieliszków do wina. Odniosła wrażenie, że od ubiegłego wieczoru nawet ich nie wytarł.

– Odwiedziło mnie kilku gości – wyjaśnił, podając jej pełny kieliszek.

– Gości?

– Biznesmenów. – Westie stuknął się z nią kieliszkiem,

pociągnął głęboki łyk i beknął. – Chcą kupić kilka moich nowych prac do swoich gabinetów. – I zaczął tańczyć.

Alice nawet nie tknęła szampana, tylko zastanawiała się, jak bardzo jej chłopak się naćpał.

– Do gabinetów? – powtórzyła.

– Właśnie.

– Dla jakiej firmy? Skąd się o tobie dowiedzieli?

Westie demonstracyjnie puścił do niej oko i zorientowała się, że jest nawalony nie tylko trawką, ale i paroma głębszymi.

– To supertajna sprawa – wyznał teatralnym szeptem.

– Supertajna?

– Proponuję mi tyle, że będziesz mogła opłacić te studia filmowe. – Wolno pokiwał głową na znak, że mówi serio.

– To znaczy tysiące? – Alice nie potrafiła ukryć niedowierzania w głosie. – Za kilka twoich obrazów? Westie, w tym musi być jakiś haczyk.

Wyglądał na zawiedzionego.

– Dlaczego miałby być jakiś haczyk? To przebiegli inwestorzy, z tych, co to wolą się ślizgać na fali, zanim rozbije się na brzegu. – I żeby to zobrazować, zaczął wydawać nawet odgłosy szusowania na desce po falach. Postukał kieliszek Alice, zachęcając ją do picia. – Ale muszę się brać do roboty. To duże zlecenie... siedem obrazów.

– Zaczynasz je od zera?

– Oni nie kupują gotowych dzieł. To robota na zamówienie.

Alice rozejrzała się, gdzie by tu usiąść, ale jakoś żadne miejsce nie przypadło jej do gustu.

– A twoja teczka dyplomowa? – zaprotestowała. – Musisz przecież skończyć prace na wystawę.

Westie tylko kręcił głową.

– O to się nie martw... wszystko mam już prawie gotowe. – Zachichotał pod nosem.

– Na pewno? – upewniła się Alice. Ostrożnie upiła łyżeczek szampana. Był idealnie schłodzony i cierpki... naprawdę markowy.

Wyciągnął do niej kieliszek i tym razem się z nim stuknęła. Supertajna sprawa... Śmiechu warte! Westie niczego nie umiał utrzymać w tajemnicy. Zawsze musiał się wygadać, co jej kupił w prezencie na imieniny czy urodziny, zanim jeszcze zdążyła rozpakować pudełko. A jeśli obcałowywał się z jakąś dziewczyną na imprezie, na którą Alice z powodu pracy nie mogła pójść, przyznawał się do wszystkiego następnego dnia przy śniadaniu. Wątpiła, żeby potrafił ją okłamać, nawet gdyby zależało od tego jego życie. Sądziła więc, że bez trudu się dowie, o co naprawdę w tym chodzi.

Zwłaszcza że była wyjątkowo ciekawa.

9.

Majcher Calloway w życiu by się nie spodziewał, że na masce swojej beemki zostanie mierzącego ponad metr dziewięćdziesiąt Anioła Piekieł w dwurzędowym garniturze. Facet miał wypastowane półbuty, świeżo wyprasowaną białą koszulę, a do tego fioletoworóżowy jedwabny krawat. Długie kasztanowe włosy porządnie zebrał w kucyk, a w uchu nosił jeden kolczyk (choć płatki uszu miał przekłute w wielu miejscach). Pozbył się jednak innej biżuterii z twarzy i starannie ogolił rumiane policzki. Gdy podniósł głowę, na jego gardle widać było linię z niebieskich kropek: charakterystyczny tatuaż więzienny. A kiedy przyciągnął rękami po twarzy, Majcher zauważył kolejne tatuaże na kostkach jego dłoni – NIENAWIŚĆ na lewej i NIENAWIŚĆ na prawej. Zmarszczki mimiczne pod jego oczami mogły świadczyć o zamięłowaniu do śmiechu, ale mętne niebieskie oczy ziały wrogością.

No to wszystko jasne, pomyślał Majcher. Takie coś potrafię zrozumieć... chyba.

Działo się to w niezbyt reprezentacyjnej części miasta, bliżej Granton niż Leith, gdzie jak na razie nie planowano jeszcze odbudowy. Leith się zmieniło. Teraz mieściło się tam więcej przednich restauracji niż w śródmieściu. Majcher był ciekaw, jak przedstawiają tę okolicę turystom przewodnicy wycieczek. Kiedyś próbował namówić gościa, który organizował te wycieczki, żeby włączył do programu którąś z jego sal bilardowych. W okolicy miał także kilka barów i właśnie zajrzał do jednego z nich z cotygodniową inspekcją. Jako realista zdawał sobie sprawę, że pracownicy podbierają forszę, ale chciał, by wiedzieli, że on o tym wie. Dzięki temu nie byli zbyt pazerni. A jeśli pokusa okazała się zbyt wielka i ktoś podprowadził coś powyżej normy, Majcher wyciągał zdjęcia Donny'ego Devlina i oświadczał pracownikom: „Tak traktuję przyjaciół, którzy mnie oszukują. Więc pomyślcie, co zrobię z wami, jeśli gotówka jakimś cudownym sposobem nie wróci do kasy w ciągu tygodnia”.

Zadowolony z wypracowanego obrotu Majcher wychodził z baru, zagryzając górną wargę. Ten lokal był prowadzony aż za dobrze. Jego kierownik przeszedł do Majchra z sieci barów serwujących jedzenie na południu. Podobno tęsknił za Edynburgiem i chciał wrócić do swojego miasta. Miał zbyt wysokie kwalifikacje jak na tę posadę, ale nigdy się nie skarżył. Majcher był ciekaw dlaczego. Czyżby podstawili mu tego faceta? Może to jakiś kapuś albo tajniak? Johnno i Glenn sprawdzili go, na ile mogli, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Teraz obaj szli obok Majchra, kiedy przechodził przez jezdnię do swojego samochodu, obstawiając go, jak należy, po bokach.

Po drugiej stronie ulicy rozciągał się park – niewielki, raptem boisko piłkarskie przecięte kilkoma ścieżkami, gdzie wieczorami na kilku ławkach przesiadywały małolaty, ku przerażeniu swoich starych. Dwadzieścia kilka lat temu Majcher byłby tu razem z nimi, popijał tanią gorzałę, kopał szlugi, darł się i kłął jak szewc, wypatrując intruzów, obcych, potencjalnych ofiar... Pan świata, który chce, żeby świat się z tym pogodził.

– Co jest grane?

Johnno pierwszy zauważył Anioła Piekieł. Majcher przyjechał tu bmw serii 5 – porządną bryczką, ale nierzucającą się w oczy. Bentleya GT zostawił w domu, nigdy nie jeździł nim w interesach. Nieznajomy usadowił się na masce beemki; siedział po turecku, w garniturze, i masował policzki, patrząc na zbliżających się trzech mężczyzn. Nosił półbuty, ale był bez skarpetek. Na kostkach nóg też miał tatuaże. Majcher pstryknął palcami, na co Glenn sięgnął pod marynarkę, chociaż nie miał tam gnata. Rzecz jasna, nieznajomy nie mógł o tym wiedzieć, a mimo to widząc ten gest, uśmiechnął się, jakby wcale się tym nie przejął. Wbił wzrok w Majchra.

– Uważaj, żebyś mi nie podrapał lakieru – ostrzegł go gangster. – Cena lakierowania to połamana ręka i noga.

Facet zszedł z maski samochodu i stanął z rękami opuszczonymi po bokach, zaciskając pięści. NIENAWIŚĆ i NIENAWIŚĆ.

– Nie spodziewał się pan mnie, panie Calloway? – Mówił z obcym akcentem. To miało sens. – Reprezentuję pewnych ludzi, ludzi, którzy nie lubią rozczarowań.

Miał na myśli Norwegów, gang motocyklistów z Hauge-sund. Majcher wiedział, że będzie miał z nimi kłopoty.

– Jest pan winien swoim kumplom za transport, panie Calloway, ale jakoś nic pan z tym nie robi.

Johnno zrobił pół kroku w przód, lecz Majcher chwycił go za ramię.

– Już im mówiłem, że pieniądze są w drodze – odparował ostro.

– I to wielokrotnie, panie Calloway, ale nie jest to dostateczna podstawa do negocjacji, nie sądzi pan?

– Zeżarł pieprzony słownik! – prychnął Glenn, co Johnno skwitował cichym rechotem.

Anioł Piekieł odwrócił się do Glenna.

– Chodzi ci o to, że posługuję się waszym językiem ojczystym lepiej niż wy?

– Do pana Callowaya nikt nie śmie odzywać się w ten sposób! – odszczeknął się Glenn. – Trochę szacunku, chłopie!

– Takiego, z jakim on odnosi się do moich klientów? – Pytanie zabrzmiało jak najbardziej prawdziwie.

– Znaczy się, nie jesteś członkiem gangu? – przerwał im Majcher.

– Ja zajmuję się odzyskiwaniem długów, panie Calloway.

– Jesteś na procencie?

Mężczyzna zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

– Pobieram honorarium ryczałtem, połowa płatna z góry.

– Zawsze udaje ci się dostać drugą połówkę?

– Jak dotąd tak.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz – syknął Johnno, a Glenn wskazał jakieś ślady na masce bmw.

Nieznajomy zignorował ich obu, nie odrywał oczu od Majchra Callowaya.

– To przekaz im, że pieniądze są w drodze – rzekł Majcher.

– Do tej pory ani razu ich nie zawiodłem i szczerze mówiąc, jako obelgę traktuję fakt, że wystali akurat ciebie. – Zlustrował nieznajomego wzrokiem od stóp do głów. – Chłopaka na posyłki. – Uznał, że nie od rzeczy będzie nawet pogrozić mu palcem. – Przekaz im, co mówiłem, i pogadamy w przyszłym tygodniu.

– To nie będzie konieczne, panie Calloway.

Majcher zmrużył oczy.

– Tak? A to dlaczego?

Nieznajomy błysnął przelotnym uśmiechem.

– Dlatego, że do przyszłego tygodnia odzyskają całą należność.

Johnno, z twarzą wykrzywioną z wściekłości, rzucił się na niego, ale facet zrobił zgrabny unik, chwycił go za nadgarstek i wykręcił tak, że Johnno zgiął się z bólu. Majcher zauważył, że przyglądają im się trzy osoby: kierownik baru i dwaj palacze na chodniku, którzy dali mu znać, że coś się dzieje na ulicy. Wagarujące dzieciaki też zatrzymały swoje BMX-y, żeby obejrzeć zadymę. Glenn już ruszał do ataku, ale Majcher powstrzymał go. Nie lubił takich popisów przed publicznością. W każdym razie odkąd skończył szkołę...

– Zostawcie go – powiedział spokojnie.

Nieznajomy jeszcze przez kilka sekund patrzył Majchrowi prosto w oczy, po czym puścił rękę Johnno, ale ten nie wstawał

z jezdni, tylko siedział i masował obolały nadgarstek. Spojrzenie faceta mówiło niedwuznacznie: gdy przybywa ciężka artyleria, z ochroniarzy Majchra jest tyle pożytku co z niemowlaków w żłobku.

– Będę w pobliżu – zapowiedział nieznajomy. – Ma pan odezwać się do mnie jeszcze dzisiaj, a najdalej jutro. Bo pojutrze nie będziemy już mieli o czym rozmawiać... rozumiemy się?

Johnno z irytacją machnął nogą, próbując kopnąć go w piszczel. Nieznajomy potraktował go jak powietrze i wręczył Majchrowi złożoną kartkę. Zawierała szereg cyfr – numer telefonu komórkowego. Gdy gangster spojrział w górę, facet zmierzał już w stronę parku.

– Hej! – zawołał za nim Majcher. – Jak cię wołają, wielkoludzie?

Nieznajomy przystanął na chwilę.

– Przeważnie nazywają mnie Nienawiść – zawołał przez ramię, mijając zwarty rząd rowerów.

– Pasuje – mruknął Majcher pod nosem.

Glenn pomógł swojemu kumplowi wstać z jezdni.

– Już nie żyjesz! – wrzasnął Johnno. – Niech ja cię jeszcze raz zobaczę, a masz to jak w banku, kolego! – Dźgnął palcem w kierunku Nienawiści. Glenn klepał go po plecach, próbując go uspokoić.

Johnno spojrział na swojego pracodawcę.

– Musimy go załatwić, szefie. I to tak, żeby się rozeszło... wysłać wiadomość wszystkim, na cały świat.

– Myślisz, że dałbyś sobie radę? – zapytał Majcher. –

Nie powiem, żebyś całkiem zardzewiał, ale lepsze solówki oglądałem w pierdlu.

– Może by go tak śledzić? – podsunął Glenn. – Sprawdzić, gdzie mieszka i jak się naprawdę nazywa...

Majcher w zamyśleniu pokiwał głową.

– Wiedza to władza, Glenn. Myślisz, że udałoby ci się śledzić go tak, żeby się nie zorientował?

– Warto spróbować. – Glenn obstawał przy swoim. Olbrzym pokonał już jednak trzy czwarte długości boiska. Nie było się tam gdzie ukryć, więc nijak nie udałoby im się pójść za nim niepostrzeżenie.

– Lepiej podzwonić tu i tam. – Gangster zaproponował inne rozwiązanie. – Najpierw do pensjonatów. Opowiadaj, że jesteś z biura turystycznego i że jakiś gościu z Norwegii zgubił u was forszę.

Glenn kiwał głową.

– A ja chcę mu ją oddać.

– Przekażcie jego rysopis bezdomnym i drobnym pijaczkom. Te menele mają oczy dookoła głowy, a za flaszkę sprzedaliby własną babkę.

Glenn uważnie przyglądał się pracodawcy.

– Mam rozumieć, że nie zamierza pan zapłacić?

– Sie zobaczy – uciął Majcher Calloway, otwierając pilotem beemkę.

10.

– Nie podoba mi się to – oświadczył Mike Mackenzie.

Stał w gabinecie Roberta Gissinga. Drzwi były zamknięte na klucz. Na biurku leżał plan magazynu, przyciśnięty na rogach ciężkimi albumami o sztuce. Gissing jeszcze raz wybrał się do magazynu i naniósł na plan odpowiednie poprawki.

– Zjawileś się tam bez zapowiedzi – ciągnął Mike. – Po napadzie może to wzbudzić podejrzenia.

Profesor poklepał go po plecach.

– Nie pomyślałem o tym, Michael. Masz rację i w przyszłości najpierw skonsultuję się z tobą. Ale bądź spokojny, robię tak raz czy dwa razy w roku i nie sądzę, żeby moja obecność tam zwróciła czyjąś uwagę. Są zbyt zajęci szukaniem miejsca na nowe dzieła.

Miał na myśli napływ eksponatów z Muzeum Królewskiego, które na czas remontu kapitalnego musiało przenieść gdzieś znaczną część swojej kolekcji. Gissing wyjaśnił, że może im to utrudnić zadanie – żeby zyskać więcej miejsca, niektóre

eksponaty pewnie trafią na inne półki. Ale sądził, że nie będzie to dotyczyć obrazów. Poszedł tam właśnie po to, żeby się upewnić na własne oczy. Mike wpatrywał się w plan.

– Wartownia – powiedział. – Kamery przemysłowe. Pokój ochrony. Do tego przewodnicy wycieczek i turyści. Skoro ty będziesz w furgonetce, którą uciekniemy, musimy poradzić sobie z tym wszystkim we trzech.

– A na jednego z was spadnie zabranie obrazów, o które nam chodzi.

Mike przytaknął, ale zaraz pokręcił głową.

– Nie uda nam się, za nic.

– Strach cię obleciał, Michael?

– Chcę się tylko upewnić, że o niczym nie zapomnieliśmy.

Gissing najwyraźniej się z tym zgadzał.

– Może to Allan się zestrachał...

Allanowi nie udało się przyjść na to spotkanie. Mike zwołał je w ostatniej chwili, na co bankier przysłał mu SMS-a, wyjaśniając, że nie może urwać się z pracy. Mike jeszcze kilkakrotnie postukał w plan, podszedł do krzesła i klapnął na nie, przeciągając obiema rękami po włosach i rozglądając się po pokoju. Gabinet był mniej zagracony niż kiedyś – część pudeł z książkami już wywędrowała. Obrazy ze ścian też zniknęły.

– U Allana wszystko w porządku. Chciałby dostać od ciebie kopię planu, żeby mógł go przestudiować w domu.

– Załatwię to, ale na razie gdybyś mógł mnie uspokoić...

– A co się dzieje?

– Czymś się gryziesz.
– Na początku to wszystko wydawało się takie proste. – Mike westchnął.

– Jak każdy plan, dopóki go gruntownie nie przemyślisz – odparł Gissing.

– Widzisz, Robercie... sęk w tym, że przerabialiśmy to już nie wiadomo ile razy... – Dziesiątki nocnych rozmów telefonicznych, Mike chodzący tam i z powrotem po salonie, głęboko zadumany. – Sam wiesz, że wszystko sprowadza się do jednego... potrzebujemy więcej ludzi.

Gissing splótł ręce na piersiach i usadowił zadek na skraju biurka. Mówił cicho, zdając sobie sprawę, że za zamkniętymi na klucz drzwiami siedzi sekretarka. Wcześniej już ostrzegł Mike'a, że nie powinni spotykać się zbyt często, bo kobieta może nabrać podejrzeń.

– Pamiętasz przysłowie, że „gdzie kucharek sześć...”? – zapytał teraz.

Mike wzruszył ramionami.

– Alternatywą jest to, że cały plan zostanie na papierze... Jak mówił Westie, miłe marzenie, które się nigdy nie ziści.

– Odnosiłem wrażenie, Michael, że ty od samego początku podchodziłeś do tego w ten sposób: jak do niewielkiego wyzwania, tylko po to, żeby nie zardzewiały ci szare komórki. Widocznie jednak powab lady Monboddó w końcu okazał się nie do odparcia?

– Profesorze, podchodzę do tego nie mniej poważnie niż ty.

– Miło mi to słyszeć, bo zamierzam wcielić ten plan w czyn bez względu na to, czy mi pomożesz, czy nie.

Mike puścił te słowa mimo uszu. Myślami był gdzie indziej.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Zamiana obrazów., nie możemy jej dokonać w magazynie. Będziemy tam jakieś dwadzieścia minut... nie ma mowy, żebyśmy wyszli stamtąd pozornie z pustymi rękami.

– Nawet jeśli to my wywołamy alarm?

Mike zaprzeczył stanowczym ruchem głowy. Plan Gissinga przewidywał podłożenie kopii Westiego na miejsce oryginałów. Potem mieli nacisnąć przycisk alarmowy i rzucić się do ucieczki. Miało to wyglądać tak, jakby coś spłoszyło złodziei, którzy nic nie zdążyli ukraść.

– Jak tylko się zjawią z dochodzeniówki, to przede wszystkim zaczną kombinować, cośmy tam właściwie robili przez dwadzieścia minut. Dlaczego, skoro już rozległ się alarm, nie daliśmy dyla z jakimś łupem?

– Wobec tego może powinniśmy coś wziąć...?

Mike znów pokręcił głową.

– Najlepiej weźmy wszystko... i oryginały, i kopie. A potem niby się wystraszymy i porzucimy furgonetkę pełną obrazów. Wszystkim tak ulży, że odzyskali dzieła, że nie będą mieli głowy do niczego innego.

Oczy Gissinga zmętniały – Mike wiedział, że zastanawia się nad jego pomysłem. W końcu profesor uśmiechnął się.

– Ty rzeczywiście dobrze to sobie przemyślałeś, Michael. I całkiem możliwe, że trafiłeś w dziesiątkę.

– Tyle że wiąże się z tym kolejny problem... potrzebna

nam furgonetka, którą będziemy mogli porzucić, czyli taka, której nijak z nami nie powiążą. Potrafisz podprowadzić samochód, spinając kable na krótko, profesorze?

– A jak ci się zdaje?

– Ja też nie, i nie sądzę, żeby Allan czy Westie znali się na czymś takim. Czyli do listy zakupów musimy dopisać furgonetkę, a do tego jeszcze trochę broni i kilku pomagierów. – Mike wstał i patrząc Gissingowi prosto w oczy, mówił dalej: – Tak naprawdę potrzebny nam jest ktoś, kto zna się na napadach z bronią w rękę... ktoś, o kim Allan wspomniał na samym początku tego projektu. Pamiętasz skok na First Caly?

Profesor z niedowierzaniem wybałuszył oczy.

– Musielibyśmy upaść na głowę, żeby go do tego dopuścić!
– wykrzyknął stłumionym głosem.

Mike zbliżył się do niego o krok.

– Tylko pomyśl, Robercie: Calloway ma i fach w rękę, i odpowiednich ludzi. Może nam skombinować tę furgonetkę i trochę niezbędnej broni.

– Zdaje się, że gangsterzy mówią na to „klamki”.

Mike uśmiechnął się pojednawczo.

– Wiesz, jeśli przyjdzie ci do głowy ktoś inny... ktoś o takich kwalifikacjach... Bo jeśli wciągniemy w to kolejnych amatorów, takich jak my, to skąd będziemy wiedzieli, czy można na nich polegać?

– Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem Majcher Calloway jest godny zaufania?

– Ma do stracenia więcej niż każdy z nas. Jego kartoteka

jest taka, że gliniarze zwaliliby mu się na łeb jak instalacja z cegieł Carla Andrego.

– Stosowne porównanie – przyznał Gissing, splatając ręce na piersi. – Ale z jakiego powodu nasz przyjaciel Calloway miałby zechcieć nam pomóc?

Mike wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy nam pomoże, ale mógłbym go chociaż wybadać na ten temat. Może przekonam go, że to będzie z korzyścią dla sztuki. Calloway złapał bakcyła, a wiem z doświadczenia, do czego człowiek jest wtedy zdolny.

Gissing przeszedł na swoją stronę biurka.

– Sam nie wiem, Michael – powiedział, opadając na krzesło. – Nie jestem pewien, czy on nas nie spróbuje wykolegować.

– Hm, zawsze możemy wszystko odwołać – zaproponował Mike. – Na tym etapie niczego nie ryzykujemy... poza stanem mojego konta, gdyby Westie uznał, że należy mu się rekompensata.

Profesor uśmiechnął się.

– Może i masz rację, chłopcze. Jak tak nad tym myślę, dochodzę do wniosku, że Calloway wniósłby do naszego planu, hm... pewien stopień fachowości. – Spojrzał Mike'owi w oczy. – Czym chciałbyś go zachęcić?

– Moim zdaniem Calloway należy do tych, którzy doceniają zwitek banknotów. – Nic lepszego nie przyszło Mike'owi na myśl.

– Wobec tego masz moje błogosławieństwo. Pogadaj z nim.

Mike zadumał się nad swoją siłą perswazji. Tyle że tak naprawdę profesorowi niczego nie trzeba było perswadować.

• • •

– Z korzyścią dla sztuki? – powtórzył Majcher Calloway i wybuchnął gromkim śmiechem. – Dzięki, Mike, przyznam ci się, że od rana marzyłem, żeby się rozerwać. A tyś mnie ubawił na sto dwa.

Siedzieli w bmw Majchra. Po spotkaniu w Świecącej Gwieździe wymienili numery telefonów i Mike zadzwonił do Callowaya od razu po wyjściu od Gissinga. Umówili się tylko we dwóch. Majcher odebrał Mike'a sprzed pubu Last Drop przy Grassmarket; na tylnych fotelach siedzieli Johnno i Glenn, którzy sprawdzali, czy nikt ich nie śledzi.

– W ten sposób jest bezpieczniej – wyjaśnił gangster zza kierownicy i przedstawił Mike'a swoim gorylom. Mike spotkał ich już wtedy w Świecącej Gwieździe, ale Majcher za bardzo był pochłonięty pytaniami o aukcje, żeby zawracać sobie głowę nazwiskami. Mike kiwnął głową na powitanie i spytał, czy szykują się jakieś kłopoty.

– Nie ma żadnych kłopotów – zapewnili go. A jednak Majcher skręcał to w prawo, to w lewo i znów w prawo, wracając po własnych śladach, aż w końcu ponownie przejechał przed Last Drop*.

* *Last Drop* (ang.) – Ostatnia Kropla, ale także Ostatni Spadek albo Ostatnia Szubienica

– Wiesz, skąd się wzięła ta nazwa? – zapytał Majcher.

– Czy to nie tutaj wieszali kiedyś przestępców? – odparł Mike.

– Czyli w gruncie rzeczy takich gości jak ty. Gapie schodzili się z całego miasta i urządzali sobie z imprezy festyn. Ale nie wieszali tylko złodziei i bandytów... na stryczek trafiali także prezbiterianie i czarownice. W tamtych czasach mordowali kogo popadnie.

– Czasy się trochę zmieniły.

– Ale i dziś na egzekucję zjawiłby się cały tłum...

W końcu głos z tylnego siedzenia obwieścił, że jest „czysto”, a wtedy Majcher zatrzymał samochód i kazał swoim ludziom wysiąść. Trochę się opierali, ale wręczył im dwadzieścia funtów na taryfę i powiedział, że spotkają się w „sali bilardowej”.

– Jest pan pewien? – spytał Johnno i łypnął spode łba. Wciąż masował nadgarstek, jakby go wykręcił. Mike uznał, że pewnie dał komuś po głowie i był lekko kontuzjowany.

– Jestem pewien – odparł gangster.

– A jeżeli wiking...?

Majcher udał, że nie słyszy, i ruszył z piskiem opon, zostawiając Johnno i Glenna na chodniku. Mike nie czuł się na siłach pytać, któż to taki ten „wiking”. Za to gangster miał do niego pytanie.

– No więc co ci chodzi po głowie, Mike?

Mike opowiedział mu wszystko, od samego początku, jak gdyby była to anegdotka, którą gdzieś kiedyś zastyszał. „W mieście jest taka kolekcja obrazów, o której mało kto wie...

I zdaje się, że znam sposób, żeby zwinąć kilka z nich tak, że nikt nic nie skuma...”

Trzeba przyznać, że Majcher szybko skapował co i jak.

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym przed Arthur's Seat w Holyrood Park. Mike rzadko się tu zapuszczał – było to ulubione miejsce turystów i ludzi wyprowadzających psy na spacer. Starczyło minąć zakręt i otwierała się niewiarygodna panorama miasta. Czasami jednak człowiek czuł się tu niczym w leśnej głuszy – garbata sylwetka Arthur's Seat nasuwała wrażenie, że od cywilizacji dzieli cię całe kilometry. A jednak dookoła rozciągał się Edynburg – kominy, iglice kościołów i niewidoczne stąd osiedla mieszkaniowe.

– Z korzyścią dla sztuki – powtórzył znowu Majcher, kręcąc głową. Pociągnął nosem, otarł go palcem i poprosił Mike'a, żeby po raz drugi opowiedział mu całą historię. Tyle że tym razem zgłaszał własne pytania, obawy i pomysły. Pomysły te były ciut zagmatwane, ale Mike słuchał cierpliwie, z biciem sercem. Od chwili gdy wsiadł do samochodu, rozpieęły go emocje... a właściwie nawet jeszcze wcześniej. Kiedy czekał przed pubem, obserwując przechodzących pośpiesznie urzędników i turystów, zastanawiał się, co by powiedzieli, gdyby tak wykrzyczał im na głos, z kim się właśnie spotyka i w jakiej sprawie.

„Montuję ekipę...

Jestem szefem gangu...

Skok stulecia...”

I wtedy zobaczył podjeżdżający samochód. Czuł się nieswojo, mając za plecami dwóch goryli, i nie mógł się pozbyć myśli

o wszystkich tych, którzy jechali z Majchrem Callowayem i jego zbirami – ludziach wystraszonych, wręcz sparaliżowanych strachem, z których wielu nikt nigdy już więcej nie widział. Tymczasem jego wręcz przepełniała euforia. Majcher miał w sobie coś dzikiego. Kiedy Mike poszedł do szkoły średniej, już w pierwszym tygodniu starsi chłopcy wyłapywali nowych i od niechcenia dawali im kopa w tyłek. Wśród nich był także Majcher – znając jego reputację, starsi od razu przyjęli go do swojego grona. Mike się tym nie przejmował – lepiej, żeby od razu zwrócili na niego uwagę, niż gdyby udawali, że nie istnieje. Ale potem Majcher właśnie tak zrobił – potraktował go jak powietrze. A dwa lata później zniknął – zaprawił bykiem nauczyciela chemii i wywalono go ze szkoły, tak że pozostała po nim tylko jego legenda. Owszem, zostało jeszcze kilku miłośników i jakieś gangi, ale nikt nie umywał się do Majchra. A w czwartej klasie to Mike dokopywał tym nowym...

Z czasem Mike poszedł na studia, znalazł sobie mieszkanie na Nowym Mieście. I jeśli nie liczyć kilku bójek, pozostawił dzieciństwo daleko za sobą – rodzice nie żyli, jedyna siostra przeprowadziła się do Kanady. Fascynowało go, że Majchrem nie kierował tylko gniew i chęć pokazania, że jest supersamcem. W tych świdrujących go oczach kryła się inteligencja i głód czegoś... czyżby wiedzy? Może ten gangster zaczął sobie uświadamiać, jak ciasny stał się jego świat?

I niewykluczone, że to samo właśnie dzieje się ze mną, pomysłał Mike.

Patrzył, jak Majcher bez zbędnych słów wysiada z samochodu i przechodzi na skraj parkingu, skąd miał widok na pobliski staw. Postanowił, że pójdzie za nim; wysiadając z auta, zapalił papierosa. Jego ręce drżały, ale nie za bardzo. Na środku stawu była wysepka zajęta przez parę łabędzi; jeden ptak pilnował pisklęcia w gnieździe, drugi krążył dookoła w charakterze ochrony. Kobieta z malutkim dzieckiem karmiła okruciami chleba kłaskające kaczkę, łyski i pardwy. Ale to łabędzie przykuły uwagę Majchra. Obserwując je, wsunął dłonie do kieszeni. Mike chciałby wiedzieć, o czym gangster teraz myśli. Może zazdrości im pewności siebie, zimnej krwi i absolutnego opanowania? Poczęstował go papierosem, ale Calloway odmówił ruchem głowy. Minęła dobra minuta, zanim się odezwał.

– Okłamałeś mnie, Mike... wtedy, w galerii. Mówiłeś, że robisz w komputerach. Może to i prawda, ale nie cała, i nie chciałeś, żebym ją poznał. Pan Król Sukcesu. Pan Milioner. Za dychę dzieciak w kafejce internetowej dał mi o tobie tyle informacji, że aż nie wiem, co z nimi zrobić. – Zerknął na Mike'a. – Bałeś się, że któregoś dnia wpadnę do ciebie w środku nocy i będę cię chciał skasować na parę funciaków?

Mike zbył to wzruszeniem ramion.

– Nie chciałem, żeby wyszło na to, że się popisuję.

– My, Szkoci, tak już mamy – przyznał Calloway po dłuższej chwili. – Byłeś kiedy w starej budzie? Nie zapraszali cię, żebyś wręczał nagrody albo palnął gówniarzom mądrą mówkę, tak dla inspiracji?

- Nie.
- Ale twój dawny wydział przyznał ci tytuł honorowy... czyżby liczyli na trochę grosza?
 - Możliwe, kiedyś – przyznał Mike.
 - Dzieciak mówił, że nie zarejestrowałeś się na żadnym z tych portali, na których ludzie kontaktują się ze starymi kumplami.
 - Już ci mówiłem, nie mam starych kumpli.
 - Fakt, ja też nie... – Majcher nachylił się i splunął do stawu. – Nie sądzę, żebym potrafił się dobrze bawić z tymi, z którymi chodziliśmy do klasy. W zeszłym roku robili jakąś okolicznościową imprezę dla dzieciaków z naszego roku... dostałeś zaproszenie?
 - Chyba tak.
 - Szkoda, że nie poszedłem. Było wynająć rollsa, ze dwie panny z agencji... i utrzyć im wszystkim nosa.
 - Trzeba było – przytaknął Mike, co Majcher skwitował uśmiechem.
 - Niech ci się nie wydaje, że nie przyszło mi to do głowy, ale w końcu... A tam, pierdolę! – Skulił się, jakby powiał mroźny wiatr, i odwrócił się twarzą do Mike'a. Ręce wciąż trzymał w kieszeniach. Mike przypomniał sobie ich spotkanie w galerii i swoje obawy, że gangster ma przy sobie broń palną albo nóż. Teraz tak nie uważał. Ale Calloway czymś się gryzł, miał zmartwienie... może chodziło o tego „wikinga”? Mike zaś dał mu coś, żeby mógł się od tego oderwać... nowe wyzwanie.
 - Zdajesz sobie sprawę, Mike, że musicie skombinować kilka gnatów? Jakby co, na wasz widok każdy musi robić pod

siebie ze strachu, macie sprawiać wrażenie zdolnych do wszystkiego.

– Ale broń nie musi być prawdziwa?

Majcher pokręcił głową.

– Musi tylko wyglądać na prawdziwą... jeśli o to ci chodzi.

– Nic więcej nam nie potrzeba.

– Lepiej się upewnij. Wystarczy, że jakiś ochroniarz jest byłym żołdakiem... wyceluj takiemu w głębę straszaka, a połapie się w jednej chwili.

– No to repliki.

– Lepsza jest prawdziwa spluwa z usuniętą iglicą.

– To ty jesteś fachowcem, Majcher.

– A żebyś wiedział, że jestem. – Gangster milczał przez dłuższą chwilę. – Na mój gust przydałoby się wam jeszcze czterech. Po jednym na wartownię i pokój ochrony i dwóch do uciszenia turystów. Wtedy wy trzej będziecie się mogli zająć szukaniem i zwinięciem obrazków.

– Im szybciej się stamtąd wyniesiemy, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

– Mike, ty wciąż nic nie kumasz... ty, ten stary profesorek i twój pedziowaty koleś? Im dłużej o tym myślę, tym bardziej widzę, że to będzie jedna wielka kłapa.

– Myślisz, że nam się nie uda?

– Plan wydaje się w porządku. Ale ja się nie martwię o plan, tylko o tych, co go wysmażyli.

– To już nie twoje zmartwienie, Majcher. Jeżeli coś się posypie, i tak dostaniecie swoją działkę... ty i twoi czterej ludzie. Przychodzą ci do głowy odpowiedni ludzie?

– Muszą być młodzi – oświadczył gangster. – Bo tacy są napaleni i napakowani testosteronem... wzbudzają większy strach.

– Dużo by chcieli?

Calloway pokręcił głową.

– Spluwę i ludzie to nie problem. Nikt nie musi wiedzieć, dla kogo pracuje... wystarczy jedno moje słowo. Zobaczą tylko magazyn, nie będą mieli pojęcia, co stamtąd zniknie.

– Zorientują się, jeśli będą siedzieli w furgonetce. A skoro już o niej mowa...

– Skombinować furgon to pestka... nawet z lipnymi numerami rejestracyjnymi. To musi być coś pospolitego, na przykład transit. Nikt na takiego nie zwraca uwagi, nawet jak ma ciemne szyby...

– Zgoda. Czyli w zasadzie pozostaje już tylko kwestia twojego wynagrodzenia...

– Co powiesz na sto pięćdziesiąt kawałków?

Grdyka Mike'a podskoczyła, kiedy przetykał ślinę.

– Szczerze mówiąc, to trochę dużo – wykrztusił w końcu. – Czy masz kłopoty?

Majcher roześmiał się ochryple, wyciągnął z kieszeni jedną rękę i wałnął Mike w plecy.

– Niech ci będzie – powiedział. – Możesz mnie spłacić obrazkiem, byleby był wart tyle, co mówiłem.

– Słucham?

– Mike, aukcje to dla mnie jeden wielki szajs. Chcecie zwinąć siedem obrazków... tak sobie myślę, że jeden wte czy wewte nie zrobi wam wielkiej różnicy.

– Ale nigdy nie będziesz mógł go sprzedać... przynajmniej legalnie.

– Nie zamierzam go sprzedawać.

– Jeżeli ktoś odkryje jedno fałszerstwo, posypie się cała reszta. – Mike nie ustępował.

Twarz Majchra stwardniała.

– Taka jest moja cena, Mike. No chyba że wolisz wybulić tyle samo w gotówce.

Mike myślał gorączkowo.

– Nasz fałszerz goni resztką sił – wydusił w końcu.

– To pogoń go jeszcze bardziej.

Majcher nachylił się do Mike'a. Mimo że gangster był od niego sporo niższy, Mike miał wrażenie, że nad nim góruje. Nie widział już jakże dobrze znanego sobie miasta, a temperatura wyraźnie spadła. Nikt też nie karmił ptaków. Nie przejeżdżały żadne samochody, w zasięgu krzyku nie było nikogo.

– To jak, układ stoi? – mówił tymczasem Majcher. – A może znów mam się wkurzyć, żeś mnie okłamał wtedy, w galerii?

Jedna kaczka zniknęła pod powierzchnią stawu. Mike zaczął rozumieć, co się wtedy czuje...

• • •

Kurier zostawił w recepcji kopertę dużego formatu. Gdy Allan otworzył ją w swoim gabinecie, ogarnęła go ulga, że nie zlecił tego sekretarce – była to zmniejszona fotokopia rysunku Gissinga, który przedstawiał plan magazynu i okolicznego terenu.

– Ożeż ty, durna pało! – mruknął pod nosem. Stary dziad nie uprzedził go, że ta przesyłka wiąże się z ryzykiem. A teraz w firmie kurierskiej mają pokwitowanie... pilna przesyłka od profesora R. Gissinga z akademii sztuk pięknych w Edynburgu do pana A. Cruikshanka z First Caledonian Bank.

Allan wolno pokręcił głową. Ten pierwszy ślad na papierze jest zupełnie niepotrzebny. Mimo to ucieszył się z tych planów. Włożył je do teczki, zamknął na klucz i wychodząc z pracy, zabierze do domu. Tam zaciągnie zasłony i sprawdzi, czy drzwi są dobrze zaryglowane. A potem rozłoży plany na stole, naleje sobie kieliszek hiszpańskiego wina i zacznie je studiować.

Żeby za wszelką cenę się sprawdzić.

Żeby za wszelką cenę się wkupić.

Może nawet odstawi kieliszek na potem, żeby zachować trzeźwy umysł, gdyby się okazało, że powinien przejechać się do dzielnicy przemysłowej Granton i obejrzeć magazyn.

11.

Tego wieczoru Majcher wybrał się na kolację z kobietą, która prowadziła agencję towarzyską. Ze dwa lata temu zaproponował jej pomoc w interesach i mimo że spławiła go bez namysłu, z czasem ją polubił. Była twardsza od większości znanych mu mężczyzn, a już z pewnością twardsza od Glenna i Johnno, który wciąż niańczył nadgarstek oraz zranioną dumę. Poranna wizyta wikinga wydawała się zamierzchną przeszłością. Majcher powinien się do niego odezwać tego wieczoru, a najpóźniej jutro. Miał w kieszeni kartkę z jego numerem telefonu, ale co miał mu powiedzieć?

Gangstera nie łączyło z tą kobietą nic poważnego. Od czasu do czasu wyskakiwali na kolację albo do kina czy teatru. Wymieniali nowinki i plotki, pogłoski i anegdoty. Czasami pozwalał jej nawet regulować rachunek. Jego żona zmarła kilka lat temu na raka płuc. Straszna śmierć... jego matka odeszła tak samo. Na długo przed ślubem powtarzał Liz, że nie chce mieć dzieci, nie chce, żeby musiały przechodzić przez to, przez co

on przechodził ze swoją mamą. Z ojca nie było żadnego pożytku – za często zaglądał do butelki i co noc zasypiał w ubraniu. Prawdziwy z ciebie wesolek, odparła Liz, kiedy powiedział jej o tym po raz pierwszy. Wkurzył się, że traktuje to tak lekko, ale nic z tym nie zrobił, za bardzo ją kochał.

Na dzisiejszy wieczór wybrał stosunkowo nową restaurację w tej okolicy Leith, której status ostatnimi czasy znacznie wzrósł. Majcher pamiętał Leith z czasów, gdy były tu tylko doki i twardziele, pijackie meliny z burdelami na piętrze i salony tatuażu, gdzie dilowano spod lady amfą dla znajomków. Nic z tego nie zniknęło na dobre, ale dużą część nadbrzeża odpiwowano – pojawiły się stylowe bary, a składy celne przerobiono na mieszkania. Majcher często zastanawiał się, gdzie się podzieli starzy mieszkańcy tej okolicy, kiedy rozpoczęto tę gruntowną przebudowę. Ale w całym mieście dzielnice podlegały zmianom. Tam gdzie mieszkał Majcher, jeszcze dziesięć, dwanaście lat temu w ogóle nie było domów. A teraz postawili tam nawet stację kolejową. Czasami trudno było nadażyć za tym wszystkim.

Przez całe popołudnie szalony plan Mike'a zaprzętał go do tego stopnia, że przegrał trzy partie snookera z rzędu. Johnno pokpiwał sobie z niego, że to pewnie przez kobietę. W sali bilardowej unosił się zapach, na który Majcher nie zwrócił wcześniej uwagi – paskudny kwaśny odór drażniący nozdrza. Smród potu i rozpaczy starych ludzi; złej diety i straconego czasu. Tutaj o czymś takim nie było mowy – Majcher dowiedział się, że Michelin przyznał szefowi kuchni pierwszą

gwiazdkę w swoim przewodniku. Owoce morza bulgotały i skwierczały, kucharze siekali warzywa, a wszystko to odbywało się za wielką szybą, na oczach siedzących przy stolikach gości. Majchrowi to się podobało. Kiedy jeszcze był dzieckiem, właściciel lokalnej frytkami spluwał do frytkownicy, by sprawdzić, czy tłuszcz jest dostatecznie gorący. Teraz na samo wspomnienie Majchrowi robiło się niedobrze. Zjawił się na spotkanie nieco za wcześnie, za kierownicą swojego bentleya. Nie lubił zabierać na takie wyprawy Johnno i Glenna, nawet jeśli zostawali w samochodzie albo jedli przy stoliku po drugiej stronie sali. Następnego dnia zawsze sobie pokpiwali i dopytywali się, czy jego „przyjaciółka” chrapie, czy dobrze robi jajka na śniadanie... Kiedy dziś powiedział im, że już nie będą mu potrzebni, czym prędzej ostrzegli go przed wikingiem. Zasięgnęli języka w mieście, wystawili czujki, ale nikt nie doniósł, że widział gdzieś tego człowieka. Mógł się pojawić w każdej chwili.

- Szefie, na pewno nie chcesz, żebyśmy byli w pobliżu?
- Na pewno.

Siedząc przy stoliku w samym rogu – co zapewniało doskonały widok na wejście – Majcher przyłapał się na tym, że ogląda obrazy na ścianach. Nie były to reprodukcje wartościowych dzieł – ot, kolorowe bohomazy zakupione hurtem, żeby zakryć czymś bladożółty tynk. Od wizyty na aukcji Majcher dużo czytał na temat sztuki. W księgarni w centrum polecono mu szeroki wybór „tekstów dla początkujących”, jak się wyraziła sprzedawczyni. „Dla początkujących” Majchrowi kojarzyło się z podstawówką, więc uniósł się, że dziękuje uprzejmie, nie jest

aż tak tępy, na co ekspedientka drżącym głosem zaczęła tłumaczyć, co miała na myśli. W końcu się dogadali. Teraz jej określenie kojarzyło mu się już ze szkołą średnią... Swoją drogą, zabawne, że nie pamiętał Mike'a. Ale znał ten typ – ludzi, którzy chcieli, żeby twardziele ich zauważali, nawet mimo upływu ponad dwudziestu lat. Jego plan wcale nie był tak zwariowany, jak by się zdawało, spotykał się ze znacznie gorszymi, z których wiele zakończyło się sukcesem. A gdyby tym razem coś poszło nie tak, to przecież nie będzie brał w tym udziału osobiście, więc co mogą mu zrobić? Chłopaki, których namówił na tę robotę, byli za mądrzy, żeby kłapać dziobem – woleliby spędzić jakiś czas za kratkami, niż zakapować Majchra Callowaya, a potem mieć z nim do czynienia. Mike i jego kumple może i poszliby na współpracę z psami, ale dużo by im z tego nie przyszło – Majcher znałby każdy ich krok. Poza tym nikt nigdy nie znalazłby jego obrazu...

Cenny obraz... Jezu, no jasne!

Sięgnął do kieszeni i wyjął jeden z telefonów komórkowych oraz kartkę. Wystukał numer i czekał. Widząc, że jego przyjaciółka wchodzi do restauracji, pomachał do niej. Szef sali cackał się z nią jak zwykle i właśnie zdejmował jej płaszcz. Czasami któryś z nadzianych gości tej jednej z lepszych restauracji w mieście próbował podpytywać szefa sali. Gdzie można by zaleźć dziewczynę na noc, kogoś, z kim można by się rozewnać... Szef znał stosowne miejsce – dziewczyny były tam wyjątkowo miłe i dyskretne. Inkasował od klienta napiwek, a na jutro dostawał drugi, od przyjaciółki Majchra. Teraz też

wciskała mu coś do ręki; Majcher nie wątpił, że były to dwie dychy, może nawet pięć...

Ktoś odebrał telefon i gangster zwilżył usta językiem.

– Nienawiść, to ty?

– Calloway?

– We własnej osobie. Tak sobie cały czas myślę, że źle zaczęliśmy naszą znajomość i chciałbym to naprawić.

– Słucham.

– Zanim zbiorę fundusze dla twojego pracodawcy, co powiesz na propozycję pokojową? Na coś, co można by uznać za zastaw. Chodzi o to, że zorganizowanie gotówki zajmie mi jeszcze kilka dni... może nawet tydzień... więc chciałbym przekonać twoich pracodawców, że warto poczekać.

– Pan ze mną pogrywa.

– Ależ skąd, możesz mi wierzyć. Mówię o czymś, co mafia stosuje na okrągło.

– Chce mi pan podrzucić do łóżka łeb konia wyścigowego? Czy to dlatego tak usilnie staracie się namierzyć, gdzie mieszkam?

Cholera, ten facet jest naprawdę dobry...

– Nienawiść, myślę, że mam dla ciebie coś lepszego... o wiele lepszego.

– Słucham, panie Calloway.

Zanim przyjaciółka, którą Majcher zaprosił na kolację, dotarła do stołu, oferta została przyjęta, a komórka wyłączona na resztę wieczoru. Gangster wstał i pocałował kobietę w uperfumowany policzek.

- Wyglądasz dziś szczególnie olśniewająco – oświadczył.
- A ty wyglądasz... – Zastanowiła się przez chwilę. – Przychodzi mi do głowy jedynie to, że jesteś zadowolony z siebie jak kot, który się opił śmietanki.
- A skąd wiesz, że się nie opilem? – zażartował Majcher. Usiadł i chwycił serwetkę, zanim jeden z kelnerów zdążył ją rozwinąć i położyć mu na udach.
- Nie znosił tego. Naprawdę tego nie znosił.



Wychodząc spod prysznic, Mike usłyszał, że dzwoni telefon. Zanim zdążył się wytrzeć – przy okazji odbicie w lustrze w łazience uświadomiło mu, że powinien odnowić karnet na siłownię – brzęczenie ustało. Nikt nie zostawił wiadomości, ale rozpoznał numer rozmówcy – to Robert Gissing próbował go złapać od siebie z domu. Wsunął stopy w klapki, owinał się ręcznikiem, po czym wcisnął klawisze telefonu, wychodząc z łazienki na balkon.

- Co się dzieje, Robercie? – zapytał, gdy ktoś odebrał.
- Po prostu jestem ciekawy... Czy nasz przyjaciel Callo-way dołączył do zespołu?
- Tak mi się zdaje.
- A ile nas to będzie kosztowało?
- Chce jeden obraz dla siebie. – Mike wstrzymał dech, wiedząc, na co się zanosi.
- Przecież to jest przeklęty niewierny! Nie poznałby się na dobrym obrazie, nawet gdyby go ugryzł w dupę!

– Nieważne... – Mike słuchał, jak urywany oddech profesora się uspokaja. – Przypuszczam, że wszystko zależy od tego, czy Westie zdąży namalować jeszcze jeden falsyfikat.

– A, to już zostawiam na twojej głowie, Michael. – W głosie Gissinga wciąż słychać było irytację. – Wygląda na to, że potrafisz sobie radzić i ze studentami, i z przestępcami.

– Wcale nie jestem tego pewien. – Mike roześmiał się cicho, ale te słowa sprawiły mu przyjemność.

– Poza tym – mówił dalej profesor – tak sobie myślę, że Calloway może nam się przydać o wiele bardziej, niż nam się zdawało.

– To znaczy? – Wieczór był chłodny i Mike wrócił do mieszkania, zasuwając za sobą drzwi.

– W Galerii Narodowej jest kustosz – wyjaśnił Gissing. – Trzeba się nim zająć i możliwe, że Charles Calloway będzie właściwą osobą do tego zadania.

– Zająć się nim? – Mike zmrużył oczy; miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Zająć się – potwierdził profesor Gissing.

12.

Allanowi Cruikshankowi przyszło na myśl, że został dobrym bankierem, ponieważ jest nudny jak flaki z olejem. Nigdy nie podejmował najmniejszego ryzyka. Oznaczało to, że jest ostrożny i rozważny, a więc nie traci pieniędzy powierzanych mu przez klientów. Tyle że bankowość wyrobiła w nim naturę cynika. To truizm, że bogacze łatwo powiększają majątek, chociaż nigdy nie okazywali mu wdzięczności za to, co (często niezasłużenie) dla nich robił. Niektórzy jego klienci z kategorii HNW posiadali po kilka domów, jachty, konie wyścigowe, prywatne wyspy i niezliczone dzieła sztuki. A jednak zdawało się, że niewiele z tego doceniają, pochłonięci gromadzeniem kolejnych dóbr. Allan uważał ich za nudziarzy z klapkami na oczach i ciekaw był, czy oni myślą o nim tak samo. Do tego dochodzili koledzy z First Caledonian Bank – część z nich jakby w ogóle nie zauważała, że istnieje. Przy każdym kolejnym spotkaniu dyrektor naczelny nigdy go nie pamiętał, chociaż widywali się dziesiątki razy. Z kieliszkiem w jednej ręce i

kanapką w drugiej na okrągło raczył Allana tymi samymi anegdotkami,. Allan zaś uśmiechał się, choć w głębi ducha korciło go, żeby wrzasnąć: „Już mi to opowiadałeś, stary pierdzielu!”. Opanował jednak do perfekcji sztukę udawania, że słucha z zainteresowaniem, i zawsze okazywał stosowne zdziwienie przy oczywistych puentach.

Chcę mieć coś, czego on nigdy nie będzie miał, myślał sobie Allan w duchu. Chcę mieć coś, czego nigdy nie będzie miał żaden z tych moich nieudolnych klientów.

Chcę mieć te dwa Coultony.

Ale nie zamierzał trafić do więzienia.

Od kilku dni budził się po nocy, zlany potem, czując, jak buzuje w nim adrenalina. Siadał wtedy w szlafroku przy stole jadalnym i ślęczał nad planem. Ile lat odsiadki grozi mu za udział w tym skoku? Jak zareagują jego dzieci, jeżeli trafi do paki z nakazu rządu Jej Królewskiej Mości? Czy warto tak ryzykować dla dwóch obrazów, które chciałby mieć... obrazów, których nigdy nikomu nie pokaże, którymi nie pochwali się przed klientami, kolegami z pracy czy szefem? Z drugiej strony jego była żona, Margot, przez całe lata suszyła mu głowę, że jest nudny. Nudny jako rozmówca, nudny jako kucharz, nawet ubiera się nudno.

I w łóżku też jest nudny.

Dopiero kiedy się wyprowadziła, uświadomił sobie w pełni, jak bardzo ją kocha. Tyle że wtedy już miała nowego faceta, swego męża wymieniła na nowy model, który nosił czarne polo z owczej wełny i z którego twarzy nigdy nie znikał uśmiezek samozadowolenia. Nie przeszkadzało to Allanowi wydzwaniać

do niej co kilka dni z propozycją spotkania, na przykład żeby skoczyli na lunch do którejś z co modniejszych knajpek. Ale ona chyba jadała i pijała we wszystkich z nich. No cóż, mógł za to zrobić coś, czego Pan z Owczej Wełny by nie potrafił: popełnić przestępstwo doskonałe. I wyłącznie dlatego, pomimo nocnych koszmarów i strug potu, był zdecydowany wziąć udział w tym skoku. Kurczę, może nawet gdyby trafił do mamra, dzieciaki by go wreszcie naprawdę polubiły – w oczach większości nastolatków zła sława bije anonimowość na głowę.

– Jesteś pewien? – zapytał go Mike po raz nie wiadomo który, kiedy wchodzili do mieszkania Westiego na drugim piętrze.

– Absolutnie – odparł Allan, starając się, żeby wypadło to jak najbardziej przekonująco. Mike podkreślał, że do niego należy analiza najdrobniejszych szczegółów, gdy jednak Allan zgłaszał potencjalny problem albo wysuwał własną sugestię, wydawało się, że Mike już o tym pomyślał wcześniej. Teraz wyjaśnił Allanowi, że skoro mają w ekipie Majchra Callowaya i jego uzbrojonych ludzi, może zrezygnować w każdej chwili, jeżeli nie jest stuprocentowo przekonany do ich planu.

– Nie martw się, nie stracisz twarzy – zapewnił go.

– Mike, a czy przypadkiem to nie ty chcesz się mnie pozbyć? – odparł Allan.

Na co Mike, patrząc mu prosto w oczy, bez słowa pokręcił głową.

Na piętrze Westiego przystanęli na chwilę, żeby odetchnąć. Potem Mike wolno skinął głową i nacisnął dzwonek. Westie

sprawił wrażenie o wiele bardziej zdenerwowanego niż jego goście, co Mike wypomnił mu, gdy tylko student wpuścił ich do mieszkania.

– To wszystko przez was! – odburknął Westie. – Wiecie, ile snu udało mi się złapać w tym tygodniu? Trzymam się na nogach tylko dzięki kofeinie, fajkom i czasami Krwawej Mary.

– Z tabasco czy z sosem Worcester? – zainteresował się Mike.

Student tyknął na niego spode łba. Stali w salonie pachnącym świeżą farbą, werniksem i drewnem. Westie starał się robić blejtramy ze starego drewna – nie potrzebował go do ram, bo te mieli wymienić w dniu napadu. A kiedy brakowało mu starego drewna, pokrywał nową sosną kilkoma warstwami kawy rozpuszczalnej.

– To znakomity sposób – wyjaśnił, gdy Mike podniósł i obwąchał jeden blejtram.

– Mam nadzieję, że ujdzie.

Westie zignorował jego słowa. Wydawało się, że jest bardziej dumny z blejtramów niż z kopii, ale kiedy Allan przyjrzał im się dokładnie, uznał, że płótna są wprost cudowne, co też wyraził na głos. Mike poparł go mruknięciem. Westie był dumny jak paw. Ściany prowizorycznej pracowni obwieszane były reprodukcjami każdego obrazu, wydartymi z albumów albo katalogów i dostarczonymi przez Gissinga. Wisiały tam także zdjęcia ukazujące zbliżenia fragmentów obrazów – zdobyte dzięki uprzejmości biblioteki akademii sztuk pięknych. Wydruki – częściowo ściągnięte z Internetu – szczegółowo omawiały metody pracy każdego artysty oraz, jeśli udało się

do tego dojść, podawały dokładne odcienie i producentów użytych farb. Na każdym kroku walały się tubki farb olejnych, niektóre wyciśnięte do ostatniej kropli. Za palety służyły kawałki sklejk i kartonu. W słojach z terpentyną moczyły się pędzle. Te, które zeszywniały tak, że do niczego już się nie nadawały, leżały na podłodze. Westie ubrany był w pokryty zaskorupiałymi plamami T-shirt i workowate szorty do kolan. Nie sposób było powiedzieć, jaki był pierwotny kolor jego garderoby.

– A nie mówiłem, że dam radę? – powiedział. Próbował zapalić nowego papierosa od niedopałka poprzedniego, ale zaniósł się suchym kaszlem i odgarnął z oczu tłuste włosy.

– Powinieneś się położyć – doradził mu Allan.

– Jeszcze czego! – prychnął student.

– Jak skończy robotę, będzie miał aż nadto czasu, żeby się wyspać – orzekł Mike. – Ile już masz gotowych?

– Zobaczcie sami. – Westie wyciągnął rękę, pokazując właściwe płótna. – Pięć już jest, zostały dwa.

– Trzy – sprostował Mike.

Westie zmierzył go wściekłym wzrokiem.

– Mówiliśmy o siedmiu... po dwa dla każdego z was i jeden dla mnie.

– Dołączył jeszcze jeden wspólnik.

– Nie można zmieniać reguł gry na tym etapie.

– Owszem, można. Nasz nowy wspólnik stanowczo nalega.

Zaczęli się spierać. Westie domagał się dodatkowej zapłaty, ale Mike nie ustępował, co Allan obserwował z milczącym

podziwem. Jego przyjaciel się zmienił, gładko wszedł w rolę, którą właśnie odgrywał – nieustępliwego negocjatora, twardego i przestępcy. Może zbyt często zadawał się ostatnio z Majchrem Callowayem, lecz Allan podejrzewał całkiem inny powód: nareszcie, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, Mike świetnie się bawił. Energia, która buzowała w Allanie, krążyła także w ciele Mike'a, tyle że z innym skutkiem.

Mike był gotów na wszystko.

Był tak wysoki, że zawsze chodził nieco zgarbiony, jak gdyby krępował go własny wzrost. Ale teraz czuł się w swojej skórze bardziej komfortowo – stał wyprostowany, ze ściągniętymi łopatkami. Chętniej patrzył ludziom prosto w oczy i mówił wolniej, za to z coraz większą pewnością siebie. Taki sam musiał być wtedy, kiedy jeszcze prowadził interesy, pomyślał Allan. Dzięki temu dostał się na szczyt. A zatem sprzedaż firmy przyniosła mu wprawdzie worki gotówki, ale za cenę pozabawienia go wigoru. Sęk w tym, że ten nowy Mike nie podobał się Allanowi tak jak dawny. Niegdyś plotkowali jak przekupki, opowiadali sobie kawały i anegdotki. A teraz odnosiło się wrażenie, że ich jedynym wspólnym tematem jest napad. Co będzie potem? Czy to umocni ich przyjaźń, czy raczej wbi je między nich klin? Allan bał się o to zapytać. Obserwował więc całą scenę, słuchał i dumał o Majchrze Callowayu. Był przeciwny wciąganiu gangstera do spółki, uległ jednak wspólnemu stanowisku Mike'a i profesora. Choć wiedział, że to błąd. Zaprzeczenie przezorności.

Ludzie zorganizowani przez Callowaya mieli podlegać

jemu. Mógł im rozkazać, co zechce. Czy jednak będą gotowi wykonywać polecenia Mike'a, Allana albo Gissinga? No i co powstrzyma Callowaya przed obrobieniem ich z łupu po wszystkim? Przecież nie poskarżą się policji. Mike cały czas przytakiwał jego argumentacji, po czym wyjaśnił, jak on to widzi. Czy Allan sam chce organizować broń? Kraść furgonetkę? Namówić kilku chuliganów, żeby im pomogli? Dzień otwarty wypadał za niecały tydzień. Nie mieli innego realnego wyjścia, jak zwrócić się do Callowaya.

„Moglibyśmy kupić furgonetkę z drugiej ręki... na lipne nazwisko i za gotówkę... a czy broń naprawdę będzie nam potrzebna?”.

Został jednak przegłosowany dwa do jednego. I tak skończyła się jego rola „faceta od szczegółów”.

Pięć ukończonych falsyfikatów stało na osobnych sztalugach. Na niektórych błyszczała jeszcze farba. Allan nie miał złudzeń, że będą lepkie w dotyku – farba olejna potrzebuje czasu, żeby wyschnąć. O ile pamiętał, wielu dni. I czy jej zapach nie utrzyma się na płótnach? Mike przyszedł tu dzisiaj, bo chciał sprawdzić, czy Westiego nie podkuśiło lichy i nie domalował jakichś ozdobników... puszek po napojach albo samolotów ukrytych gdzieś w rogu obrazu. Kiedy zaczął przyglądać się bacznie każdemu dziełu, Allan poszedł w jego ślady.

W końcu Mike orzekł:

– Wyglądają w porządku, Westie.

Student skwitował ponowną pochwałę lekkim skinieniem głowy i od tej chwili Allan nie miał wątpliwości, że namaluje

niezbędne osiem obrazów... ten ukłon był potwierdzeniem faktu, że Mike jest tu szefem. Patrzył, jak jego przyjaciel wyciąga z kieszeni pięć złożonych kartek z obrazami wybranymi przez Gissinga. Były to dzieła cenne, ale mało znane, za to stosunkowo łatwe do skopiowania.

– Wybieraj – rzekł Mike, podając zdjęcia obrazów malarzowi. – Ten, który można podrobić najłatwiej i najszybciej.

– Mało wybredny ten nasz nowy „wspólnik”. – Westie zaczął przeglądać obrazki. – Weźmie, co mu damy, tak?

– Szybko się uczysz, Westie... a teraz wybieraj.

Student podniósł kartkę z jednym obrazem.

– Ten.

Mike skinął głową i zwrócił się do Allana:

– I co sądzisz?

Pytanie zaskoczyło bankiera.

– Co sądzę? – powtórzył.

– O nich. – Mike wskazał płótna na sztalugach.

– Wyglądają znakomicie. A w ramach będą jeszcze lepsze.

Tylko czy wprowadzą w pole specjalistę?

– To już zależy od eksperta – odrzekł Mike. Oglądał portret żony Monbodda. Nie był jeszcze ukończony, należało wypełnić tło, ale z odległości metra Allan nie odróżniłby go od oryginału. Przypomniał sobie, jak na wystawie Mike nie mógł się od niego oderwać, by obejrzeć dziesiątki innych eksponatów. Allan dwukrotnie obszedł całą salę, zanim jego przyjaciel dał się namówić na dalsze zwiedzanie. Zanosilo się na to, że i tym razem może być podobnie, ale nagle Allan dostrzegł coś kątem oka... Ktoś stał w progu.

– Co jest, do...?
– Proszę o ładny uśmiech. – Głos należał do młodej kobiety. Trzymała przed sobą kamerę wideo, wycelowaną prosto w nich. Westie nieznacznie skinął ręką.

– Kto to? – zapytał Mike.

Odpowiedzi udzieliła mu kobieta.

– „To” jest Alice. – Wchodząc powoli do pokoju, wciąż trzymała kamerę przed sobą, na wysokości głowy. – A wy jesteście Mike i Allan. Niepokoi mnie tylko, że wy znacie imię i nazwisko Westiego, wiecie, gdzie mieszka... a on o was w zasadzie nie wie nic.

Mike wpatrywał się w studenta.

– Czy jest coś, czego nie powiedziałeś swojej przyjaciółce?

– A niby czemu miałby mieć przede mną tajemnice? – Zbliżając się do Mike'a, opuściła nieco kamerę. Miała na sobie króciutką czarną spódniczkę i grube czarne legginsy. Na czarnym T-shircie widniała podobizna Ala Pacino z filmu *Człowiek z blizną*. – Ty jesteś Mike czy Allan?

– To Mike – odezwał się Westie. Miał na tyle przyzwoitości, żeby udawać zażenowanie występem Alice. A jednak Allan nie mógł się pozbyć wrażenia, że malarz wiedział o tym zawczasu. Ani jego twarz, ani głos nie zdradzały zaskoczenia.

Alice przełożyła kamerę do lewej ręki i wyciągnęła prawą, ale Mike nie był w nastroju do ceregieli towarzyskich. Dziewczyna szybko zdała sobie z tego sprawę i podała rękę Allanowi.

– Allan... mam rację? – zapytała.

– Owszem – odparł bankier, ściskając jej dłoń. Nie ma sensu bez potrzeby robić sobie wroga, co próbował przekazać wzrokiem Mike'owi. Ten jednak wciąż patrzył na Alice. Tymczasem ona udawała, że ogląda obrazy, po drodze cmokając w policzek swojego chłopaka.

– Ależ on jest utalentowany! – bąknęła. Pogłaskała policzek, w który dopiero co go pocałowała, i znów odwróciła się do Mike'a.

– Czy to ustrojstwo wciąż nagrywa? – zapytał ją.

– Ale tylko podłogę. – Poczuli, że musi się jakoś wytłumaczyć.

– I nasze głosy – odparował Mike. Alice patrzyła na niego jeszcze przez kilka sekund, po czym uśmiechnęła się i wyłączyła kamerę. Pomachała nią przed twarzą.

– Może pan to potraktować jako ubezpieczenie... że na pewno wszyscy razem bierzemy w tym udział. Jeśli Westiego ktokolwiek zostawi na łodzi, obojętne kto, nagranie trafi do dochodzeniówki. Powinien pan zrozumieć, że dbam tylko o nasz wspólny, jak najlepiej pojęty interes...

Allan pogroził jej palcem.

– Ja cię znam – oświadczył cicho. – Widziałem cię w kinie.

Drgnięciem ust przyznała mu rację, ale nie dała się zbić z tropu. Nie spuszczała wzroku z Mike'a.

– Westie mówi, że obiecał mu pan zapłatę w gotówce. Jak pan widzi, zarobił na każdego pensa. Ale właśnie usłyszałam, że chcecie go zmusić do namalowania jeszcze jednego obrazu

bez dodatkowego wynagrodzenia. To chyba nie całkiem w porządku, jak pan sądzi?

– Czego pani chce?

– Chcę, żeby Westie wyszedł na tym jak najlepiej. Dla mnie to chore, ale on twierdzi, że chce osobiście wziąć udział w skoku. Poza tym on też ma dostać obraz... który akurat oboje bardzo lubimy, tak że to jest w porządku...

– Wyczuwam w tym jakieś „ale”.

– Ale – powiedziała jak na zamówienie – przydałaby się drobna zaliczka... myśleliśmy o tysiącku.

Mike udał, że szuka czegoś po kieszeniach.

– Zdaje się, że nie mam tyle przy sobie.

– Może pan przecież wystawić czek. – Przerwała, żeby jej słowa zapadły mu w pamięć. – Ale wtedy poznalibyśmy pańskie nazwisko, panie Mike. – Uśmiechała się figlarnie, czubkiem języka zwilżając górną wargę.

Twarz Mike stwardniała, wsunął ręce do kieszeni. Allan poczuł, że jego przyjaciel zaciska prawą dłoń w pięść, i ucieszył się, że jeszcze nie zorganizowali broni. W końcu Mike odezwał się złowrobnym tonem:

– Mogę wam dać pieniądze, ale chcę dostać coś w zamian.

– To? – domyśliła się Alice, wymachując kamerą. Mike wolno pokiwał głową. – To fajny sprzęt. Nie sądzę, żebym chciała się z nim rozstać.

– Myślę, że za pięćset funtów zrobisz to z ochotą.

– Za tysiąc – sprostowała.

Mike wyciągnął do niej otwartą dłoń.

– Chcesz ją dostać teraz? – Uniosła brew. – Zanim pową-
chamy twoje pieniądze?

– Nie mogę ci jej zostawić, Alice. – Głos Mike'a był po-
zbawiony wszelkich uczuć. – Mogłabyś przegrać to na magne-
towid, wrzucić do komputera... cokolwiek.

– Ale jeśli ją panu dam, będę musiała panu zaufać.

– A więc decyduj się. – Mike strząsnął niewidzialny pyłek
z szytej na zamówienie marynarki. – Ale żeby było jasne... od
tej pory siedzisz w tym wszystkim jak każdy z nas, czyli że
jedziemy na tym samym wózku.

– Jesteśmy razem na dobre i na złe, jak paciorki różańca –
uściśliła dziewczyna.

– Raczej jak kostki domina... jeśli jedno padnie, pociągnie
za sobą pozostałe...

Uśmiechnęła się serdecznie i kamera wylądowała w wycią-
gniętej dłoni Mike'a.

– Jeśli wpadnie jeden, wpadniemy wszyscy – powiedziała
Alice.

– Otóż to. – Mike schował kamerę do kieszeni i chociaż nie
odrywał wzroku od dziewczyny, Allan nie mógł się oprzeć
wrażeniu, że całe to przedstawienie było odegrane specjalnie
dla niego.

13.

– Twój szef wyjątkowo skutecznie nas gubi – oznajmił detektyw inspektor Ransome.

Był w kawiarni przy High Street, tuż obok budynku parlamentu, i rozmawiał przez telefon komórkowy. Jego rozmówca siedział trzy stoliki dalej. Widzieli się nawzajem, ale porozumiewali się przez komórki, bo spotkanie w cztery oczy byłoby dla nich zbyt ryzykowne.

– To dlatego, że nie pozwala mi sięść za kierownicą – powiedział Glenn Burns do aparatu. – Johnno zresztą też nie.

– Myślisz, że coś podejrzewa?

– Gdybym sądził, że ma mnie na oku, to już dawno zabrałbym paszport i dokleił sobie sztuczną brodę.

– To on będzie musiał zwiewać, Glenn – zapewnił go Ransome z przekonaniem. – I jego imperium zejdzie na psy.

– A pan pozwoli mi je przejąć? Skąd mam wiedzieć, że mnie też nie spróbuje pan wydymać, tak samo jak jego?

– Przerabialiśmy to już ze sto razy – powiedział Ransome

i uśmiechnął się, żeby mu dodać otuchy. – Oczywiście, że będę chciał cię wydymać... ale ty będziesz królem, nie pionkiem. I będziesz mi donosił co i jak.

– A pan będzie mi wisiął przysługę.

– Jasne, ma się rozumieć. – Ransome na chwilę odwrócił wzrok, żeby podnieść do ust olbrzymi kubek. Gorący płyn smakował głównie spienionym mlekiem.

– Czy to latte? – zapytał Glenn przez telefon. Detektyw skinął głową.

– A ty co masz?

– Gorącą czekoladę z bitą śmietaną.

– Obrzydliwość. – Ransome otarł usta z piany. – No więc co ten twój pracodawca kombinuje, Glenn?

– A bo ja wiem?

– Dzięki za info...

– I po co ten sarkazm? – powiedział Glenn z urazą w głosie. – Ale on coś kombinuje, to fakt.

– Dopiero co mówiłeś, że nie.

– Powiedziałem tylko, że nie wiem, co ma na oku.

– Ale coś jest na rzeczy?

Glenn skinął głową. Brzęknął dzwonek przy wejściu na znak, że ktoś otworzył drzwi, i obaj mężczyźni odwrócili się w tamtą stronę, by sprawdzić, czy nowy klient nie jest przypadkiem kimś, kogo powinni unikać. Ale to była tylko młoda mama z niemowlakiem w wózku.

– W takich lokalach powinni zabronić wstępu bachorom – zauważył Glenn, patrząc na stół, przy którym grupka młodych matek z małymi dziećmi witała nową koleżankę. Jedno z dzieci

plakało i nie wyglądało na to, żeby zamierzało przestać.

– Zgadzam się – przytaknął Ransome. – Studentów też bym nie wpuszczał. – Zerknął w bok, gdzie jakiś nastolatek, który już dawno skończył kawę, rozłożył laptop i pisał pracę semestralną, okupując stolik przeznaczony dla czterech osób. Komputer podłączony był do pobliskiego gniazdka. – Tylko że wtedy byłoby tu prawie pusto i tym bardziej rzucalibyśmy się w oczy – zreflektował się.

– Pewnie tak – przyznał Glenn.

– No to skoro obgadaliśmy najważniejsze kwestie, może wrócimy do twojego pracodawcy?

– Ja i Johnno jesteśmy wyłączeni z tego interesu. – Glenn czuł się wyraźnie pokrzywdzony i Ransome zrozumiał, dlaczego poprosił go o spotkanie: musiał dać upust złości. – Ale parę razy, jak byliśmy w barach, rozpytywał się o dzieciaków.

– O dzieciaków?

Glenn zorientował się, że został źle zrozumiany.

– O łobuzów, kiboli... nie mówię o bachorach. – Ruchem głowy wskazał stolik zajęty przez mamuski.

– Daj mi jakieś nazwiska.

Glenn pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

– Do czego mu są potrzebni?

– Nie wiem. Zaczęło się od tego, że wpadł na gościa, z którym chodził do szkoły. Znaczy się, on twierdzi, że byli w jednej klasie, ale jakoś tego nie widzę... tamten facet jest

z całkiem innej półki, wie pan, o co chodzi. Kilka dni temu Majcher wybrał się z nim na przejażdżkę, a jak wrócił, zaczął kombinować, jak by tu zebrać paczkę szczeniaków.

– Myślisz, że poszedłeś w odstawkę, Glenn?

Nawet z daleka detektyw czuł siłę spojrzenia wielkiego faceta.

– Mnie nikt nie wysadzi z siodła, panie Ransome.

– Tak czy owak, skoro zbiera „paczkę”, to musi mu o coś chodzić.

– O coś albo o kogoś... – Zdanie zawisło w powietrzu.

– Mówisz o mordobiciu? – Ransome wytrzeszczył oczy. – Komu chciałby spuścić wpierdol?

– No... jest taki jeden wielki gość, cały w tatuażach. Jakiś zagranicznik, z Islandii czy cholera wie skąd. Przyjechał do miasta, żeby odebrać stary dług za towar. Kłopot w tym, żeście nam ten towar zwinęli, ale Anioły Piekieł domagają się szmalu.

– A Majcher nie ma zamiaru bulić z własnej kieszeni?

– Może uważa, że bardziej mu się opłaci nasłać kilku oprychów z kijami bilardowymi. – Glenn znowu zamilkł na chwilę.

– Ale wątpię, żeby sobie poradzili z tym facetem, chyba że mieliby wyposażenie jak się patrzy. Ale nawet gdyby załatwili Nienawiść, to po nim zjawią się następni.

Detektyw myślał, że się przesłyszał.

– Nienawiść? – powtórzył.

– On siebie tak nazywa.

Ransome zanotował rysopis faceta podany mu przez Glenna i cofnął się o kilka kartek. Zdążył już sprawdzić tych trzech,

których nazwiska przekazała mu Laura Stanton: Mike'a Mackenziego, Allana Cruikshanka i Roberta Gissinga. Cruikshank to była pomyłka, chociaż Laura twierdziła, że pracował w First Caly. Gissing swego czasu malował i miał na koncie mnóstwo książek o sztuce o nudnych tytułach. A Mackenzie... no cóż, Mackenzie był jakąś grubą rybą od komputerów.

– Jak wygląda ten dawny kumpel Majchra za szkoły? – zapytał detektyw przez telefon.

Opis podany przez Glenna pasował jak ulał do Mackenziego.

– Siedzieliśmy w winiarni, kiedy Majcher wpadł na niego. Nie wiem, co było potem, ale nagle się zakumplowali.

Ransome postukał długopisem w notes.

– Może i coś w tym jest, a może nic – przyznał.

– Fakt – przytaknął Glenn.

– I na czym stanęło z Nienawiścią? Siedzi i drapie się po dupie, czekając na gotówkę?

– Szukaliśmy go. Sukinsyn pewnie nocuje pod gwiazdami na Arthur's Seat czy gdzieś... wygląda na to, że nikt w mieście go nie widział, a niech mi pan wierzy, jego trudno nie zauważyć.

– I Majcher robi pod siebie ze strachu?

– Uważa, że ma jakiegoś asa w rękawie.

– Co to może być?

– Nie puszcza pary na ten temat.

– Może ma zamiar załatwić faceta.

– Może.

Policjant westchnął.

– Jak Bożię kocham, Glenn, podobno jesteś moją wtyczką!

– Wal się pan, panie Ransome. Tego mi tylko brakowało, żebym do kompletu miał jeszcze kłopoty z panem.

Detektyw spojrzał na niego z udawanym niedowierzaniem.

– Myślisz, że to są kłopoty, Glenn? Na razie nawet nie wszedłem do gry. Wciąż jestem w szatni i jeszcze nie rozpakowałem torby przed meczem. Kłopoty zachowam sobie do chwili, kiedy zakuję w kajdanki Majchra Callowaya. Ale wołałbym, żeby do tego doszło, zanim się zestarzeję... ty pewnie też.

– Jasne. – Glenn spojrzał na wyświetlacz swojej komórki i Ransome zrozumiał, że sprawdza godzinę. – Muszę lecieć. Powinienem zbierać teraz forszę z pubu na szczycie Abbeyhill.

– Uważaj, żebyś nie podebrał za dużo, dopóki nie oddasz reszty naszemu przyjacielowi.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Glenn był wyjątkowo czuły na punkcie podbierania forsy. Właśnie dlatego wpakował się w obecną sytuację. Pewnego dnia wszedł do jednego z barów swojego szefa, żeby sprawdzić obroty; wychodząc dwadzieścia minut później, niósł torbę, ale jedną kieszeń marynarki miał wyraźnie bardziej obciążoną, niż kiedy wchodził. Nagle drogę zastąpił mu Ransome, wymacał w jego kieszeni kupę monet oraz zwitek banknotów i zaczął cmokać i kręcić głową.

„I pomyśleć, Glenn, że miałem cię za mózg tego przekrętu... No, ale dzięki temu mamy okazję pogawędzić...”

Wstając od stolika i chowając komórkę do kieszeni, Glenn zaryzykował i zmierzył detektywa wściekłym wzrokiem. Potem szybko wymaszerował z kawiarni, potrącając w drzwiach

dwie turystki. Jedna z nich trzymała plan miasta i chciała go o coś zapytać, ale widząc jego minę, zrezygnowała. Ransome uśmiechnął się pod nosem, podnosząc kubek do ust.

• • •

– Miałeś kiedy w rękę spluwę, Mike?

– Tak, jako dzieciak. Przeważnie to były plastikowe zabawki na kapiszony... – Mike zważył w rękę pistolet. Połyskiwał czernią i pachniał oliwą.

– To browning – wyjaśnił Majcher. – Najlepszy gnat pod słońcem, więc mam nadzieję, że ci się spodoba.

Byli w stacji kontroli pojazdów w Gorgie, niedaleko miejsca, gdzie obaj się wychowywali, parę minut piechotą od ich dawnej szkoły. Na jedynym stanowisku stała nad kanałem zardzewiała, rozbebeszona sierra. Dookoła wałały się piasty kół i opony, przeżarte rdzą tłumiki, reflektory z wystającymi przewodami... Na ścianie nad stołem wisiały sędziwe kalendarze z gołymi panienkami. Mechanicy skończyli już na dziś i się wynieśli. Idąc na spotkanie przez pogrążony w ciemności plac i tuż przed drzwiami, Mike czuł, że to jego ostatnia szansa wycofania się z zachowaniem resztek godności. Ale w chwili gdy wszedł i wziął broń do ręki, klamka zapadła.

Majcher czekał na niego z rękami splecionymi na piersi i z uśmiechem na twarzy. Spojrzenie gangstera zdawało się mówić: „Wiedziałem, że nie skrewisz”.

Pozostała broń leżała w lichym kartonie po czterdziestu paczkach chipsów krewetkowych. Podczas gdy Mike oswajał się z browningiem, Majcher wyciągnął obrzyn.

– Trochę zardzewiały, ale na postrach będzie w sam raz – ocenił. Wycelował w Mike'a i parsknął śmiechem. Z kolei Mike wziął go na muszkę browninga. Majcher odwiódł kurek, wycelował w sufit i pociągnął za spust. Rozległ się stłumiony trzask. – Tak jak obiecałem, to tylko straszak. Za sprawny wybuliłyś dwa razy tyle za każdy dzień.

– Mnie pasuje – oświadczył Mike.

– Ależ wiem, Mike. Ciekaw tylko jestem, o co w tym wszystkim biega... O ile wiem, stać cię na wszystko, co tylko byś sobie wymarzył.

– A jeśli to coś nie jest na sprzedaż?

– Spodobał ci się, no nie? – Gangster patrzył, jak Mike przerzuca browninga z ręki do ręki. – Wsadź go za pasek na plecach, zobaczysz, jakie to uczucie.

Mike poszedł za jego radą.

– Czuję, że go tam mam.

– A ja go widzę... i w tym cały kłopot. Skombinuj sobie dłuższą marynarkę, i nie tak obcisłą. A tu masz dwa pistolety startowe. Nabite ślepakami, w razie gdyby trzeba było pohala-sować. Do tego replika twojego browninga i trochę starego badziewia z Falklandów, Iraku, cholera wie skąd.

– To rewolwer – rzekł Mike, prawą ręką wyjmując broń z pudła. – Nie sądziłem, że w wojsku wciąż ich używają.

Majcher zbył to wzruszeniem ramion.

– Ten studencik i twój kumpel Allan powinni trochę po-ćwiczyć. Jak będą forsować drzwi, muszą sprawiać wrażenie, że są na luzie.

Mike przytaknął ruchem głowy.

– A reszta ekipy?

– Nie bój nic, moje chłopaki dostaną klamki zawczasu.

Mike odłożył rewolwer do pudła, ale swojego browninga zostawił za paskiem na plecach. Potem wypróbował obrzyn. Był nieporęczny, ciężki i źle wyważony. Pokręcił głową i oddał go Majchrowi.

– Kiedy spotkamy się z tymi „chłopakami”?

– W dniu akcji. Będą uzbrojeni i mają rozkaz robić wszystko, co im każesz.

Mike skinął głową.

– A furgonetka?

– Zwędzili ją dziś wieczorem. Jest w bezpiecznym garażu... w tej chwili pewnie przykręcają fałszywe numery rejestracyjne.

– Ale nie tutaj?

Majcher pokręcił głową.

– Mam sporo takich melin porzucanych po całym mieście. Więc jakbyś chciał kiedy przegląd trefnej bryczki...

Mike zdobył się na uśmiech.

– Zapamiętam. Powiedz swoim chłopakom, że będą musieli się przebrać. I żeby żaden nie obnosił się z błyskotkami, po których można by ich zidentyfikować.

– Słuchajcie rad lokalnego eksperta – rzucił gangster i znowu parsknął śmiechem. – No to jak? Wszystko ustalone?

Mike wolno pokiwał głową.

– Pojutrze. Oby tylko farba na falsyfikatach zdążyła wyschnąć.

Rozległ się sygnał komórki Majchra, który wyjął ją z kieszeni i sprawdził numer na wyświetlaczu.

– Muszę odebrać – powiedział przepraszająco i odwrócił się do Mike'a plecami. – Już myślałem, żeś się urwał na samowolkę...

Mike udawał, że sprawdza broń, ale przysłuchiwał się rozmowie.

– I co, pójdzie na to? – mówił Majcher ze spuszczoną głową, jakby oglądał swoje buty. – To klawo... A gdzie, nic nie pogrywam, coś ty... to normalny zastaw... Dwa dni, góra trzy... No to do rychłego. – Skończył rozmowę i z szerokim uśmiechem odwrócił się do Mike'a.

– Zastaw? – zawtórował Mike.

Ale gangster tylko pokręcił głową.

– To jak? Wszystko ustalone? – powtórzył. Jak najszybciej chciał zakończyć to spotkanie.

– Tak sądzę... – Nagle Mike się skrzywił. – Nie, niezupełnie. Prawdę mówiąc, o czymś zapomniałem...

– Wyrzucić to z siebie.

Mike wsunął rękę do kieszeni, jak gdyby chciał, żeby jego prośba wypadła bardziej naturalnie.

– Jest jeszcze ta ofiara zabójstwa...

Majcher najpierw wytrzeszczył oczy, a potem zmrużył je porozumiewawczo.

– Chcesz, żebyśmy się dowiedzieli, czyja to robota, a potem załatwił ich na cacy, tak dla przykładu?

– Niezupełnie. – Mike zamilkł na chwilę, żeby jego słowa wywarły większy efekt. – Widzisz, do tego zabójstwa jeszcze nie doszło.

Majcher znowu zmrużył oczy.

– Nic nie kapuję – przyznał.

– Miej uszy otwarte, a wkrótce się dowiesz – odparł Mike.

14.

– Majcher był zawiedziony, kiedy mu powiedziałem, że w Galerii Narodowej nie mają Vettriana – oznajmił Mike.

Gissing parsknął do swojej szklanki. Siedzieli w nijakim barze w pobliżu dworca kolejowego. Był to lokal dla konkretnych klientów, którzy wpadali tylko na kielicha – żadnej telewizji czy szafy grającej, a głód można było oszukać jedynie przekąskami. Mike, który nie dogadzał sobie przez większą część ostatnich dziesięciu lat, ni stąd, ni zowąd zamówił dwie porcje koktajlu z krewetek. Myślał o pudle z bronią. Z braku lepszego miejsca schował je w bagażniku samochodu. Trzech starszków siedziało na stołkach przy barze, zupełnie nie zwracając uwagi na Mike'a, kiedy zamawiał drinki i przekąski. Gissing wybrał stolik najbardziej oddalony od drzwi. Na widok przekąsek zmarszczył nos i pociągał na przemian whisky słodową i piwo IPA.

– Vettriano nie jest jakoś powszechnie podziwiany – zauważył, ocierając pianę z ust.

– Ale dość popularny – odparował Mike, doskonale znając opinię profesora na ten temat. Gissing nie dał się jednak złapać na haczyk.

– A zatem czym zadowoli się nasz przyjaciel kryminalista?

– Uttersonem.

– *Zmierzyć nad Rannoch Moor?*

– Trafiłeś w dziesiątkę. Westie uważa, że namaluje go bez problemu.

– Pokazałeś Callowayowi zdjęcie?

– Owszem.

– I co, spodobał mu się?

– Interesowało go tylko, ile jest wart.

Gissing wzniósł oczy do nieba.

– Krzyżyk na drogę! – Znowu pociągnął haust piwa, a Mike zdał sobie sprawę, jak bardzo profesor się denerwuje. Sam z kolei z godziny na godzinę był coraz spokojniejszy. W Internecie znalazł i wydrukował plan okolic magazynu, wykonany z lotu ptaka, i wytyczył optymalną trasę furgonetki. Ustalił z Majchrem, gdzie odbiorą jego czterech dodatkowych ludzi i gdzie ich potem wysadzą. To oni po wszystkim mieli zabrać broń i się jej pozbyć. Patrząc na Gissinga, cieszył się, że starszek nie będzie osobiście szturmował magazynu z bronią w rękę – dłoń sięgająca po szklankę whisky wyraźnie drżała.

– Będzie dobrze – zapewnił go.

– Wiadomo, że tak, mój drogi. Chyba nie myślisz, że w to wątpię?

- Ale wiele rzeczy może pójść nie tak.
- Dasz sobie radę, Mike. – Profesor uśmiechnął się zmęczony. – Odnoszę wrażenie, że spodobała ci się ta zabawa.
- No, może – przyznał Mike. – Ale pamiętaj, że pomysł wyszedł od ciebie.
- Tyle że jak już to wszystko się skończy, mnie nie będą gnębić wyrzuty sumienia, a mam poważne obawy, że ciebie tak.
- Bylebyśmy tylko nie wylądowali za kratkami. Chryste Panie, wyobraź sobie, że naszym kumplem spod celi jest wkurzony Majcher Calloway!

Gissing uniósł dłoń, żeby mu przerwać.

- Jak to mówią Amerykanie, lepiej o tym nie myśleć.

Uśmiechnęli się do siebie i unieśli szklanki. Został tylko jeden dzień. Mike wiedział, że od rana musi mieć pełne ręce roboty, żeby się nie denerwować. Przerobili swój plan na piśmie, przeciwczyli go naście razy. Allan sprawdził najdrobniejsze szczegóły. Wiedzieli, co muszą zrobić i ile mają na to czasu. Ale pewnych czynników nie sposób było przewidzieć. Mike zastanawiał się, czy dlatego jest taki spokojny – typowy przykład *que sera sera*. Jako biznesmen zawsze chciał panować nad wszystkim, wiedzieć, co może się stać, i sterować biegiem wydarzeń. Jednak kiedy wziął do ręki tego browninga, poczuł dreszcz emocji. Ciężar pistoletu, jego mechanika... To było istne dzieło sztuki. Jako dzieciak uwielbiał bawić się pistoletami, miał wielki zbiór plastikowych żołnierzyków, kowbojów i Indian. Ba, starczyło, że dostał banana, a od razu celował z

niego w najbliższy obiekt. Jedna z ciotek przywiozła mu z Australii bumerang – i znów to samo. Zamykał jedno oko, celował i wydawał dźwięk imitujący huk wystrzału i świst kuli.

Przypomniał sobie Majchra, który siedząc w beemce serii 5, mierzył w niego z wymagowanego pistoletu. I jak w stacji kontroli pojazdów wziął do ręki obrzyn. Wierząc się na krzesło, czuł browninga zatkniętego za pasek na plecach. Noszenie pistoletu było nierozważne – gdyby tak ktoś go zobaczył i doniósł na niego na policję? – ale nie mógł się oprzeć. W sobotę po południu już nie będzie go miał. Wrócił pamięcią do hinduskiej restauracji i pomyślał, co by zrobili tamci, gdyby wyciągnął wtedy spluwę. Nie w restauracji, za dużo świadków. Ale na zewnątrz, gdyby ukrył się w cieniu i poczekał, aż się wytoczą na ulicę...

Gdy otworzyły się drzwi baru, Mike odwrócił wzrok w stronę wejścia. Ostrożność połączona z nieufnością... ale był to tylko kolejny pijaczyna. Zaledwie tydzień czy dwa temu w ogóle nie zwróciłby na to uwagi – cały świat miał na wyciągnięcie ręki – ale teraz było inaczej. Ciekaw był, czy po tym wszystkim będzie jeszcze tak jak kiedyś, czy będzie przesiadował w dodatkowej sypialni, w której trzymał wszystkie komputerowe szpeja, i gapił się na ekran albo oglądał na półkach ślady tego, że kiedyś coś znaczył – nagrody za osiągnięcia w biznesie i oprawione w ramki dyplomy uznania (Człowiek Sukcesu, Duch Twórczy, Szkocki Przedsiębiorca Roku...). Czy cokolwiek z tego ma jakieś znaczenie?

Nowy klient dołączył do kumpli przy barze. Zamykające

się drzwi przypomniały Mike'owi ów dzień w domu aukcyjnym.

Gdy otwierają się jedne drzwi, inne się zamykają...

I na odwrót, rzecz jasna.

– Ale zrobimy to, prawda? – Gissing uderzył się prawą pięścią w lewą dłoń i zaczął nią wiercić.

– O tak – potwierdził Mike. – Teraz już nie możemy zrezygnować.

– Zrezygnować to nie problem. Musimy się skupić na tym, co zrobić, żeby nam się upiekło. A co będzie potem, Michaelu?

– Pamiętaj, jesteśmy bojownikami o wolność... Po wszystkim czeka nas dobre samopoczucie. – Mike nie znalazł lepszej odpowiedzi.

Profesor milczał przez dłuższą chwilę. W końcu westchnął i spojrzął na niemal pusty kufel piwa.

– Wiesz, że w Szwajcarii całkiem niedawno skradziono *Chłopca w czerwonej kamizelce* Cezanne'a? Podobno na zamówienie. Teraz wisi sobie u kogoś na ścianie.

– Słyszałem o tym. Interpol szacuje, że co roku kradnie się dzieła sztuki o wartości sześciu miliardów dolarów... A wiesz, ile udaje im się odzyskać? Niewiele. – Mike dostrzegł pytającą minę Gissinga. – Ja też posprawdzałem to i owo, Robercie. Kilka kliknięć myszką i proszę... to czwarty najbardziej dochodowy przestępczy interes na świecie, po narkotykach, handlu bronią i praniu pieniędzy. Dla nas to dobra wiadomość, bo gdyby kiedyś odkryto nasze skromne przedsięwzięcie, policja skupi się na gangach i kryminalistach.

- A my się do nich nie zaliczamy?
- Nie w rozumieniu miejscowych łapsów.
- Uważasz siebie za drugiego Thomasa Crowna – zażartował Gissing. – Czy Laura będzie twoją Faye Dunaway?
- Dużo mi brakuje do Steve'a McQueena, profesoro... czy do Pierce'a Brosnana, skoro już o tym mowa...

Roześmiali się cicho.

– Do podziwiania nocną porą – odezwał się Gissing po chwili.

- Brzmi to jak cytat.
- Wiktoriański włamywacz, niejaki Adam Worth... niektórzy twierdzą, że był protoplastą postaci Moriarty'ego. Kiedyś ukradł obraz Gainsborough i tłumaczył, że zrobił to po to, żeby „podziwiać go nocną porą”.

– Mam nadzieję, że za dnia też go podziwiał.

Gissing przytaknął pogrążony w zadumie.

– Jeszcze jedną kolejkę? – zaproponował Mike.

Profesor odmówił ruchem głowy.

– Dziś wczesnie się kładę – powiedział. – Jakiej wymówki użył Allan tym razem?

– Kolacja z klientem. Nie wiedział, jak długo mu zejdzie. Ale na jutro odwołał wszystkie spotkania.

– No, zawsze to już coś. – Gissing wstał powoli, zobaczył, że w szklance zostało jeszcze nieco whisky, dopił ją do końca i westchnął głośno. – Do zobaczenia rano, Michael. Spróbuj wypocząć.

– Nie chcesz, żebym cię odwiózł do domu?

Gissing zbył propozycję machnięciem ręki i ruszył do

wyjścia. Mike odczekał kilka minut, dopił swoją whisky i wychodząc, skinął głową barmanowi na pożegnanie. Jego samochód stał na pojedynczej żółtej linii, nieco dalej przy tej samej ulicy. Profesor przepadł bez śladu. Dookoła były same galerie. Mike zajrzał przez okno najbliższej z nich, ale dostrzegł jedynie niewyraźne kształty na ścianach. Spojrzał w lewo i w prawo – nic go nie zaniepokoiło. Otworzył samochód i usiadł za kierownicą. Postanowił, że wróci do domu okrężną drogą, obok mieszkania Allana. Mieściło się tuż przy Leith Walk, w bezbarwnej części Nowego Miasta, ale było całkiem ładne, a w dodatku nigdy nie dochodziło tam do rozrób, zapewne dlatego, że dokładnie naprzeciwko znajdował się komisariat policji. Mike włączył światła awaryjne i zatrzymał się obok dwóch radiowozów. Stały przy krawężniku, puste i zamknięte. Mieszkanie Allana mieściło się na drugim piętrze. Zza zasłon przebiła światło. Rzecz jasna, nie świadczyło to, że Allan jest w domu – mógł je zostawić włączone dla bezpieczeństwa. Nie oznaczało też, że skłamał w sprawie kolacji. Nie był to dowód na to, że stał się ich kulą u nogi.

Jeszcze nie.

Kłopoty sprowadzały się do szczegółów. Mike poprosił Allana, żeby wyszukał wszystkie słabe punkty w ich planie – a zatem miał się skupić tylko na rzeczach negatywnych, na tym, co może pójść nie tak, a nie napalać się na przygodę. Allan udał się do Granton, przejechał obok magazynu i sprawdził okolicę, rejestrując wszelkie ruchy personelu, po czym zgłosił kilkadziesiąt potencjalnych zagrożeń i komplikacji. Zdaniem

Mike'a najwyraźniej uważał, że przedsięwzięcie najeżone jest pułapkami i niewykonalne. Mike był odmiennego zdania. Nawet Majcher Calloway – sam Majcher Calloway! – przychylił się do jego opinii. Potarł plecami o oparcie fotela i poczuł zatknięty za pasem pistolet. Siedząc pięć metrów od oświetlonego posterunku policji.

Był szefem.

Panował nad wszystkim.

Miał wyostrzone zmysły.

Zgasił światła awaryjne maserati i z rykiem silnika zjechał w dół ulicy, do serca Nowego Miasta.

15.

Spotkali się w mieszkaniu Mike'a w Murrayfield. Gissing najpierw przez kilka minut oglądał obrazy na ścianach, natomiast Allan chciał obejrzeć pokój komputerowy gospodarza. Wypytywał go o dane techniczne sprzętu i wychwalał kolekcję nagród.

Mike wiedział, o co w tym wszystkim chodzi – odkładali na później to, co nieuniknione. Zajął się parzeniem kawy, puściwszy im płytę Milesa Davisa. Zintegrowany system nagłośnienia w mieszkaniu miał tę zaletę, że Mike mógł wrzucić każde nagranie ze swojego iPoda do dowolnego pokoju albo do całego apartamentu. Głośniki były wbudowane w sufit, ale kilka z nich się zepsuło. Podobnie jak panel graficzny na ścianie salonu. Na tym polega kłopot z „inteligentnym domem” – im bardziej jest inteligentny, tym częściej coś się psuje. Jedna z wbudowanych w sufit kuchni żarówek też się przepaliła, ale to był halogen, i to wyjątkowo nieporęczny do wymiany. Mike czasami żartował, że kiedy padnie ostatnia żarówka, poszuka sobie nowego lokum.

Zaniósł tacę do salonu i postawił ją na stole jadalnym, obok kartonowego pudła.

– Wszystko gotowe – oświadczył.

Goście bez słowa podziękowali skinieniem głów, starając się nie okazywać ciekawości, co też zawiera pudło. Gissing przyniósł listę – siedem fałszywych nazwisk ludzi, którzy zapisali się na jutrzejsze zwiedzanie.

– Kiedy zrobiłeś rezerwację na tę imprezę? – zapytał Mike.

– Lista uczestników szybko się zapełnia – mruknął profesor.

– Kiedy? – naciskał Mike. Gissing wzruszył ramionami.

– Jakieś trzy, cztery tygodnie temu.

– Czyli jeszcze zanim zaczęliśmy to planować? Profesor przyznał mu rację skrzywieniem ust.

– Mówiłem ci, Mike. Myślałem o tym już od dłuższego czasu. W zeszłym roku zrobiłem tak samo: zarezerwowałem kilka nazwisk na zwiedzanie.

– Ale się spietrałeś? – domyślił się Allan.

– Nie wiedziałem, kto zechce mi pomóc. – Profesor siorb-
nął łyk kawy. – Wtedy prawie cię jeszcze nie znałem, Allan...

– A mnie jeszcze nie spotkałeś – dorzucił Mike.

Gissing wolno pokiwał głową.

– Sam pomysł to jedno, ale wprowadzenie go w czyn to in-
na para kaloszy. – Kubkiem z kawą wznosił toast za zdrowie gospodarza.

– Jeszcze tam nie dotarliśmy – przestrzegł go Mike. – W jaki sposób zarezerwowałeś miejsca?

– Telefonicznie.

– Ale nie na swoje prawdziwe nazwisko?

– Wszystkie nazwiska są lipne. Poprosili o numery kontaktowe, o czym z góry wiedziałem, więc dałem im numery restauracji hinduskich i chińskich. Nie zadzwonią tam, chyba że impreza zostałaby odwołana.

– A w tym roku jej nie odwołają?

Gissing pokręcił głową.

– Wczoraj kazałem sekretarce zadzwonić do nich i spytać, czy udałoby się wkręcić do którejś grupy jednego studenta.

Poinformowali ją, że wszystkie grupy mają komplet, a zatem impreza się odbędzie.

Mike zastanawiał się przez chwilę.

– W porządku – powiedział, próbując sprawiać wrażenie, że jest uspokojony. Otworzył pudło i wyjął pierwszą sztukę broni. Położył ją na blacie stołu, a potem drugą, trzecią, czwartą... – Wybierajcie. To, co zostanie, dostaną ludzie Majchra.

– A ten obrzyn? – zapytał Allan, który dostrzegł wystającą pionowo z pudła lufę.

– To też jest dla nich.

Gissing ważył w dłoni jeden z pistoletów startowych.

– Możecie mi wierzyć albo nie, ale jako chłopak strzelałem. W mojej szkole prowadzili szkolenie kadetów. Czasami dawali nam nawet ostrą amunicję.

– Jutro jej nie będzie – rzekł Mike.

– Jest cięższy, niż na to wygląda – zauważył Allan, biorąc kolejny pistolet. Przyjrzał mu się uważnie. – Podobno numery seryjne miały być spiłowane.

– Tych nie da się wytropić – zapewnił go Mike.

– Zdaniem twojego kumpla Majchra – odparował Allan. Zamknął jedno oko i wycelował w okno. – Sęk w tym, że jeżeli wpadniemy tam i zaczniemy wymachiwać spluwami, strażnicy mogą nas zaatakować ze zwykłego strachu.

– Chłopaki Majchra są po to, żeby do tego nie dopuścić.

– Ale powiedzmy, że jakiś strażnik rzuci się na mnie. – Allan obstawał przy swoim. – Mam pociągnąć za spust i krzyknąć: „Pif-paf”?

– W razie czego improwizuj – burknął Gissing.

– Pistolety startowe strzelają ślepakami – wyjaśnił Mike. – Sam huk powinien powstrzymać ich zapędy.

Profesor podniósł rewolwer.

– Ale ten jest prawdziwy, mam rację?

– Został z Falklandów czy po wojnie w Zatoce – przyznał Mike. – Chyba coś o tym wiesz, prawda?

– Szczerze mówiąc, moja wiedza na ten temat mocno zwie-trzała. A co ty wybrałeś, Michaelu? Masz jakieś szczególne upodobania?

Mike sięgnął za pasek dżinsów, pod wypuszczoną na wierzch luźną koszulę, i jednym płynnym ruchem wyciągnął browninga.

– Jezus, Mike, zrobiłeś to tak, jakbyś ćwiczył latami – rzekł Allan.

Mike uśmiechnął się.

- Miałem go przy sobie wczoraj w barze.
 - Wiedziałaś o tym? – spytał Gissing Allana. – Bo ja nie miałem pojęcia.
 - Założę się, że gdybyś go wyciągnął, obsługa od razu zaczęłaby się ruszać, jak należy – skomentował bankier.
 - Jak już sobie wybieriecie, co chcecie, macie nie rozstawać się z bronią... przyzwyczajajcie się do niej – wrócił do tematu Mike, ruchem głowy wskazując arsenał w pudle.
 - Ja nie będę miał okazji, żeby skorzystać z mojej – oświadczył profesor.
 - Nie, jeżeli będziesz na zewnątrz w furgonetce... ale nie wiemy, jak się rozwinie sytuacja w środku. Wystarczy, żeby jeden dodatkowy strażnik patrolował teren, a mamy problem. I dlatego ją weźmiesz. – Ruchem głowy wskazał broń Gissinga.
 - Rozumiem – odparł profesor, kiwając głową.
 - Nawiasem mówiąc, to był mój pomysł – wtrącił Allan. – Teren jest olbrzymi, łatwo o niespodzianki.
 - Miło widzieć, że się przykładasz do roboty – odparł Gissing. – Jak zacząłeś krzyczeć wczoraj wieczorem, przyznam, że nabrałem wątpliwości...
 - A właśnie – wpadł mu w słowo Mike. – Jak się udała kolecja?
 - Świetnie. – Allan odpowiedział za szybko, a jego oczy błędziły wszędzie, byleby nie napotkać wzroku przyjaciela.
- Gissing i Mike porozumieli się spojrzeniem. Profesor

przekładał broń, którą sobie wybrał, z ręki do ręki. Spróbował schować ją do wewnętrznej kieszeni tweedowej marynarki, ale wyglądało na to, że w każdej chwili pistolet może wypaść.

– Jutro chyba włożę coś z większymi kieszeniami.

– W każdym razie ubierz się w coś, co potem będziesz mógł wyrzucić – przypomniał mu Mike. – Żadnych ulubionych koszul czy marynarek. Wszystkich ciuchów musimy się pozbyć.

– Jasne. – Allan wetknął swój pistolet za pasek na brzuchu. – Ale jak z tym usiądę, odstrzelę sobie przyrodzenie – poskarżył się. Przesunął broń za pasek na plecach. – Już lepiej – oświadczył.

– Czyli że jesteście gotowi, tak? – Mike poczekał, aż przyjaciele potwierdzą to skinieniem głów. Coś mu nie dawało spokoju. Gissing już kilka tygodni temu zrobił rezerwację na zwiedzanie... na siedem fałszywych nazwisk. A zatem stary wiedział, że będzie potrzebna im pomoc. Teraz więc zapytał go o to.

– To wcale nie dlatego – sprostował profesor. – Uznałem, że im więcej martwych dusz wsadzę do grupy, tym mniej uczestników będę miał na głowie tego dnia. Tak się złożyło, że mieli siedem wolnych miejsc, więc podałem im siedem nazwisk. I to by było na tyle.

Mike odwrócił się do Allana – „faceta od szczegółów”. Ten skrzywił się i odchrząknął.

– Nie podoba mi się tylko jedno, dziewczyna Westiego – powiedział.

– Zgadza się – burknął Gissing. – Chętnie bym sobie

pogadał z naszym młodym przyjacielem, że wyciął nam taki numer.

– Ale dopiero jak skończy swoją robotę – poradził mu Mike. – Nie wolno go teraz rozpraszać.

– Nikt z nas nie powinien się rozpraszać – dorzucił Allan.

– Czyli że czasem będziesz musiał zrezygnować z kolacji na mieście – zadrwił Gissing.

– Mam zmienić nasze stałe zwyczaje?

– Allan ma rację – wtrącił się Mike. – Powinniśmy udawać, że żyjemy tak jak dotychczas.

W tym momencie pisnął telefon komórkowy Allana – znak, że nadszedł SMS. Bankier zaczął czytać wiadomość. Mike miał ochotę wyrwać przyjacielowi komórkę z ręki, ale to by nie wpłynęło najlepiej na morale zespołu.

Widząc, że gospodarzem miotają sprzeczne uczucia, Gissing uśmiechnął się krzywo, bezgłośnie powiedział: „jak dotychczas”, po czym wycelował pistolet w telefon Allana, udając, że rozwała go w drobniaki.

• • •

Mike zaproponował, żeby pojechali jego maserati quattroporte, lecz Allan stwierdził, że taki samochód za bardzo rzuca się w oczy, i zawiózł ich swoim audi. Gissing usiadł z przodu, ale Mike na tylnym siedzeniu pochylił się tak, że jego twarz zrównała się z przednimi fotelami. Profesor zaproponował wprawdzie, że usiądzie z tyłu, Allan przypomniał mu jednak, że skoro następnego dnia ma prowadzić, to lepiej, żeby oswoił się z widokiem zza kierownicy.

– Ty rzeczywiście myślisz o wszystkim – pochwalił Gissing.

– Chyba jednak nie – zaproponował Mike. – I stąd ten poranny rekonesans.

Nigdzie nie dało się szybko dojechać. W centrum miasta kładziono linie tramwajowe, co oznaczało roboty drogowe, korki i tymczasowe światła. Z radia leciała klasyka, pewnie po to, żeby zaprowadzić spokój. Gissing zapytał, czy to ta sama droga, którą będą wracali jutro.

– Zależy, czy chcesz się wpakować na minę, czy dotrzeć na miejsce spotkania – odparł Mike.

– Czyli gdzie? – zainteresował się Allan.

– W Gracemount... właśnie tam jedziemy. Nie wiem dokładnie, gdzie będzie czekała furgonetka... Majcher zawiadomi mnie SMS-em z samego rana.

– A więc nie wypróbujemy furgonetki przed skokiem? – W głosie Gissinga pobrzmiwał sceptycyzm. – Czy to nie za duże ryzyko?

– Mówiłem dokładnie to samo – wtrącił się Allan.

– Majcher zapewnia, że wóz jest w porządku – powiedział Mike z naciskiem.

– A on jest fachowcem, tak?

Mike wlepił wzrok w profesora.

– Przyznaję, że jak dotąd owszem... przynajmniej w porównaniu z nami.

– Wobec tego wierzę ci na słowo.

Mike sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwie podwójnie złożone kartki.

- Wydrukowałem to z Internetu... najszybsza droga z rejonu Gracemount do mieszkania Westiego i stamtąd do Granton.
- Podał je profesorowi. – W sobotę właściwie nie będzie godzin szczytu, ale wykluczyłem Leith Walk.
- Bo kładą linię tramwajową. – Allan z uznaniem kiwnął głową.
- Nawet nie wiedziałem, gdzie leży Gracemount – mruknął Gissing, przyglądając się mapie i dołączonym instrukcjom.
- I właśnie dlatego teraz tam jedziemy – wyjaśnił Mike. Już wcześniej postanowił, że wystartują na dzisiejszą wyprawę z Gracemount Drive, tuż za szkołą. Gdy dotarli na miejsce, Allan zapytał profesora, czy nie chce się zamienić miejscami, ten jednak pokręcił tylko siwą głową.
- Łatwiej nauczę się trasy jako pasażer niż jako kierowca.
- I tu się nasuwa pytanie – rzekł Allan. – Kiedy będziemy w magazynie, musisz czekać na nas w furgonetce, ale czy koniecznie to ty musisz ją prowadzić?
- Myślisz, że nie potrafię? – Gissing odwrócił się do Allana i przyspilił go wzrokiem. – Za młodu rozbijałem się sportowym MG.
- I co się z nim stało? – zapytał Mike z uśmiechem.
- Doszedłem do wniosku, że nie jest to stosowny pojazd dla faceta pod sześćdziesiątkę. Ktoś z personelu kupił sobie porsche, gdy miał pięćdziesiąt pięć lat, i wtedy uznałem, że MG trzeba się pozbyć.
- Bo porsche przebiło twoje auto? – rzekł Allan.

– Też coś! – zachnął się profesor. – Ale wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak śmiesznie wygląda podstarzały facet w sportowym wozie.

– Moje quattroporte to też samochód sportowy – przypomniał Mike.

– Ale ty jesteś w odpowiednim wieku – oświadczył Gissing.

– Moim zdaniem profesor chce poprowadzić furgonetkę – zwrócił się Allan do Mike'a.

– A zatem ma moje błogosławieństwo – skwitował Mike.

Gissing prychnął głośno i wrócił do studiowania planu.

Spod szkoły wrócili do miasta pod mieszkanie Westiego – jutro mieli odebrać go stamtąd razem z obrazami – i przez chwilę siedzieli w samochodzie przed jego kamienicą. W końcu, kiedy zwrócili na siebie uwagę dozorczy, włączyli się do ruchu i ruszyli w kierunku the Mound i Nowego Miasta.

– Co zamierzasz robić po przejściu na emeryturę? – zapytał Allan profesora.

– Opylam wszystko i wybywam – odparł Gissing. – Pieńiądze ze sprzedaży domu starczą mi na kupno chałupki gdzieś na zachodnim wybrzeżu. Wypełnię ją książkami, obrazami i będę podziwiał widoki za oknem.

– Nie będziesz tęsknił za Edynburgiem?

– Spacerując po plaży, nie będę miał do tego głowy.

– Upatrzyłeś sobie już jakieś konkretne miejsce? – zainteresował się Mike.

– Najpierw wystawię posiadłość na sprzedaż i zobaczę, na co będzie mnie stać.

– Studentom będzie cię brakowało – powiedział Allan.

Milczenie profesora świadczyło o tym, że podziela jego zdanie.

Mike odchrząknął.

– Na pewno chcesz się wynieść na zachodnie wybrzeże? Dopiero co mówiłeś o przeprowadzce do Hiszpanii.

– Tylko krowa nie zmienia zdania – odburknął Gissing. – Gdzie bądź, byle nie w tym pieprzonym mieście...

Wkrótce wjechali na Inverleith Road, minęli ogród botaniczny i skręcili w Feny Road, skąd rozciągał się widok na Firth of Forth. Gdy znaleźli się na Starbank Road, Allan zapytał Mike'a, czy jest pewien, że rano będzie to najszybsza trasa.

– Może nie najszybsza, ale z pewnością najłatwiejsza.

W Google Mike znalazł wykonaną z lotu ptaka mapę okolic magazynu. W weekendy strefa handlowa była niemal pusta, ale w piątek, prawie w porze lunchu, wszędzie kręciły się ciężarówki i furgonetki dostawcze. Przypuszczał, że kierowcy już teraz myślą o wypadzie do baru po pracy, wyskoczeniu na mecz albo na zakupy w sobotę i o błogim lenistwie w niedzielę. Nagle przyszedł mu do głowy absurdalny pomysł, że ktoś jeszcze planuje ten skok, że jest inna grupa, która wpadła na ten sam pomysł co Gissing, i chce ich uprzedzić. Kiedy jednak przejeżdżali wolno obok wartowni, samochody stojące przy krawężniku były puste, dopiero czekały, aż ich właściciele skończą pracę. Jediną furgonetką był bar na kółkach serwujący gorące dania czekającym spokojnie w kolejce ludziom. Mężczyźni palili papierosy, dowcipkowali i szurali nogami. Mike marzył o papierosie – byłby to dopiero drugi tego dnia.

Allan zaparkował na najbliższym wolnym miejscu i zgasił silnik. Mike poprosił, żeby znów go włączył, by działała elektryka, po czym opuścił szybę i zapalił papierosa. Allan też się poczęstował i opuścił szybę po swojej stronie.

– Rozprostujemy nogi, czy boicie się, że zarejestrują nas kamery przemysłowe? – zapytał Mike.

– Bo ja wiem? – mruknął Allan. – Mają tu kamery... – Wskazał je ruchem ręki. – Są wycelowane w bramę i teren wokół magazynu, więc wątpię, żeby nas wyłapały, ale mimo wszystko...

– Byłeś już tutaj? – spytał Gissing.

– Założę się, że nie raz – odpowiedział mu Mike. Otworzył drzwi i wysiadł. Po chwili namysłu Allan poszedł w jego ślady, ale profesor został na miejscu. Mike nachylił się i zapytał go przez szybę:

– Nie dołączysz do nas?

– Zapominasz, Michael, że tutaj znają moją twarz jak własną kieszeń. Gdyby jakiś strażnik uznał, że ma ochotę na hamburgera albo na bułkę z bekonem, mógłby mnie rozpoznać.

Mike przyznał mu rację ruchem głowy. Allan palił papierosa i udawał, że nie przygląda się budynkowi, który właśnie minęli.

– Nie rzuca się w oczy, prawda? – zauważył.

Na ulicy nie było strażników, nic nie wskazywało na to, że w magazynie znajdują się dzieła za grube miliony dolarów. Wartownik w budce czytał gazetę i pogryzał batonik czekoladowy. Płot był wysoki, w doskonałym stanie i zwieńczony

drutem kolczastym. Ale tak samo wyglądały sąsiednie posesje, z których jedna reklamowała się jako „sala wystawowa z podwójnymi szybami”. Tablica na ogrodzeniu ostrzegała przed całodobową ochroną i złymi psami. Mike podchwycił spojrzenie Allana.

– Złe psy?

– Tylko na nocnej zmianie. A co jakiś czas przejeżdża tędy facet w furgonetce.

Mike skinął głową i skupił się na papierosie.

– Wrzuciłbyś coś na ząb? – zapytał przyjaciela.

– Naprawdę chcesz, żeby Tłusty Joe podał nasze rysopisy facetom ze śledczego?

Mike przyznał mu rację wzruszeniem ramion. Dopadł go jednak głód. Jak cudnie byłoby tam podejść i pogadać z ludźmi, mając za pasem pistolet, a w głowie plan przestępstwa. Pragnął tego tak bardzo, że ledwo mógł się powstrzymać.

Szczyt głupoty.

Na wolnym miejscu, cztery samochody przed audi, zaparkował inny wóz, rover. Wsiadł z niego facet z nadwagą i w prążkowanej garniturze, który podobnie jak jego właściciel, pamiętał lepsze czasy. Zamknął auto i ruszył do budki zjedzeniem, musiał więc po drodze minąć obu palaczy. Skinął im głową na powitanie, przeszedł dalej, ale nagle zatrzymał się i odwrócił.

– Klawa bryka, kierownika.

– Dzięki – odparł Allan.

Gdy facet w garniturze ruszył dalej w kierunku furgonetki

z zarcieciem, Allan zauważył, że stojący w kolejce też zainteresowali się jego samochodem. Pstryknął na wpół wypalonego papierosa do rynsztoka.

– Bogu dzięki, że nie wzięliśmy maserati – mruknął.

Co rzekłszy, znów usiadł za kierownicą.

Mike został na miejscu, dopalił papierosa do końca i przydeptał niedopałek. Dopiero wtedy usiadł z tyłu.

– Myślisz, że ta frytkarnia na kółkach w sobotę też tu będzie? – zapytał.

– Wątpię – odparł Alan, zapalając silnik. – W weekendy jest tu za mało robotników, żeby mu się opłacało. – Ruszył, skręcił w najbliższą przecznicę i znów zahamował. – Tu będziemy stać jutro – powiedział.

– Mamy stąd widok na bramę, ale strażnicy nas nie widzą – rzekł Gissing.

– Więc możemy stąd obserwować wchodzących i wychodzących gości – dodał Mike.

Allan zawrócił na trzy i znowu zatrzymał się w wybranym miejscu, na wprost magazynu. Chciał sprawdzić, czy instynkt go nie zawodzi. Czy jakieś kamery są skierowane na jezdnię? Nie. To był ślepy zaułek, nikt tędy nie przejeżdżał. Mieli stąd doskonały widok na wszystkich, którzy wchodzili na teren magazynu i wychodzili.

– Zaparkujesz tutaj, Robercie – oświadczył. – Kiedy będziemy, daj nam kilka minut i bierz się do roboty.

Mike przejął pałeczkę.

– Jeden z chłopaków Majchra będzie już wtedy w wartowni. Podniesie ci szlaban.

– A ja podjadę tyłem pod rampę załadunkową – rzekł Gissing.

– A potem? – Mike chciał go sprawdzić.

– Czekam – padła odpowiedź.

– A jeśli nie pokażemy się w ciągu kwadransa?

– Odjeżdżam i jesteście zdani na siebie. – Profesor uśmiechnął się zimno. – Ale mam zabrać tego zbrodniarza spod wartowni, czy też go zostawić?

– Decyzja należy do ciebie – zarządził Mike. – To co, macie jakieś zastrzeżenia czy wszystko w porządku?

– Niepokoi mnie parę rzeczy – odezwał się Allan zza kierownicy. – Ci od Majchra wchodzą do akcji z marszu.

– Nie będzie problemu, dopóki sami będziemy wiedzieli, co robić. To, że oni nie wiedzą zbyt wiele, działa tylko na naszą korzyść. – Mike przerwał na chwilę. – Co jeszcze cię martwi?

– Dlaczego nie ma teraz z nami Westiego? Przecież jutro też tu będzie.

– Ma pełne ręce roboty, kończy kopię Uttersona – wyjaśnił Mike. – Ale nic się nie martw, potem jeszcze raz wszystko z nim powtórzę.

Allan pokiwał głową najwyraźniej usatysfakcjonowany, ale Mike nie spuszczał oka z jego odbicia w lusterku wstecznym, dopóki nie nabrał pewności, że przyjaciel rzeczywiście się uspokoił.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że damy obraz temu cholernemu bandziorowi – mruknął Gissing.

– Ale tak będzie, więc pogódź się z tym – warknął Mike.

Zapadła cisza i wszyscy trzej gapili się na magazyn, pogrążeni we własnych myślach. – No dobra – odezwał się w końcu Mike. – Ostatnia sprawa to samochód do ucieczki. Myślałem o tym, żeby zostawić maserati przy Marine Drive, ale mam wątpliwości...

– Audi jest bezpieczniejsze – przytaknął Allan. – Nie przyciąga tak bardzo uwagi.

– A zaryzykujesz zostawienie go na Marine Drive przez kilka godzin?

– Czemu nie?

– Zakładam, że nic nie nawali po drodze?

– Dopiero co wrócił z przeglądu. – Allan poglądził kierownicę, jak gdyby chciał przeprosić obrażony samochód.

– Może wynajmijmy kilka samochodów? – zaproponował Gissing.

– Lepiej nie – przestrzegł Mike. – Zostałby ślad na papierze.

– Czy tak ci doradził twój przyjaciel Calloway?

Mike zbył to milczeniem. Miał jeszcze jedno pytanie do Allana.

– Czy bagażnik twojego samochodu pomieści wszystkie obrazy?

– Sam się przekonaj.

– Zostawisz go tam na noc, czy zaparkujesz z samego rana?

– Skoro świt – postanowił Allan. – Prognozy pogody przewidują deszcz, więc pewnie nawet psów nikomu nie będzie się chciało wyprowadzać.

– Wobec tego spotkam się tam z tobą. Potem skoczmy do mnie na śniadanie i pojedziemy do Gracemount.

– Czy ja też mam się spotkać z wami w Gracemount? – zapytał Gissing.

– To już zależy od ciebie, profesorze – odparł Mike.

– Więc pewnie tak zrobię... zamówię minitaksówkę.

– Tylko zapłać gotówką – wtrącił się Allan. – Nie bierz rachunku, nie zostawiaj żadnego śladu na papierze, tak jak mówiliśmy.

– A najlepiej pojedź autobusem do centrum i dopiero tam złap taksówkę – dodał Mike.

– Jasny gwint! – burknął Gissing. – Obaj gadacie jak prawdziwe bandziory.

– Bo jesteśmy prawdziwymi bandziorami – przypomniał mu Allan. – A teraz zapnijcie pasy, panowie. Do Marine Drive jest rzut beretem, ale nie chciałbym, żeby nas zgarnęła drogówka...

16.

Westie padał z nóg, ale podobało mu się takie wyzwanie. Zaczął marudzić Alice, że w lodówce nie ma nic do jedzenia, a w kredensie gorzały. W końcu zwróciła mu uwagę, że do najbliższego sklepu ma dwie minuty spacerkiem.

– Czy ja wyglądam na takiego, co ma dwie minuty?! – wydarł się na nią.

– Gdybyś co kwadrans nie robił sobie skręta, miałbyś wolne całe pieprzone popołudnie – odcięła się.

– Pamiętaj, ja to robię dla ciebie.

– Tak, jasne...

Co rzekłszy, wybiegła wzburzona z pracowni, kopniakiem usuwając puste opakowanie po pizzy, które znalazło się na jej drodze. Pudełko zagrzechotało, a więc jednak nie było puste. W środku znajdowały się dwa kawałki z resztkami sosu pomidorowego – w tych okolicznościach to prawdziwa uczta. Westie pracował przy muzyce – w tle leciał Bob Marley, John Zorn, Jacques Brel i P.J. Harvey. Jakiś czas temu płyta Breła

posłużyła za tacę do drinków i w rezultacie przeskakiwała, ale Westie miał to gdzieś, i tak nie znał francuskiego. Podobała mu się pasja piosenkarza. Pasja, elegancja i zaangażowanie.

– Nadajemy na tych samych falach – zagrychał pod nosem.

Wziął kolejny pędzel i zazgrzytał szorstkim włosiem o krawędź sztalugi. Potem uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie swoją małą tajemnicę. Przy bliższym spojrzeniu widział jak ten sekret gapi się na niego. Przytknął palec do ust.

– Ciii! – wyszeptał.

Zachichotał cicho, włożył do ust ostatni kawałek pizzy, zapalił resztki poprzedniego skręta i wrócił do roboty.

• • •

Ransome przypomniał sobie stare powiedzonko: cisza przed burzą.

Próbował wytropić człowieka zwanego Nienawiść, ale bez powodzenia. Glenn radził sobie z równie mizernym skutkiem, chociaż wszystkie męty i szumowiny w mieście dostały rozkaz wypatrywania tego człowieka. Nienawiść musiał więc zatrzymać się gdzieś poza Edynburgiem, dlatego też Ransome poszerzył obszar poszukiwań na zachodnie i wschodnie Lothian, a nawet na Fife po drugiej stronie mostu Forth... To również nic nie dało.

W okolicy było pełno pól namiotowych i obozowisk dla przyczep kempingowych, ale jak dotąd detektyw też na nic tam nie trafił. Postanowił więc zabrać się do tego od innej strony.

Zwrócenie się do Interpolu miało w sobie coś pasjonującego – wstydził się do tego przyznać, lecz taka była prawda. Dokładny rysopis... możliwe związki z Aniołami Piekieł... Skandynaw. Czego więcej im trzeba?

No, na początek przydałoby się nazwisko – zażartował w e-mailu jeden z jego korespondentów. Ransome sięgnął więc po ostatnią deskę ratunku i skontaktował się z kumplem ze Szkockiego Archiwum Kryminalnego, chociaż wątpił, żeby Nienawiść był notowany na terenie Wielkiej Brytanii.

– Podzielam twój sceptycyzm, ale mogę poszperać w kilku bazach danych – odparł ów kumpel.

Ransome wybrał się także do Świecącej Gwiazdy i popytał personel o Majchra Callowaya i Michaela Mackenziego. Millioner był im prawie nieznany, natomiast na temat gangstera nikt nie miał ochoty gadać.

– Nigdy nie sprawiał nam kłopotów – wyraziła swoją opinię kierowniczka lokalu.

– Ale sprawi – zapowiedział Ransome.

Tak mu się spodobała ta wymiana zdań, że powtórzył ją na posterunku Benowi Brewsterowi. Ben zdobył się na wymuszony uśmiech, nie spuszczać wzroku ze sterty papierzysek na biurku kolegi.

– Zajmę się nimi – ofuknął go Ransome.

Tyle że Calloway zabierał mu zbyt dużo czasu za dnia, a nawet i po nocach. Detektywowi śniło się, że ściga gangstera pieszo po ulicach rozległego miasta. Jego ofiara najwyraźniej lepiej znała teren i ciągała go po hotelach, biurówcach i fabrykach. W pewnej chwili Ransome próbował uwieść szykowną

kobitkę w holu, gdy naraz uświadomił sobie, że Calloway wcisnął się do pobliskiej szafki i podsłuchuje, jak usiłował podebrać tę babkę.

Jeżu, ależ miał ochotę na kielicha! Próbował dodzwonić się do Laury i sprawdzić, czy przypadkiem nie jest wolna po pracy. Jak dotąd trzy razy nagrał jej wiadomość. Siedział przy swoim biurku w wydziale śledczym przy Torphichen Place i oddychał z trudem. Zupełnie jakby z całego komisariatu wyssano powietrze. Poszedł do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Za dużo kawy, powtarzał sobie. Za dużo stresu. Jego żona Sandra wieczorami chodziła na kursy gotowania – kuchnia tajska, chińska, z Kaszmiru, „fuzja smaków”. Podczas kolacji oddziaływanie nieznanymi mu dotąd pikantnych składników fatalnie odbijało się na stanie jego żołądka. Nie mógł jednak powiedzieć tego Sandrze prosto w oczy. W szufladzie biurka miał wielki zapas tabletek na niestrawność, ale nawet te proszki niewiele dały i czasami oblewał się zimnym potem.

Gdyby tak można było otworzyć okno...

Jego prośba o całodobową obserwację Callowaya spotkała się z wybuchem drwin ze strony szefostwa. Zarządzono cięcia w wydatkach, więc skąd mają wziąć fundusze na godziny nadliczbowe? Zresztą w dochodzeniówce i tak cierpieli na brak ludzi. Ransome zniósł to jak mężczyzna i dumnie wymaszerował z pokoju. Pewnej nocy sam nawet podjechał na nowe osiedle, gdzie mieszkał Calloway. Samochód stał na podjeździe; w salonie paliły się światła; nigdzie ani śladu Johnno czy Glenna.

Glenn... kolejny facet, który winien mu był SMS-a, telefon czy wiadomość.

Glenn Naiwniak, którego wydział śledczy przymknie bez trudu, kiedy już Calloway trafi za kratki. Oczywiście zakładając, że Johnno nie zgłosi sprzeciwu i pozwoli mu objąć tron po dawnym szefie. Glenn może i miał więcej rozumu, ale Johnno był zdolny do każdej podłości. Gdy już usuną Callowaya, z pewnością spróbuje wykorzystać okazję. Za kim opowie się stara ekipa Majchra... za mózgowcem czy za mięśniakiem? Ransome'a niespecjalnie to obchodziło. Lada chwila pułapka miała się zatrzaskać.

Przed wyjściem z pracy Brewster zaproponował, żeby wyskoczyli na jednego szybkiego. Tylko że jeden szybki nigdy nie był szybki. Przede wszystkim nie mogli popijać w pobliżu komisariatu – zbyt duże ryzyko, że natkną się na kogoś, kogo woleliby nie spotkać... na przykład przestępcę, który dopiero co wyszedł na wolność i pałał żądzą zemsty. Oznaczało to, że musieliby wyskoczyć gdzieś dalej, a Ransome nie miał ochoty na przejażdżkę z kolegą z pracy.

– Co robisz w weekend? – odpowiedział pytaniem, starając się, żeby zabrzmiało to tak, jakby naprawdę go to obchodziło.

– Jutro są otwarte drzwi... zabieram córki do studni Świętego Bernarda.

– A co, nie masz ich w domu?

– Studnie są nad Water of Leith... kiedyś było tam uzdrowisko, ale dzisiaj są zamknięte na cztery spusty.

– Chodzi mi o to, co to takiego te otwarte drzwi?

– Dzień otwarty. Ludzie zwiedzają rozmaite budynki, które na co dzień nie są dostępne dla gości. Łoże masońskie, banki, takie tam rzeczy. Zdaje się, że swoje drzwi otwiera nawet posterunek w Leith.

– To wygląda jak zapowiedź rozruchów.

– Ubaw jest przedni. Poza tym Ellie uważa, że córkom się to przyda.

– No to powodzenia. – Ransome wiedział, że Brewster ma dwie córki wkraczające w wiek dojrzewania oraz żonę, która tak jak Sandra, zawsze stawiała na swoim. Dziewczęta uczęszczały do prywatnych szkół, co skądinąd mocno nadwerężało kieszeń. Był to niezły powód, żeby nie mieć dzieci... inna sprawa, że Sandra nie przejawiała szczególnego zainteresowania potomstwem. Ransome siedział przy biurku, dopóki wszyscy nie wyszli. Lubił pomieszczenie wydziału śledczego, kiedy było całkiem ciche i puste. Gapiąc się na ekran, uświadomił sobie jednak, że nie ma pojęcia, co ze sobą począć. Miał mnóstwo roboty papierkowej, ale ta nie ucieknie. Może zajrzy tu jutro albo w niedzielę... w kilka godzin nadrobi zaległości i da Brewsterowi materiał do przemyśleń na poniedziałek rano.

Półtorej godziny później Ransome zdążył już wpaść do domu, zjeść indyjski placek z jagnięcina i się przebrać, a teraz siedział w swoim stałym barze przy Balgreen Road. Akurat odbywał się konkurs rzucania strzałkami i każdego innego dnia wzięłby w nim udział, ale nie dzisiaj. Szukali dwóch drużyn do barowej zgaduj-zgaduli, ale od tego też się wymigał. Myślał o Majchrze Callowayu z całą tą jego forszą... i o Michaelu Mackenzie z jego majątkiem. Fakt, chodzili razem do szkoły,

bez problemu sprawdził to w kartotece. Możliwe też, że – jak mówił Glenn – wpadli na siebie przypadkiem. Ale mogło być i tak, że Glenn robił go w konia albo dał się oszukać Majchrowi. Mackenzie zbił fortunę na komputerach. Calloway z pewnością miał więc do niego jakiś interes... albo chciał go oskubać, albo wymusić na nim haracz za ochronę.

A może Calloway chciał skorzystać z jakichś jego szczególnych umiejętności? Od razu przychodziły na myśl zdolności hakera. Jasne jak słońce, że w dzisiejszych czasach obrobienie banku takiego jak First Caly nie polegało na włamaniu się tam na siłę czy sforsowaniu zamków... wystarczyło tylko pokonać ich zabezpieczenia elektroniczne. A tego można było dokonać z dowolnego miejsca...

Odczekał jeszcze godzinę, a następnie zadzwonił na posterunek i zapytał, czy wszystko w porządku. Wydzwaniał tak czasami wieczorem i kiedy akurat miał wolne. Łączył się z policyjną centralą telefoniczną w Bilston albo bezpośrednio z komisariatem przy Torphichen Place.

– Tu Ransome.

Nic więcej nie musiał mówić. Znali go dobrze i od razu sy-pali informacjami. Kradzieże albo podpalenia samochodów, włamania, bójki, awantury domowe. Zapuszkowani dealerzy, ekshibicjoniści pod kluczem, przymknięci włamywacze do sklepów. Pod względem liczby i różnorodności popełnianych przestępstw piątkowe wieczory ustępowały tylko sobotnim. Ten piątek nie różnił się od innych.

– Wciąż jeszcze szukamy kilku skradzionych samochodów osobowych i furgonetek – poinformowali Ransome'a. – Dwóch

pijaków wywalili z męskiej bibki przy Lothian Road, a teraz się mszczą. No i nad kanałem jakiś starszy facio dostał w łeb.

Ransome'a wcale to nie zdziwiło – podobnie jak wiele dzielnic Edynburga okolice kanału były znacznie niebezpieczniejsze, niż się wydawało. Pewnie jakieś szczeniaki z Polwarth albo Dairy.

– A co on tam robił? – zainteresował się.

– Na oko nic podejrzanego. Facet mieszkał w tych nowych apartamentach koło dawnej budy z panienkami Arnolda Clarka.

Czyli że gość miał pecha... znalazł się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie.

– Coś jeszcze? – zapytał detektyw.

– Wcześniej mieliśmy kilka włamań do sklepów, a na Shandon ktoś przejechał człowieka i zwiął z miejsca wypadku. W parku Meadows gówniarze palą trawkę... a lada chwila zaczęną się tradycyjne rozróby po pijaku i bójki.

Ransome westchnął i schował telefon. Obiecał Sandrze, że nie wróci późno, chociaż w piątkowe wieczory miał wychodne. Ale kiedy się rozejrzył, zdziwił się, po co w ogóle się tu fatygował. Część klientów rzucała strzałkami. Nie udało się zebrać dwóch drużyn do zgaduj-zgaduli. Nikt nie grał na automacie. Odkąd wprowadzili zakaz palenia, lokal gości w oczach.

– Za spokojnie tu – mruknął Ransome pod nosem, dopił piwo i uznał, że starczy tego dobrego.

• • •

Kiedy zadzwonił telefon, Mike siedział u siebie na balkonie i palił papierosa. Odebrał, ale przez chwilę słyszał tylko elektroniczny szum. Nagle doleciał go znajomy głos.

– Michael, stary byku, jak leci?

Uśmiechnął się pod nosem i usiadł z powrotem. Od kilku dni na dźwięk telefonu wyobrażał sobie wszystko co najgorsze: Westie pękł albo Allan poleciał na policję szukać rozgrzeszenia. Ale to tylko jego dawny wspólnik dzwonił na pogaduchy.

– Gdzie jesteś? – zapytał Mike.

– W Sydney, a gdzieżby indziej?

– Która godzina?

– Jutro. Trochę tu wieje na pokładzie, ale to ciepła bryza.

Co porabiasz?

Mike przemyślał możliwe odpowiedzi.

– Niewiele – odrzekł po chwili. – Mam jeszcze do wypalenia pół papierosa, a potem pewnie wskoczę do łóżka.

– Michael, jesteś beznadziejny. Czy tam u was nie jest aby piątek wieczorem? Powinieneś wyjść, zaszaleć, dać sobie w rurę. Mógłbym ci podesłać którąś ze znajomych lasek...

– Nie wątpię. A co u ciebie? Powiedz coś, żebym miał ci czego zazdrościć...

– U mnie jak zwykle. Balangi i jeszcze raz balangi, słońce, piasek i pływanie na desce. Dziś po południu wynajmuję jacht.

– Ohyda.

Po drugiej stronie rozległ się śmiech.

– No jasne, ty zawsze wolałeś spokojne życie... wiesz, nie rzucać się w oczy.

- Tak samo jak ty, Gerry. Co się zmieniło?
- Życie, stary. – Była to jego stała odpowiedź. – Twoje życie też mogłoby się zmienić.
- W Edynburgu?
- Co racja, to racja... musisz wreszcie przywlec tu swój nędzny zewłok. Ile razy jeszcze będę cię musiał prosić?
- Mam to w planach, Gerry. – Właściwie to czemu nie. Co go trzymało w Szkocji? A z drugiej strony, czy coś czekało na niego gdzie indziej? – Jak się miewa twój portfel?
- W samą porę dałem sobie spokój z nieruchomościami. – Mike usłyszał, jak przyjaciel oddycha głośno. – Teraz siedzę w minerałach, złocie i trochę się babrzę w nowych technologiach.
- Powinieneś wrócić do branży, Gerry. Świat potrzebuje takich mózgów jak twój.
- Marynowanych w gorzale?
- Mike usłyszał głos kobiety. Odpowiadając jej, Gerry zatkał dłońią mikrofon słuchawki.
- Kto to był? – spytał Mike.
- Taka tam moja znajoma.
- Uprzejmiej byłoby chociaż nazwać ją po imieniu.
- Aleś mi przygadał, Michaelu. – Chwila ciszy. – Ale słusznie. – Potem wybuch śmiechu po drugiej stronie świata. – Zobaczę, czy uda mi się jakoś poprawić jej humor.
- Koniecznie.
- Wpadnij z wizytą, Mike... wyobraź sobie, jaki mamy tu ubaw.
- Dobranoc, Gerry.

– Dzień dobry, stary.

Ich pożegnanie zawsze tak wyglądało. Kładąc aparat telefoniczny na kolanach, Mike wciąż się uśmiechał. Odetchnął głęboko i wyjrzał na panoramę miasta – poszarpane sylwetki domów upstrzone cętkami światła.

„Co się zmieniło?”.

„Życie...”.

Bo czy tak naprawdę nie o to właśnie w tym chodzi? Wiedział, że mógł powiedzieć Gerry'emu o skoku – i pewnie kiedyś mu opowie, jeśli im się powiedzie. A nawet jeśli się nie uda, też mu powie. Gerry będzie piał z zachwytu, klepał się po kolanach i z podziwem kręcił głową, tak samo jak wtedy, gdy Mike wszedł do biura i przekazał mu, jaką kwotę proponuje konsorcjum za ich firmę.

„Powinieneś wyjść, zaszaleć...”.

Z kim, skoro jego przyjaciele stali się nagle współnikami? A taki Majcher Calloway? Co by mu zaproponował? Bary, kluby nocne, wino, kobiety i śpiew. Wszystko cacy, tyle że z samego rana Mike musiał być trzeźwy jak świnia, żeby po raz ostatni przeciwżyć każde posunięcie. Kiedy zabrną tak daleko, że nie będzie odwrotu? A może już jest za późno?

„Co się zmieniło?”.

– Otworzyłem drzwi – odpowiedział sam sobie i pstryknął niedopałek papierosa w noc.

17.

Sobota była w Edynburgu dniem otwartym.

Ani lekka mżawka, ani zimny wiatr nie mogły zniechęcić ludzi do zwiedzania. Niektórzy mieszkańcy miasta wyczekiwali „otwartych drzwi” równie niecierpliwie jak rozmaitych tutaj festiwali. Planowali całodzienne wyprawy, na przykład na zamek albo do łoży masońskiej, do obserwatorium albo do głównego meczetu w mieście. Czasem brali ze sobą kanapki i herbatę. Większość udostępnianych do zwiedzania obiektów stała w centrum miasta i wszystkie wpisane były na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego UNESCO. Inne leżały na obrzeżach, w tym elektrownia i oczyszczalnia ścieków. Tak samo jak nadbrzeżny magazyn w Granton, gdzie galerie i muzea trzymały nadwyżki swoich zbiorów. Większa część Granton nie uległa jeszcze fali modernizacji, która zalała sąsiednie Leith. Dziurawe jak sito drogi biegły przez strefę przemysłową, obok nieczynnych fabryk. Od czasu do czasu zza płotów i budynków można było dojrzeć szare Morze Północne, co

przypominało turystom, że Edynburg jeszcze nie wykorzystał w pełni tego, że leży nad morzem.

Podobnie ów magazyn przypominał o tym, że miejskie muzea i galerie, które ponoć prezentowały najcenniejsze dzieła ze swoich kolekcji, zmuszone są w związku z sytuacją finansową do ukrywania większości zbiorów.

– I tak się dzieje zawsze, kiedy kultura staje się pazerna – skwitował profesor Gissing.

Siedział za kierownicą kradzionej furgonetki. Jego przebranie składało się z okularów przeciwsłonecznych, płaskiej tweedowej czapki i koszuli w szkocką kratę.

– Nie włożyłeś dziś sztruksów, Robercie? – zażartował nerwowo Allan Cruikshank, kiedy spotkali się w Gracemount.

On miał brązową perukę pod niebieską czapką baseballową, zrezygnował też z oficjalnego garnituru na rzecz dżinsów z krokiem na wysokości kolan i wyciągniętego podkoszulka.

Reszta ekipy siedziała z tyłu furgonetki: Mike Mackenzie, Westie i czterech młodych obwiesiów od Majchra Callowaya.

Gówniarze uznali, że za przebranie wystarczą im tylko baseballówki z opuszczonymi na oczy daszkami i grube szale, którymi obwiązali sobie twarze poniżej nosów. Jak dotąd nie odzywali się, jeśli nie liczyć chrząknięć i gardłowych pomruków. O czym nikt nie mówi, o tym nikt nie wie.

Mike'owi bardzo to odpowiadało. Znów zerknął na zegarek. Zaparkowali na bocznej drodze z widokiem na wartownię. Minął kwadrans, odkąd z magazynu wyszła ostatnia grupa zwiedzających; Allan naliczył dwanaście osób. Spędzili w środku czterdzieści minut. Przerwy między kolejnymi turami

wynosiły dwadzieścia minut, a więc mniej więcej za pięć znacznie się ustawiać następna kolejka. Dwanaście osób, zgodnie z wcześniejszą rezerwacją. Ale tym razem siedem osób z listy wystąpi pod fałszywymi nazwiskami. Gissing i Allan, którzy siedzieli z przodu furgonetki, mieli dużo lepszy widok na wchodzących i wychodzących. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby przybyć tu pieszo – do przystanków komunikacji miejskiej było stąd za daleko. Kilka taksówek podjechało po wyraźnie nadzianych klientów i Mike zaczął się martwić, czy przypadkiem nie zjawi się tu ktoś z jego znajomych. Profesor miał zostać w furgonetce, ale Mike i Allan musieli wejść do magazynu. Większością ludzi, którzy przychodzili na dni otwarte, nie kierowała ciekawość – po prostu chcieli zajrzeć tam, gdzie zwykle publiczność nie miała wstępu. To jednak było jakby przedłużenie Galerii Narodowej, więc istniało ryzyko, że pojawią się miłośnicy sztuki... ludzie, których Mike i Allan znali, bo spotykali ich często na rozmaitych wystawach i aukcjach.

Gissingowi zapowiedziano, że „ma nie wychodzić z furgonetki, chyba że zrobi się naprawdę gorąco”. Teraz jednak Mike żałował, że nie da się przeprowadzić skoku tak, żeby ani on, ani Allan nie musieli się odzywać. No i Westie – wielbiciele sztuki przeważnie chodzili na pokazy dyplomowe, a po głosie można kogoś rozpoznać równie dobrze jak po twarzy. Mike czuł, że po kręgosłupie spływa mu cienka strużka potu. Tylu czynników nie wzięli pod uwagę! Gdyby ekipa Majchra została wcześniej poinformowana co i jak, to oni wzięliby gadanie na siebie. A tymczasem jak na razie tylko się przysłuchiwali.

Mike obawiał się, że rozmowa Gissinga z Allanem może im podsunąć zbyt wiele wskazówek. Kiedy gadali o planach rozbudowy miasta i ich finansowaniu, Allan wykazał się wielką znajomością rzeczy. Potem profesor zaczął paplać o różnych kolekcjach malarstwa i antyków, zdradzając się, że wie na ten temat stanowczo zbyt wiele. Ile czasu potrzebują małolaty, żeby dodać dwa do dwóch? Czy gdyby kiedyś w przyszłości trafili do aresztu, nie spróbowaliby pójść na układ i opowiedzieć o tym napadzie? Czy strach przed Majchrem Callowayem jest wystarczająco silny, żeby na zawsze trzymali język za zębami?

Chociaż tyle dobrego, że furgon z frytkami był zamknięty na weekend – przynajmniej jeden potencjalny świadek zniknął z widoku...

– Pierwsze dwie osoby właśnie podchodzą – odezwał się Allan.

Serce Mike'a łomotało; słyszał dudnienie krwi w uszach. Zobaczył, że Westie zaciska dłonie między kolanami, jakby chciał powstrzymać drżenie rąk. Ale chłopak dobrze się spisał. Furgonetka podjechała najpierw pod jego mieszkanie, gdzie zapakowali falsyfikaty. Gissing po raz ostatni obejrzał każde z ośmiu płócien, oświadczył, że są „pierwszorzędne”, i dodał, że takiej samej oceny Westie może się spodziewać po wystawie dyplomowej. Powiedział to pewnie po to, żeby student się wyłuzował, natomiast na Mike'u wywarło to wręcz przeciwny efekt – obwiesie od Majchra, którzy siedzieli w furgonetcie podczas załadunku i sprawdzania obrazów, dowiedzieli się, że wśród nich jest student i prawdopodobnie któryś z jego

wykładowców. Westie oznajmił, że jest tym wszystkim „wykończony”, i rzeczywiście nie wyglądał najlepiej: był blady, miał ziemistą cerę, a oczy kleiły mu się ze zmęczenia. Mike odniósł wrażenie, że chłopak trzyma się na nogach jedynie dzięki kofeinie. Tego tylko brakowało, żeby któryś z nich przysnął albo się zdekoncentrował, gdy będą dokonywali napadu z bronią w rękę.

Napad z bronią w rękę... już na sam dźwięk tych słów Mike się denerwował.

Ale siedzieli tutaj i czekali gotowi do akcji.

– Następnych dwoje – rzekł Allan. – Brakuje już tylko jednej osoby...

W mieszkaniu Westiego nie spotkali Alice. Mike przyszedł z pieniędzmi, których się domagała, zapowiedział, że to zaliczka, a nie dodatkowe wynagrodzenie, po czym rozjechał swoim maserati kamerę wideo na miazgę. Na wszelki wypadek, nie chcąc ryzykować, rozsypał jej resztki po mieście. Ale kogo chciał oszukać? Nie wszystko było dopięte na ostatni guzik i problemy wciąż się mnożyły. Spojrzał na stos nieoprawionych obrazów na podłodze furgonetki. Kiedy wychodzili od studenta, ten błagał, żeby nikt przypadkiem ich nie nadepnął.

– Bo inaczej będziecie mieli ze mną do czynienia – warknął, na co chłopaki Majchra uśmiechnęli się pod nosem.

Jak dotąd wszystko szło świetnie. O siódmej rano Mike spotkał się z Allanem na Marine Drive, zostawił audi i wrócił do apartamentu swoim maserati. Ledwo skubnęli kanapki z bekonem, ale wypili sok pomarańczowy i kawę, zanim wskoczyli

w przebrania. Gdy bankier wszedł do salonu w peruce i szklach kontaktowych zamiast okularów, Mike wybuchnął śmiechem.

– Kupiłem ją w sklepie ze starzyzną – wyjaśnił Allan, mając na myśli perukę. – Okropnie swędzi.

Gissing czekał na nich w Gracemount. Nabuzowany, spacerował wte i wewte, zamiast wtopić się w otoczenie. Parkując maserati, Mike miał nadzieję, że jego samochód nikomu nie wpadnie w oko (ani nie wywoła odruchów agresji). Po pięciu minutach zjawiła się furgonetka z czterema chłopakami, ale bez Callowaya. Mike odetchnął z ulgą. Bał się, że gangster zechce się z nimi zabrać. Próbował nawiązać rozmowę z nastolatkami, żeby przełamać lody, ale usłyszał, że „pan Calloway” kazał im wypełniać wszelkie ich polecenia, byleby trzymali „dzioby” na kłódkę.

– Bez urazy – bąknął jeden z nich, gramoląc się na tył furgonetki. Od tej pory chrząkali tylko i pomrukiwali, kopiąc jednego papierosa za drugim. Mike'owi przyszło do głowy, że to nielegalne: w Szkocji zakazano palenia w miejscu pracy, nie wyłączając furgonetek.

No, no, pomyślał. Łamiemy prawo. Przetarł twarz. Tak jak pozostali, miał na dłoniach lateksowe rękawiczki kupione w sklepie chemicznym w Bruntsfield.

– Przyszedł ostatni – zapiał nagle Allan, głosem o oktawę wyższym niż poprzednio.

– Odliczam dwie minuty – oświadczył Mike, podnosząc zegarek do oczu. Przeważnie nosił cartiera, a czasami staroświecką cebulę kieszonkową od Bodnara, Allan podsunął mu

jednak, żeby dziś nie zadawał szyku. W tym samym sklepie chemicznym kupił więc chłam za niecałe dziesięć funtów, ale zegarek najwyraźniej działał, chociaż długa wskazówka pełzła po tarczy w żółwym tempie. Czyżby siadała bateria?

– Dziewięćdziesiąt sekund...

Miał nadzieję, że Allan nie pomylił się w rachunkach. Nie chciał, żeby po nich zjawili się jacyś inni zwiedzający...

– Sześćdziesiąt...

Teraz już nie mieli odwrotu. Mike zerknął na Westiego, który z kolei przyglądał mu się z ponurą miną; a może był po prostu naćpany. Za przebranie służyła mu wełniana czapka i ciemne okulary, które właśnie wkładał na nos.

– Trzydzieści...

– Ruchy, ziomale, i żeby mi żaden nie dał dupy – mówił jeden z chłopaków Majchra pozostałym. Znowu pochrząkiwanie i kiwanie głowami. Wkładanie baseballówek i wiązanie chust na twarzach. Nawet Gissing z aprobatą kiwał głową, nie odrywając rąk od kierownicy.

– Teren czysty? – zapytał Mike, licząc, że jego głos nie zdradza zdenerwowania.

– Czysty – potwierdził Allan.

Mike odetchnął głęboko, ale nie mógł się zmusić, żeby wydać rozkaz. Gissing odwrócił się odrobinę, wyczuł wahanie przyjaciela i go wyręczył:

– Jazda!

Skrzyknęły otwierane drzwi furgonetki, cała siódemka wysiadła szybko, skręciła za róg i weszła w pole widzenia strażnika w wartowni. Powinniśmy wysiadać na raty, pomyślał

Mike, teraz wyglądamy jak jakaś banda. Pochód prowadził jeden z chłopaków Majchra, który usilnie starał się nie biec. Mike wyobraził sobie, że idą jak faceci na początku filmu *Wściekłe psy* – spokojni, z zimną krwią przystępujący do pracy. Ale kolana się pod nim ugięły. Strażnik jednak wcale się nimi nie przejmował. Wstał z wygodnego krzeselka, otworzył okienko i sięgnął po podkładkę do pisania. Zazwyczaj nosił spiczastą czapkę, ale nie dzisiaj.

– Spóźniliście się – rzucił drwiąco. – Można prosić o wasze nazwiska...?

Na dźwięk otwieranych drzwi wartowni odwrócił się; zmarł na widok obrzyna wyciągniętego spod kurtki; wkrótce był przywiązany do krzesła przez jednego z chłopaków. Pozostali, nie zwalniając kroku, szli dalej w kierunku magazynu. Drzwi znajdowały się po tej stronie rampy załadunkowej. Stała tam już furgonetka należąca do muzeum, ale druga spokojnie mogła się wcisnąć obok niej. Mike usłyszał za plecami metaliczny szcęk; wiedział, że podnosi się szlaban.

– No to jazda! – powiedział, chwytając klamkę drzwi magazynu.

– Do roboty – padło w odpowiedzi.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. Magazyn jak magazyn – nie spodziewał się niczego innego. Dookoła same regały; większość dzieł była owinięta w jutowe worki albo w folię pęcherzykową. Po prawej pokój ochrony. Pięcioro uczestników wycieczki, którzy się nie spóźnili, słuchało przewodnika – może to jego furgonetka stała na zewnątrz. Ubrany w garnitur

i pod krawatem, miał w klapie plakietkę z nazwiskiem. Jeden z chłopaków Majchra szedł do pokoju ochrony. Włazł tam bez ceregieli i wycelował broń. Dwaj strażnicy siedzieli przed ekranami kamer przemysłowych. Mike patrzył, jak podnoszą ręce, nie spuszczać wzroku ze spluwy.

Mike także wyciągnął pistolet i uświadomił sobie, że teraz to on powinien przemówić. Otworzył drzwi magazynu raptem dziesięć, może piętnaście sekund wcześniej, ale miał wrażenie, że minęły minuty. Wielokrotnie przećwiczył swoje słowa, podobnie jak głos – miał być bardziej ochryply, brzmieć, jak gdyby warczał. Powrót do korzeni.

Zwiedzający zawahali się; pewnie sądzili, że to jakiś niesmaczny żart. Przewodnik zaczął protestować, ale jeden z dwóch pozostałych małolatów Majchra przystawił mu lufę rewolweru do skroni.

– Chcesz zbierać swój mózg z tej pieprzonej podłogi?

Przewodnik wycieczki wyraźnie nie miał na to ochoty. Podniósł ręce, jakby się poddawał, i zaczął się cofać pod ścianę; reszta grupy poszła w jego ślady.

Mike zdał sobie sprawę, że Allan i Westie zmierzają już do środka magazynu. Nie zważając na napiętą atmosferę, Mike wszedł do pokoju ochrony i z otwartej szafki na ścianie zabrał klucze, których potrzebował. Zapamiętał numery dzięki Gissingowi, który wyjaśnił mu też, że normalnie szafka jest zamknięta. Ale nie podczas dni otwartych...

Na ułamek sekundy jeden z numerów wyleciał mu z pamięci, lecz zaraz go sobie przypomniał. Chryste, Mike, pomyślał, czy dalej też będzie tak trudno? Raptem trzy cholerne numerki...

Trzy skarbce. No, może nie tyle skarbce, ile – jak im wyjaśnił Gissing – coś w rodzaju szaf ściennych, do których można było wejść, tyle że wykonanych ze stali. Wychodząc z pokoju ochrony, Mike dał znak głową, na co zwiedzających i ich przewodnika wprowadzono do środka. Powinno im tam być przytulnie. Kamery ochrony wyłączyli, spuszczone żaluzje. Nikt nie zobaczy, co się tam dzieje... a przede wszystkim nikt nie zwróci uwagi na ich przebrania i nie zapamięta rysopisów, które można by podać policji.

Odszukanie Westiego zajęło Mike'owi więcej czasu, niż przypuszczał. Zdawało mu się, że dobrze zna rozkład muzeum, ale nie wzięli pod uwagę napływu dodatkowych eksponatów z muzeum przy Chambers Street. Niektóre z nich były olbrzymie i trzeba je było omijać. Na jego widok Westie wznosił oczy do nieba. Mike nie zawracał sobie głowy przeprosinami, rzucił mu tylko klucz i udał się na poszukiwanie Allana. Usiłował się skupić, co w otoczeniu tylu skarbów wcale nie było proste. Wszystkie półki były zavalone eksponatami, z których rozpoznał tylko nieliczne. Sztuka celtycka, Majów, Greków, Rzymian... Bóg jeden wie, ile kultur i okresów historycznych znalazło tu swoje miejsce. Minął bicykl i kolosalną, owiniętą czymś bryłę, być może słonia. Tak jak powiedział Gissing – można tu było spędzić wiele tygodni, ani na chwilę nie wychodząc z podziwu. Mike'a uderzyła nagła myśl – że jest tu po raz pierwszy i ostatni i że nigdy nie będzie mógł tu zajrzeć. Inna sprawa, że ten magazyn raczej nie otworzy już drzwi dla publiczności...

Zlany potem Allan uśmiechał się szeroko; zdjął perukę i przeczesał włosy palcami.

– Jak dotąd wszystko gra? – zapytał. Mike czuł, że gdyby udzielił niewłaściwej odpowiedzi, jego przyjaciel kompletnie by się rozsypał. Kiwnął więc głową i dał mu klucze, Allan zaś włożył perukę.

Mike przypomniał sobie, że powinien o coś zapytać.

– Widziałeś w grupie zwiedzających kogoś znajomego? Allan pokręcił głową i peruka znów mu się przekrzywiła.

– Nie przyglądałem się – odparł ze skruchą.

– Ja też nie – wyznał Mike, rozglądając się w poszukiwaniu swojego sejf.

Chodziło o numer 37. Taki widniał na przywieszce do klucza. Gissing ostrzegł go, że skarbce nie są ponumerowane w kolejności. Z jednej strony magazynu były nieparzyste, z drugiej parzyste. Mike przeszedł na drugą stronę przez lukę między regałami, wsadził pistolet za pasek na plecach i ruszył wzdłuż półek. Nie było strażników ani zabłąkanych zwiedzających. Kamery zerkały zewsząd, ale na szczęście zostały wyłączone. A jeśli chłopaki Majchra którąś przegapili? Allan znów zdjął perukę i drapał się po głowie. Za późno, żeby się martwić o takie rzeczy. Skarbiec 37. Mike przekręcił klucz w zamku i otworzył ciężkie drzwi. Zawiasy skrzypnęły cicho. W środku na suficie paliła się żarówka, tak jak obiecywał Gissing. Oprawione w ramy płótna... dziesiątki płócien. Znał numery, o które mu chodziło. Obrazy stały na sztorc, w dwóch rzędach – opakowane w folię bąbelkową i płótno – a każdy zaopatrzony był w przywieszkę. Wysunął dwa płótna, wsadził je sobie pod pachy

i ruszył z powrotem. Bóg jeden wie, co tam zostawił bez oglądania. Gdyby miał czas, może wybrałby coś innego. Czuł pod pachą Monbodda – to był mniejszy z dwóch obrazów. Gdyby musiał nagle uciekać, wiedział, który porzuciłby najpierw...

Za zamkniętymi drzwiami pokoju ochrony panowała cisza. Mike miał nadzieję, że chłopaki Majchra zachowują się, jak należy. Jeden z nich otworzył drzwi do rampy załadunkowej, wpuszczając do środka naturalne światło oraz powiew świeżego powietrza i wolności. Mike widział czekającą na nich furgonetkę. Gissing podjechał tyłem i tylne drzwi furgonetki były już otwarte. Profesor właśnie stał przy nich. Na widok Mike'a poczuł tak wyraźną ulgę, że Mike zaczął się zastanawiać, czy z Allanem i Westiem wszystko w porządku. Gdzie oni się podziewają, u licha? Podał Gissingowi pierwszy obraz – Cadella – a profesor rozpakował go, podczas gdy Mike podniósł kopię z podłogi furgonetki. Gissing wyjął płótno z ramy. Miał wprawę, więc nie zajęło mu to więcej niż pół minuty. Najpierw usunął drewniane kliny mające zapewnić brak jakichkolwiek luzów. Silne palce profesora pracowały pewnie, nie widać było, by drżały mu dłonie.

Mike wstrzymał oddech, gdy kopia Westiego znalazła się w oryginalnej ramie. Pasowała idealnie, więc syknął cicho z satysfakcją. Gissing wsunął drewniane kliny na miejsce i obejrzał oryginał obrazu, szukając oznakowań na płótnie i na blejtramie. Ale nawet gdyby je znalazł, nie mieli możliwości ich skopiowania. Brak czasu. Profesor oznajmił jednak, że płótno jest „czyste”. Tak jak przewidział, oznaczenia umieszczano nie na

samym dziele, tylko na oprawie. To zresztą był jeden z powodów, dla których wybrali mniejsze obrazy: mniej napinaczy, a więc mniej miejsc, gdzie mogły się kryć oznakowania...

– Zawień go – burknął Gissing i zajął się drugim arcydziełem; portretem Monbodda. Słyszając jakiś hałas, Mike odwrócił się i zobaczył, że Allan i Westie wychodzą z magazynu; każdy z nich dźwigał po trzy obrazy. Jak mógł być tak głupi?! To dlatego zeszło im dłużej niż jemu: musieli wziąć po trzy obrazy, a nie dwa.

– Żadnych problemów? – zapytał nieco drżącym głosem.

– Żadnych – odparł Allan; z brody kapały mu krople potu. Mike'a rozbawił zwariowany pomysł: czy technicy policyjni zdołają pobrać DNA z potu? Ale to nie była stosowna pora na takie pytanie. Westie właśnie zaczął rozwijać jeden ze swoich obrazów. Podobnie jak Gissing, dokładnie wiedział, co robi; wiedział też, że czas gra na ich niekorzyść. Trudno powiedzieć, kiedy może się zjawić następna wycieczka. Mike odwrócił się i wyjrzał z furgonetki w stronę wartowni. Nie zobaczył strażnika, widocznie leżał na podłodze. Na jego miejscu siedział jeden z chłopaków Majchra, w spiczastej czapce – miłe posunięcie, ale Mike nie sądził, żeby ktoś dał się nabrać z bliska, skoro chłopak miał twarz obwiązaną szalem.

Zobaczył, że w furgonetce Gissing ciężko sapie. Profesor nie stracił jednak rezonu i przypomniał im, że kiedy będą zawijali kopie, nalepki mają być widoczne.

– Muszą wyglądać dokładnie tak samo jak przedtem...

– Wiemy – burknął Westie, dodając: – Ale wciąż uważam, że moglibyśmy to zrobić gdzie indziej.

Mike nie po raz pierwszy słyszał już ten argument, tym jednak razem trzymał stronę Allana: nikt nie podniesie rabanu, dopóki się stąd nie wyniosą. A dopiero wtedy czas zacznie działać przeciwko nim. Lepiej dokonać zamiany teraz, dzięki czemu szybciej będą się mogli ulotnić, kiedy policja zacznie ich ścigać.

– Trzy z głowy – oświadczył Allan, obserwując studenta i profesora przy pracy. Mike znów spojrzął na zegarek. Dwanaście minut, odkąd weszli do magazynu. Szło jak po maśle... nie, lepiej... szło z precyzją zegarka szwajcarskiego. Zmusił się do uśmiechu i poklepał Allana po plecach.

– Za wcześniej na gratulacje – warknął Gissing, ocierając pot z oczu. – Właście obaj z powrotem i sprawdźcie wszystko jeszcze raz.

Ostatnie sprawdzanie: czy drzwi skarbców są otwarte na oścież, a klucze w zamkach. I tak pozostawią ślady materialne – Westie jasno dał im to do zrozumienia; naoglądał się z Alice seriali kryminalnych. Na przykład czyjś włos, włókno z garnituru albo niewyraźny odcisk buta. Ale im mniej tego zostawią, tym lepiej. Stojąc obok siebie na środku magazynu, Mike i Allan pospołu skinęli głowami. Potem Allan ruszył z powrotem do furgonetki, a Mike otworzył drzwi do pokoju ochrony. Wycelowana w niego broń opadła, gdy jej właściciel go rozpoznał. Mike podniósł trzy palce, co oznaczało, że zostały trzy minuty. „Zakładnicy” leżeli na podłodze, z rękami splecionymi na głowach i zamkniętymi oczami. Ekrany kamer przemysłowych były czarne.

W furgonetce Allan usiadł obok kierowcy i ocierał twarz chusteczką. Westie pakował kolejny obraz. Gissing trzymał się ręką za serce, ale kiwnął Mike'owi głową na znak, że wszystko w porządku.

– Zabrakło mi tchu.

– Siadaj z tyłu – powiedział Mike. – Ja poprowadzę. – Usiadł za kierownicą i sprawdził, czy kluczyk tkwi w stacyjce. – Jak stoimy z czasem? – zapytał Allana.

– Pora się wynosić.

Mike usłyszał hałas i spojrzął w lusterko wsteczne – trzy postacie wyszły z magazynu i wskoczyły na tył furgonetki. Drzwi zamknęły się ze zgrzytem, więc odpalił silnik. Ktoś podał mu coś z tylnego siedzenia – klucz.

– Zamknąłem ich wszystkich w wartowni – usłyszał.

– Świetnie – odparł Mike, wrzucając klucz do popielniczki w furgonetce. – Ale jeżeli nie zabrałeś im komórek, niewiele na tym zyskamy.

Furgonetka podtoczyła się do bramy.

– Nie za szybko – ostrzegł Gissing. Miał rację: tego tylko brakowało, żeby przejechali skrzyżowanie na czerwonych światłach albo nadziali się na radiowóz. Mike zatrzymał się przy bramie na chwilę, żeby zabrać ostatniego członka ich ekipy. Gówniarz wziął ze sobą spiczastą czapkę, na co jego kumple gruchnęli śmiechem.

– Czapka zostaje w wozie – zapowiedział mu Mike.

Allan udał, że przygląda się chłopakowi.

– No, proszę, zawodowiec – zakpił.

– Spadamy! – wrzasnął któryś z chłopaków siedzących

z tyłu. W bocznym lusterku Mike zobaczył strażnika wychodzącego z kryjówki. Wcisnął więc pedał gazu.

– Trzeba mu było dać w łeb – mówił ktoś.

– Nie mogłem – padła odpowiedź. – Facet jest kibolem Heartsów. Miał kalendarz, magazyn kibica, cały ten interes.

– Zobaczył nasze numery rejestracyjne – zauważył Allan.

– I dużo mu z tego przyjdzie. – Mike odwrócił się do Westiego. – Właśnie dlatego zrobiliśmy to tak, a nie inaczej.

Student bez słowa pociągnął nosem. Potem jechali w milczeniu, nasłuchując policyjnych syren.

– Szkoda, że nie wzięliśmy radia CB – odezwał się w końcu któryś z chłopaków. – Można by je nastawić na częstotliwość psów.

Mike i Allan porozumieli się wzrokiem – kolejna rzecz, o której nie pomyśleli. Zmysły Mike'a były wyostrzone do granic możliwości. Dźwięk opon na zrytym koleinami asfalcie brzmiał jak przepuszczony przez wzmacniacz; jego nos wyłapywał zapach chmielu z odległego browaru. Czuł pulsowanie krwi w żyłach i smak adrenaliny w ustach.

Dopiero w takiej chwili człowiek czuje, że żyje, pomyślał. Miał wrażenie, że do jego układu nerwowego podłączono sprężarkę.

Audi Allana stało tam, gdzie je zostawili. Jedynym samochodem w zasięgu wzroku był przedpotopowy rover, z progami przeżartymi rdzą. Deszcz się wzmógł, więc nikt nie wyprowadzał psów na spacer. Wyjęte z ram obrazy przeniesiono do przestronnego bagażnika audi. Jeden z chłopaków Majchra

chciał zamknąć drzwi furgonetki, ale Mike kazał mu zostawić je otwarte.

– Śpieszymy się, pamiętasz? – wyjaśnił.

Rover był dla czterech nastolatków. Kluczyk tkwił pod jednym z przednich kół. Mike wyciągnął do małolatów rękę, ale oni popatrzyli na niego bez słowa. W końcu jeden z nich poprosił o broń. Dostali ją – choć Mike niechętnie rozstawał się ze swoją – i wrzucili do bagażnika rovera. Zanim odjechali, Mike sprawdził, czy zgodnie z poleceniem spiczasta czapka została w furgonetce.

Allan bez przekonania pomachał im na pożegnanie.

– Urocze chłopaki – mruknął, patrząc, jak odjeżdżają z wyciem silnika. Gissing i Westie siedzieli już w audi.

– Jedźmy – ponaglił ich profesor.

– Chwileczkę – rzekł Mike, wracając do furgonetki. Wyjął jakieś zawiniątko i rzucił je na jezdnię. Gdy wrócił do audi, Gissing zażądał wyjaśnień. – Złodzieje spanikowali i uciekli – wytłumaczył Mike. – Jak tylko zaczęli przenosić łup. Taki dramatyczny akcent, nie sądzisz?

Westie wybierał numer w telefonie komórkowym. Prosił, żeby to on mógł zadzwonić. Komórka była prezentem od Callowaya, dostarczył im ją w tym samym pudle co broń. Majcher zapewniał, że nie da się jej namierzyć, ale że karta wystarczy tylko na dwie minuty rozmowy. Westie odetchnął głęboko i teatralnie puścił oko do pozostałych. Potem zaczął mówić:

– Czy to policja? – Posłużył się swoim dawnym akcentem klasy robotniczej z Fife. – Słuchajcie, widziałem niesamowity

numer przy Marine Drive... jacyś goście wyrzucali z białej furgonetki zwłoki albo co. Chyba ich wystraszyłem, ale mam numer rejestracyjny...

Wyrecytował go szybko, przerwał rozmowę i głęboko skłonił się w pasie.

– Wyrzucali zwłoki? – powtórzył Mike.

– Nie tylko wy potraficie improwizować. – Student opuścił szybę i wyrzucił komórkę do przydrożnego rowu.

– Słuchajcie, możemy wreszcie zdjąć to draństwo? – rzekł Allan. Miał na myśli lateksowe rękawiczki.

Mike przytaknął ruchem głowy. Byli bezpieczni. W drodze. Udało im się. Dali radę!

18.

W salonie Mike'a na dwóch kanapach i tyłu fotelach leżało siedem nieoprawionych obrazów. Podziwiał je trzech mężczyzn, każdy z kieliszkiem szampana w ręku. Pozbyli się przebrań i odświeżyli w łazience Mike'a, zmywając z siebie pot, kurz i zapach rękawiczek. Allan co chwila drapał się po głowie; bał się, że we włosach załęgły mu się jakieś „róbale” z peruki. Maserati nie ucierpiało podczas krótkiego postoju w Gracemount, ale ślady paluchów na szybach wskazywały, że dzieciaki zagłędały do środka. Podrzucili Westiego do mieszkania, po raz kolejny przypominając mu, że ma trzymać swój obraz w ukryciu. Student zapytał Mike'a, co z resztą jego pieniędzy.

– Będą na twoim koncercie dzisiaj, najdalej jutro – zapewnił go Mike.

Westie wyraźnie nie miał ochoty wysiąść z samochodu – z uśmiechem wciąż paplał, jak świetnie im poszło.

– Ale mam wrażenie, że trzeba było domagać się dwóch obrazów – burknął niezadowolony.

– Żeby cię tylko nie opanowała gorączka złota – odciął się Gissing.

Westie uniósł ręce, jakby się poddawał.

– Tylko żartowałem... żeby zelżało napięcie. Macie takie miny, jakbyśmy brali udział w pogrzebie.

– Prześpij się – poradził mu Mike. – I spędź spokojną niedzielę z Alice... tylko nie szastaj forszą, pamiętaj.

– Żadnego szastania – obiecał Westie. W końcu otworzył drzwi i wysiadł ze swoim obrazem pod pachą.

– Twoje bardziej mi się podobają – powiedział Allan Gissingowi, gdy przyglądali się miniwystawie.

– Mówi się trudno – odparł profesor z bladym uśmiechem.

– A co z Uttersonem Callowaya? – zapytał bankier.

– Zajmę się tym, żeby trafił do nowego właściciela – obiecał Mike.

– Ale czy możemy mu ufać? – dopytywał się Allan. Przycisnął palcem powiekę, próbując powstrzymać pulsowanie żyłki. – Robert wspomniał o gorączce złota... całkiem możliwe, że Calloway będzie chciał pozbawić nas naszej części łupu.

– Nic takiego nie zrobi. – Mike starał się uspokoić przyjaciela. – Zostawcie go mnie.

– Ale wie, że nie wolno mu nikomu pokazać tego obrazu? – naciskał Allan.

– Wie. – W głosie Mike'a zabrzmiała ostrzejsza nuta. Wyciągnął rękę, wziął z podręcznego stolika pilot do telewizora, włączył plazmę i zaczął przerzucać kanały, szukając serwisów informacyjnych.

– Chyba jeszcze za wcześnie – rzekł Allan, przecierając zaczerwienione oczy. W ramach przebrania włożył jednorazowe szkła kontaktowe, chociaż serdecznie ich nie znosił. Mike puścił jego słowa mimo uszu. Tak naprawdę to chciał, żeby już sobie poszli i zostawili go sam na sam z portretem żony Monbodda. Miał go w ręku zaledwie przez kilka minut. Tymczasem Gissing robił obchód pokoju. Prawie nie patrzył na swoje płótna, tylko oglądał nabytki Mike'a zakupione na aukcjach.

– Właśnie coś mi przyszło do głowy – rzekł Allan. – A jeśli ktoś dotarł tam przed policją? Wiecie, na Marine Drive... I odszedł z kupą pięknych falsyfikatów Westiego?

– Wtedy gliny go zwiną i pomyślą, że złapali złodzieja – odparł Mike.

– Fakt. – Wyglądało na to, że Allan się z nim zgadza. Kieliszek miał pusty, ale Mike uznał, że jedna butelka szampana wystarczy... musieli jeszcze jakoś wrócić do domów, zwłaszcza Allan. Profesora też trzeba było podrzucić... Mike nie mógł wezwać taksówki do pasażera z drogim obrazem pod pachą...

Na pasku u dołu ekranu pojawił się napis Z OSTATNIEJ CHWILI i nad ramieniem prezentera wyskoczyła stara fotografia Zamku Edynburskiego. Po chwili zastąpił ją plan miasta, koncentrując się na okolicy Granton.

– No proszę – mruknął Mike pod nosem. – Nareszcie zabawa się zaczyna. Chciał podkreślić bardziej głośność, ale zabręczał telefon komórkowy. To była komórka Gissinga, wobec tego Mike wyłączył dźwięk. Profesor podziękował mu

uśmiechem, a Mike zrewanżował się skinieniem głowy. Wiedzieli, kto dzwoni... a przynajmniej mieli taką nadzieję. Gissing ostrzegawczo przyłożył palec do ust i odebrał.

– Profesor Robert Gissing – przedstawił się uroczyście. A po kilku sekundach rzekł: – Tak, właśnie oglądam to w telewizji u siebie w domu. Niesamowite! Czy coś ukradli? – Nastąpiła dłuższa cisza, w trakcie której patrzył tylko na okno i zapałający na dworze zmierzch. – Rozumiem... Ale do czego mógłbym się przydać? Wam jest potrzebny Jimmy Allison... – Ktoś przerwał mu potok słów i profesor teatralnie uniósł brew, słuchając rozmówcy. – Coś podobnego! Dziś już nawet nie można spokojnie wyjść z domu, Alasdairze.

Mike uzyskał potwierdzenie, że rozmówcą profesora jest szef szkockiej Galerii Narodowej, Alasdair Noone.

– Ależ tak, oczywiście – mówił teraz Gissing. – Postaram się jak najszybciej. Nie, sam dojadę... Pół godziny?

Mike szybko dokonał w myślach obliczeń – faktycznie, z domu profesora na Marine Drive można było od biedy dotrzeć w pół godziny.

– Naprawdę? – Gissing zerknął na Mike'a. – Widocznie na linii coś szwankuje. A może za głośno nastawiłem telewizor. Przepraszam. Tak, tak, już jadę, Alasdairze. Do zobaczenia.

Rozłączył się i znów spojrzął Mike'owi prosto w oczy.

– Dzwonił pod twój numer domowy – domyślił się Mike. – Nie odbierałeś, więc spróbował na komórkę. A ty się wyrwałeś z tym, że jesteś w domu...

– Nie skojarzy co i jak – zapewnił go profesor.

- Ale policja może dodać dwa do dwóch – zauważył Allan.
- Drobne rozbieżności, niekonsekwencje...
 - On i tak ma za dużo na głowie – upierał się Gissing. – Stawiam sto funtów, że już zdążył o tym zapomnieć. – Spojrzał na zegarek. – No nic, czas na mnie.
 - Oczekaj kilka minut – doradził mu Mike. – Stąd na Marine Drive taksówką jedzie się kwadrans.
 - Co racja, to racja – przyznał profesor.
 - Poza tym musisz się odprężyć.
 - Może mała whisky...?
 - Lepiej, żeby ich ekspert nie trącił gorzałą... przyniosę ci wody. – Mike przeszedł do kuchni. Allan deptał mu po piętach.
 - Będzie dobrze, jak myślisz? – spytał bankier, odstawiając pusty kieliszek na nieskazitelnie czysty blat. Mike uznał, że przyjaciel jeszcze wielokrotnie zada mu to pytanie.
 - Jak dotąd wszystko idzie jak po maśle. To zasługa dobrego planowania. Reszta zależy od tego, czy zachowamy zimną krew. – Mike puścił oko i nalał wody do wysokiej szklanki, którą zaniósł do salonu. Gissing właśnie brał do ust dwie kwadratowe pastylki, które wydłubał z opakowania.
 - Zgaga – wyjaśnił, biorąc szklankę.
 - Czy Alasdair mówił ci, jak się ma Allison? – zapytał Mike.
- Profesor przełknął tabletki.
- Wypuścili go ze szpitala, ma wstrząśnienie mózgu i jest cały w siniakach. – Zmierzył Mike'a wściekłym wzrokiem. – Chyba twój koleś posunął się trochę za daleko.

– Zrobił to, co trzeba, żeby kustosz nie mógł przyjść do pracy – odparł Mike. – Jak już skończysz na Marine Drive, weź taksówkę, przyjedź tutaj i Allan albo ja odwieziemy cię do domu.

Rozległ się dzwonek jego komórki. Nie było to jednak połączenie, tylko SMS od Majchra Callowaya.

SPISAŁY SIE MOJE CHŁOPAKI, NIE? ZASTAW MA BYC ZARA. MASZ TAM TV?

Mike postanowił nie odpowiadać na wiadomość. Zastaw – tego słowa użył Majcher, rozmawiając wtedy przez telefon. Normalny zastaw... W wiadomościach mówiono teraz o jakiejś powodzi gdzieś w Anglii. Reporter opowiadał z miejsca zdarzenia, że miejscowi boją się, iż „wpadli po uszy”. Gissing drżącymi rękami wsuwał do ust trzecią tabletkę, Allan zaś pocierał pulsującą powiekę i przestępował z nogi na nogę jak dziecko z zespołem ADHD.

Wpadli po uszy? Ba, nawet im się nie śniło, jak głęboko...

19.

Detektyw inspektor Ransome siedział przy biurku w pustej sali wydziału śledczego, gdy naraz usłyszał wiadomości. Z radia leciała jakaś muzyka i słowna papka. To była miejscowa rozgłośnia, w której stare przeboje przerywano wiadomościami o korkach na drogach i prognozą pogody. Ransome tkwił tu od bitych dwóch godzin i przez ten czas udało mu się uporać z dwoma centymetrami korespondencji na biurku. W ciągu następnych dwóch tygodni trzykrotnie miał się stawić w sądzie, musiał więc być na bieżąco z materiałem dowodowym. To skandal, ile czasu gliniarze – i mundurowi, i tajniacy – marnowali w sądach. Poza tym często w ostatniej chwili zawierano ugody i w rezultacie funkcjonariusze nie musieli jednak stawać na miejscu dla świadków. Ransome znał kolegę po fachu, który zdobył stypendium na studia, choć przeważnie uczył się i pisał prace na korytarzach sądów, czekając, aż wezwą go na świadka.

Detektyw przez chwilę zadumał się, jaki kierunek by

wybrał, gdyby trafiła mu się taka okazja. Nagle prezenter w radiu oznajmił, że „w dzielnicy przemysłowej w Granton dokonano włamania”. Już miał zmienić stację, gdy naraz usłyszał słowa: „cenne dzieła sztuki”. A skąd takie rzeczy wzięły się w jakimś tam magazynie w Granton? Własność kilku miejskich muzeów... personel i zwiedzający sterroryzowani przez złodziei z bronią palną... nadal nie wiadomo, czy cokolwiek zginęło...

Dzieła sztuki i broń palna.

Broń palna i dzieła sztuki.

Ransome zadzwonił do Laury do domu aukcyjnego, ale nikt nie odbierał. Jej komórka też nie odpowiadała. Klnąc pod nosem, wyszedł na parking. Jazda na Marine Drive zajęła mu tylko dwadzieścia minut. To była jedna z rzeczy, które podobały mu się w tym mieście – z każdego miejsca wszędzie można było dotrzeć w pół godziny. Czasami czuł się tu wręcz jak na wsi i dlatego jego mózg pracował już na najwyższych obrotach. Napad na magazyn, kradzież dzieł sztuki... a główny gangster w Edynburgu niedawno zainteresował się obrazami. Przypomniał sobie dzień, kiedy w Galerii Narodowej Calloway popijał herbatę z dawnym kumplem ze szkoły, Michaeliem Mackenzie. Mackenzie – spec od komputerów i kolekcjoner sztuki. Bez dwóch zdań tworzyli dziwną parę...

Biały transit został odgradzony niebiesko-białą taśmą policyjną. Mundurowi kierowali ruchem, nie dopuszczając nielicznych pojazdów do miejsca przestępstwa. Ekipa techniczna pracowała pełną parą, zbierając odciski palców i robiąc zdjęcia. Akcją najwyraźniej dowodził detektyw inspektor Hendricks i Ransome skrzywił się, wysiadając z samochodu. Hendricksa

uważał za głównego rywala do awansu – był w tym samym wieku co on, przystojny, miał doskonały przebieg służby i świetnie prezentował się zarówno w oczach obywateli jak i przełożonych. Przyjęto ich w tym samym naborze ze szkoły policyjnej w Tullallian, tak dawno temu, że Ransome nie chciał o tym pamiętać. Wszystkim nowym rekrutom zlecano zadanie specjalne – zbiórkę funduszy na cele charytatywne. Pomimo wysiłków Ransome'a, Hendricks pobił go na głowę – zorganizował kolację dla sportowców w Stirling, na którą w charakterze mówców ściągnął kilku czołowych piłkarzy. Dopiero po dłuższym czasie Ransome dowiedział się, że wujek Hendricksa był prezesem klubu z Premier League. Ani chybi ktoś tu pociągnął za odpowiednie sznurki...

Nigdy nie dochodziło między nimi do animozji – Ransome był za mądry, żeby stawać po stronie przeciwników rywala. Publicznie zawsze okazywali sobie zawodową uprzejmość, czasami wręcz współpracowali. Zresztą spotykali się rzadko, skoro Ransome pracował na West End, a Hendricks po drugiej stronie miasta, przy Gayfield Square. Ransome zachodził w głowę, czy Hendricksa wezwano, czy może sam się wkręcił do tego śledztwa. Był ubrany w modny garnitur, miał też nową koszulę i krawat. Możliwe, że robił to samo co Ransome – za darmo ślęczał po godzinach przy biurku w nadziei, że załapie się na coś ciekawego.

Na miejscu była już ekipa telewizyjna, a także reporterzy radiowi i z prasy. Ludzie spacerujący z psami po plaży przyleżeli, żeby się pogapić. Dziennikarze utworzyli coś na kształt młyna na meczu rugby i porównywali swoje notatki.

Jeden z nich rozpoznał Ransome'a i przygalopował do niego w te pędy, pytając go, czy może coś dodać na temat tej historii. Ransome tylko pokręcił głową. Że też sprawa o takim ciężarze gatunkowym musiała się trafić akurat Hendricksowi...

– Ransome? A ty co tu robisz? – Hendricks starał się, żeby jego pytanie wypadło przyjaźnie. Wsadził ręce do kieszeni spodni i szedł do Ransome'a dziarskim krokiem. Staranna fryzura, przystrzyżone wąsy, ale mokasyny wyglądały tandetnie. Przynajmniej tym Ransome mógł się pocieszyć.

– Znasz mnie, Gavin. Wiesz, że jestem wścibiśki. Co słychać na Gayfield Square?

– Nareszcie spokój, odkąd przeszedł na emeryturę ten... sam wiesz kto. Słuchaj, miło cię widzieć, i w ogóle, ale muszę... – Wskazał kciukiem za siebie. Zajęty facet, który ma pełne ręce roboty.

Ważniak.

Ransome ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Nie przejmuj się mną, Gavin.

– Bylebyś nie wchodził nam w paradę. – Roześmiał się, jak gdyby traktował to jako żart, chociaż mówił śmiertelnie poważnie. Ransome najeżył się i próbował wymyślić stosowną ripostę, ale Hendricks zdążył już się oddalić. Podeszedł więc do miejsca akcji. Drzwi furgonetki były otwarte na oścież, a na ziemi leżał jeden z obrazów. Opakowanie się rozwinęło i Ransome zobaczył ozdobną złotą ramę. Gapił się na nią, podczas gdy technik robił kolejne zdjęcia.

– Coś mi się obilo o uszy, że namalował to jakiś Utterson – mruknął technik.

– Pierwsze słyszę.

– Jego podpis jest w dolnym rogu. Jeden z dziennikarzy twierdzi, że to jest warte kilkaset kawałków. Mój dom kosztuje mniej niż połowę tego.

Ransome miał kiepski widok, ale dojrzał, że płótno przedstawia nijaki wiejski pejzaż; miało wymiary siedemdziesiąt pięć centymetrów na pięćdziesiąt. Lepsze obrazki widywał na ścianach swojego lokalnego pubu.

– Z kim gada Hendricks? – zapytał.

Technik obejrzał się na dowodzącego akcją, pogrążonego w rozmowie z niskim i łysym facetem o strapionej twarzy. Wzruszył ramionami i pokręcił głową, wobec czego Ransome podszedł do tego dziennikarza, który go wcześniej rozpoznał, i zadał mu to samo pytanie.

– Nie jesteś w obiegu, co? – zażartował dziennikarz.

Detektyw tylko zmierzył go wzrokiem. – To szef Galerii Narodowej – wyjaśnił w końcu pismak. – A ten, który właśnie przyjechał... – Ransome spojrział za wyciągniętym palcem. Z czarnej taksówki, która akurat podjechała, wysiadał pasażer. – On kieruje muzeami miejskimi. Jest mi pan winny przysługę, inspektorze.

Nie zważając na jego słowa, Ransome przyglądał się nowo przybyłemu. Był wyższy i spokojniejszy, a może bardziej stanowczy niż szef galerii, któremu najpierw uściskał rękę, a następnie poklepał go po ramieniu w geście pociechy. Detektyw zbliżył się na tyle, żeby mógł podsłuchać, o czym rozmawiają.

– Naszym zdaniem na pewno zmienili wóz – tłumaczył Hendricks nowemu przybyszowi. – Kradzież zgłosił jakiś

obywatel... zdaje się, że ich spłoszył, a oni wystraszyli się i zwiali.

– Masz szczęście, Alasdairze – powiedział szef muzeów swojemu koledze po fachu i znów ze współczuciem poklepał go po plecach. Alasdairowi chyba się to nie spodobało, bo cofnął się o pół metra od swojego prześladowcy.

– Nie mamy jeszcze pewności, czy udało się odzyskać wszystko – powiedział, ocierając ręką czoło.

– Według świadków kradzieżą zajmowało się trzech czy czterech z nich – oznajmił Hendricks. – Inni pilnowali zakładników. Wszystko trwało dziesięć, góra piętnaście minut. Nie mogli się wiele nachapać...

– Trzeba będzie sporządzić dokładną inwentaryzację? – zapytał szef muzeów Alasdaira. – Zresztą i tak chyba mieliście ją w planach?

– Nie myśl, że ty masz święty spokój, Donaldzie – odciął się Alasdair. – Nie wiadomo, co stąd zabrali. Obrazy przeważnie są w skarbcach, ale większość twoich eksponatów wala się na otwartych regałach... zwłaszcza odkąd z powodu remontu przy Chambers Street napłynęły ich graty.

Widząc minę Donalda, Alasdair nieco się rozchmurzył. Zupełnie jakby ktoś zdjął mu ciężar z barków.

To nie tylko koledzy po fachu, pomyślał Ransome, oni też są rywalami...

– Ma pan absolutną rację – mówił Hendricks Donaldowi. – Im szybciej przeprowadzimy remanent, tym lepiej.

A tymczasem mam pytanie: ile osób wiedziało o tym magazynie i jego zawartości?

– Całe cholerne miasto – odburknął facet o imieniu Donald. – To dzień otwarty, „otwarte drzwi”, pamięta pan? Jedyne dzień w roku, w którym każdy może tu wejść i zabrać, co mu się żywnie spodoba. – Dźgnął palcem w kierunku zawartości furgonetki. – Ale o ile widzę, to głównie obrazy... pal lichy, czy ze skarbców, czy z półek.

Wyglądało na to, że Alasdair chce zaprotestować, ale ich uwagę odwróciło pyrkotanie diesla kolejnej taksówki, która pojawiła się na scenie.

– A oto i nasz miejscowy ekspert – powiedział Alasdair.

Ruszył do taksówki i gwałtownie otworzył tylne drzwiczki.

Wymienił z pasażerem uścisk rąk, po czym zaprowadził nobliwie wyglądającego starszego pana do niewielkiej grupki.

Tymczasem Hendricks znów zobaczył Ransome'a i łypnął na niego spode łba w sposób świadczący o wielkiej wprawie. Ransome nie przypuszczał jednak, żeby jego kolega chciał urządzić mu scenę – w każdym razie nie przed edynburskimi notablami (Donald miał nawet krawat New Club) – więc nie ruszył się z miejsca.

– Ubiegłej nocy naszego głównego kustosa napadnięto na ulicy przed jego domem – wyjaśniał Alasdair. – Jesteśmy wdzięczni, że pan profesor Gissing, rektor akademii sztuk pięknych i zarazem wybitny ekspert, zgodził się poświęcić nam czas.

– Myślałem, że przeszedłeś na emeryturę, Robercie – powiedział Donald, ściskając mu rękę. Gissing nie odpowiedział, tylko podszedł do detektywa inspektora Hendricksa, któremu go przedstawiono. Gdy rozmawiali, profesor zorientował się,

że ktoś spoza kręgu najbliższych osób bacznie mu się przygląda. Ukradkiem zerknął na Ransome'a, który odwrócił się, ale za późno.

– Z przykrością dowiedziałem się o tym, co przydarzyło się Jimmy'emu – mówił profesor.

Ransome przypomniawszy sobie o facecie, który dostał w łeb nad kanałem. Okazuje się, że ofiarą był ekspert w dziedzinie sztuki. A to ci dopiero! A teraz pojawił się tu Gissing... Profesor Robert Gissing... przyjaciel Michaela Mackenziego... jeden z „trzech muszkietierów” Laury. Był na aukcji tego samego dnia co Calloway. A potem dziwnym trafem wszyscy wylądowali w winiarni przy tej samej ulicy.

No dobra, w porządku, w końcu Edynburg to dziura. Patrząc na plecy Hendricksa, Ransome wiedział, że wszystko zatrzyma dla siebie, te różne powiązania i zbiegi okoliczności, postaci dramatu, ich wzajemne powiązania i wynikające stąd możliwości. Alasdair wyjaśniał Gissingowi, że muszą zidentyfikować porzucone obrazy i sprawdzić ich autentyczność, a także upewnić się, że nie doznały uszczerbku.

– Ale musimy także zdjąć odciski palców – mówił Hendricks. – Może złodzieje byli nieostrożni.

– Akurat! – mruknął do Ransome'a stojący obok niego technik policyjny. – Furgonetka jest czysta jak łąka.

– Zidentyfikowaliście ją już? – spytał detektyw szeptem, na co technik pokręcił głową.

– Ale zobaczy pan, była skradziona na zamówienie... pewnie zmienili tablice rejestracyjne i tak dalej...

Ransome kiwnął głową, przyznając mu rację, i znów wbił

wzrok w profesora Gissinga. Starszy pan słuchał Hendricksa ze splecionymi na piersi rękami. Może w ten sposób się koncentrował, ale detektyw znał się na mowie ciała i wiedział, że to pozycja obronna. Pewnie nie znajdą odcisków palców – technicy policyjni rzadko mylili się w takich sprawach – coś jednak podszeptowało mu pewne nazwisko. Nazwisko Charlesa „Majchra” Callowaya...

20.

– Niewiele już jest sal bilardowych – tłumaczył Calloway Mike'owi Mackenziemu. – Wiesz, takich prawdziwych, z pełnowymiarowymi stołami do snookera. Masz pojęcie, ile taki stół waży? Trzeba sprawdzać, czy strop wytrzyma takie obciążenie.

Gangster włączył kilka lamp w olbrzymiej, acz zatęchłej sali. Mike zobaczył sześć stołów, z których każdy pamiętał lepsze czasy. Dwa zakryte były podartymi i zaplamionymi pokrowcami, a pozostałe cztery, podrapane i pociachane, raziły niechlujnymi śladami cerowania zielonego sukna. Na jednym z nich zostały bile po przerwanej partyjce; Mike pchnął różową bilę do środkowej luzy.

– Dlaczego ta sala jest zamknięta w sobotni wieczór? – zapytał.

– Koszty utrzymania – wyjaśnił Majcher. – Więcej na nią wydaję, niż zarabiam. Mógłbym wstawić stoły do poola, może nawet kilka automatów do gier... – Zmarszczył zadziorną

twarz. – Ale chyba ją jednak sprzedam. Jakiś deweloper może przerobi ją na apartamenty albo na jeden z tych ogromnych superbarów.

– Dlaczego sam się tym nie zajmiesz?

– Z moją reputacją? – Gangster parsknął zimnym śmiechem. – Czy twoim zdaniem mam szansę uzyskać zgodę na przebudowę, nie mówiąc już o licencji na wyszynk?

– Mógłbyś przekupić kilku radnych.

Majcher wziął kij, ale okazał się nieodpowiedni. Kiedy odstawiał go na stojak, rozległ się grzechot.

– Może kilka lat temu, Mike. Teraz rzeczy mają się inaczej.

– Albo załóż jakąś firmę przykrywkę i nikt nie będzie wiedział, że to ty jesteś właścicielem...

Gangster znów zachichotał, ale tym razem jego uśmiech był cieplejszy.

– Czy ty słyszysz, co mówisz... może powinniśmy się zamienić miejscami, co? Z dnia na dzień coraz częściej myślisz jak przestępca.

– Pewnie dlatego, że rzeczywiście jestem przestępcą.

– Nie da się ukryć – przyznał Majcher, powoli kiwając głową. – I jakie to uczucie?

Mike wzruszył ramionami.

– Zapytaj mnie za jakiś czas.

Calloway okrążył stół i wskazał na paczkę, którą Mike trzymał pod pachą. Mike rozłożył ją na zakurzonej zielonej suknie i ostrożnie odwinął brązowy papier. Zapakował ją osobiście, licząc na to, że nie będzie wyglądała na coś, co

skradziono przy Marine Drive, na wypadek, gdyby zatrzymała go drogowka i kazała otworzyć bagażnik. Majcher jeszcze dwa razy wysyłał mu SMS-y, zanim Mike postanowił dobić z nim targu; Allan został w jego apartamencie, czekając na powrót Gissinga.

– Znakomity przykład twórczości Uttersona z jego późnego okresu – poinformował gangstera.

– Wolałbym coś Jacka V*. – Mimo to Calloway niespiesznie oglądał obraz, przesuwając palcem po skraju płótna. – Nie-duży, co? W ramach zawsze wydają się większe.

* Chodzi o Jacka Vettriano (właśc. Jacka Hogana), słynnego szkockiego malarza.

– Fakt – przyznał Mike. – A skoro już o tym mowa...

– Wiem, wiem. Nie mogę go zanieść do sklepu i powiedzieć, że chcę mieć nową ładną ramę. I nie mogę go powiesić gdzieś, gdzie ktoś mógłby go zauważyć. – Udał, że wzdycha z rozczarowaniem. – Szkoda było zachodu. – Uśmiechnął się i spojrzał na Mike'a z rozbawieniem w oczach. – Jak się spisały moje chłopaki? Robili, co im kazałeś?

– Byli świetni.

– A spluwy?

– Zrobiły swoje. Potem im je oddaliśmy.

– Wiem. – Majcher zamilkł na chwilę i założył ręce na piersi. – Tak mi chodziło po głowie, że nie będziesz chciał oddać swojej... chyba się do niej przywiązałeś. Jakbyś chciał, to nadal ją mam.

– Kusząca propozycja – przyznał Mike. – Ale będzie lepiej, jeżeli wszystkie znikną z obiegu.

- Zgoda. Czyli poszło bez problemów?
 - Pestka. – Mike roześmiał się, przeczesując palcami włosy. – Gdybym mógł to powtórzyć, zwinąłbym dwa razy tyle.
 - Spodobało ci się, Mikey, co?
 - Nie udałoby nam się bez twojej pomocy.
- Gangster podniósł swojego Uttersona i udawał, że mu się przygląda.
- A ja dalej twierdzę, że mogliście po prostu zamienić obrazy... bez tego całego numeru z furgonetką.
 - Jak by to wyglądało, gdybyśmy weszli do magazynu i wyszli, a nic by nie zginęło? A dzięki temu oni sądzą, że odzyskali skradzione dzieła, więc zamiast nabrać podejrzeń, poczują ulgę.
 - Z dnia na dzień myślisz coraz bardziej jak przestępca – powtórzył Majcher. – I co teraz?
 - Na miejscu jest już profesor. Właśnie w tej chwili potwierdza, że odzyskane obrazy to oryginały.
 - I uwierzą mu na słowo, tak po prostu?
 - Nie mają powodu mu nie ufać. Nie mówią już o tym, że jest jedynym ekspertem, jakiego mają pod ręką.
 - Gdybym wiedział, że to takie naiwne sukinsyny, już dawno sam bym wywinął taki numer.
 - Ale nie znałeś kogoś takiego jak Westie... cały plan zależał od niego, i to profesor wpadł na pomysł, żeby go w to wciągnąć.
 - Myślisz, że Gissingowi nie puszczą nerwy? – Majcher odłożył obraz na zielone sukno.

- Nie ma obawy.
- Gangster przemyślał to sobie.
- Dobrze się sprawiłeś, Mike. Żałuję, że nie weszliśmy w spółkę kilka lat temu.
- Pamiętaj, że to Gissing opracował cały plan.
- Majcher puścił to mimo uszu.
- A ten twój drugi kumpel?
- Allan? – Mike patrzył, jak Calloway kiwa głową. – On jest w porządku.
- Jesteś pewien? Widzisz, rzecz ma się tak... jesteśmy teraz ze sobą związani, nie? A z nas wszystkich ufam wyłącznie sobie. – Dźgnął się palcem w pierś, a potem wycelował go w Mike'a. – Muszę mieć pewność, że jeśli gliny zaczną się dopytywać, żaden z was nikogo nie sypnie.
- Spokojna głowa – oświadczył Mike.
- Nie znam nawet tego malarza, ale z doświadczenia wiem, że studenci zawsze oznaczają kłopoty.
- Na szczęście on nie ma o tobie pojęcia.
- A jego zdaniem skąd wzięły się spluwy i te chłopaki? Spadli wam z nieba?
- On nie należy do zbyt dociekliwych. – Mike uznał, że gangster nie musi wiedzieć o Alice. – A ty nawet...
- Co?
- Twój Utterson... Myślałem, że bardziej się ucieszysz.
- Od drzwi dobiegł jakiś dźwięk. Po twarzy Majchra Callowaya przemknął cień uśmiechu.
- Teraz się cieszę – oznajmił. Pociągnął nosem i potarł

go ręką. – Widząc, jak nabrałeś upodobania do przestępstwa, Mike, pomyślałem, że powinienes wziąć w tym udział. Mike'a ogarnęły złe przeczucia.

– W czym?

Majcher nie odpowiedział, tylko ruszył do drzwi. Przekręcił klucz w zamku i do sali wszedł niezwykle wysoki facet z włosami zebranymi w kucyk i z mnóstwem tatuaży; w jasnoniebieskim garniturze i takich samych butach, ale bez skarpetek wyglądał nieco cudacznie. Majcher zaprowadził przybysza do stołu, a Mike wyprostował się w ramionach, by przydać sobie nieco wzrostu i postury.

– To pan Nienawiść. – Majcher dokonał prezentacji. – Nienawiść, poznaj mojego kumpla, o którym ci opowiadałem, mógłbym go nawet określić jako współnika... to Mike Mackenzie.

Sposób, w jaki wypowiedział jego nazwisko, nasunął Mike'owi myśl, że coś jest na rzeczy. Człowiek zwany Nienawiść potraktował go jednak jak powietrze, dzięki czemu Mike mógł mu się przyjrzeć baczniej. W poprzek szyi faceta biegła linia z kropek, a kiedy oparł umięśnione ręce na skraju stołu do snookera, Mike zobaczył, że na kostkach dłoni ma wytatuowany napis NIENAWIŚĆ.

– To jest ten zastaw? – zapytał Nienawiść, nie bawiąc się w uprzejmości.

– Właśnie – przytaknął gangster.

– A ja mam uwierzyć, że to jest coś warte? – Skandynawski akcent, ale Mike nie potrafił go dokładniej określić.

- Mike jest ekspertem w takich sprawach – rzekł Majcher. Mike zmierzył go wzrokiem, ale gangstera to nie wzruszyło.
- To kupa gówna – oświadczył olbrzym.
- Ta kupa gówna jest warta na rynku dwieście kawałków – oświadczył Mike.

Nienawiść prychnął i podniósł Uttersona... niezbyt delikatnie. Mike wystraszył się, że złamie się blejtram. Olbrzym odwrócił obraz i przyjrzał mu się z drugiej strony.

Zastaw, pomyślał Mike. Tak właśnie podejrzewał, a więc ten facet to pewnie ów „wiking”, o którym Johnno wspomniał wtedy w samochodzie. Callowaya nie interesował ten obraz. Nic a nic. Chciał go oddać temu potworowi, potworowi, który znał teraz nazwisko Mike'a i w każdej chwili mógł go powiązać z płótnem. A jeśli okaże się, że nie jest wart aż tyle, czy sprawy mogą przybrać nieprzyjemny obrót? Teraz już wiedział, dlaczego Majchrowi zależało na tym, żeby olbrzym poznał jego nazwisko... i dlaczego gangster chciał, żeby Mike był obecny przy tej transakcji. Jesteśmy teraz ze sobą związani... Calloway sam tak powiedział. I na wypadek gdyby miał pójść na odstrzał, zamierzał wykorzystać Mike'a jako żywą tarczę.

Mike, chłopie, w coś ty się wpakował?

Tymczasem Nienawiść obwąchiwał powierzchnię obrazu... normalnie go obwąchiwał!

- Nie pachnie starzyzną – orzekł.
- Nie kombinuj – zadrwił Majcher, grożąc mu palcem. – Myślisz, że wywinąłbym ci taki tandetny numer? Nie wierzysz,

to daj to komuś do ekspertyzy... Mike zna kogoś z akademii sztuk pięknych.

Chryste Panie, czy on chce też umoczyć profesora?

Mike ostrzegawczo uniósł dłoń.

– Ten obraz jest kradziony... na pewno sam pan już o tym wie. Jeśli chce pan się upewnić, proszę obejrzeć wieczorne wiadomości. Ale nikt, absolutnie nikt się o tym nie dowie, chyba że komuś go pokażemy.

– Czyli że muszę wam wierzyć na słowo? – Żrenice w mętnych niebieskich oczach Nienawiści wyglądały jak malutkie czarne plamki.

– Może pan sprawdzić w Internecie – podsunął Mike. – Niech pan sprawdzi inne dzieła tego malarza... jest dosyć słynny. Zobacz pan, za ile chodziły jego prace na ostatnich aukcjach. Samuel Utterson... są jego wystawy, biografie...

Nienawiść przenosił wzrok z jednego na drugiego.

– Dwieście tysięcy funtów – rzekł powoli.

– Tylko nic nie kombinuj – ostrzegł Majcher, znowu grożąc mu palcem i uśmiechając się sztucznie. – To tylko czasowy zastaw, gotówka jest już w drodze.

Nienawiść przyszpilił go wzrokiem.

– Pańscy ludzie wciąż za mną węższą, prawda? Inaczej byłby pan głupi. Ale nie trafią na mój ślad, panie Calloway. Zresztą jeśli nawet mnie znajdą, gorzko tego pożałują.

– Rozumiem – powiedział gangster.

Nienawiść znów spojrział na obraz, który wciąż trzymał w ręku, a Mike wystraszył się, że olbrzym wybije w nim dziurę. Ten jednak odłożył płótno z powrotem na stół bilardowy –

zdaniem Mike'a, na tyle delikatnie, jakby był przynajmniej połowicznie przekonany – i zaczął je zawijać w brązowy papier.

– Czyli jest w porzo? – zapytał Majcher z taką ulgą w głosie, że Mike dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo gangster denerwował się od przybycia Nienawiści.

– To jeszcze muszę ustalić z moim klientem. – Nienawiść wsadził pakunek pod pachę.

– Nie wypuszczę cię stąd, dopóki się nie dogadamy.

Mike uznał, że ulga Majchra w jednej chwili przeszła mu w brawurę. Nienawiść zmierzył go wzrokiem.

– Wobec tego spróbuj mnie zatrzymać – odparł, ruszając do wyjścia. Majcher rozejrzał się i jego oczy rozbłyły na widok stojaka z kijami bilardowymi. Ale kiedy zerknął na Mike'a, ten pokręcił głową i zwrócił się do pleców olbrzyma:

– Dlaczego po angielsku?

Facet zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

– Pańskie tatuaże... słowo „Nienawiść”... *Hate* – wyjaśnił Mike. – Dlaczego po angielsku?

Jedyną odpowiedzią było wzruszenie ramion, po czym drzwi sali otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Mike odczekał, aż umilknie echo, i ruchem głowy wskazał kije bilardowe.

– Może gdyby były kalibru dziewięć milimetrów.

– Wątpię, żeby kulka kalibru dziewięć milimetrów zatrzymała tego skurwiela. – Majcher przetarł twarz dłonią.

– W swojej branży spotykasz niezłych przyjemniczków.

- Takich samych jak w każdym innym fachu.
- Co prawda, to prawda – przyznał Mike. Obaj wybuchnęli śmiechem i napięcie na sali zelzało. – A swoją drogą – dodał Mike – nie wiem i nie chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.
- Taki bystrzak jak ty na pewno już sam to wykombinował, Mike. Wiszę trochę forsę kontrahentowi... a dzięki temu Uttersonowi zyskam na czasie.
- Wiem, że mafia przyjmuje płótna starych mistrzów w takich sytuacjach.
- A teraz przyjmują je też w Edynburgu. Golniemy sobie?
- W rogu sali znajdował się bar. Majcher otworzył kluczem jedną z szafek i wyciągnął pół butelki whisky oraz dwie szklanki. Mike otrzepał dłonią stołek i usiadł.
- W sumie to zabawne, ale ma sens – powiedział.
- Calloway wychylił duszkiem szklaneczkę i odetchnął głęboko.
- Niby co?
- Skoro pozbyłeś się obrazu, policja go u ciebie nie znajdzie.
- Fakt... może zamiast czepiać się mnie, zaczną gonić Nie-nawiść. – Majcher prychnął i nalał sobie drugą szklaneczkę. – Na pewno nie chciałbyś się zamienić ze mną na zawód?
- Ja nie mam zawodu.
- No tak... z ciebie jest kawał nieroba. No chyba że chcesz sobie wpisać do paszportu „dżentelmen-włamywacz”.
- Majcher, to był jednorazowy numer. – Komórka Mike'a

zaczęła wibrować. Wyciągnął ją z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz: dzwonił Robert Gissing. – To profesorek – wyjaśnił gangsterowi, odbierając. – I jak poszło, Robercie?

– Właśnie kończę. – Gissing mówił szeptem, widocznie w pobliżu byli inni ludzie.

– Pamiętaj, zamawiając taksówkę, podaj swój adres domowy, na wypadek gdyby ktoś słuchał – przypomniał mu Mike. – A jak już będziecie w drodze, powiedz, że się rozmyśliłeś i jedź do mnie.

– Mike, nie jestem idiotą!

– Coś się stało? – Mike wyczuł w głosie profesora coś niedobrego. Szklanka whisky zamarła w pół drogi do ust Majchra Callowaya.

– Czy jesteś z naszym przyjacielem? – spytał Gissing.

– Tak jak ustaliliśmy. Spodobał mu się towar.

– To akurat nieważne... wysyłam ci fotkę. Nie do wiary, co teraz potrafią te telefony komórkowe z aparatem. Chyba cyknałem go tak, że się nie zorientował.

– Kogo? – zdziwił się Mike, mrużąc oczy.

– Jego zdjęcie... twoja komórka nie odbiera zdjęć?

– Robercie, o czym ty gadasz?

– Po prostu chcę wiedzieć, czy mamy problem. – Tymczasem Majcher stanął obok Mike'a i nastawiał ucha. Pomimo zapachu whisky i wody kolońskiej, czuć było odór jego potu. – Nie spodobało mi się, jak mi się przyglądał – ciągnął profesor. – Odezwij się za pięć minut.

Połączenie przerwano. Mike gapił się na pusty wyświetlacz swojej komórki.

- Czy to miał być przytyk do mnie? – zapytał gangster.
- Co takiego?
- Nie spodobało mi się, jak...
- No coś ty! Chodzi o to, że kogoś sfotografował i chce nam to pokazać.
- Tylko mi nie mów, że na wycieczkach waszego studenta farba nie zdążyła wyschnąć.

Zapisał telefon Mike'a – znak, że nadeszło zdjęcie. Majcher spojrział na ekran komórki, którą Mike trzymał między nimi. Profesor miał komórkę z najwyższej półki – niedawno robił nią zdjęcia obrazów na wystawie dyplomowej w akademii. Najlepsza rozdzielczość, jaką sobie można wyobrazić... zoom... pełny wypas. Telefon Mike'a także był najnowszej generacji, z fajnym wielkim wyświetlaczem. Fotografia ukazała się na trzy raty, w kolejnych poziomych częściach. Przedstawiła mężczyznę od pasa w górę, z profilu. Zdjęcie wykonano z daleka, na maksymalnym zbliżeniu, dlatego obraz był nieco zamazany. Ale i tak gangster ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

– To Ransome! – warknął. – Ze śledczego, od niepamiętnych czasów próbuje mi się dobrać do dupy.

– I to on cię śledził tego dnia, kiedy wybraliśmy się na Arthur's Seat? – Mike patrzył, jak Majcher Calloway powoli kiwa głową. – No a teraz przejawia niezdrowe zainteresowanie profesorem Gissingiem. – Mike przez dobrą minutę przygryzał dolną wargę, a Majcher wyjaśniał mu, że Ransome od dawna śledzi go co jakiś czas... że to dlatego wyjeżdżając na miasto, musi podejmować środki ostrożności... że od dawna już go

nie widział, więc sądził, że detektywowi znudziła się ta zabawa w kotka i myszkę... ale z drugiej strony...

– Wiedziałem, że próbował mnie śledzić tego dnia, kiedy wpadliśmy na siebie w galerii.

– Czyli że mógł nas zobaczyć razem? – zapytał Mike, chociaż nie oczekiwał odpowiedzi. – No to chyba naprawdę mamy kłopot.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie detektywa, po czym zawołał do Majchra:

– Houston, mamy problem!



Jadąc do Szkocji, człowiek, który kazał się nazywać Nienawiść, wziął ze sobą laptop. Bogiem a prawdą, nigdzie się bez niego nie ruszał, aczkolwiek na twardym dysku nigdy nie miał nic takiego, czym mogłaby się zainteresować policja w kraju, do którego się wybierał. Schowawszy do bagażnika samochodu obraz Samuela Uттersona – prawdopodobnie i tak bezwartościowy – odpalił laptopa i zabrał się do roboty. Wszedł do Internetu i wrzucił do wyszukiwarki imię i nazwisko malarza. Jeśli informacje go nie przekonają, pewnie będzie musiał się wybrać do księgarni albo biblioteki po więcej danych. Ten gość w sali bilardowej – Mackenzie, jeśli naprawdę tak się nazywał – ostrzegł go, że obraz jest kradziony. No, ale to już nie mój problem, prawda? – pomyślał. Kłopoty miałbym dopiero wtedy, gdyby okazało się, że płótno jest warte mniej, niż Calloway jest winny. Nienawiść musiał to sprawdzić... ale w tym celu prawdopodobnie trzeba będzie zwrócić się do kogoś

o pomoc. Czyli pokazać komuś ten obraz... co teoretycznie oznaczało kolejne kłopoty.

Nienawiść zawiadomił już swojego zleceniodawcę SMS-em, że odebrał Uttersona. Ale klient także nie słyszał o tym malarzu. Nie był to jednak problem nie do pokonania – forsa to forsa, i już. Z lokalnej witryny BBC dowiedział się, że z rana włamano się do magazynu należącego do szkockiej Galerii Narodowej. Tyle że wkrótce odzyskano „pewną liczbę obrazów”. Nie podano, czy czegoś brakowało. Nienawiść ciągnął się za ucho, rozważając dostępne możliwości. Pod palcami czuł dziurkę w płątku ucha, gdzie zwykle nosił kolczyk. Jeśli akurat nie pracował, najchętniej nosił dżinsy i T-shirty, wiedział jednak, że garnitur przeważnie wytrąca ludzi z równowagi... a raczej sprawia to połączenie garnituru i człowieka, który go nosi. Nie mógł się doczekać powrotu do domu. Serdecznie nie znosił Edynburga. Tu wszystko było powierzchowne, to miasto kanciarzy– jedną ręką pokazywali turystom atrakcje, a drugą niezauważenie wyciągali im forszę z kieszeni. Dobrze chociaż, że wstęp do galerii i muzeów był za darmo. Nienawiść zwiedził większość z nich, przyglądając się obrazom. Miał nadzieję, że mu się to opłaci, liczył, że dzięki temu rozpozna falsyfikat. Ale jedynym efektem było to, że personel śledził każdy jego krok, jakby nie wierząc własnym oczom. Może się bali, że wyciągnie nóż albo brzytwę i potnie któreś z ich bezcennych płócien? Kiedy Calloway po raz pierwszy wspomniał mu o zastawie, nie zdradził, skąd będzie pochodził obraz. Nie podał też nazwiska malarza. Nienawiść nie pamiętał, żeby w jakiejś galerii widział prace Uttersona, ale teraz dowiedział się z Internetu,

że gość ma wzięcie u kolekcjonerów. W ostatnich latach jego prace pojawiały się na aukcjach w Sotheby's, Christie's i Bonham's. Najwyższa uzyskana cena wynosiła trzysta tysięcy funtów, a więc może ten cały Mackenzie nie przesadzał. Nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, Nienawiść wpadł na pomysł, żeby sprawdzić też w Internecie Mackenziego.

Linków było nie mniej niż do Samuela Uttersona.

Jeden z nich zaprowadził Nienawiść na stronę czasopisma, które opublikowało artykuł o Mackenzie, ilustrowany zdjęciami jego apartamentu. Na ścianach wisiały całkiem ładne obrazki. I bez dwóch zdań był to ten sam facet – zamieścili jego fotografię. Mężczyzna z forszą i ze smakiem, jak brzmiał tekst ulubionej piosenki Nienawiści*.

* Chodzi o piosenkę *Sympathy for the Devil* zespołu The Rolling Stones, znaną też z wykonania Guns N'Roses.

Olbrzym znów szarpnął się za ucho. Chyba będzie musiał zrewidować swoje zdanie na temat Charlesa „Majchra” Callowaya. Możliwe, że to burak, typowy męt społeczny.

Ale dobierał sobie współpracowników z klasą.

• • •

Laura była zaproszona na uroczystą kolację do Heriot Row. Gospodarz sprzedał na jej aukcji dwa obrazy, aczkolwiek żaden z nich nie osiągnął maksymalnej oczekiwanej ceny. Spodziewała się więc, że będą suszyli jej głowę, jednakże Bogu dzięki wszyscy gadali wyłącznie o napadzie... że był zuchwały, głupi i że prawie im się udało. Chciała poprosić Mike'a

Mackenziego, żeby towarzyszył jej na tym przyjęciu, ale zabrakło jej odwagi. W rezultacie posadzili ją obok adwokata, który – jak się okazało – wciąż boleśnie przeżywał niedawny rozwód i topił smutki w alkoholu. W trakcie deseru z ulgą usłyszała dzwonek swojej komórki. Przeprosiła półgębkiem, że zapomniała wyłączyć telefon, po czym wyjęła komórkę z torebki, spojrzała na wyświetlacz i oświadczyła wszystkim, że niestety musi odebrać. Szybko wyszła na korytarz i odetchnęła głośno, zanim przyłożyła aparat do ucha.

- Czym mogę służyć, Ransome?
- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?
- Prawdę mówiąc, tak... jestem w trakcie proszonej kolacji.
- Serce mi krwawi, że nie znalazłem się na liście gości...
- Nie jestem gospodarzem.
- No, ale mógłbym robić za przyzwoitkę...

Znowu westchnęła, głównie w tym celu, żeby to usłyszał.

- Masz do mnie coś ważnego, Ransome?
- Chciałem skorzystać z twoich szarych komórek. Chodzi o magazyn w Granton. Zakładam, że już o tym słyszałaś.

Laura uniosła brew.

– Prowadzisz tę sprawę? – Musiała usunąć się na bok, by zrobić miejsce hostessie w liberii specjalnie wynajętej w agencji na wieczór która toczyła wózek z serami do salonu.

- Nie ja jeden – odparł Ransome. – Twój przyjaciel, profesor Gissing, też nam pomaga.
- Nie nazwałabym go przyjacielem...
- Ale niewątpliwie jest ekspertem?

– Zależy, o jakim okresie sztuki mówimy. – Laura zobaczyła, że gospodyni wygląda zza drzwi, i skinęła głową na znak, że zaraz wróci. – Muszę kończyć, Ransome.

– Może wyskoczmy potem na jednego?

– Nie dzisiaj.

– Masz inne plany, co? Kim jest ten szczęściarz?

– Na razie, Ransome – rzuciła Laura i przerwała połączenie. Wróciła do salonu i jeszcze raz przeprosiła obecnych. Adwokat wstał i odsunął jej krzesło.

– Mam nadzieję, że nie było to nic niefortunnego – powiedział z troską; twarz miał zaczerwienioną z przepicia.

– Nie – zapewniła go. Kto jeszcze mówi dziś „niefortunny”? Hm, z pewnością Robert Gissing. Zastanawiała się nad telefonem Ransome'a. Czy Gissing naprawdę najlepiej nadawał się do oceny autentyczności obrazów? Szczerze w to wątpiła. Przypomniała sobie, kiedy widziała go ostatnio... w progu sali podczas swojej aukcji. Podszedł do niego Mike i wyszli, a po chwili ich śladem ruszył Allan Cruikshank. To właśnie Allan przedstawił jej Mike'a, na premierze wystawy retrospektywnej Monbodda. Pamiętała też, że tego samego dnia przedstawiła Mike'a Gissingowi. Rozmawiała wtedy z Mikiem i znakomicie czuła się w jego towarzystwie. Mowa jego ciała świadczyła o tym, że on też dobrze się z nią bawi. Ale właśnie wtedy Allan przyprowadził profesora, który zmonopolizował rozmowę, gładząc o tym, „jak ważny jest smak i dobry gust”. W końcu Laura odeszła na drugą stronę galerii, ale rozmawiając z innymi znajomymi, wciąż czuła na sobie spojrzenie Mike'a.

Zaledwie dwa miesiące temu zerwałaś dwuletni związek, skarciła się w duchu. Nie waż się pakować w kolejny...

– Może kawałek brie, Lauro? – spytała hostessa trzymająca nóż nad tacą z serami. – A do tego pigwa albo winogrona?

– Nie, dzięki – odparła, mając świadomość, że dolewając jej wina, prawnik nie spuszcza oczu z wypukłości jej piersi.

– Kiedyś miałaś obraz Monbodda, prawda? – pytała gospodarza któraś z zaproszonych pań.

– Sprzedałem go dziesięć lat temu – usłyszała. – Czesne kosztuje... – Gospodarz przyjęcia wzruszył ramionami.

– Złodzieje próbowali ukraść Monbodda – wyjaśniła kobieta gościom przy stole. – Portret żony artysty. – Odwróciła się do Laury. – Wiesz, o którym mówię?

Laura skinęła głową. Wiedziała, a jakże, w dodatku pamiętała, gdzie go widziała ostatnio.

I kto się nim najbardziej interesował...

• • •

Tego wieczoru Westie i Alice zjedli kolację w ulubionej chińskiej restauracji, po czym ruszyli na obchód barów i klubów nocnych, żeby tańcem rozładować napięcie. Abstrakcja DeRasse'a zajęła dumne miejsce w pracowni studenta, na sztaludze zwolnionej właśnie przez jeden z falsyfikatów. Westie przedstawił nawet Alice idiotyczny pomysł – że włączy tego DeRasse'a do teczki dyplomowej na akademii, jako jedną ze swoich kopii.

– A jak to Gissing zobaczy, kopnie cię tak, że polecisz na Islandię i z powrotem – pisnęła Alice, zaśmiewając się razem z nim.

Tańczyli tak i tańczyli, i tańczyli, aż do niedzieli.

Tymczasem Ransome leżał w łóżku i gapił się w sufit, próbując nie ruszać się, żeby nie obudzić żony, chociaż nerwy miał napięte jak postronki, a serce waliło mu jak młot. Pikantny warzywny kuskus, który zjedli na późną kolację, zalegał mu na żołądku.

Allan też nie spał. Oczy wciąż go bolały od szkieł kontaktowych, a głowa swędziała, mimo że na mycie włosów zużył pół butelki szamponu. Stał przy oknie w ciemnym salonie i wyglądał na trawnik biegnący w kierunku komisariatu przy Gayfield Square. Zjawiły się dwie ekipy telewizyjne i odjechały, gdy reporterzy w świetle reflektorów powiedzieli już przed kamerami, co mieli do powiedzenia. Za każdym razem, kiedy podjeżdżał radiowóz, Allan spodziewał się, że zobaczy kogoś znajomego w kajdankach – Westiego, Mike'a albo profesora. Chciał o tym komuś opowiedzieć – może Margot, a może któremuś z dzieci. Albo sięgnąć po telefon, wybrać numer na chybił trafił i wygadać wszystko pierwszemu lepszemu nieznajomemu, który odbierze.

Tymczasem jednak czuwał przy oknie.

Robert Gissing miał przed sobą pracowitą noc, najpierw jednak bez pośpiechu obejrzał swoje obrazy. Miły dodatek do jego skromnej kolekcji. Allan odwiózł go do domu, ale podczas jazdy prawie się nie odzywali. Martwił go ten inspektor Ransome. Ale Mike zapowiedział mu, żeby nie wspominał o

nim Allanowi, co tylko wzmogło obawy profesora. Jeśli któryś z nich miał pęknąć, to właśnie Allan Cruikshank. A mogło do tego dojść w każdej chwili – i stąd ta pracowita noc. Gissing nie miał nic przeciwko temu. Jeszcze zdąży się wyspać. Wkrótce będzie miał dla siebie dużo czasu. Powiedział to nawet na głos: „Dużo czasu”. I uśmiechnął się pod nosem, wiedząc, że to nieprawda.

21.

W niedzielny poranek w Edynburgu panował spokój: rytmicznie biły kościelne dzwony; słońce przygrzewało coraz bardziej; mieszkańcy miasta i turyści rozkładali gazety na stolikach w kawiarniach. Miły dzień na przejażdżkę, chociaż mało kto obrałby sobie za cel wyprawy Granton. Na nabrzeżu krzyżały mewy, pożywiające się resztkami fast foodów z ubiegłej nocy. Niedaleko w niebo wzbijał się kolejny kompleks wieżowców otoczony przez nieużytki i gazometry.

Ransome nie po raz pierwszy zastanawiał się, dlaczego szkocka Galeria Narodowa akurat tutaj ulokowała magazyn swoich zbiorów, dla których zabrakło miejsca na ekspozycji. W sumie nie wiedział nawet, po co im taki magazyn – czy nie lepiej byłoby wypożyczyć te obrazy i rzeźby biedniejszym muzeom w całym kraju? Niewątpliwie galerie w Dundee, Aberdeen i Inverness znalazłyby dla nich miejsce. Czy takie Kirkcaldy nie przyjęłoby z pocałowaniem w rękę kilku szkiców albo popiersia jakiejś postaci historycznej? Niemal widział Kirkcaldy

przez mgłę zalegającą nad bezwietrzną zatoką Firth of Forth; po wczorajszym deszczu pozostało tylko wspomnienie. W wartowni urzędował nowy strażnik – jego kolega dostał wolne, żeby mógł złożyć obszernie zeznania na policji.

Zadawano mu pytania w rodzaju: „Ile ci zapłacili?”. „Oni”, czyli złodzieje. Ransome wiedział, jakim torem biegną myśli Hendricksa: że to robota kogoś z wewnątrz. Banda знаła rozkład budynku, wiedziała, ilu będzie strażników i gdzie będą rozlokowani. Wyłączyli kamery przemysłowe, a ich celem były tylko niektóre skarbce. Wyglądało to na robotę kogoś z wewnątrz i tak to potraktują Hendricks i jego ekipa.

Ransome podejrzewał, że wie lepiej, i właśnie dlatego wybrał się z samego rana do Granton. Zaparkował przy nieczynnym furgonie z przekąskami. Ale w dni robocze ten bar na kółkach był czynny, więc właściciel albo któryś z klientów mógł coś zauważyć. Każda banda z prawdziwego zdarzenia musiała przeprowadzić rekoniesans. Nocą w telewizyjnym serwisie informacyjnym spekulowano na temat czasu dokonania kradzieży. Nie chodziło o to, że napad nastąpił podczas dni otwartych, ale że zbiegł się w czasie z dostawą eksponatów z Muzeum Narodowego, które zamknięto na czas remontu generalnego. Czy to czysty przypadek? Zdaniem dziennikarza, nie. Reporter mówił prosto do kamery z punktu obserwacyjnego znajdującego się dokładnie przed wartownią. Ransome ruszył w tamtą stronę. Strażnik w liberii i plakieta z nazwiskiem starannie sprawdził jego legitymację. Detektyw podszedł do rampy załadunkowej i z rękami w kieszeniach uważnie badał teren,

szukając śladów, które mogła przegapić ekipa techniczna. Po-tem otworzył drzwi z napisem: WSTĘP WZBRONIONY. WEJŚCIE TYLKO DLA PERSONELU i wszedł do środka.

Śledczy mieli pełne ręce roboty. Kustosze muzeów i galerii przeprowadzali szczegółowy remanent. Nie było to wprawdzie śledztwo Ransome'a, ale zadzwonił do kumpla z posterunku Hendricksa, a ten podzielił się z nim wszelkimi informacjami. Zdaniem świadków banda przebywała w budynku najwyżej dwadzieścia minut, chociaż mieli wrażenie, że „minęły całe godziny”. Według Ransome'a dwadzieścia minut oznaczało, że była to dobra robota. A jednak uciekli, zabierając zaledwie osiem obrazów. Z drugiej strony te osiem dzieł warte było grubo ponad milion funtów, czyli ryzyko się opłaciło, ale wciąż nie miało to sensu. Wiedział, co pomyśli Hendricks: kradzież na zamówienie, dla bogatych i pozbawionych skrupułów kolekcjonerów, którzy byli gotowi zapłacić za coś, czego nie można kupić. Trzeba będzie zasięgnąć opinii ekspertów – takich jak ci we wczorajszych wieczornych wiadomościach telewizyjnych. Wspomnieli oni, że mafia często przyjmuje dzieła sztuki jako zastaw na poczet długów, i omawiali przypadki kradzieży słynnych obrazów, które wiązano z mafijnymi szefami i miliardarami uwielbiającymi sztukę. W przeszłości zdarzali się także złodzieje, którzy dokonywali kradzieży tylko po to, żeby pokazać, że są do tego zdolni.

Kiedy już Ransome miał dość telewizji (po tym, jak na palcach zszedł na dół z sypialni), ponownie zadzwonił do Laury Stanton na komórkę. Ofuknęła go, że ją obudził. Zdał sobie

wtedy sprawę, że jest już dobrze po północy. Przeprosił ją, po czym zapytał, czy jest w łóżku sama.

– Ty masz w głowie tylko jedno, Ransome.

– Dlatego taki ze mnie dobry glina. Więc jak... masz dla mnie jakieś nazwiska?

– Nazwiska?

– Miłośników sztuki, którzy potrafiliby zorganizować bandę.

– Ransome, jesteśmy w Edynburgu!

Z tym akurat trudno było się nie zgodzić. Rzucił więc nazwisko Roberta Gissinga i zapytał, czy może mu o nim powiedzieć coś więcej.

– Po co?

– Zastanawiam się, czy rzeczywiście jest takim ekspertem.

– Wystarczająco dobrym – odparła, ziewając.

– Wcześniej nie byłaś taka przekonana...

– A teraz jestem pewna.

– Ale przyznasz, że to dziwne... etatowy rzeczoznawca galerii dostaje w łeb akurat w wieczór poprzedzający dzień, kiedy byłby potrzebny.

– Do czego zmierzasz, Ransome?

– W razie czego daj mi znać, Lauro, dobrze?

Rozłączył się i znów zaczął popijać herbatę... rooibos, pomysł Sandry. Rzekomo dobrze wpływała na trawienie...

Teraz, stojąc w magazynie, z suchymi ustami i rozstrojonym żołądkiem, obserwował pracę kustoszy. Nosili cienkie białe rękawiczki z bawełny. Wszyscy – obojętnie, czy mieli na sobie garnitury i krawaty, czy niebieskie kombinezony. Natomiast

gliniarze albo mieli gołe dłonie, albo w lateksowych rękawiczkach. Alasdair Noone też tam był, wciąż spięty po przejściach z poprzedniego dnia. Wyglądał, jak gdyby spał co najwyżej kwadrans. Przybył też jego odpowiednik z ramienia muzeum, Donald Farmer, ten jednak był całkiem spokojny. Ransome odniósł wrażenie, że – jak Farmer podał w wieczornych wiadomościach – nie ruszono niczego ze zbiorów muzeum. I wtedy, i teraz jego mina zdradzała wielką radość. Przy drzwiach rampy załadunkowej strażnicy trzymali wartę. Mądry Hendricks po szkodzie, bo na pewno to on wydał takie rozkazy, pomyślał Ransome. Ale gdyby zjawiła się sama góra, sprawiałoby to dobre wrażenie, bo szefostwo lubiło widzieć uwijających się przy pracy ludzi i porządek. Natomiast Hendricksa nigdzie nie było widać. Ransome nie sądził, żeby jego kolega po fachu zasnął. Może był w wartowni albo przesłuchiwał świadków na posterunku. Wolał jednak nie ryzykować i szybko wszedł między wysokie, uginające się pod ciężarem ekspozycji regały. Tego tylko brakowało, żeby kolega po fachu, kumpel i rywal zarazem zaczął się interesować, co on tam właściwie robi. Mógłby, rzecz jasna, skłamać, ale wątpił, żeby Hendricks dał się nabrać.

Mam oko na twoje śledztwo, powiedział sobie w duchu. A jak już się skończy i wszystko będzie jasne, okaże się, że to ja miałem rację, a ty się myliłeś... I to ja dostanę awans.

Trzy skarbce wciąż pozostawały otwarte, a może otworzono je znów z rana, żeby wpuścić techników. W każdym znajdowało się mnóstwo obrazów. Te, które wynieśli złodzieje, miały tu wrócić dopiero po gruntownym przebadaniu. Profesor Robert

Gissing wydał już opinię, że są nieuszkodzone i autentyczne, ale należało jeszcze pobrać odciski palców i zdjąć ewentualne włókna. W nocy dziennikarze w telewizji mówili o „uldze, jaką poczuli wszyscy miłośnicy sztuki w Szkocji – i oby tak dalej”. Świetnie, ale po co porzucać furgonetkę? Media nie miały wątpliwości – złodziei ktoś wystraszył i wpadli w panikę. Akurat wynosili obrazy, pewnie po to, żeby je przenieść do innego pojazdu. A przypadkowy obywatel, widząc to, nabrał podejrzeń i zawiadomił policję. (Ransome zapytał swojego kumpla z posterunku Hendricksa, czy znają już tożsamość tego, kto dzwonił, ale facet nie podał nazwiska i nie zidentyfikowali jeszcze jego numeru). Rzecz jasna, alarm wszczął najpierw strażnik z wartowni, który podał opis furgonetki oraz numery rejestracyjne. (Skradziono ją kilka dni wcześniej z uliczki w Broxburn). Tablica rejestracyjna była fałszywa, ale właściciel – malarz i tapeciarsz – zdołał zidentyfikować pojazd; wkurzył się tylko, że złodzieje wyrzucili gdzieś po drodze jego narzędzia pracy.

A zatem: udany skok, a potem wpadka przy przenoszeniu łupu i porzucenie skarbu. Dla Hendricksa to miało sens... ale nie dla Ransome'a. Porzucenie furgonetki? No dobrze, niech będzie. Ale dlaczego nie wzięli chociaż kilku obrazów? Szacowano, że w napadzie brało udział od sześciu do dziesięciu mężczyzn, którzy zabrali tylko osiem płócien – a największe z nich, nawet w ramie, mierzyło zaledwie półtora metra na metr dwadzieścia. Dlaczego je zostawili? Przecież opracowali drobiazgowy plan i wykonali go perfekcyjnie... Czy takich ludzi mógł wystraszyć przejeżdżający motocyklista albo ktoś na

spacerze z psem? W końcu byli uzbrojeni, na miłość boską... więc czego się mieli obawiać?

Im dłużej Ransome się nad tym zastanawiał – a nie sądził, żeby w ciągu ostatniej doby udało mu się pospać dłużej niż Alasdairowi Noone'owi – tym bardziej uważał, że to nie ma sensu. Doszedł do prostego wniosku: czy była to robota kogoś z wewnątrz, czy nie, złodzieje nie mieli najmniejszego powodu do paniki.

Dlatego w niedzielę rano, zamiast wypoczywać, zjawił się tu, żeby podpytać ludzi i zebrać trochę faktów na własną rękę. Zajrzał do trzech otwartych skarbców. Obrazy były ustawione na stojakach, na sztorc, i zaopatrzone w brązowe papierowe przywieszki, na których widniał tylko numer, a nie tytuł dzieła. Kolejna poszlaka wskazująca na robotę kogoś od wewnątrz – jeżeli była to kradzież na zamówienie, to złodzieje musieli wiedzieć, co zabierają. Kto, poza personelem, miał dostęp do identyfikacji numerów? Jego kumpel od Hendricksa nie potrafił na to odpowiedzieć.

Technik, z którym Ransome gadał wczoraj wieczorem na Marine Drive, właśnie skończył oglądać podłogę jednego ze skarbców w świetle latarki.

- Masz coś? – zapytał detektyw.
 - Kilka włókien... i połówkę odcisku palca. Pewnie nic nam to nie da.
 - Myślisz, że pozbyli się ubrań? – dociekał policjant.
- Technik skinął głową.
- Jak dotąd wszystkie włosy, jakie znaleźliśmy, to syntetyki.

– Peruki? – domyślił się Ransome, na co technik przytaknął bez entuzjazmu.

– Tracę tu tylko czas, a mam całą kupę roboty.

– Jak wszyscy. – Ransome odwrócił się i poszedł z powrotem do pokoju ochrony. Napastnicy spędzili tam strażników i zwiedzających i kazali im się położyć na podłodze. Z tego, co wiedział, nikt z nich nie zauważył nic, co mogłoby się przydać. Nic też nie słyszeli. Złodzieje porozumiewali się chrząknięciami. Przewodnik wycieczki zwrócił tylko uwagę na jedną rzecz – ten, który ich pilnował, wydawał się młodszy od ludzi dokonujących kradzieży. Detektyw przypomniał sobie słowa Glenna: „Kilku oprychów z kijami bilardowymi...”. Glenn myślał, że chodzi o wynajęcie małoletnich zbirów, żeby zastraszyć Nienawiść. Ale może się mylił. Ci najmłodszy złodzieje nawet specjalnie się nie przebrali – tylko opuszczone na oczy baseballówki i szale zawiązane na twarzy. W pokoju ochrony nikt nie było, więc Ransome wszedł do środka. Ekrany kamer znowu pracowały; pokazywały wnętrze magazynu i teren na zewnątrz. Widok na wartownię był beznadziejny – kamera ukazywała tylko szlaban. Widać było fragment wartowni, ale ani kawałka chodnika. Detektyw wiedział, że Hendricks wytknął to już szefowi galerii. Usiadł przy biurku i spojrzął przez okno, co dzieje się w magazynie. Z tego miejsca nijak nie można było zobaczyć skarbców, które zostały otwarte. Magazyn stanowił tak łatwy cel, że to doprawdy istny cud, że dotychczas nikt go nie obrobił...

Ktoś zastukał do otwartych drzwi. Ransome obejrzał się raptownie, spodziewając się swojej nemezis, ale w progu stał kto inny... ktoś, kogo rozpoznał. Profesor Robert Gissing.

– O? – bąknął naukowiec, wyraźnie wytrącony z równowagi. – Szukam detektywa inspektora Hendricksa...

Policjant wstał i zrobił krok w przód.

– Nie ma go – powiedział, wyciągając rękę. – Jestem jego kolegą, detektyw inspektor Ransome.

– A, tak, widziałem pana na Marine Drive.

– Doprawdy?

– A gdzie jest Alasdair Noone? – Gissing wbił wzrok w podłogę.

– Gdzieś się tu kręci.

– Dziękuję. – Wciąż wpatrywał się w podłogę. – Wobec tego zamienię z nim kilka słów.

Ale Ransome nie zamierzał puścić go bez walki.

– Profesorze?

Gissing zawahał się.

– Tak? – W końcu podniósł głowę i spojrzał detektywowi prosto w oczy.

Tymczasem detektyw stał tuż przed nim. Profesor był od niego o jakieś cztery centymetry wyższy, ale co z tego?

– Tak sobie myślę, że może zechce mi pan pomóc, profesorze. Spartaczona kradzież... robota kogoś z wewnątrz... czy pan też tak to widzi?

Gissing splótł ręce na piersi – znów ta obronna postawa – po czym wyjął usta i zamyślił się.

– Śmiem twierdzić, że w grę mogą wchodzić bardziej dziwaczne scenariusze... czytałem o tym rano w gazetach. Ale snucie domysłów to nie moja specjalność, inspektorze.

– Oczywiście, profesorze. Pan miał tylko zbadać, czy

obrazy są prawdziwe, ale zrobił pan to już wczoraj. Cóż więc tu pana sprowadza?

Gissing wyprostował się.

– Alasdiar Noone prosił mnie o przybycie. Chyba uważa, że potrafię określić, czy nie ma braków w kolekcji szkockiego malarstwa z dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

– Bo właśnie to ukradli złodzieje?

– Owszem.

– To raczej hermetyczny rynek, nie sądzi pan?

– Niekoniecznie... Kolekcjonerów można znaleźć od Kanady po Szanghaj.

– Ale to pańska specjalność, tak?

– Owszem, tak sędzę.

– No nic, nie zatrzymuję pana... inwentaryzacja zaczęła się już dawno temu.

Zdawało się, że Gissing po raz pierwszy uświadomił sobie, co dzieje się dookoła.

– Zresztą i tak mieli zrobić inwentaryzację za kilka tygodni, prawda? – dodał Ransome. – Kradzież tylko to przyspieszyła.

– Inspektorze, nie bardzo rozumiem, jak mógłbym się przydać w pańskim śledztwie.

– Ależ to nie jest moje śledztwo, profesorze... zwykła ciekawość, i tyle. – Ransome zamilkł i patrzył, jak Gissing przetrawia tę nowinę. – Ale szkoda pana Allisona, przyzna pan?

Pytanie wyprowadziło naukowca z równowagi.

– Przecież był tu etatowym rzeczoznawcą, i w ogóle –

naciskał detektyw. – Czy pan go zna? Zdaje się, że jest w ciężkim szoku...

– Paskudna sprawa – przyznał Gissing.

– No, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, prawda?

– Nie bardzo rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

Ransome zbył to wzruszeniem ramion.

– Mówię tylko, że na szczęście pan mógł przejąć pałeczkę, że tak się wyrażę.

– No cóż... – Gissing nie miał nic do dodania i znów ruszył do wyjścia.

– Widuje się pan ostatnio z Majchrem Callowayem?

Przez kilka sekund profesor stał odwrócony do detektywa plecami, a następnie obejrzał się przez ramię.

– Przepraszam... mógłby pan powtórzyć nazwisko?

Ransome tylko się uśmiechnął i puścił oko.

22.

W apartamencie Mike'a Mackenziego dwa obrazy wciąż stały oparte na kanapie. Jak dotąd Mike nie miał okazji spędzić tyle czasu, ile by chciał, z lady Monboddo. Musiał sprawdzić w Internecie, jak wielkim zainteresowaniem cieszy się ich skok, zarówno w kraju, jak za granicą. Albo Galeria Narodowa miała „wyjątkowe szczęście”, albo złodzieje byli „wyjątkowo nieudolni”.

– Za moich młodych lat mówiło się na takich „niezguły” – orzekł Allan Cruikshank, kiedy wpadł do apartamentu. Ostrzegł Mike'a, że powinien dobrze ukryć gdzieś oba płótna.

– A co zrobiłeś ze swoimi? – odciął się Mike.

– Schowałem pod biurkiem w gabinecie.

– I sądzisz, że gliniarze ich nie znajdą, jeżeli urzędzą u ciebie przeszukanie?

– A co innego miałem zrobić? Schować je w skrytce bankowej?

Mike tylko wzruszył ramionami. Allan wyglądał okropnie.

Co chwila podchodził do okna i wyglądał na parking, jakby spodziewał się zobaczyć policyjne światła. Obaj wyszli na balkon, żeby zapalić. Mike starał się nie myśleć o tym, że jego przyjaciel może wyskoczyć przez balustradę, ale kiedy wrócili do środka, od razu mu ulżyło. Zaparzył herbatę miętową, na co Allan powiedział, że wcale o nią nie prosił. Wziął jednak kubek i ścisnął go oburącz.

– Pomoże ci się odprężyć – powiedział Mike.

– Odprężyć? – huknął bankier, wznosząc oczy do nieba.

– Przespałeś się trochę?

– Niewiele – przyznał Allan. – Powiedz, czytałeś czasem Edgara Allana Poe'go *Serce – oskarżycielem*?

– Allan, musimy trzymać nerwy na wodzy. Przez kilka dni będzie szum, a potem wszystko ucichnie, zobaczysz.

– Jak możesz tak mówić? – Trochę herbaty wylało się na drewnianą podłogę, lecz Allan tego nie zauważył. – Przecież my wiemy, co zrobiliśmy!

– Nie mógłbyś krzyczeć głośniej? Sąsiedzi będą wniebowzięci.

Allan wytrzeszczył oczy. Puścił kubek jedną dłonią i zakrył nią usta. Mike nie wyjaśnił mu, że specjalnie przesadził – mieszkanie było niemal dźwiękoszczelne. Gdy tylko się wprowadził, nastawił muzykę na cały regulator, zszedł do sąsiadów mieszkających piętro niżej – restauratora i projektantki wewnątrz – i spytał, czy coś słyszą.

– Przepraszam – wyjąkał Allan przez palce. Chciał usiąść, ale jego wzrok znów padł na obrazy. – Naprawdę powinieneś je ukryć – powiedział drżącym głosem.

– Gdyby ktoś mnie o nie zapytał, to tylko kopie – uspokoił go Mike. – Możesz zrobić tak samo... powieś je na ścianie, na widoku... Może te dwa Coultony cię uspokoją, skoro zwykli śmiertelnicy, tacy jak ja, nie dają rady.

– Są dużo lepsze od tych, które mają w First Caly – oświadczył Allan.

– I owszem – przytaknął Mike. – Słuchaj, jeżeli cofniesz się myślą do początków, w całej tej historii chodziło o to, żeby zdobyć jedno czy dwa arcydzieła. Profesor przekonał już wszystkich, że odzyskali swoje obrazy. Dziś w magazynie potwierdzi to po raz drugi... niczego nie brakuje, wszystko się zgadza ze spisem. I zainteresowanie mediów ulotni się jak kamfora.

– Sam chętnie bym się ulotnił jak kamfora. – Allan znów wstał i podszedł do okna. – A co z tym gliniarzem, o którym wspominałeś?

– I co mnie podkusiło? – mruknął Mike pod nosem. Najpierw zabronił Gissingowi mówić na ten temat, a potem sam uznał, że Allan jednak powinien wiedzieć o detektywie. Ostatecznie stanowili zespół i wciąż byli kolegami. A przed kumplami nie ma się tajemnic. Ale kiedy Mike zadzwonił, żeby mu to wyjaśnić, Allan powiedział, że natychmiast do niego jedzie.

– On nam depcze po piętach – upierał się.

– Nic na nas nie ma. Nawet jeżeli coś podejrzewa, to w jaki sposób to udowodni?

Jednak bankier nie dał się pocieszyć.

– A gdybym zwrócił swoje? Albo gdzieś je porzucił?

– Doskonały pomysł... – Mike przyszpilił przyjaciela wzrokiem. – Wtedy dowiedzieliby się, że to, co znaleźli w furgonetce, to kopie, i zaczęłyby się zastanawiać, dlaczego szanowny pan profesor nie zwrócił na to uwagi.

Allan z irytacją zazgrzytał zębami.

– No to ty je sobie weź. Dam ci je w prezencie. Nie mogę zasnąć, kiedy są u mnie w domu!

Mike przemyślał różne możliwości i położył rękę na ramieniu przyjaciela.

– A co powiesz na to... Przywieziemy je tu i zatrzymam je przez kilka dni, a może nawet tygodni, dopóki się z tym nie oswoisz?

Allan zastanowił się i wolno pokiwał głową.

– Tylko żeby było jasne – podkreślił Mike. – Przechowam je dla ciebie, ale ci ich nie zabiorę. Zgoda? – Począł, aż Allan znów pokiwa głową. – I nikomu na ten temat ani słowa. To będzie nasza tajemnica.

Mike nie chciał, by ktoś się dowiedział, że Allan trzęsie się ze strachu... a zwłaszcza Majcher Calloway. Miał nadzieję, że to tylko szok, który z czasem minie. Gdy miał okazję przyglądać się portretowi żony Monbodda, stale widział na nim inną twarz – ale tym razem nie Laury, tylko człowieka zwanego Nienawiść. Coś mu podpowiadało, że gdyby nawet już nigdy nie znalazł się w jego obecności, ta twarz i postać będą go prześladowały na wieki.

Twarz, postać i te upiorne tatuaże.

Rzecz jasna, nie jego sprawa, komu Majcher postanowił oddać swój obraz, ale to było niebezpieczne. Na początku w

napadzie mieli brać udział tylko trzej przyjaciele – Mike, Allan i Gissing. Westie dołączył do nich z konieczności, ale teraz do gry włączyła się także jego dziewczyna. A Majcher... Majcher był pomysłem Mike'a. Więc to na niego spadnie cała wina, jeśli coś pójdzie nie tak. Majcher, jego czterech chłopaków, a teraz jeszcze Nienawiść. Kto wie, do czego ten olbrzym jest zdolny...

– Co cię gryzie? – zapytał Allan.

– Nic – zapewnił Mike. Okłamuję go, pomyślał. I ukrywam przed nim, co się dzieje...

– Mike, ja nigdy bym nie zaczął sypać... wiesz o tym, prawda? Słuchaj, jesteśmy kumplami i zawsze tak będzie. Taka jest prawda.

– Jasne.

Allan spróbował zdobyć się na uśmiech. Po jego ziemistej twarzy spływał pot.

– Jesteś taki opanowany, Mike. Zawsze masz gotową odpowiedź, o tutaj. – Poklepał się po skroni. – Przyznaj się, rajcowała cię ta wczorajsza impreza, co?

– Jeszcze jak – przyznał Mike z uśmiechem. Ale już spotkanie z egzekutorem długów to była całkiem inna sprawa, coś, co uświadomiło mu, że zaczął grać z chłopakami z pierwszej ligi.

Z oprychami.

A tacy nie grają fair, nie pozwalają, żeby uczucia, słabość do kogoś czy przyjaźń weszły im w paradę.

Allan opadł na krzesło i dolał sobie herbaty.

„Jesteśmy kumplami... zawsze tak będzie”. Hm, nigdy nic nie wiadomo.

– Chodź, pojedziemy po twoje obrazy – zaproponował Mike. – Od razu poczujesz się lepiej.

– Nie powiem, przespałbym się – przyznał Allan. – Tylko dlaczego Robert nie daje znaku życia?

– Z magazynu pewnie trudno mu dzwonić – wyjaśnił Mike. Ale sam też chciałby wiedzieć, co tam się dzieje. Spojrzał na zegarek. – Na pewno możemy pojechać teraz po te obrazy?

– Czemu nie?

– Jest niedziela. Nie chciałbym, żebyś nie dotrzymał zobowiązań. Zdaje się, że w niedzielę spotykasz się z synami?

– Margot zabrała ich do Londynu na jakiś spektakl.

Mike z zadowoleniem pokiwał głową. Dobrze, że Allan nie będzie musiał paplać z dziećmiakami podczas zakupów na Princess Street albo w trakcie obiadu w restauracji.

– Czy zwykle w niedziele robisz coś jeszcze? – zapytał. – Musimy trzymać się stałych nawyków.

– Czasami wyskakiwaliśmy na jednego – przypomniał mu Allan.

– Fakt... A moglibyśmy sobie to dzisiaj darować?

– Nie ma sprawy. I tak wolę pogadać. Miło, że mnie zaprosiłeś. – Allan rozejrzał się po pokoju. – Gdzie ja posiałem marynarkę?

– Masz ją na sobie – poinformował go Mike.

• • •

Kiedy Westie, wciąż skacowany po poprzedniej nocy, sprawdził stan konta w bankomacie, pieniądze były już na

jego rachunku. Pełna zapłata za jego usługi: osiem doskonałych kopii... no, właściwie to dziewięć, ale kto by się doliczył? Ważne, że jego dzieła oszukały cały świat i wmówiły ludziom, że skok się nie udał.

– Coś pięknego – powiedział na głos, patrząc jeszcze przez kilka sekund na stan konta na ekranie. Wziął wydruk, a potem, dla czystej frajdy, wyjął dwieście funtów i poszedł z nimi do kawiarni, gdzie Alice siedziała nad plikiem papierów. Położyli się dopiero o świcie i była niewyspana.

– Jesteście na czołówkach prawie wszystkich gazet – poinformowała go. – W każdym razie tych poważnych. W dwóch brukowcach przebiła was jakaś aktorka, która sprawiła sobie nowe, jeszcze większe wymiona.

– Powiedz to wszystkim w tej kafejce – ostrzegł, podając jej wydruk stanu konta z bankomatu. Pisnęła i nachyliła się nad stołem, żeby go pocałować. Kiedy odsunął się i podniósł filiżankę cappuccino, zauważyła na gazecie wachlarz banknotów. Znowu pisnęła, tym razem głośniej, zerwała się z krzesła i uściskała go. Kawa zalała jedną z gazet, ale się tym nie przejęli. Pozostali goście kawiarni nie zwrócili na nich najmniejszej uwagi, pochłonięci niedzielnymi dodatkami do gazet, wkuwaniem z podręczników, wysyłaniem SMS-ów albo dźwiękami najnowszych przebojów w słuchawkach. Była to stosunkowo nowa kawiarenka, usytuowana obok parku Meadows, gdzie dawny szpital przebudowano na luksusowe apartamenty. Studenci z akademii sztuki mieli tu dwa kroki, lecz ani Alice, ani Westie nie należeli do stałych klientów.

Właśnie dlatego Westie wybrał ten lokal – a poza tym tuż obok był bank.

Alice usiadła z powrotem i zaczęła wycierać papierową chusteczką rozlaną kawę.

– Wiesz, jakie to uczucie? – zapytała. – Jak w filmie Tarantino... wczesnego Tarantino... gdzie młodzi kochankowie uciekają z gotówką! – Pozbierała banknoty i schowała je do kieszeni zapinanej na suwak kurtki.

Westie nie mógł powstrzymać uśmiechu, choć chciał zastrzymać te pieniądze dla siebie. Ale przecież na koncie miał ich pod dostatkiem. Musiał jednak udzielić jej kolejnego ostrzeżenia.

– Nie możemy szastać forszą, pamiętaj. Te pieniądze są na czesne za twoją szkołę filmową. Tylko obiecaj, że ta historia nie trafi do twojego pierwszego scenariusza.

– Niech ci będzie – zgodziła się. – Do trzeciego albo czwartego.

Oboje wciąż zanosili się śmiechem, gdy kelnerka – chyba Polka? – podała im włoskie grzanki, które zamówiła Alice. Kiedy odeszła, Alice zauważyła, że po raz pierwszy stać ich na napiwek, i dopiero wtedy ugryzła pierwszy kęs. Westie puścił do niej oko, rozsiadł się i zaczął czytać o swoim wyczynie. Nie był głodny – w płucach wciąż miał opary farby i werniksu. Ale z radością siedział w tej kafejce, przeglądając gazety, zamawiając kolejne kawy i patrząc, jak zmienia się barwa światła, a cienie się wydłużają, w miarę jak popołudnie przechodziło w wieczór...

I właśnie tym się zajmował, gdy zauważył, że Alice przestała

czytać i wygląda przez okno. Wątpił, żeby postrzegała świat w taki sam sposób jak on. Paznokciem małego palca wydłubywała okruszki ciasta pomiędzy zębów.

– Grosik za twoje myśli – rzucił.

Wzruszyła ramionami, wyraźnie niepewna, co odpowiedzieć, po czym odwróciła się do niego i trzymając łokcie na stole, podparła brodę rękami.

– Tak się zastanawiam – zaczęła takim tonem, jakby myślała na głos i nie zwracała się do nikogo konkretnego – dlaczego każdy z nich dostał po dwa obrazy, a my tylko jeden.

– Facet, który dostarczył tych mięśniaków, też dostał jeden obraz – przypomniał jej.

– Ale on nie brał w tym udziału, prawda? Nie był w magazynie, nie ryzykował, że zostanie aresztowany. A popatrz na swój wkład... te nieprzespane dni i noce... nikt nie harował bardziej od ciebie, Westie.

– Przecież dostałem zapłatę, może nie?

Wolno kiwnęła głową.

– Mniej więcej do tego zmierzam. Pieniądze miały wynagrodzić twoją pracę, ale ty zrobiłeś więcej. Brałeś udział w napadzie, pomogłeś zamienić ramy... sam mówiłeś, że profesor Gissing wciąż powtarzał, że trzeba to zrobić, aż omal nie dostał ataku serca. Kierował to do ciebie, Westie, a ty spisałeś się na medal.

Wyciągnęła rękę i ścisnęła jego dłoń. Na kostkach wciąż miał plamy z farby – czerwone, niebieskie, żółte, białe i zielone. Portret żony Monbodda okazał się najbardziej pracowity, jej suknia miała tyle fałd... Tymczasem Alice już nie

podpierała brody, tylko dźgała palcem w jedną z gazet.

– Tu piszą, że obrazy niektórych z tych malarzy osiągają sześciocyfrowe sumy. Podchodzą nawet pod siedmiocyfrowe... Tymczasem my dostaliśmy jedno nędzne płótno DeRasse'a.

Westie zachnął się.

– To jeden z naszych ulubionych malarzy – przypomniał jej. Ten artysta był pod wpływem Mondriana, przepuszczonego przez pryzmat kontrkultury lat sześćdziesiątych.

Alice skrzywiła się i chłopak wiedział, że nie uda mu się jej przekonać.

– Westie, to takie niesprawiedliwe... tylko tyle chciałam powiedzieć.

– Ba, już za późno, teraz nic na to nie poradzimy – odparł, po czym wychylił ostatnią filiżankę kawy. Napotkał jej wzrok ponad krawędzią filiżanki i poczuł się jak nadziany na rożen.

– Doprawdy? – powiedziała. – Czy rzeczywiście jest już za późno?

Westie powoli odstawił filiżankę na spodek.

• • •

Mike został w mieszkaniu sam. Nastawił jakąś muzykę, nawet nie patrząc, co wybiera. Oba Coultony Allana stały na fotelu przy kominku... Mike nigdy nie był zwolennikiem abstrakcyjnych prac tego malarza. Wielkie plamy kolorów i małe bązgroły, według Allana „symboliczne jak egipskie hieroglify”. Mike nalał sobie whisky słodowej i delektował się nią,

przyglądając się żonie Monbodda. Wydawało się, że obraz świeci własnym światłem. Odstawił szklanke, wziął portret i przycisnął usta do ust łagodnie uśmiechniętej kobiety. Z bliska widać było, że powierzchnię farby przecina siatka cienkich jak włos pęknięć. Niedobrze, nie mógł przecież wezwać konserwatora. Monboddo nie podpisał tego obrazu; rzadko podpisywał się pod swoimi dziełami. Wielu eksponatom z wystawy, w której uczestniczył Mike, tej, gdzie po raz pierwszy ujrzał portret trzymany teraz w rękach, przez lata nadawano niewłaściwe pochodzenie, dopóki nauka nie weszła na wyższy poziom. Ale i tak nawet wtedy kilka dzieł „przypisywano” komuś innemu bądź określano jako „ze szkoły...”. Nie dotyczyło to jednak żony. Żona na sto procent była autentykiem. Jej imię... Mike podszedł do półki i wziął biografię malarza. Miała na imię Beatrice. Tytuł obrazu brzmiał *W refleksyjnej pozie*, ale siedzącą kobietą niewątpliwie była Beatrice – pojawiała się na co najmniej czterech innych płótnach Monbodda. Autor biografii wyraził zdanie, że artysta przedstawiał ją w najkorzystniejszym świetle, „zapewne po to, by zmazać grzech bardziej ohydny, niż to było przyjęte”.

Grzech.

Ohydny.

Mike poczuł skurcz żołądka i uznał, że ma już dość whisky. Gissing wciąż się nie odezwał. No ale ustalili, że kontakty należy ograniczyć do minimum. Niech wrzawa przycichnie. Mimo to Mike odstawił Monbodda na kanapę i sięgnął po telefon komórkowy – nic się nie stanie, jeśli wyśle profesorkowi SMS-a. Krótki, nic nieznaczący tekst, jakiego można się spodziewać

od przyjaciela: „Sie masz? Może skoczmy na jednego? Co tam u ciebie?”. Obracał komórkę w dłoni i niemal ją wypuścił, gdy naraz rozległ się dzwonek. Sygnał, że ma wiadomość. Od Gissinga. Czuł, że ręka mu drży, gdy wciskał małe klawisz, żeby przeczytać wiadomość.

OBIĘKT Z FOTO WESZY. NASZA W TYM GŁOWA, ZEBY SIE NIE PRZEPRACOWAŁ.

Na tyle mało konkretne, że chociaż Mike wiedział, o co chodzi, nikt inny by się nie domyślił. Calloway podał mu nazwisko gliniarza ze zdjęcia. Detektyw inspektor Ransome. To on prowadził sprawę napadu i miał z Callowayem stare porachunki. Nie była to może wymarzona sytuacja, ale dadzą sobie radę. Jasne, że dadzą.

A mieli wybór?

Mike zorientował się, że bezwiednie znów nalał sobie szklankę, chociaż wcale nie miał ochoty. Poszedł do kuchni i wylał whisky do zlewu. Tego tylko brakowało, żeby rano miał kaca. No... właściwie to kac nie był najgorszą rzeczą, jaka mogła go spotkać. Prawdę mówiąc, nie mieścił się nawet w pierwszej piątce. Mike przemył szklankę, odstawił ją na suszarkę, wrócił do salonu i wskoczył na kanapę tak, że po bokach miał oba swoje obrazy. Drugiemu jak dotąd nie poświęcił zbyt wiele uwagi. Było to wczesne płótno Cadella, scenka na plaży. Westie potraktował go lekceważąco: mnóstwo impastu i ostrych kątów. „Mógłbym go machnąć z zamkniętymi oczami”. Mike miał ochotę zadzwonić do Gissinga, chciał usłyszeć od niego, że wszystko będzie dobrze. I chciał mu opowiedzieć historię „zastawu” Callowaya. SMS się do tego nie nadawał. Długo

obracał komórkę w rękę. Odetchnął głęboko. Wybrał numer profesora i słuchał dzwonka. Gissing na pewno miał identyfikację rozmówcy – musiał wiedzieć, kto dzwoni. Ale nie odebrał. Włączyła się poczta głosowa, całkiem miły kobiecy głos, Mike jednak postanowił się rozłączyć.

Jutro, poczeka do jutra. Po raz ostatni sprawdzi tylko w Internecie najnowsze wiadomości i spać.

Wsadził Beatrice pod pachę i zabrał ją ze sobą...

23.

– Jak zdobyłeś mój adres?

Poniedziałek rano. Mike nie jadł jeszcze śniadania, a tu nagle otwierał drzwi gangsterowi. Majcher Calloway przecisnął się obok niego, nie czekając na zaproszenie.

– Miło tu – orzekł, wchodząc do otwartego salonu. – I świetny widok. Zawsze chciałem mieć mieszkanie z widokiem na zamek.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie – powiedział Mike surowo.

Majcher odwrócił się do niego.

– Mikey, my nie mamy przed sobą sekretów. Chcesz wpaść obejrzeć moją chałupę, to starczy poprosić. Czy to zapach kawy?

– Właśnie się parzy.

– Z mlekiem i jedną kostką cukru – poprosił gangster.

Po chwili wahania Mike ruszył do kuchni.

– I jak ci się spodobał pan Nienawiść?! – zawołał za nim Majcher.

Mike jeszcze się na dobre nie obudził, ale poczuł napływ adrenaliny. Co ten Calloway tu robi, u licha?

– Odezwał się do ciebie?! – odkrzyknął przez ramię. Widział połowę salonu, ale Calloway był poza zasięgiem wzroku.

– Jeszcze nie. Masz na ścianach kupę obrazów, Mike. Poszperałem trochę na twój temat i wychodzi na to, że jesteś dziany jak cholera. No to ciekawi mnie jedno...

– Co?

– Po kiego chciałeś buchnąć te obrazki, jak mogłeś je sobie kupić?

– Czasami te, na których ci zależy, nigdy nie pojawiają się na rynku.

Mike wrócił z dwoma kubkami kawy w uchwytach z plecionki i zobaczył, że Majcher myszkuje po pokoju. Gangster uśmiechnął się i wskazał za jedną z kremowych skórzanych kanap.

– Kiepska kryjówka, Michael. Można by pomyśleć, że chcesz, żeby cię nakryli.

– Nie miałem czasu – wytłumaczył się Mike. – Kiedy zadzwoniłeś, leżały na kanapie.

– Pozwolisz, że rzucę okiem? – Nie czekając na zgodę, Majcher sięgnął po obraz. – Cztery? – zdziwił się.

– Dwa należą do Allana... zostawił mi je na przechowanie.

– Wolno zapytać dlaczego?

– Ma przyjaciółkę – odparł Mike, ukrywając usta za kubkiem z kawą. – Ona zna się na sztuce, więc Allan nie chce, żeby je zobaczyła. – Miał nadzieję, że gangster kupi to kłamstwo.

- Więc które dwa są twoje?
- Portret i pejzaż.
- A, to się cieszę... te Allana wyglądają jak robota dzieciaków z przedszkola. – Majcher przyjrzał się dziełom Monbodda i Cadella. – Ładne – orzekł. – Czy są warte tyle samo co mój?
 - Z grubsza... może troszkę mniej.
 - Ale ja dostałem tylko jeden, a ty masz tu cztery takie cacka.
 - Jeden, bo sam tyle chciałeś.
- Gangster kiwał głową, udając, że podziwia płótna.
 - Babka z portretu wygląda zupełnie jak ta panienka, co to prowadziła aukcję.
 - Nie zwróciłem uwagi – oświadczył Mike. Calloway w końcu wziął od niego kubek kawy i podziękował burkliwie.
 - Zdumiewające podobieństwo – mruknął w zadumie, patrząc na Beatrice, a konkretnie na jej wydatny biust. – Myślisz, że miałbym u niej jakieś szanse, gdyby wiedziała, że mam Uttersona?
 - Mówisz o Laurze Stanton? Moim zdaniem raczej by cię wydała policji.
 - Fakt... – Calloway prychnął lekceważąco i siorbnął łyk kawy. – W sumie przyszedłem dlatego, że martwi mnie ten superglina.
 - Ransome?
 - O właśnie... miałeś jakie wieści od profesorka?
 - Przysłał mi tylko wiadomość, że wszystko gra. – Mike znów ukrył twarz za kubkiem. – W mediach podają, że śledztwo prowadzi jakiś Hendricks.

– Gav Hendricks to waga piórkowa, ale na Ransome'a trzeba uważać. – Majcher zbliżył się do Mike'a o krok. – A gdyby tak zgarnął twojego kumpla Allana na przesłuchanie...

– Allan jest w porządku.

– Oby.

Nie chcąc, żeby Calloway jeszcze bardziej zbliżył się do niego, Mike ostentacyjnie podszedł do okna; za późno dotarło do niego, że w ten sposób zdradza zdenerwowanie: czyż Allan nie zachowywał się tak samo? Mimo to wyjrzał przez okno i zobaczył dach czarnego bmw serii 5 Majchra. Dwaj mężczyźni stali oparci o samochód. Jeden z nich palił papierosa, a drugi sprawdzał wiadomości w komórce.

– Przyjechałeś z obstawą – zauważył Mike.

– Nie bój nic, nie wiedzą, że się wybrałem do ciebie.

– Dlaczego nie?

Calloway wzruszył ramionami.

– Czasy takie, że nie wiadomo, komu można zaufać... a zresztą miło mieć swoje tajemnice, no nie?

– Pewnie tak, ale jakoś nie przeszkodziło ci to podać Nienawiści mojego nazwiska.

– Nienawiść zostaw mnie, Mike. – Gangster pogroził mu palcem. Uznał, że starczy już tego podziwiania obrazów i znów zaczął obchód pokoju. – Niektórym to się powodzi, co? Weź siebie... masz forszę w banku, obrazy na ścianach apartamentu... i za kanapą. Żyjesz na wysokiej stopie, panie Michaelu Mackenzie. – Calloway parsknął śmiechem, w którym nie było krzyku wesołości. – A niektórzy z nas muszą się nieźle

naharować, żeby zarobić na życie. Swoją drogą, ta kawa to mistrzostwo świata. Można dolewkę?

Mike wziął od niego pusty kubek i poszedł do kuchni. Nie czuł się dobrze ze świadomością, że Majcher wie, gdzie mieszka, a jeszcze bardziej nie podobał mu się widok dwóch zbirów na ulicy, zwłaszcza że teraz już gangster wiedział o czterech obrazach w jego mieszkaniu... nie mówiąc o innych eksponatach wiszących na ścianach. Z salonu dobiegł go sygnał komórki – pewnie Majcher odbierał rozmowę albo wysyłał SMS-a. Miał tylko nadzieję, że nie zaprasza swoich bandziorów na imprezkę... może oni też byli amatorami kawy...

Kiedy jednak wrócił z pełnym kubkiem, Calloway wskazał mu podręczny stolik, na którym leżała komórka Mike'a.

– Chyba dostałeś wiadomość – wyjaśnił.

– Dzięki – odparł Mike, podając mu kawę. Podeszedł do stolika i zawahał się. Czy nie zostawił komórki w wewnętrznej kieszeni marynarki? Marynarki, która wciąż wisiała na oparciu krzesła? Zerknął na gangstera, który znowu przyglądał się Coultonom Allana i powoli kręcił głową. Mike podniósł telefon i spojrział na wyświetlacz. Dwie wiadomości. Pierwsza była od Laury: MUSIMY SIE SPOTKAĆ. Nie dodała nic więcej. W normalnych okolicznościach taka propozycja uradowałaby jego serce, ale okoliczności nie były normalne, czego dowodził drugi SMS:

WESTIE ZMIENIL ZDANIE. DRUGI OBRAZ ALBO 20 TYS. W GOTOWCE. TWÓJ WYBOR. ALICE.

– Mam nadzieję, że to nic pilnego? – zapytał Majcher.

– Nie, drobiazg. – Mike udał, że wystukuje odpowiedź, choć miał świadomość, że gangster świdruje go wzrokiem.

– A więc jesteś pewny swojego kumpla Allana?

Pytanie wytrąciło Mike'a z równowagi.

– Oczywiście – rzucił. – Dlaczego miałbym nie być go pe-wien?

– No, na przykład z powodu jego gustu do obrazów.

Mike warknął w nadziei, że można to uznać za śmiech, na co Majcher też się roześmiał. Gangster wyprostował się i splótł ręce za głowę, rozglądając się po mieszkaniu, jak gdyby zamierzał je kupić.

– Bardzo tu ładnie – ocenił. – Idę o zakład, że musiałeś za to nieźle wybulić.

– Trochę – przyznał Mike.

– Musiałeś zastawić hipotekę?

– Nie.

– Tak sądziłem... facet o twoich zdolnościach. Jak to mówią o takim biznesmenie, który wie, co robi? Rzadki?

– Rzutki – sprostował Mike.

– O właśnie. – Majcher wolno pokiwał głową. – Mike, wyświadczy nam wszystkim przysługę... – Naparł na niego tak, jakby chciał go przycisnąć do ściany. – Wykorzystaj tę swoją rzutkość i dopilnuj, żeby nic się nie pokiełbasiło, zaczynając od twojego serdecznego przyjaciela, Allana Cruikshanka. Jak to się mówi? W łańcuchu zawsze pęka najsłabsze ogniwo.

Stali tak blisko siebie, że Mike czuł oddech gangstera na twarzy. Trochę to trwało, zanim wziął się w garść.

– Z mojego punktu widzenia najsłabszym ogniwem jest ten szurnięty Nienawiść – powiedział w końcu. – Jeśli będzie chciał cię załatwić, wystarczy, że da policji anonimowy cynk.

– Tylko że wtedy jego klienci straciliby raz na zawsze szansę odzyskania swoich pieniędzy. W gruncie rzeczy to ludzie interesu, tak samo jak ty. Dlatego nie przejmuj się nimi, tylko pilnuj, żebym ja nie musiał się martwić o to, co dzieje się po twojej stronie.

– Łańcuch nie ma stron – rzekł Mike spokojnie.

– Łańcuch to nic innego, jak tylko różne strony! – odciął się Majcher.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym gangster się odwrócił. Mike odniósł wrażenie, że jego gość zamierza wyjść. Drugi kubek kawy, wciąż w trzech czwartych pełny, stał na podręcznym stoliku. Majcher wszedł do długiego przedpokoju, a Mike ruszył za nim.

– Może następnym razem oprowadzisz mnie po całości, co? – Calloway wskazał obrazy na ścianach. – I jak mówiłem, zapraszam do siebie, w każdej chwili. Moja chałupa nie jest tak odlotowa jak twoja, no ale przeżyła kilka wojen, podobnie jak jej właściciel.

Szkoda tylko, że nie znam twojego adresu, chociaż ty znasz mój, pomyślał Mike. Majcher otworzył drzwi wejściowe, wyszedł na klatkę i nie odwracając się, pomachał mu ręką. Mike zamknął drzwi i oparł się o nie, jakby chciał odeprzeć najazd kolejnych intruzów. Nasłuchiwał dźwięku nadjeżdżającej windy, zaryzykował nawet i wyjrzał przez wizjer. Drzwi windy

właśnie się zamykały. Odwrócił się, ruszył do salonu i podszedł do okna, po drodze biorąc ze stolika komórkę. Callowaya nie było jeszcze widać. Mike nie chciał, żeby gangster zobaczył go z telefonem przy uchu – mógłby sobie pomyśleć, że dzwoni do Bóg wie kogo – więc cofnął się kilka kroków w głąb pokoju i dopiero wtedy wybrał numer Gissinga.

Laura chce się ze mną spotkać...

Przyjaciółka Westiego zrobiła się pazerna...

Chciał jednak pogadać z Gissingiem; może profesor jakoś go pocieszy albo zapewni, że chociaż sprawy przebiegają zły obrót, to życie Mike'a nie legnie jeszcze w gruzach.

Profesor odebrał telefon.

– Mój drogi, a to ci niespodzianka... – Połączenie było fatalne, głos Gissinga wciąż się rwał.

– Gdzie jesteś? – zapytał Mike.

– Nie wychyłam się, tak jak ustaliliśmy. A przynajmniej tak mi się zdawało...

– Co wie Ransome?

– Chyba to, że znam Charlesa Callowaya.

– Jak to możliwe?

– Wiem tyle co ty.

– Sprawy się komplikują. – Mike usłyszał dźwięk odpalanego silnika bmw.

– Z pewnością przesadzasz, Michaelu. – W głosie profesora brzmiał taki spokój, że Mike zawstydził się, że narobił rabanu. Podjął więc nagłą decyzję: wiadomość o obrazach Allana, o zastawie dla Nienawiści i wizycie Majchra zachowa dla siebie.

Przynajmniej na razie.

– A swoją drogą, powiedziałem Allanowi o tym gliniarzu – rzekł Mike.

– I jak to przyjął?

– Spokojnie. – Mike zamilkł na chwilę. – Jak poszło wczoraj w magazynie?

– Zrobiłem, o co mnie prosili, z typową dla siebie starannością. Chcą mi nawet zapłacić za stracony czas.

– Pisałeś mi, że Ransome węszy... co to konkretnie znaczy?

– Dokładnie to, co napisałem... oficjalnie nie bierze udziału w śledztwie, ale węszy jak świnia szukająca trufli. Poinformowałem o tym detektywa inspektora Hendricksa, kiedy już się spotkaliśmy. Nie był zachwycony.

– Świetne posunięcie, Robercie.

– Też tak sądzę – mruknął profesor z zadowoleniem. – A na razie będzie najlepiej, jeżeli zachowamy spokój i będziemy się kontaktowali tylko w naprawdę tragicznej sytuacji.

Mike chciał mu powiedzieć, że sytuacja właśnie jest tragiczna, ale patrząc, jak bmw wycofuje się długim, pochyłym podjazdem, mimo wszystko przyznał mu rację. Westchnął, przeczesał ręką włosy i spytał Gissinga, gdzie się podziewa.

– Siedzę w domu, wystawiam studentom oceny. Ale jak zacznę się nudzić, mam tu coś, czemu będę się mógł przyglądać z podziwem i nabożeństwem. Powiedz, Michael, czyż nie jesteśmy błogosławieni?

– Jesteśmy – przytaknął Mike w chwili, gdy Majcher i jego draby nareszcie zniknęły z widoku.

24.

Majcher Calloway szybko pomaszerował do samochodu. Johnno wyrzucił papierosa, a Glenn otworzył szefowi tylne drzwiczki.

– Chyba że sam wolisz prowadzić...?

Ale Majcher wolał usiąść z tyłu. Kiedy samochód się wycofywał, oglądał się przez ramię, ale w oknach na ostatnim piętrze nie zauważył nikogo.

– Jak się udało spotkanie?

– Nie twoja sprawa – odburknął gangster, obgryzając paznokcie kciuka i zastanawiając się nad możliwym rozwojem wypadków. Rzecz jasna, decyzja w zasadzie nie należała do niego. To od Mike'a żądano dwudziestu kawałków albo drugiego obrazu. Ta cała Alice to na pewno przyjaciółka Westiego. Majcher wiedział o udziale malarza, ale nikt mu nie wspominał, że jest w to zamieszana jeszcze jakaś panna.

A teraz tych dwoje ogarnęła żądza pieniądza. Gangster zaczął cmokać, podziwiając ich bezczelność i tupet. Co zamierzali

zrobić... pójść na policję? Mało prawdopodobne, skoro oboje byli w to umoczeni jak cała reszta. Sprawdzali tylko zimną krew Mike'a, dokładnie tak samo, jak on to właśnie zrobił. Tyle że akurat to nie Mike stanowił problem, tylko ten mięczak, jego kumpel Allan Cruikshank. Dostał pietra. Kłamstwo Mike'a o jego nowej przyjaciółce może by i przeszło, gdyby miał czas się przygotować. W trakcie swojej bandyckiej kariery Majcher słyszał pewnie ze dwadzieścia tysięcy kłamstw, a większość była niemal doskonała. Ale Mike nie grał w tej samej lidze. Nie był nawet chłopcem do podawania piłek.

Majcher miał jeszcze jeden powód do dzisiejszej wizyty: chciał się przekonać na własne oczy, jak bogaty jest Michael Mackenzie. To, że kiedyś prowadził własną firmę i coś tam sprzedał, wcale jeszcze nie znaczyło, że nadal mu się powodzi. Calloway znał wielu gości, którzy najpierw zbili majątek, a potem stracili wszystko, bo kupili nie te akcje, co trzeba, albo postawili na pechowego konia. Ale Mike bez dwóch zdań żył na bardzo wysokiej stopie. Majcher nie sądził, żeby te płótna na ścianach były kopiami. Plazmowy telewizor kosztował jak nic ze trzy, cztery patyki. A za takie mieszkanie trzeba było wybulić z milion. Gdzie tam, ceny w Edynburgu poszły w górę tak, że raczej półtora miliona, może nawet milion sześćset.

To akurat dobrze się składało – Majcher lubił ludzi przy forsie.

Mike mógł rozwiązać problem z malarzem dzięki gotówce, co wcale nie oznaczało, że tamci nie zechcą dostać jeszcze

więcej... może za tydzień albo za rok, ale na pewno by do tego doszło. Jak dobrze pomyśleć, Mike mógł także rozwiązać problemy finansowe Majchra, gdyby wikingowie uznali, że nie interesuje ich obraz. Planowanie... potajemne spotkania... lawirowanie, żeby zgubić ewentualny ogon... przekazanie spluw... wszystko to wzbudziło wyraźne zainteresowanie Mike'a Mackenziego. Z każdą chwilą podobało mu się coraz bardziej. Chociaż przedstawienie go Nienawiści było chyba błędem – na coś takiego Mike raczej nie był jeszcze gotowy. Nienawiść napędził mu niezłego stracha, więc Mike nie odzyskał jeszcze dawnej pewności siebie. Z drugiej strony dzisiaj trzymał się całkiem nieźle.

„Jak zdobyłeś mój adres?”.

Majcher skwitował to uśmiechem. Wystarczyło zapytać pierwszego lepszego agenta sprzedaży nieruchomości. Wszyscy znali „garsonierę Mackenziego”, potrafili wyrecytować tytuły czasopism i dodatków do gazet, w których była pokazywana. Calloway pomyślał, że to kolejny powód, żeby nie afiszować się z pieniędzmi i starannie wybierać miejsce zamieszkania. Po kiego każdy gnojek ma wiedzieć, jak ci się powodzi i że warto ci złożyć wizytę?

– Dokąd jedziemy, szefie? – zapytał Glenn zza kierownicy.

– Do domu – odparł Majcher. Drugi SMS był od „Laury”.

Kiedy gangster wspomniał o jej podobieństwie do kobiety z portretu, Mike zbył to obojętnym „Mówisz o Laurze Stanton?”. Ale tych dwoje coś łączyło. W SMS-ie podpisała się tylko imieniem i najwyraźniej czym prędzej chciała się spotkać

z zaprzyjaźnionym milionerem. Majcher musiał się zastanowić nad konsekwencjami tego faktu. Tymczasem jednak rozdzwoniła się jedna z jego komórek. Kiedy zobaczył numer, nie miał ochoty odbierać, ale po namyśle kazał Glennowi zjechać do krawężnika. Otworzył drzwiczki, zanim jeszcze bmw zatrzymało się na dobre. Odetchnął głęboko i otworzył klapkę komórki.

– Calloway? – dobiegł go spokojny głos.

– Siema, Edvard. – Majcher znał tylko jego imię: Edvard. To ten spasiony wieprz, szef oddziału Aniołów Piekieł na odludziach Norwegii. Przemycali narkotyki, skąd i dokąd się da: z Danii do Szwecji; z Rosji do Finlandii; z Norwegii do Wielkiej Brytanii. – Jak ci się podoba mój zastaw? – Majcher zauważył, że stoi przy jakimś ogrodzeniu. Po drugiej stronie ciągnął się pas trawy, skopany przez dzieciaki grające akurat w piłkę.

Ćwierć wieku temu to ja bym tu rządził. Jak już bym dostał piłkę, żaden by się nie odważył mi jej odebrać...

– Właśnie o tym chciałem z tobą pogadać – mówił Edvard. Wyrażał się kulturalnie, w jego głosie nigdy nie było słyhać cienia groźby. Już na początku ich znajomości gangster usłyszał, że nie spotkają się osobiście. Prawdopodobnie nawet Nienawiść nigdy nie widział Edvarda...

– Mam nadzieję, że nie ma z tym problemu. – Majcher patrzył na mecz dzieciaków, chociaż szczerze mówiąc, nic nie widział. Zaszczekał pies, przywiązany do słupka bramki.

– Jak na razie zero problemów... wręcz przeciwnie. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że tego rodzaju zastaw można łatwo zamienić na gotówkę?

– To, co dostałeś, nawet nie figuruje w spisie brakujących dzieł. – Majcher odwrócił się i zobaczył, że szyba po lewej stronie samochodu jest opuszczona; a zatem Glenn i Johnno podsłuchiwali, co mówi. Jakżeby inaczej? Wiedział, że w tej sytuacji nie może powiedzieć nic konkretnego, więc przeszedł chodnikiem nieco dalej.

– Świetnie, znakomicie się składa. – Głos Edvarda mógł ukołysać do snu. – A zatem do rzeczy. Czy w przyszłości moglibyśmy finalizować nasze interesy w ten sam sposób?

Majcher szczerze w to wątpił.

– Jasne – przytaknął z udawanym entuzjazmem. – Żaden kłopot, Edvard. Lubisz obrazki, no nie? Ja też.

– Ja wolę pieniądze, panie Calloway. – Głos stał się lodowaty. – W tej chwili najbardziej interesuje mnie zapłata, z którą wciąż pan zalega.

– Już jest w drodze, Edvard...

– Miło mi to słyszeć. Wkrótce skontaktuję się w sprawie dalszych transakcji.

Na linii zapadła cisza – na wszelki wypadek Edvard nigdy nie gadał zbyt długo. Majcher wyłączył swoją komórkę i postukał nią o zęby. Przetrawiał w myślach ostatnią rozmowę i skrzywił się, gdy doszedł do słów: „Lubisz obrazki, no nie?”. Gdyby ktoś to usłyszał – na przykład ludzie od podsłuchu – nie miałby wątpliwości, czym jest ten sakramencki zastaw!

Toś się popisał, Majcher... Oby tak, kurwa, dalej...

A jednak Edvard nadal chciał robić z nim interesy. Czyli kolejne obrazy miały przejść z gangu do gangu, jako zabezpieczenie

transakcji. Stuk-puk, stuk-puk telefonem o zęby. Pies już nie szczekał – wył jak potępieniec. Majcher uświadomił sobie, że wciąż idzie, kiedy obok niego zajechało bmw. Cały czas myślał o Edvardzie i o tych, z którymi ubijał interesy, siedząc setki albo i tysiące kilometrów od Edynburga. Ciekawe, na ile ten wiking zna się na sztuce? Czy słyszał o Glasgow Boys* i szkockich kolorystach? Jeżeli obrazy stanowiły dla niego tylko zastaw, coś, co się trzyma do czasu zapłaty...

* Glasgow Boys (ang. Chłopcy z Glasgow) – grupa szkockich malarzy realistów.

Profesor Robert Gissing uważał, że ten szczeniak, Westie, jest genialnym fałszerzem, wobec tego Calloway zaczął się zastanawiać. Wciąż o nim myślał, wsiadając do samochodu, myślał o nim, kiedy beemka oderwała się od krawężnika. Westie i Alice. Alice i Westie.

„Westie zmienił zdanie...”.

– Wiem, co teraz czujesz, kolego – powiedział Majcher na głos.

– Słucham? – odezwał się Glenn zza kierownicy.

– Nic.

– Kto dzwonił? Nienawiść?

Majcher pochylił się na siedzeniu tak, że jego twarz zrównała się z twarzą Glenna.

– Jak będziesz wtykał nos, gdzie nie trzeba, to cię zaduszę własnymi rękami... jasne?

– Jak słońce. – W głosie Glenna brzmiał strach. – Tylko że... – Z trudem przełknął ślinę, jakby już czuł na gardle dłoń swojego szefa. – Jakby co, to ja i Johnno chcielibyśmy pomóc.

- W końcu po co tu jesteśmy? – wtrącił się Johnno.
- Wasza troska jest naprawdę wzruszająca – zadrwił Majcher.
- Mamy wrażenie, że nie ufasz nam już tak jak kiedyś – upierał się Glenn.
- Tak? A komu się poskarżycie? Związkom zawodowym? Weź się w garść, Glenn. Lepiej nie wiedzieć o niektórych moich interesach. Nadstawiam za was dupę, żebyście w razie czego nie podpadli, kumacie?
- Nie całkiem, szefie – wyznał Johnno po chwili. Majcher jęknął i znów opadł na siedzenie. Po kawie Mackenziego rozboleła go głowa. Tak, to na pewno ta kawa. Albo to, albo rak mózgu od zbyt częstego używania komórki. Jedno z dwojga.
No bo jaki mógłby być inny powód?



Z domem aukcyjnym sąsiadowała restauracja. Niegdyś mieścił się tam bank i do dziś przetrwało rokokowe wnętrze – wyniosłe żłobkowane kolumny i misterne gzymsy. Rano stoły były puste, gotowe na tłum klientów w porze lunchu, ale można było zjeść śniadanie we wnękach przy oknie. Kiedy zjawił się Mike, Laura mieszała spienione cappuccino. Cmoknął ją w oba policzki, zamówił u kelnerki wodę – *frizzante* – i dopiero wtedy usiadł na ławie naprzeciwko Laury.

– Nie chcesz kawy? – zapytała. Na talerzu przed nią leżały okruszki croissanta; małe słóiczki dżemu i kawałki masła były nietknięte.

- Od rana ciśnienie skoczyło mi już aż za bardzo – wyjaśnił. – Nie widzieliśmy się od czasu aukcji. Jak ci poszło?
- Jakoś nie pobiłam rekordu. – Powoli mieszała łyżeczką resztkę kawy. – Słyszałeś o magazynie? – Obserwowała go uważnie, kiedy poprawiał mankiety koszuli.
- Tak – odparł, robiąc wielkie oczy. – Niesamowite, prawda?
- Niesamowite – przyznała.
- Na pewno znasz ludzi z Galerii Narodowej... ani chybi dostali szału.
- Pewnie tak.
- Mają cholerne szczęście, że złodzieje porzucili łup.
- Szczęście, tak... – Jej głos zamarł, ale nie odrywała wzroku od Mike'a.
- Co jest? – rzucił, uśmiechając się sztucznie. – Mam na uchu piankę po goleniu? – Udał, że to sprawdza, ale nie doczekał się z jej strony uśmiechu.
- Jednym z obrazów był portret Beatrice, żony Monbodda. – Wymówiła jej imię po włosku. – Pamiętam go z wystawy... nie mogłeś oderwać od niego wzroku... – Przerwała, czekając na jego reakcję.
- Miło wiedzieć, że mnie śledziłaś. – Nic lepszego nie przyszło mu do głowy.
- Allan żartował, że tak się zapaliłaś, bo ona wygląda zupełnie jak ja – ciągnęła.
- No... nie jest to dalekie od prawdy.
- Pamiętasz tamten wieczór? Po wystawie część z nas poszła do restauracji...

Mike skrzywił się.

– Nie przypominaj mi – powiedział. Przed wystawą wypił za dużo wina, a i tak kręciło mu się w głowie od tego, że wszedł do nowego świata, świata ludzi znających się na sztuce, i paplał, co ślina na język przyniesie. W restauracji też wypił o jeden koniak za dużo. Kilkakrotnie podchwycił wzrok Laury. Za każdym razem odpowiadała uśmiechem. Potem wyszła do łazienki, a on ruszył za nią, wpadł do środka i próbował ją pocałować...

– Znasz niejakiego Ransome'a? – spytała zniecierpliwiona, przywracając go do teraźniejszości.

– A powinienem?

– To mój znajomy ze studiów... kiedyś na imprezie spróbował tego samego. Poszedł za mną do kibla... – Widząc zbolaną minę Mike'a, przestała snuć wspomnienia. – Od dawna go nie widziałam, dopiero tamtego wieczoru zaczął mnie po aukcji. Powiedział, że interesuje go pewien bandyta, niejaki Majcher Calloway, który siedział w pierwszym rzędzie pod obstawą swoich goryli.

– Ja stałem z tyłu i przymilałem się do marszandów.

– A więc nie widziałeś tego Callowaya? – Patrzyła, jak zaprzecza ruchem głowy. – Ale wiesz, kim on jest?

– Kojarzę nazwisko – przyznał Mike i wychylił się, szukając wzrokiem kelnera. – A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

– Nie powinnam ci o tym mówić, ale Ransome uważa, że może to ty przyprowadziłeś Callowaya na aukcję.

– Ja? – Mike uniósł brwi. – Jak wpadł na taki pomysł?

– Nie wyjaśnił mi tego, ale opisał cię całkiem dobrze. – Przerwała i jeszcze bardziej wbiła w niego wzrok. – A także Allana i profesora. Chciał, żebym podała mu wasze nazwiska, i nie bardzo miałam jak odmówić...

– Gdzież się podziała ta moja woda? – mruknął Mike, znów wychylając się za przepierzenie. Myślał gorączkowo. Tamtego dnia Ransome najwidoczniej śledził Majchra. Zobaczył, że Mike wychodzi z domu aukcyjnego w towarzystwie Gissinga i Allana... Pewnie poszedł za Majchrem i jego ludźmi i obserwował ich z zewnątrz... Widział, jak Mike, Allan i Gissing udają się do Świecącej Gwiazdy... a Majcher z obstawą wchodzi tam zaraz za nimi... Czy Ransome wszedł do baru i był świadkiem, jak Mike rozmawia z gangsterem? Nie, lokal świecił pustkami, więc Majcher, wyczulony na inwigilację, z pewnością by go zauważył. Wobec tego w jaki sposób powiązał Mike'a i resztę z Callowayem? Odpowiedź nasuwała się sama: detektyw był w Galerii Narodowej i zobaczył Mike'a z Majchrem w kawiarni. Ale co gorsza, teraz już znał ich nazwiska...

– A potem, po kradzieży, Ransome zadzwonił do mnie – mówiła dalej Laura. – Nawet dwukrotnie. To było w sobotę wieczorem, więc na pewno miał ważny interes, chociaż starał się udawać obojętność...

– Znów chciał cię obłąpać?

Uśmiechnęła się smutno, spuściła wzrok i zapatrzyła się na zawartość filiżanki.

– Niewłaściwe pytanie, Mike. Powinieneś się zainteresować, kim właściwie jest ten Ransome. Co on ma do rzeczy? Ale ty to już wiesz, prawda?

– Naprawdę nie mam pojęcia, do czego zmierzasz...

– On jest z policji okręgu Lothian i Borders, Mike, i wypytywał mnie o profesora. – Oparła się na ławie, jak gdyby już skończyła to, co miała do powiedzenia, i czekała teraz na jego reakcję.

– Nie mam zielonego pojęcia – powtórzył z naciskiem.

Laura westchnęła, splótła ręce pod biustem i wbiła wzrok w resztki cappuccino tak intensywnie, jakby chciała je zmusić do lewitacji.

– To znaczy... – brnął Mike. – Właściwie sam nie wiem, co chciałem powiedzieć.

Pojawiła się woda na srebrnej tacy, wraz z lodem, limonką i wysoką smukłą szklanką. Kelner napełnił szklankę i zapytał, czy jeszcze czegoś sobie życzą.

Owszem, wyjścia ewakuacyjnego, miał ochotę odpowiedzieć Mike. Ale jednocześnie z Laurą tylko pokręcił głową. Patrzyli, jak młody człowiek odchodzi. Laura rozplotła ręce i oparła koniuszki palców na skraju stolika. Jakie długie palce, i te nieskazitelnie wypielęgnowane paznokcie...

– W czasach studenckich znałam Ransome'a całkiem dobrze – oświadczyła. – Już wtedy był z niego kawał zawziętego drania. Na tamtej imprezie musiałam go kopnąć między nogi. Ale nie wiem, czy w twoim wypadku to zadziała... – Zacisnęła powieki; Mike przestraszył się, że dziewczyna wybuchnie płaczem. Wyciągnął rękę i nakrył jej dłonie swoimi.

– Nic się nie stało, Lauro. On pewnie próbuje wygrzebać jakieś brudy na tego Callowaya. Zobaczył nas na ten samej

aukcji i zaczął snuć teorie spiskowe. Nie ma się czym przejmować... Ransome nawet nie wchodzi w skład ekipy zajmującej się tym skokiem... – Zdał sobie sprawę, że myśli na głos i urwał, ale za późno. Laura otworzyła oczy.

– Chciałeś powiedzieć: nieudany skokiem.

– Jasne... tak, oczywiście.

– A skąd o tym wiesz?

Świetnie wiedział, co Laura zamierza powiedzieć, i zagryzł dolną wargę.

– Skąd wiesz, że Ransome nie prowadzi tego śledztwa? – dodała jak na zawołanie.

Przyspilił ją wzrokiem. Miał świadomość, że powinien coś powiedzieć, dodać jej otuchy. Jej oczy błyszczały, twarz promieniowała inteligencją. Była tak pełna życia, w przeciwieństwie do małżonki pana Monbodda. Ale wiedział, że cokolwiek powie, ona i tak przejrzy jego kłamstwa na wylot. Zacznie go wypytywać, on z kolei zapłacze się we własnych łgarstwach, i tak to się potoczy jak po równi pochyłej. A nie mógł jej powiedzieć wszystkiego, nie mógł się wytłumaczyć, nie miał nic na swoją obronę. Wstał więc z ławki, sięgnął do kieszeni i położył pieniądze obok swojej szklanki. Laura siedziała ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w blat stolika. Nachylił się, pocałował ją we włosy i przez chwilę zatrzymał twarz nad jej głową, wdychając delikatny zapach perfum. Potem wyprostował się i ruszył do wyjścia.

– Mike? – zawołała za nim. – Nie wiem, co się stało, ale może mogłabym pomóc.

Wolno pokiwał głową, mając nadzieję, że zauważy ten

gest, choć był zwrócony do niej plecami. Kelner stał przy drzwiach. Otworzył je Mike'owi i życzył mu miłego dnia.

– Dzięki – odparł Mike, wychodząc na George Street. – Ale to mało prawdopodobne...



Glenn Burns pracował dla Majchra Callowaya już cztery i pół roku i był pewien dwóch rzeczy: jego szef miał kłopoty, a biorąc pod uwagę, jak się sprawy miały i wszelkie okoliczności, on sam poradziłby sobie w tej sytuacji dużo lepiej. Bez obrazy, ale Majcher zupełnie nie znał się na ludziach, nie miał wizji i najwyraźniej wpadał z jednego dołka w drugi. Glenn wiedział o tym, bo w wolnym czasie czytywał poradniki, jak należy prowadzić interesy. I jedno wbił sobie do głowy raz a dobrze: zawsze trzymaj sztamę z wrogiem. Nie, żeby od razu miał kłaść się z inspektorem Ransome'em do łóżka, ale szeptał mu do ucha czułe słówka, licząc na to, że upadek Majchra nastąpi szybko i bez przelewu krwi. Jak dotąd nic z tego nie wyszło, ale znów się umówił z gliniarzem, który tym razem pokazał mu kilka zdjęć.

– Tak, znam ich – przyznał Glenn. – Znaczy się, właściwie to ich nie znam, ale kiedyś Majcher napędził im w barze niezłego stracha.

– W Świecącej Gwieździe?

– Właśnie. A potem uparł się, żeby iść na tę pieprzoną nudną aukcję, i oni też tam byli. Wróciliśmy do Świecącej Gwiazdy i znów się na nich natknęliśmy, siedzieli w tej samej wnęce co poprzednim razem. A ten... – Glenn poklepał jedno

zdjęcie, wycięte z czasopisma ilustrowanego. – Ten chodził z Majchrem do szkoły... w każdym razie Majcher tak twierdzi.

– To prawda, sprawdziłem.

– Tak czy owak, jak już tamci dwaj wynieśli się z Świecącej Gwiazdy, ten kumpel ze szkoły podszedł i pogadali sobie z Majchrem.

– O czym? – Ransome gapił się na coś przez przednią szybę swojego samochodu, zaparkowanego na szczycie Calton Hill, zaraz na wschód od Princes Street. Rozciągał się stamtąd wspaniały widok na Edynburg, gdyby któregoś z nich to interesowało. Glenn jednak tylko wysiadł ze swojego wozu i przesiadł się do auta detektywa. Wnętrze pachniało skórą. Popielniczka była czyściutka, dopóki nie wrzucił do niej gumy do żucia, wywołując grymas niezadowolenia na twarzy Ransome'a.

– Nawijali coś o aukcji... czyje ceny idą w górę, czyje w dół, a kto wcale się nie sprzedaje. Szczerze mówiąc, wyniosłem się... to było nudne jak flaki z olejem. Majcher chciał wiedzieć, jak się licytuje i płaci, czy przyjmują gotówkę, a ten gość mu tłumaczył... ma na imię Mike, zgadza się?

– Mike Mackenzie – potwierdził Ransome. I chociaż nie podobała mu się guma do żucia w popielniczce, to kiedy Glenn rozpakował nową paczkę i go poczęstował, wziął plasterek i zaczął żuć tak zaciekle, jakby to był chateaubriand. – Pozostali dwaj to Gissing i Cruikshank – ciągnął. – Jeden pracuje w akademii sztuk pięknych, drugi w banku First Caledonian. Ale twój szef najlepiej zna Mike'a, tak?

– Tak. Spotkali się jeszcze raz... zgnarliśmy Mike'a

z ulicy, sprzed baru Last Drop. Ale Majcher wywalił mnie i Johnno z wozu, więc Bóg jeden wie, dokąd pojechali i o czym mówili... A ten cały Mike to co właściwie robi?

– Sukinsyn miał fart i zbił majątek na komputerach... mieszka w szykownym apartamencie w Murrayfield.

– A to dziwne...

– Co takiego?

– Pojechaliśmy tam dziś z samego rana. Jakiś taki napuszony adres, Henderland Heights. Majcher nie powiedział nam, po co tam... – Glenn urwał, zaskoczony widokiem, jakiego w życiu by się nie spodziewał.

Detektyw inspektor Ransome próbował bowiem jednocześnie gwizdać i szczyrzyć w uśmiechu zęby.



Ransome wiedział, co powinien zrobić. Powinien zwrócić się ze wszystkim, co ma – z podejrzeniami, dowodami i wnioskami – do szefa. Tyle że szef zapytałby go, dlaczego nie zgłosił tego Hendricksowi, w końcu to on prowadzi tę sprawę. I w ten sposób Hendricks zgarnąłby mu sprzed nosa wszystko. Tych, których nakrył. Całą jego chwałę. Nieważne, że to on, Ransome, odwalił całą czarną robotę.

Chciał czegoś więcej.

Musiał zdobyć dowody umożliwiające aresztowanie tych ludzi za napad z bronią w rękę. Mackenzie i spółka w ten czy inny sposób spiskowali z Callowayem i pomogli mu dokonać napadu... Ransome ani przez chwilę nie wątpił, że za wszystkim stoi Majcher. Glenn jasno dał mu do zrozumienia, że

gangster szukał na mieście mięśniaków do jakiejś roboty. Możliwe zresztą, że skoku dokonał ten cały Nienawiść i jego ekipa Aniołów Piekieł – ludzie, którzy mieli dostęp do obrzynów i innych spluw. Ale tak czy siak, musieli mieć informacje od kogoś z wewnątrz – i tu się pojawiają „trzej muszkietierowie”. Zwykli amatorzy, pewnie nakłonieni albo zastraszeni, tak że w końcu wpadli w bagno po same uszy. Łatwo będzie ich złamać – o wiele łatwiej, niż stanąć twarzą w twarz z Majchrem. A kiedy już ich złamie, wsadzi gangstera tam, gdzie jego miejsce.

Zresztą Hendricksowi też się dostanie. Za to, że go tak zrugał przez telefon. Jakimś cudem dowiedział się o wizycie Ransome'a w magazynie. „Nie wchodź mi, kurwa, w paradę” – tak brzmiało polecenie Hendricksa. Ransome nie pozostał mu dłużny, rozłączył się i już nie odebrał telefonu, gdy Hendricks zadzwonił ponownie. Pies go trącał. Wszystkim im pies mordę lizał. Potrzebował tylko niepodważalnych dowodów... albo przyznania się do winy. Zgromadzenie dowodów bez nakazów przeszukania będzie trudne, a to, co mu podpowiadał nos, oraz okruchy zebrane w trakcie inwigilacji nie wystarczą. Nawet jego tajny informator nie mógł jednoznacznie powiązać Callowaya z napadem.

Musiał zdobyć coś więcej.

Niepodważalne dowody albo przyznanie się do winy...

I nagle go olśniło; wiedział dokładnie, co należy zrobić. I komu.

25.

We wtorek, tuż po jedenastej rano, Westie pracował nad swoją wystawą dyplomową. Tkwiał w podziemiach akademii sztuk pięknych, a zatem bez naturalnego światła, gdyż nie było tu okien. Rozwiązał problem za pomocą świetlówek zawieszonych ukośnie pod ścianami, tak że stojące obok obrazy rzucały w pomieszczeniu nierówne cienie. Sęk w tym, że obrazy były kiepsko widoczne. W dodatku poruszanie się w gąszczu kabli elektrycznych biegnących po podłodze od lamp do przeciążonej skrzynki przyłączonej było ryzykowne. Woźny poinformował go, że musi przestrzegać przepisów bhp, a jeden z wykładowców zwrócił mu uwagę, że „sztuka prezentacji” jest nieodłącznym elementem wystawy. Innymi słowy, jeżeli Westie nie zdoła zapewnić należytego oświetlenia i terenu, który nie będzie groził śmiertelnym wypadkiem, to będzie miał przechlapanie.

Inna sprawa, że o to akurat nie musiał się martwić. W trakcie pracy gwizdał więc wesoły kawałek – *I co z tego?* Milesa

Davisa – wiedząc doskonale, że ponadprogramowa praca dla profesora Gissinga i jego znajomków i tak już zapewniła mu wysoką ocenę... może nawet dostanie dyplom z wyróżnieniem.

– Ale to nie znaczy, że możesz sobie odpuścić – przestrzegł go Gissing. – Twoja wystawa musi prezentować rzetelny, fachowy poziom, inaczej ocena wzbudzi podejrzenia.

Westie uważał, że potrafi zaprezentować swoją „fachowość”. Był dumny z siedmiu obrazów, które wybrał – pastiszy dzieł Runcimana, Nasmytha, Raeburna (dwa), Wilkiego, Hornela i Peploe'a. Zwłaszcza Peploe przypadł mu do gustu: martwa natura z roślinami w donicach, miską owoców i butelką keczupu na samym skraju płótna. Gissing, zapalony wielbiciel Peploe'a, nie znosił tego obrazu i właśnie dlatego Westie postanowił skoncentrować ekspozycję wokół tego dzieła. Chciał usłyszeć, jak profesor będzie wychwalał tę pracę przed pozostałymi członkami komisji egzaminacyjnej, jednocześnie zgrzytając zębami.

Świeży zastrzyk gotówki oznaczał, że mógł sobie kupić ramy na mieście; nie musiał już szperać po sklepach ze starzyzną ani przetrząsać śmietników. Zakupu dokonał w specjalistycznym sklepie z antykami po renowacji w Leith. Złocene, ozdobne i oryginalne ramy były w idealnym stanie. Dwa razy wykosztował się też na restauracje, a także myślał o wynajęciu pracowni z prawdziwego zdarzenia, żeby Alice odzyskała swój salon.

– W ten sposób roztrwonimy pieniądze na moje studia filmowe – poskarżyła się. – Chyba że coś wymyślimy.

Długo musiał jej perswadować, żeby nie domagała się od Mike'a więcej pieniędzy. Na co zaczęła go namawiać do sprzedaży DeRasse'a za najwyższą możliwą cenę.

– Po co nam obraz, którego nie możemy normalnie powiesić? Mnie wystarczy twoja kopia.

Zapytał wtedy, komu mieliby go sprzedać, co zbyła wzruszeniem ramion.

– Na pewno jest ktoś, kto chciałby go mieć i kto nie zadawałby zbędnych pytań. Idę o zakład, że spokojnie wyciągnęlibyśmy za niego pięćdziesiąt kawałków...

Nie tak spokojnie, pomyślał teraz Westie. Na wszelkie sposoby przekonywała go, żeby nie włączał Derasse'a do swojej wystawy. Zdał sobie sprawę, że te wspomnienia przeszkadzają mu w gwizdaniu. Powrót na szczyt, Miles... Za każdym razem, gdy wracał myślami do tego skoku, nie mógł pohamować śmiechu. Te cholerne oprychy z Lavender Hill nie dały jednak ciała. Gissing, chwytający się za serce, jakby miał kopnąć w kalendarz... to dopiero byłoby ciekawe! Allan, któremu pot spływał ciurkiem po twarzy spod tej cudacznej peruki. Za to Mike spisał się jak należy – przez cały czas zachowywał spokój, był jakby stworzony do takiej roboty. Między innymi dlatego Westie nie chciał nagabywać go o więcej pieniędzy; Mike to był gość, koniec, kropka. To on zorganizował tych czterech zuli. Wyczuwało się, że pomimo tej swojej fryzury i robionych na zamówienie butów, doskonale zna się na ludziach. Na ludziach z gatunku tych, z którymi nikt nie chciałby się zadawać.

Sam pewnie też nie dałby sobie w kaszę dmuchać, natomiast

Westie był zagorzałym pacyfistą... pokój dla świata i cały ten szajs...

– A cóż to za paskudna nora? – dobiegł od drzwi burkliwy głos. Westie bacznie przyjrzał się człowiekowi, który ciężkim krokiem wlaźł do pomieszczenia. Łysy, skórzana kurtka, złote sygnety i taki sam łańcuch na szyi. – Nie wiem, synu, po co się tak trudzisz... nikt cię tu nie znajdzie, chyba że rozsypiesz za sobą okruszki chleba.

– Czym mogę panu służyć? – zapytał chłopak, podczas gdy nieznajomy rechotał z własnego dowcipu.

– Jasne, że możesz, Westie. Inaczej bym się tu nie fatygował. – Mężczyzna wyciągnął pulchną dłoń. Student dałby głowę, że na kostkach miał wyraźne blizny. – Jestem Majcher Calloway. Uznałem, że najwyższy czas poznać się osobiście.

– Majcher Calloway?

Tamten skinął głową.

– Sądząc z tego, jak szorujesz szczęką po podłodze, domyślałem się, że moje nazwisko nie jest ci obce. To dobrze... unikniemy długich wyjaśnień.

– Wiem, kim pan jest – przyznał Westie.

– Więc pewnie wiesz także, po co tu przyszedłem?

Student poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

– N-nie... Nie mam zielonego pojęcia, co pana sprowadza.

– Jak to, nikt ci nic nie powiedział, panie Westwater? A to ci dopiero...

– Czego mi nikt nie powiedział?

Calloway znów parsknął śmiechem i poklepał go po ramieniu z taką siłą, że pod chłopakiem ugięły się kolana.

– Myślisz, że te dodatkowe chłopaki do waszej ekipy w sobotę zjawiły się nie wiadomo skąd? Spluwy, furgonetka... jak ci się zdaje, kto to wszystko zorganizował?

– Pan? – wydusił Westie z trudem.

– Ja – przyznał Majcher Calloway. – Ale przyznam, że jestem pod wrażeniem... myślałem, że ktoś się wygada. Dobrze, że moje nazwisko nie wyszło na jaw. A jednak musiałem tu przyjść...

Ruszył na obchód piwnicy, cmokając na widok tego, co w niej zobaczył. Westie chciał go zapytać, co właściwie jest grane, choć prawdę mówiąc, wołał nie wiedzieć. Tylko dwa obrazy wisiały na ścianach, pozostałe pięć stało pod jedną z białych ścian. Calloway przykucnął i obejrzał je bez słowa. W końcu wstał, otrzepując ręce z nieistniejącego kurzu.

– Nie bardzo się znam na sztuce – wyjaśnił ze skruchą. – Chyba że na „szlachetnej sztuce”, rzecz jasna. Wiesz, co to takiego, Westie?

– Boks? – zaryzykował student.

– Otóż to, boks. – Gangster oddalił się od chłopaka, zmierzając w stronę wyjścia. – Bardzo pokrewne jest lanie, znęcanie się, kopanie, wyłupianie oczu, podrzynanie, rąbanie siekierą i dżganie nożem. – Odwrócił się i uśmiechnął. – Ma się rozumieć, na tym etapie ta sztuka nie jest już tak szlachetna.

– P-proszę pana, ja tylko zrobiłem, co mi kazali. N-nikt mi nie mówił, że pan bierze w tym... znaczy się, n-nie ma się pan czego obawiać, nie z mojej strony.

Calloway znów powoli zbliżał się do chłopaka.

– Więc chcesz powiedzieć, że to wszystko wina twojej dziewczyny, tak? Swoją drogą, co u Alice?

Twarz studenta wykrzywił grymas zdziwienia.

– Nie rozumiem.

Calloway odetchnął głęboko.

– Twoja kochana, uroczą Alice wysłała mojemu przyjacielowi Mike'owi Mackenziemu ostrzeżenie. Napisała, że chcecie dostać górką jeszcze dwadzieścia kawałków albo drugi obraz. Według niej czujecie się oszukani. Czy to prawda, Westie? Masz wrażenie, że ktoś cię orznął?

Ale student nie był w stanie wydusić ani słowa.

– A więc – podjął Calloway, najwyraźniej zadowolony z takiej reakcji – jak ci się zdaje, skąd wzięła numer komórki Mike'a? Chcesz wziąć pół na pół czy poprosisz o pomoc publiczność? Nie, nie chcesz, dlatego że dostała go od ciebie, Westie. Sam jej go podałeś... – Palec wskazujący dźgnął studenta w pierś, a ten odniósł wrażenie, że to ostrze noża albo lufa pistoletu. Calloway zgiął się w pasie tak, że jego oczy znalazły się na wysokości oczu chłopaka. – No chyba że podasz mi jakieś inne wiarygodne wyjaśnienie. – Twarz studenta obryzgała ślina. Nie śmiał jej zetrzeć, dopóki gangster nie ruszył znów na obchód pokoju, ostrożnie omijając kable. – Nastały niebezpieczne czasy, chłopasiu – mówił Calloway. – Ludzie zaczynają wariować, dostają pierdolca.

– Nie wiedziałem, że ta głupia krowa wysłała mu SMS-a!

– Ale wiedziałeś, że nosiła się z takim zamiarem, zgadza się? – Calloway zawrócił i znów zbliżał się do chłopaka. Wyciągnął ręce z kieszeni. Miał zaciśnięte pięści. – Obgadywaliście

to wspólnie, pewnie razem dobieraliście właściwe słówka, aż wyszlifowaliście tekst...

– My tylko myśleliśmy, że...

Cios w brzuch posłał studenta na ścianę; walnął w nią plecami między dwoma oprawionymi płótnami, które na niej wisiały. Calloway chwycił chłopaka za gardło.

– Dobrze, że nareszcie się poznaliśmy, bo coś dla mnie zrobisz – syknął. – A właściwie dwie rzeczy. Po pierwsze, wyjaśnisz tej swojej panience z kościstym zadkiem, że w tym towarzystwie tylko ona daje się rznąć w dupę.

Westie, z wytrzeszczonymi oczami, zaczął gorliwie kiwać głową, na ile to było możliwe. Calloway zwolnił uścisk i chłopak opadł na kolana, krztusząc się i bryzgając flegmą z ust. Gangster przykucnął przed nim i oparł mu dłonie na ramionach.

– Układ stoi?

– Może pan być pewien, proszę pana – wydukał Westie. – Zaraz to załatwię. – Udało mu się przełknąć ślinę. – A ta druga rzecz?

– Ta druga sprawa jest taka, Westie, że od tej pory tworzymy zespół, ty i ja. – Calloway podkreślał każde słowo skinieniem głowy.

– Zespół? – Chłopakowi dzwoniło w uszach, miał wrażenie, że usta ma pełne piasku. Na podłodze obok niego stał karton soku, ale nie sądził, żeby to była właściwa chwila na napitek.

– Wychodzi na to, Westie, że te twoje fałszywki zdały egzamin – wyjaśniał mu gangster. – Po mojemu to dowód, że

znasz się na rzeczy. I z tego, co słyszałem, uwinąłeś się w trymiga. Więc teraz namalujesz kilka obrazków dla mnie.

– Więcej kopii?

Calloway znów skinął głową.

– Wielu innych obrazów z tamtego magazynu.

– Pan żartuje.

– Dostałeś cykora? – Gangster uraczył go uśmiechem. –

Nie bój nic, nie obrobimy go ponownie... czy ja wyglądam na takiego matoła?

– Czyli że chce pan je dla siebie?

– Można tak powiedzieć.

Westie nieco się odprężył.

– Nie ma sprawy, proszę pana, mogę to zrobić. Zresztą, co za różnica, czy powiesi pan na ścianie kopię czy oryginał?

– Żadna, jeżeli kopia jest doskonała. – Calloway pomógł chłopakowi wstać i otrzepał jego ramiona z kurzu.

– Czy ma pan na myśli jakiś konkretny obraz? – spytał Westie. – To nie musi być nic z tego magazynu... jak pan chce, odpicuję panu *Monę Lizę*.

– Nie, Westie, ja nie chcę *Mony Lizy*. To muszą być obrazy, które nie są wystawione na widok publiczny.

– O ilu płótnach mówimy?

– Dwadzieścia kilka powinno wystarczyć.

Westie wyduł policzki.

– To kawał roboty.

Twarz gangstera stwardniała.

– Nie zapominaj, że po tym numerze, jaki próbowała wyciąć nam Alice, masz sporo do nadrobienia.

Chłopak uniósł ręce w takim geście, jakby się poddawał.

– Nie ma sprawy – powtórzył. – Co tylko pan zechce. Pochlebia mi, że tak pan wierzy w moje umiejętności. – A kiedy twarz Callowaya znów złagodniała, uznał, że może mu zadać pytanie. – Swoją drogą, jaki obraz wziął pan dla siebie po napadzie?

– Facet nazywa się Utterson... *Zmierzch nad Rannoch Moor*. A ty?

– DeRasse'a – wykrztusił Westie, chociaż poczuł nagły skurcz żołądka.

– W życiu o nim nie słyszałem. – Calloway wciąż trzymał ręce na ramionach chłopaka. – Dobry jest, co?

Chłopak odchrząknął.

– Całkiem niezły. Eksperymentalny... w stylu Jaspiera Johnsa, ale bardziej odjazdowy... Chce pan się zamienić?

Gangster roześmiał się, jak gdyby Westie opowiedział dobry dowcip. Tymczasem student też próbował się uśmiechnąć, żeby podtrzymać złudzenie, ale w jego głowie kotłowało się tylko jedno.

Utterson! Dlaczego musiał to być akurat ten cholerny Utterson?!

26.

Allan Cruikshank siedział w swoim gabinecie w centrali banku First Caledonian na rogu George Street i placu St Andrews. Panowała tam coraz większa ciasnota, ale budynku, jako zabytku klasy A, nie można było przebudować na potrzeby dwudziestego pierwszego wieku. Gabinet Allana był dwa razy mniejszy niż pierwotnie, przedzielony ścianką działową. Z jedyne go, wychodzącego na tyły okna, jakie mu pozostało, miał widok na upiorny biurowiec z lat siedemdziesiątych. Jak wszyscy inni na jego stanowisku, pracował zgodnie z wytycznymi co miesiąc planami. Jego grupa klientów z kategorii HNW ostatnio nie przynosiła spodziewanych zysków, powinien więc chyba podzwonić tu i tam i umówić się na lunch i wieczorne koktajle, żeby namówić ich na zainwestowanie pieniędzy w sposób najbardziej korzystny dla banku. Wiedział, że Mike Mackenzie powiększyłby grono jego klientów, gdyby go o to poprosił, ale wtedy nie byłiby już tylko przyjaciółmi; takie wspólne interesy stanęłyby między nimi, zmieniłyby wszystko.

Z drugiej strony, kogo chciał oszukać? Teraz nie byli już „tylko przyjaciółmi”. Wspólnie dokonali napadu, Allan zaś miał wreszcie coś, o czym zawsze marzył – przynajmniej teoretycznie. Był właścicielem dwóch obrazów, których First Caledonian pomimo całej swojej potęgi, pomimo olbrzymiej kolekcji sztuki i własnego kustosa, nigdy by nie zdobył.

Zarazem jednak tego nienawidził. Uważał, że wcale nie z powodu tchórzostwa dał się przekonać Mike'owi, żeby zostawić u niego obrazy na przechowanie. Po prostu te dwa Coultony nic dla niego nie znaczyły. Uświadomił sobie, że równie dobrze mógłby zatrzymać kopie Westiego. Przynajmniej mógłby je wtedy powiesić na ścianie... Przesunął palcem po zadrapaniu na brodzie. Gołąc się rano, nie mógł się skupić. Poza tym od soboty był wiecznie niewyspany. Przewracał się na łóżku z boku na bok, wyobrażając sobie, jak siedzi w areszcie, na sali sądowej, w więzieniu.

– Postąpiłeś jak ostatni dureń, Allan – powiedział na głos. Mimo że nie on to wymyślił. Pierwotny pomysł wyszedł od Gissinga, Mike zaś udzielił mu poparcia. Gdyby nie jego kontakt z Majchrem Callowayem, pewnie nigdy by tego nie zrealizowali. Allan grał rolę drugoplanową, bez znaczenia. Boże Przenajświętszy, to brzmi, jak gdyby tłumaczył się przed prokuratorem.

Słyszając ostry dzwonek, podskoczył w fotelu. Ale to był tylko telefon – sygnał połączenia wewnętrznego. Podniósł słuchawkę.

– Allan Cruikshank – rzucił, tłumiąc ziewnięcie.

– Tu recepcja, panie Cruikshank. Ktoś chce się z panem zobaczyć.

Miał przed sobą otwarty terminarz; najbliższe spotkania czekały go dopiero po południu. Wiedział, co powie recepcjonistka, a mimo to poczuł zimne ciarki.

– To policjant... inspektor Ransome. Czy mam go przysłać na górę?

– Proszę mu powiedzieć, że akurat mam spotkanie. – Słuchał, jak dziewczyna przekazuje jego słowa.

– On mówi, że chętnie poczeka – oświadczyła recepcjonistka śpiwnym głosem. – I że zajmie panu najwyżej pięć minut.

– Wobec tego niech zaczeka w holu. Zejdę za jakiś kwadrans.

Allan cisnął słuchawkę na widełki i zerwał się na równe nogi. Okno wyglądało zachęcająco: cztery piętra do jezdni i zapomnienia. Wiedział jednak, że uchyla się tylko na trzy centymetry – w First Cały nikt nie życzył sobie wypadków. Gdyby opuścił gabinet i ruszył do wind, po drodze mógłby skorzystać ze schodów przeciwpożarowych. Ale nie miał pojęcia, dokąd by go zaprowadziły... może do tego holu, gdzie czekała jego nemezis.

– Jasna cholera! – mruknął i znów sięgnął po słuchawkę. Pod domowym numerem Mike'a nikt nie odbierał, więc zadzwonił na jego komórkę. Tym razem się dodzwonił.

– Halo? – usłyszał.

– Jest tu ten cholerny detektyw! – rzucił Allan. – Chce ze mną gadać. Mike, on wie. Wie! Przyjeżdżaj tu natychmiast.

– Kto mówi?

Allan z przerażeniem spojrzął na wyświetlacz. Pomylił dwie cyfry w numerze Mike'a! Rozłączył się i zacisnął powieki; chciało mu się płakać. W końcu odetchnął głęboko, zadzwonił jeszcze raz i upewnił się, że tym razem rzeczywiście dodzwonił się do Mike'a.

– Na pewno chodzi mu o ten napad – wyjaśnił. – Mike, musisz mi pomóc.

– Że niby mam się tam zjawić w te pędy? – zapytał Mike po dłuższej chwili. – I o czym by to świadczyło, Allan? Zachowuj się, jakby nic się nie stało.

– Po cholerę on tu przylazł? Ktoś się wygadał?

– On tylko węszy na oślep, nic więcej.

– Skąd możesz wiedzieć?!

– Niczego się nie dowiemy, dopóki z nim nie pogadasz. Masz coś na uspokojenie?

– Może jakby ktoś walnął mnie młotkiem w łeb... – Allan od razu pożałował, że tak się wyrwał. Nie chciał, żeby Mike nabrał podejrzeń, podejrzeń, którymi mógłby się podzielić ze swoim kumplem, Majchrem Callowayem. Przełknął ślinę i odetchnął głęboko. – Dam sobie radę, Mike. Przepraszam, że się uniosłem.

– Zadzwoń, jak już z nim skończysz – powiedział Mike lodowatym tonem.

– Zakładając, że będę miał prawo do jednego telefonu.

Dowcip był kiepski, mimo to Mike skwitował go śmiechem.

– Bądź sobą, Allan. Jesteś fachowcem od ubijania interesów. A Ransome nawet nie wchodzi w skład ekipy prowadzącej

śledztwo. O ile wiem, próbuje się dostać do Majchra. Pewnie podpytuje każdego, kto go zna.

– Ale skąd się o tym dowiedział?

– Możliwe, że widział nas na aukcji, a potem w Świecącej Gwieździe.

– A zatem wie, że interesujemy się sztuką i że lubimy wypić...

– Daję głowę, że ja też znajdę się na jego liście. Ale ty spotkałeś Majchra tylko przelotnie... i nic więcej nie musisz mu mówić.

– Zgoda – przytaknął Allan. – Dzięki, Mike.

– Dzwon, jak tylko skończycie.

– Jasne.

Allan odłożył słuchawkę, lecz zaraz podniósł ją znowu i poprosił sekretarkę, żeby za kilka minut zeszła do recepcji i przyprowadziła pana Ransome'a. Nie wyjaśniał jej, kim jest Ransome. Z drugiej strony pod koniec dnia i tak się o tym dowie – recepcjonistki i sekretarki znały się jak łyse konie. Wykorzystał ten czas, żeby wziąć się w garść. Wyciągnął z szuflady jakieś papiery i rozłożył na biurku. Przełączył telewizor na notowania giełdowe. Gdy usłyszał pukanie do drzwi, siedział przy biurku, z zakasnymi rękawami i kalkulatorem w ręku; marynarka wisiała na oparciu fotela.

– Proszę! – zawołał.

Spodziewał się, że Ransome będzie starszy i nie tak elegancki. Niektórzy jego klienci z kategorii HNW mieli mniej klasy.

– Miły gabinet – odezwał się detektyw. Allan wstał i podał sobie rękę nad biurkiem. Wskazał detektywowi fotel. –

I wszędzie te obrazy na ścianach – ciągnął Ransome. – W korytarzu, w holu... Pewnie kosztowały немало.

– First Caledonian ma swojego kustosza – poinformował go Allan. – Nasza kolekcja jest warta ponad dwadzieścia milionów.

Detektyw zagwizdał.

– Pozwalają czasem pracownikom wypożyczyć sobie coś na dzień czy dwa?

– Nie na moim niskim szczeblu kierowniczym. – Allan zdobył się na skromny uśmiech. – Co pana sprowadza, inspektorze? Przyznam, że pańska wizyta mnie zaintrygowała.

– Niełatwo pana znaleźć, panie Cruikshank. Musiałem pokonać tyle przeszkód... – Detektyw wolno pokręcił głową. – Wie pan, miałem tylko pańskie nazwisko. No i nazwę banku, w którym pan pracuje... Mieliście tu kiedyś kłopoty z praniem pieniędzy?

– Ależ skąd... przepisy do tego nie dopuszczają.

– Ale bankier może się przydać, przyzna pan? Komuś, kto chce wyprać pieniądze.

– Wręcz przeciwnie. Jak panu wiadomo, w świetle prawa mamy obowiązek zgłaszać władzom wszelkie niecodzienne transakcje.

Ransome sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie obchodziły go odpowiedzi Allana. A jednak pytał dalej.

– O ile wiem, zajmuje się pan klientami z kategorii HNW, mam rację?

– Owszem.

– Czy Michael Mackenzie jest pańskim klientem?

– Tego typu informacje są poufne, inspektorze. Czy Mike ma jakieś kłopoty?

– A zatem panowie się znacie?

– Przyjaźnimy się od ponad roku.

– A Charles Calloway? – Ransome przerwał na chwilę. – Przepraszam, prawdopodobnie zna go pan pod imieniem „Majcher”.

– W ogóle go nie znam... wpadliśmy kiedyś na siebie w winiarni, ale nic poza tym.

– Czy to było w Świecącej Gwieździe? Kawalek stąd przy tej samej ulicy?

– Zgadza się. – Allan spodziewał się, że zobaczy otwarty notes i długopis, może nawet młodszego partnera, bez słowa stojącego przy drzwiach na warcie. Tymczasem Ransome usiadł, złączył dłonie czubkami palców i założył nogę na nogę.

– „Wpadliście” na siebie? Co to znaczy?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Zobaczył, że mu się przyglądamy, więc podszedł do naszego stolika i próbował nas zastraszyć.

– W tym akurat Calloway ma wprawę.

– Powiedziałbym, że to zawodowiec.

– I siedział pan tam tylko z panem Mackenziem...?

– Był z nami jeszcze jeden przyjaciel... profesor Robert Gissing.

Detektyw uniósł brew.

– Coś mi to mówi. Czy to nie jego wezwano do zbadania obrazów po tym napadzie w Granton?

– Tak, to on. Jest rektorem akademii sztuk pięknych.

Ransome w zadumie pokiwał głową.

– A więc nie rozmawiał pan z Majchrem podczas aukcji?

– Jakiej aukcji?

– Tej sprzed paru tygodni... Swoją drogą, co za przypadek... też odbywała się przy tej samej ulicy.

– Nie sądziłem, że pan Calloway interesuje się aukcjami dzieł sztuki. – Allan odchylił się na oparcie fotela i splótł ręce za głowę. Ransome tylko się uśmiechnął i znów popadł w zadumę. – Naprawdę chciałbym się dowiedzieć, o co właściwie panu chodzi, inspektorze.

– Twierdzi pan, że Calloway podszedł do waszego stolika i padło kilka niemiłych słów...

– I co z tego?

– A dlaczego pański przyjaciel Mackenzie podszedł do Callowaya przy barze, gdzie pogadali sobie przy kieliszku?

– Widocznie było to już po moim wyjściu – improwizował Allan.

– Lojalność to cecha godna podziwu, proszę pana, chyba że jest źle ulokowana. O czym, pańskim zdaniem, ci dwaj mogli rozmawiać?

– Nie wiem... może wspominali szkolne czasy.

– Szkolne czasy?

Allan oblizał wyschnięte usta.

– Przez chwilę chodzili do jednej szkoły.

Sposób, w jaki detektyw pokiwał głową, powiedział Allanowi, że nie było to dla niego nic nowego.

– Może to tłumaczy, dlaczego ostatnio spędzają ze sobą tyle czasu – rozważał Ransome. – Przypadkiem widziałem ich

w Galerii Narodowej, a poza tym wtedy na aukcji, no i w Świecącej Gwieździe. Wiem też, że wybierali się razem na przejażdżki... rozumiem, że pana z nimi wtedy nie było?

– Zapewniam, że nie.

Detektyw pochylił się.

– A co pan powie na to, że Calloway odwiedził pana Mackenziego w jego mieszkaniu w Henderland Heights? Nic panu w związku z tym nie przychodzi do głowy, panie Cruikshank?

– Nie, nic mi nie przychodzi do głowy.

– Pański przyjaciel Mackenzie jest kolekcjonerem sztuki, czyż nie? Poinformował mnie o tym ktoś z domu aukcyjnego. Następnie zabiera znanego przestępcę na obchód zbiorów narodowych, po czym razem biorą udział w aukcji i sprawdzając, jak wyglądają aktualne ceny prac rozmaitych malarzy. Naprawdę nie wyciąga pan z tego żadnych wniosków?

– Żadnych. – Allan mocniej splótł ręce za głową, żeby nie ulec pokusie, by zerwać się z fotela i złapać gliniarza za gardło. No, ale to dopiero byłoby podejrzane, nie? Wobec tego zaproponował mu herbaty czy kawy.

– Pańska sekretarka już to zrobiła. Ale powiedziałem, że to nie potrwa długo. Natomiast pan, jeśli wolno mi zauważyć, wygląda, jakby przydało się panu coś zimnego do picia. – Ransome skinął ręką, Allan zaś uświadomił sobie, że pod pachami ma ciemne plamy, a jego koszula przesiąkła potem. Opuścił ręce na kolana. Detektyw westchnął, sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął mały dyktafon. – Póki pamiętam, zechciałby

pan tego posłuchać? – zapytał. Wyciągnął rękę z urządzeniem i włączył odtwarzanie. Allan usłyszał, jak Westie dzwoni na pogotowie policyjne.

„Niesamowity numer... jacyś goście wyrzucali z białej furgonetki zwłoki albo co...”.

Gdy nagranie dobiegło końca, Ransome wyłączył dyktafon.

– Nie zna pan tego głosu, panie Cruikshank?

Bankier powoli i stanowczo pokręcił głową.

– Oryginalnym nagraniem zajmują się nasi technicy w laboratorium – oznajmił detektyw; przez chwilę patrzył na dyktafon, po czym schował go do kieszeni. – Nie do wiary, co dzisiaj są w stanie odkryć. W tle słychać warkot silnika... potrafia wyizolować ten dźwięk i dopasować do konkretnej marki samochodu. Przyzna pan, że to niesamowite?

– Niesamowite – przytaknął Allan, myśląc o swoim audi. Czy silnik wtedy pracował? W tej chwili nie mógł sobie przypomnieć.

– Wie pan, możemy zagwarantować nietykalność – oświadczył policjant, wstając. – Ja oczywiście tylko myślę na głos, w każdym razie ten, kto pomoże nam wsadzić Majchra Callowaya za kratki, zostanie uznany za bohatera, to proste jak drut. Pan nigdy nie chciał zostać bohaterem, panie Cruikshank?

– Już mówiłem, że właściwie nie znam tego człowieka.

– Ale jest pan zaprzyjaźniony z Michaelem Mackenzie... a z kolei Mackenzie zna Majchra.

– Wobec tego niech pan pogada z Mikiem.

Detektyw wolno pokiwał głową.

– Pomyślałem, że najpierw warto spróbować z panem... wygląda mi pan na człowieka sensownego, który kieruje się zdrowym rozsądkiem. – Ransome był już w pół drogi do drzwi, lecz zatrzymał się. – Zapewniamy nie tylko nietykalność, panie Cruikshank... także anonimowość. Trzymamy się tej zasady w stosunku do ludzi, którzy pomagają nam wsadzić za kratki takie męty jak Calloway. – Po raz ostatni rozejrzył się po pokoju. – Mieliście tu włamanie, prawda? To znaczy w First Caly... kilka lat temu.

– Owszem.

– Chodziły wtedy słuchy, że stał za tym Calloway.

– Wobec tego jest niezbyt rozgarnięty... nie mamy zwyczaju trzymać złota w centrali.

– A jednak złodzieje zwiali z całkiem niezłą sumką. – Ransome pociągnął nosem i potarł go palcem. – Inne pogłoski mówiły wtedy... że ktoś mu pomógł.

– Pomógł?

– Że miał współpracownika w banku.

– Co pan właściwie sugeruje? – Głos Allana stwardniał.

– Ależ nic, proszę pana. Mówię tylko, że on już wcześniej działał w ten sposób... kontakty, ludzie, których można zastraszyć albo przekupić, żeby mu pomogli. Miło z pańskiej strony, że poświęcił mi pan czas. Jedno mnie tylko dziwi... pańska sekretarka powiedziała mi, że przed południem nie miał pan dzisiaj żadnych spotkań. – Ukłonił się lekko i z uśmiechem postukał zegarek. – Obiecałem, że nie zajmę panu więcej niż pięć minut...

Co rzekłszy, wyszedł.

Jasne, pomyślał Allan, pięć minut wystarczy, żeby zszarpać człowiekowi nerwy i obrócić całe jego życie w perzynę. Musiał wyjść na świeże powietrze, przejść się i wypocić adrenalinę, ale nie mógł od razu opuścić biura – Ransome mógł się gdzieś przyczaić i go obserwować. Tak więc musiał zadzwonić do Mike'a i opowiedzieć mu wszystko. To nim interesował się detektyw. To Mike mógł go doprowadzić wprost do Calloway-a. Allan nie miał już w domu żadnych dowodów rzeczowych, więc czego miał się obawiać?

Chodząc nerwowo po pokoju, zauważył, że na fotelu Ransome'a coś leży, coś, czego tam wcześniej nie było. Wizytówka detektywa, z numerem telefonu komórkowego dopisanym ręcznie na samym dole. Nagle usłyszał dzwonek swojej komórki i odebrał bez namysłu.

– Nie wiem, kim jesteś, ale nie lubię, jak ktoś stroi sobie ze mnie żarty – usłyszał.

To był ten sam człowiek, który odebrał telefon, gdy Allan po raz pierwszy dzwonił do Mike'a. Ta pomyłka. Wybąkał więc przeprosiny, przerwał połączenie, po czym w ogóle wyłączył komórkę. Mike może poczekać. Wszystko może poczekać.

Bo najpierw musi się uspokoić.

27.

Mike Mackenzie gapił się na swój telefon komórkowy; kiedy wreszcie zadzwoni? Siedział w kawiarni w Stockbridge, po spacerze wzdłuż Water of Leith. Była to jego ulubiona trasa, kiedy musiał coś przemyśleć, rozwiązać jakiś problem. Tym razem zakończyło się to wspaniałe. Zastanawiał się, jak zareagować na groźbę dziewczyny Westiego. Wystarczyłby jeden telefon do banku, żeby na koncie chłopaka znalazło się dodatkowe dwadzieścia tysięcy, ale Mike nie był jeszcze pewien, czy to właściwa decyzja. Może Gissing nastraszy studenta albo przynajmniej wbije mu trochę rozumu do głowy, tyle że profesor nie odbierał komórki i nie odpowiadał na wiadomości zostawiane w poczcie głosowej i na SMS-y. Ostatnim razem Mike przesłał mu ostrzeżenie, że Ransome jest blisko i że lada chwila zapuka do ich drzwi. Jak dotąd nie doczekał się odpowiedzi.

Nagle, właśnie kiedy wchodził do kawiarni, otrzymał wiadomość tekstową:

SORKI ZA ALICE. NIC NIE ROB. W.

No i dobrze, o ile tylko Westie potrafi zapanować nad swoją dziewczyną. Ale przynajmniej Mike mógł skreślić ten problem z listy spraw do załatwienia. Telefon Allana oderwał go od koziego sera z ciabatta i rukolą. Dlaczego teraz nie oddzwania? Czyżby Ransome rzeczywiście zabrał go na komisariat na przesłuchanie? Opróżnić kieszenie, zdać pasek, krawat i sznurówki... tak to się chyba odbywa?

„Zakładając, że będę miał prawo do jednego telefonu...”.

Czyżby Allan pękł i wyśpiewał wszystko temu detektywowi? Gdy komórka wreszcie zadzwoniła, Mike był tak zaskoczony, że aż wypluł łyk kawy do filiżanki. Ale na wyświetlaczu zobaczył imię Laury, nie Allana.

– Witaj, Lauro – powiedział. – Wybacz, że tak cię zostawiłem. Zachowałem się jak ostatni cham i właśnie miałem zadzwonić z przeprosinami.

– Nieważne – przerwała mu. – W magazynie przeprowadzają drobiazgową inwentaryzację.

– Wyobrażam sobie, że to niewdzięczne zadanie. – Silił się na beztroski ton.

– Posłuchasz mnie wreszcie, czy nie?! Podobno mają braki.

– Braki?

– W zbiorach... brakuje im obrazów.

Mike zmarszczył czoło.

– Przecież płótna znalazły się w tej furgonetce...

– Nie chodzi o te! Inne... brakuje innych obrazów. Tych, które udało im się ukraść.

– Udało im się ukraść? – powtórzył, myśląc gorączkowo. – O ilu sztukach mówimy?

– Na razie brakuje im sześciu, ale jak dotąd sprawdzili mniej niż połowę zbiorów. Zniknął też szkicownik Fergussona. I jeszcze książka, album litografii Picassa, sygnowanych przez niego samego.

– Jezu.

W głos Laury wkradła się błagalna nuta.

– Mike, jeżeli cokolwiek wiesz na ten temat, coś, z czym można by pójść na policję...

– Słucham?

– Musisz z nimi pogadać. Albo zadzwoń do Ransome'a... jeśli chcesz, mogę służyć za pośredniczkę. Jestem pewna, że gdyby udało się przypadkiem odnaleźć te obrazy... no wiesz, gdyby ktoś je gdzieś porzucił...

– Miło z twojej strony, że uważasz, że miałem z tym coś wspólnego. – Mike uświadomił sobie, że kobieta przy sąsiednim stoliku przygląda mu się bacznie. Pewnie zachodziła w głowę, dlaczego dźga nożem stygnącą ciabatte. Posłał jej wymuszony uśmiech i odłożył nóż.

– Czy Ransome już z tobą rozmawiał?

– Mówiłem ci, Lauro, on nawet nie prowadzi tej sprawy... chce tylko przyskrzynić Majchra Callowaya, a jego paranoja zaszała tak daleko, że czepia się Allana, profesora i mnie.

– Allana? Dlaczego?

– Słucham?

– Dlaczego umieściłeś Allana na szczycie tej listy?

Mike pomasaował skronie, próbując zmniejszyć ból głowy.

Obok kawiarni mieściła się apteka, postanowił więc kupić aspirynę. Jak połknie ze dwie setki, to może mu przejdzie...

– Bez powodu – odparł w końcu, zdając sobie sprawę, że ta chwila milczenia zdradziła, że ją okłamuje.

– Jeżeli Calloway ma te obrazy, może udałoby ci się z nim pogadać i go przekonać – sugerowała tymczasem Laura.

– Czy twoim zdaniem komuś takiemu można przemówić do rozumu?

– Chcesz mi powiedzieć, że on rzeczywiście je ma?

– Jezu, nie... Ja nic nie wiem o tych brakujących obrazach! Mówię tylko, że nie mam najmniejszej ochoty rzucać takiego oskarżenia Majchrowi Callowayowi prosto w twarz.

– Mike... przyznaj, że masz z nim związek.

– Tak się składa, że chwilowo jestem wolny – odparł żartem, na co westchnęła z irytacją. – Nie martw się o mnie, Luro. Wierz mi, wszystko dobrze się skończy.

– No właśnie, Mike, czy mogę? Czy mogę ci wierzyć?

Doskonałe pytanie, pomyślał. Zastanawiał się też, komu z kolei on może zaufać, skoro sprawy przybrały taki obrót. Od kogo by tu pożyczyć podręcznik z nowymi zasadami gry?

• • •

Alice wróciła z kina późno. Znowu prowadziła zgaduj-zgadulę w barze. Tym razem tematem była „amerykańska Nowa Fala”. Nieważne, i tak zawsze wygrywał ten sam czteroosobowy zespół. Pewnie dlatego frekwencja była coraz

niższa. Miała z tym kłopot, ale jak dotąd nie wpadła na żadne rozwiązanie. Idąc po schodach do mieszkania, usiłowała sobie przypomnieć, czy mają w domu coś do jedzenia. A co tam, w razie czego zadzwonią i zamówią coś na wynos. Przypuszczała, że Mike zapłaci im dodatkowo – rzecz jasna nie tyle, ile żądała; pewnie będą negocjować. Ale wystarczy tego na utrzymanie i spełnienie jej marzeń. Dziwiła się, że jak dotąd się nie odezwał – może czas wysłać mu następną wiadomość i wyznaczyć ostateczny termin. Już miała przekręcić klucz w zamku, gdy naraz ktoś gwałtownie otworzył drzwi od środka. Westie miał wytrzeszczone oczy i trącił brandy, a jego ubranie nadawało się już tylko na śmieci.

– Coś ty najlepszego narobiła?! – wrzasnął, wciągając ją za ramię do środka i zatraskując drzwi.

– Nie mam pojęcia – zachnęła się. – Może mnie oświecisz, z łaski swojej?

– Ty durna, tępa dziwko. – Odwrócił się od niej i pomaszerował do salonu, oburącz trzymając się za głowę, jakby się bał, że mu pęknie na pół. Znała jego napady szału, ale w takim stanie jeszcze go nie widziała.

– Słuchaj, ja tylko poprosiłam o trochę pieniędzy – powiedziała. – Zawsze warto spróbować. Domyślałam się, że Mike cię przycisnął...

– Mike? Mike? – Z kącików jego ust pryskała ślina. – Ba, żeby tak... – Odwrócił się i stanął z nią twarzą w twarz. – Pamiętaj, jak ci mówiłem, że mamy cichego współnika? Że musiałem namalować dla niego dodatkowy obraz? Okazało się, że to Majcher Calloway.

Spojrzała na niego, osłupiała.

– A kto to jest Majcher Calloway?

– Edynburski mafioso. Facet, z którym nikt nie ma ochoty zadzierać.

– I Mike pobiegł do niego po pomoc?

– To on jest tym cichym współnikiem! Tym, który załatwił nam broń, furgonetkę, dodatkowych ludzi... Calloway wpadł do mnie dziś do akademii. Miał dla mnie dwie wiadomości.

Po pierwsze, że nie dostaniemy więcej ani grosza. A po drugie, że mam mu namalować więcej obrazów.

– Po co?

– Kogo to obchodzi? Problem w tym, że twój idiotyczny plan szlag trafił, a teraz przez ciebie siedzę po uszy w gównie. Jak mogłeś być tak durna?

Twarz Alice stwardniała.

– Zrobiłam to dla nas, Westie... dla ciebie. Nie potraktowali cię sprawiedliwie.

– Przynajmniej zostawili mnie przy życiu, co może zmienić Majcher Calloway, jeśli nie będę mu posłuszny. Nie wierzę, że mogłeś mi zrobić coś takiego!

– Niby co?

– Szantażować Mike'a.

Pochyliła się tak, że ich twarze niemal się zetknęły.

– Weź się w garść, Westie. Mogłeś odmówić temu facetowi... co by ci zrobił? Niech tylko spróbuje, to od razu idziemy na policję.

Westie gapił się na nią przez chwilę, po czym klapnął na kanapę i oparł łokcie na kolanach, wciąż trzymając się za głowę.

– Ty nic nie rozumiesz – wymamrotał. – Ty nic a nic nie rozumiesz.

– Skąd ja to znam. – Alice wzniosła oczy do nieba. – Udręczony artysta... widziałam ten twój numer ze sto razy.

– Idź już sobie, dobrze?

– Iść sobie? – Podniosła głos. – To cholerne mieszkanie należy do mnie, jakbyś zapomniał! – Ale on siedział bez ruchu i milczał. – Dobra, idę sobie – oświadczyła w panującej ciszy. – Nawet nie próbuj mnie zatrzymać!

Chłopak słyszał, jak Alice zabiera swoje rzeczy i wychodzi. Gdy w końcu podniósł głowę, pokój był zamazany – widział go przez łyzy.

• • •

Ransome i jego TOZI byli w pubie przy Rose Street. Stali po dwóch stronach baru i porozumiewali się przez komórki. W żargonie policyjnym TOZI było najnowszym ulubionym określeniem na Tajne Osobowe Źródło Informacji. Ransome wiedział jednak dokładnie, kim jest dla niego Glenn – kapusiem, donosicielem, konfidentem, kablem.

Jego kretem w organizacji Majchra Callowaya.

– Już wkrótce to ty przejmiesz cały interes – przypomniał znów oprychowi, chociaż ani myślał posadzić go na tronie po Callowayu. Posadzi go, owszem, ale w tej samej celi co jego szefa... Będzie kupa śmiechu, jak Majcher się dowie, jaką rolę w jego upadku odegrał były zausznik. – Wszyscy ludzie Majchra ci ufają – ciągnął detektyw. – Tak że musimy tylko przytknąć go za tę kradzież dzieł sztuki... doliczyli się już, że

brakuje im kilkunastu obrazów. Calloway musiał je gdzieś zamelinować.

- Myślałem, że złodzieje porzucili je w furgonetce...
- Nie jesteś na bieżąco, Glenn... remanent w magazynie wciąż wykazuje, że brakuje kolejnych obrazów.
- Czyli że niektóre jednak ukradli?
- Na to wygląda... Nie znalazłeś czegoś w domu szefa albo w bagażniku jego samochodu?
- Do kufra już dawno nie zaglądałem... Może rzucę okiem.
- A przy okazji pod jakimś pretekstem dostań się do jego domu i rozejrzyj. Gdzie jeszcze mógłby je ukryć?
- Jest pan pewien, że to jego robota?
- Bez jaj, Glenn... na pewno coś mu się na ten temat wyrwało.
- Nic.
- Czyli nie chciał, żebyś o tym wiedział. Może chce cię odesłać na ławkę rezerwowych... ciebie i Johnno. Może Majcher szykuje nową ekipę...

Ransome podniósł do nosa szklaneczkę whisky, wdychając woń dymu z wodorostów i torfu, zaprawioną delikatnie śwądem rozgrzanego asfaltu. Produkt gorzelni z wybrzeża, gdzieś daleko na północny zachód od Edynburga. Ale skończy na jednej szklaneczce, w domu czekała go jeszcze kaczka po wietnamsku Sandry. Zmuszał się, by patrzeć wprost przed siebie na rząd butelek z dozownikami, a nie na Glenna. Dzieliło ich zresztą wielu trunkowych klientów.

- Co pijesz, Glenn? – zapytał.

- Smirnoffa z lodem. Zdrówko, panie Ransome.
- Nie proponowałem, że ci postawię. Jeśli każę barmanowi podać kielicha na drugą stronę baru, wyjdzie na to, że cię podrywam.
- To po co pan pytał?
- Przez ciekawość. I tak samo jestem ciekawy, gdzie się podziały te obrazy.
- A swoją drogą, pamięta pan, jak mówiłem, że pojechaliśmy do Henderland Heights? – zapytał Glenn.
- Tak, do mieszkania Mike'a Mackenziego.
- No więc jak wracaliśmy, do Majchra ktoś zadzwonił. Jakiś Edward, tylko że tak jakoś śmiesznie wymawiany. Majcher powiedział mu coś o „zastawie”, o którym nawet nie wiedzą, że go brakuje.
- Co miał na myśli?
- A bo ja wiem? Jak się połapał, że ja i Johnno nastawiamy ucha, odszedł tak, żebyśmy nic więcej nie słyszeli.
- Cokolwiek to jest, musiał to gdzieś zamelinować...
- On ma kluby, bary, a w każdym są piwnice i różne kanciapy. Do tego sale bilardowe... dziesiątki różnych miejsc.
- Zasięgnij języka, zorientuj się, czy Majcher wyjeżdżał gdzieś, nic ci nie mówiąc.
- Jeśli on się skapuje...
- Więc załatw to tak, żeby się nie skapował. Jesteś pewien, że Mike Mackenzie dopiero niedawno pojawił się w kręgu towarzyskim Majchra?
- Jestem pewny. Panie Ransome, a może to ten Mackenzie przechowuje obrazy dla Majchra?

– Też mi to przyszło do głowy. Ale o nakaz przeszukania będzie trudno... – Ransome westchnął głośno. – Słuchaj, Glenn, to naprawdę prosta sprawa. Jeśli wsadzimy twojego szefa za obrobienie magazynu, będziesz czysty. Nikt się nie dowie, że miałeś w tym swój udział. Tym łatwiej pójdzie twoja intronizacja.

– Moje co?

Detektyw na chwilę zamknął oczy.

– Przejęcie po Majchrze pozycji numer jeden w mieście – wyjaśnił.

– Jasne.

Otworzyły się drzwi wahadłowe i do baru wtoczyła się zgraja opijająca wieczór kawalerski. Nie było wątpliwości, który z nich jest przyszłym panem młodym: facet był rozebrany do majtek, butów i podkoszulka zabazgranego graffiti i ociekającego żółtkiem z jajek. Ransome odwrócił się z telefonem od nowego źródła hałasu.

– Miej oczy i uszy otwarte, Glenn. Za dzień czy dwa nadejdzie krytyczny moment. Wierz mi, imperium Majchra runie w gruzach. A dla ciebie, przyjacielu, to będzie wóz albo prze-wóz. Jesteś gotów objąć tron po swoim szefie?

– Gotów na co? – Glenn zatkał palcem jedno ucho, przyciskając komórkę do drugiego. – Nie dosłyszałem, panie Ransome. Za głośno tu. Halo? Panie Ransome?

Cofnął się o kilka kroków, żeby mieć lepszy widok na drugą stronę baru. Ale detektyw rozpląnął się tymczasem w mroku nocy.

28.

Mike dodzwonił się do Majchra dopiero w środę o ósmej rano. Umówili się na dziesiątą w nieczynnej sali bilardowej. Mike niewiele zdradził przez telefon, starał się skończyć rozmowę jak najszybciej i zachować całą wściekłość na spotkanie. Potem jednak przypomniał sobie, kim – i czym – jest Majcher i odpowiednio skorygował swoją strategię.

Gdy otworzył drzwi sali, gangster stał przy nieoświetlonym stole. Jego twarz pozostawała ukryta w cieniu, kiedy turlał czerwone bile, obserwując ich trajektorię oraz impet w drodze do przeciwległej bandy.

– Co ci chodzi po głowie, Michael? – zapytał Majcher lodowatym tonem.

– Myślę, że wiesz.

– Załóżmy, że nie mam pojęcia.

Mike schował ręce do kieszeni marynarki.

– W magazynie brakuje kilku obrazów. Właściwie to kilkunastu, przez co nasz genialny plan może trafić szlag. Nawet

jeśli nie zauważyli podmiarki, to wiedzą już, że doszło do kradzieży, bo nagle kilkanaście arcydzieł gdzieś przepadło!

Jedna bila do snookera trąciła drugą tak, że zaczęła się obracać wokół własnej osi.

– Słyszałem o tym w wiadomościach – oznajmił Majcher beznamiętnie. – Między innymi dlatego nie odbierałem wczoraj w nocy telefonu. Gdybyśmy się wtedy spotkali, pewnie bym się wnerwił. W każdym razie nie powiem, żebym był z tego powodu zachwycony.

– Gdybyś się nad tym zastanowił przez chwilę... przez jedną, jedyną sekundę!... zrozumiałbyś, że będą musieli przeprowadzić drobiazgową inwentaryzację. – Mike przerwał. – A może ci twoi czterej młodzi zdolni zrobili się pazerni i rąbnęli te płótna dla siebie?

– Wybacz, Mike, ale niezupełnie rozumiem... – Majcher pochylił się i oparł łokcie na skraju stołu. Teraz jego twarz była widoczna, oczy spoglądały badawczo na Mike'a. – Zdaje się, że tych czterech wysłałeś do pilnowania strażników i wartowni? A skarbce opróżniałeś sam ze swoimi kumplami?

Mike z niedowierzaniem wybuchnął śmiechem.

– Miałeś całą noc na wymyślenie jakiejś bajeczki i nie stać cię na nic lepszego?

– To samo mógłbym powiedzieć o tobie.

– Czyżbyś serio sugerował, że to my zwinęliśmy te obrazy? I co, schowaliśmy je pod swetrami?

– A skąd mam wiedzieć? Mnie tam nie było... tak samo jak moich chłopaków. Pilnowali zakładników, kiedy wy zajmowaliście się swoją robotą. Niby kiedy mieliby wywinąć taki numer?

Włożyli czapki niewidki i weszli do skarbców tak, że ich nie zauważyliście?

Mike z całej siły walnął pięścią w zielone sukno, wzbijając tuman kurzu.

– Po jaką cholere miałibyśmy zawracać sobie głowę kradzieżą obrazów? Przecież specjalnie napracowaliśmy się nad podmianką, żeby się nikt nie zorientował!

– Może któregoś z was poniosła chciwość.

– W takim razie wiedziałbym o tym.

– Czyżby? Patrzyłeś swoim kumplom na ręce przez cały czas, kiedy opróżniali skarbcę? – Gangster zamilkł na chwilę, po czym odetchnął głośno. – Dobrze kombinujesz, Mike. Przydałby mi się ktoś taki jak ty.

– To jakiś obłąd! – Mike gwałtownie odwrócił się od stołu i przeczesał rękami włosy tak gwałtownie, że niemal wyrwał sobie kilka.

– Powiem ci, na czym polega ten obłąd – oświadczył Majcher spokojnie. – Ransome odwiedził wczoraj twojego kumpla Allana.

– Skąd wiesz?

Gangster znów się wyprostował. W cieniu błyskały jego zęby, wyszczerzone w uśmiechu jak u Kota z Cheshire.

– Na moje polecenie Johnno śledził skubańca przez kilka godzin, chciałem wiedzieć, co kombinuje. Ransome odwiedził bank First Caledonian... a pamiętam, jak mówiłeś, że właśnie tam pracuje Allan.

– I co z tego? Allan zadzwonił, żeby mnie o tym poinformować, zanim jeszcze rozmawiał z Ransome'em.

- No i? – Majcher ruszył powoli wokół stołu.
- I nic... rozmawiałem potem z Allanem. Facet przyszedł do niego powęszyć, i tyle.
- Jesteś pewien?
- Słuchaj... nie próbuj mydlić mi oczu. Na razie martwią mnie te zaginione obrazy.
- Kto jeszcze był w magazynie?
- Westie i Allan.
- A profesor nie?
- Czekał w furgonetce... nie można było ryzykować, że ktoś go tam rozpozna.

Tymczasem gangster stanął twarzą w twarz z Mikiem.

- A co było potem?
- Co masz na myśli?

Majcher potarł brodę. Już od dwóch dni nie chciało mu się golić, więc rozległ się chrobot palców o siwiejącą szczecinę.

– Słyszałem już o takich numerach. Ktoś obrabia bank... zresztą niekoniecznie bank, równie dobrze może to być stacja benzynowa, supermarket, cokolwiek... Jak już złodzieje dali nogę, personel wezwał gliniarzy, ale zanim tamci się zjawili, minęło z pięć, dziesięć minut... a tymczasem pracownicy kręcili się po interesie, więc jeśli coś jeszcze się ulotniło, to poszło na konto złodziei...

Mike zmrużył oczy.

- Podejrzewasz strażników z magazynu? Ale przecież zwiedzający musieliby coś zauważyć. – Wolno pokręcił głową.
- Nie, ja tego nie kupuję.
- Wolisz utwierdzać się w przekonaniu, że to moja robota?

– Mike czuł na twarzy oddech gangstera... w jego wczorajszej kolacji na pewno znajdował się czosnek. Wyczuł też ślad herbaty z mlekiem... pewnie ze śniadania. – Tylko trzech z moich chłopaków weszło do magazynu – ciągnął Majcher. – Czyli ile musieliby zabrać? Po cztery obrazy na głowę. Na miłość boską, co oni mieli na sobie... namioty? – Uśmiechnął się zimno. – Nie, przyjacielu, to musi być sprawka twoich kumpli. Jestem pewien, że jakbym ich grzecznie zapytał, Westie i Allan wyśpiewaliby wszystko jak na spowiedzi... poprudliby się jak koronka... a w razie czego wypraliby sobie flaki, dosłownie.

– Może najpierw wyptasz swoich chłopaków?

– Nie muszę.

– Nie po raz pierwszy drobny cwaniaczek dałby się skuć...

Przez dwadzieścia sekund mierzyli się wzrokiem. Majcher pierwszy zamrugał, sięgając do kieszeni marynarki po telefon. Mike skupiał się na tym, żeby oddychać równomiernie i trzymać fason. W nocy niewiele spał – dręczyło go zbyt wiele pytań. Rzecz jasna, też mu chodziły po głowie podejrzenia, które Majcher właśnie wyartykułował. Wciąż powracały do niego truizmy: zbrodnia doskonała nie istnieje... złodziejski honor... zdrajca we własnych szeregach... Wybierając numer, gangster nie spuszczał z niego wzroku. Mike wiedział, że Majcher ma rację – tamci czterej absolutnie nie mogli nic ukryć pod kurtkami, a w furgonetce nie było miejsca na tyle dodatkowych płócien, szkicowników i albumów. Musiał się zastanowić, musiał też rozmówić się z Allanem i Westiem.

Wcześniej postanowił, że nie zadzwoni do nich od razu, tylko poczeka, a nuż sami się odezwą, kiedy usłyszą w wiadomościach, co się stało. Zero odzewu. Z drugiej strony może trzymali się rozkazów – zalecenia Gissinga: nie wychylać się...

– Glenn? – mówił tymczasem Majcher. – Zgarnij Billy'ego, Keva, Doddsa i Bellboya i dawaj ich do sali bilardowej, na jednej nodze.

Gdy zatrzasnął kłapkę komórki, zadzwonił telefon Mike'a. Na wyświetlaczu pojawił się numer Westiego.

– Pozwolisz, że pogadam na zewnątrz? – zapytał Majchra.

– Ktoś, o kim nie powinienem wiedzieć?

– Nie, sprawy osobiste – odparł Mike, otwierając drzwi.

Wyszedł na chodnik, odetchnął głęboko kilka razy i dopiero wtedy odebrał. – Halo? – powiedział ciekaw, czy usłyszy studenta, czy raczej jego dziewczynę, Alice.

– Mike, to ty? – Głos Westiego.

– Słucham, o co chodzi? – rzekł Mike.

– Ja tylko chciałem... chciałem przeprosić... Nie miałem pojęcia, że Alice chce ci wysłać taką wiadomość. Ale to przecież jasne, że ona nie pisała tego na poważnie. My... Ja nie chcę więcej pieniędzy. Ani drugiego obrazu. Jeśli o mnie chodzi, jestem absolutnie zadowolony.

Ale w jego głosie nie było słychać zadowolenia.

– Czyli masz tyle obrazów, ile chciałeś?

– No, raczej tak – odparł chłopak niepewnie.

– To znaczy ile, Westie?

– O czym ty mówisz? Mam tylko płótno DeRasse'a... przecież wiesz, Mike. To jak, jesteśmy kwita, co?

– Nie jestem pewien, Westie.

– Widzisz, chciałem cię o coś prosić.

Mike się spał. Na ulicy panował przedpołudniowy spokój: kiosk z gazetami na rogu i sklep z używanymi rzeczami jeszcze nie były otwarte. Dookoła stały kamienice, ale przez brudne okna nikt nie wyglądał.

– Nie wiem, czy jestem w nastroju – powiedział chłopakowi.

– Rozumiem cię, Mike. Ale skoro już przeprosiłem, może mógłbyś... no wiesz...

– Co takiego?

– Załatwić z Callowayem, żeby się mnie nie czepiał! – Niemal wykrzyczał te słowa, tak że zabrzmiały jak zniekształcony trzask.

– Nie miałem pojęcia, że on się ciebie czepia.

– To nie ty go przysłałeś, żeby mnie nastraszył?

Mike zmarszczył czoło.

– Co on ci powiedział, Westie?

– Chce, żebym namalował dla niego więcej falsyfikatów... całe mnóstwo. Mike, ja się boję... boję się odmówić, ale boję się też, co będzie, jeśli się zgodzę.

Mike odwrócił się do pozbawionej okien sali bilardowej. Nazywała się U Brylantowego Jima; z szyldu odpadała farba. Czy Brylantowy Jim w ogóle istniał? A jeśli tak, to co się z nim stało?

– Po co mu te obrazy, Westie?

– Myślisz, że go pytałem? Mike, to przecież potwór, wszyscy o tym wiedzą. Kiedyś zrzucił jakiegoś gościa z pomnika Scotta.

– Zagroził, że go zrzuci – sprostował Mike. – Czy mówił, o jakie obrazy mu chodzi?

– Moim zdaniem sam jeszcze nie wie. Mówi, że mają być takie jak te, które zwinęliśmy... znaczy się, takie, których zaginięcia raczej nikt nie zgłosi.

Mike pokiwał głową.

– Oglądałeś wiadomości, Westie?

– Jezu, nie, czy coś jej się stało?

Mike słuchał go jednym uchem. W przesmyku między dwiema czynszówkami zauważył pękniętą torbę śmieci i szczura, który wyzerał jej zawartość, ślizgając się po resztkach jedzenia na wynos i puszkach po piwie. Olśniło go, że znalazł się bardzo daleko od domu. Westie nazwał Majchra potworem, i trudno było nie przyznać mu racji. Przecież to Edynburg był miastem, które wydało *Doktora Jekylla i pana Hyde'a*, prawda? Mike oparł się o wilgotną, porysowaną ścianę sali bilardowej i poczuł, że do dłoni przylgnęła mu cienka warstwa osadu.

Potworna dziura, pomyślał.

Czy w tej sytuacji jest sens wracać do środka? Nie lepiej dać nogę i zapomnieć, że kiedyś znał niejakiego Majchra Callowaya? Nie sądził jednak, żeby to było takie proste. A kto pierwszy ucieknie... no cóż, ten będzie głównym podejrzanym...

– Co takiego? – rzucił do telefonu. Westie przed chwilą zapytał, czy coś jej się stało, a teraz znowu coś mówił.

– Alice – powtórzył chłopak łamiącym się ze wzruszenia głosem. – Nie wiem, co robić...

– Co ty bredzisz?

– Opieprzyłem ją wczoraj wieczorem... za to, że ci wysłała tego SMS-a, za Callowaya i w ogóle... Poszła sobie, Mike. I nie wróciła na noc.

Mike zaklął pod nosem i wzniosł oczy do nieba.

– Musisz ją znaleźć. – Mówił cicho i spokojnie, choć serce waliło mu jak młot. Zauważył, że musi trzymać komórkę oburącz, żeby nie wypadła mu z rozdygotanych dłoni. – Musisz sprowadzić ją do domu, dogadać się z nią i przemówić jej do rozsądku. Westie, ona wie o wszystkim... a ma do stracenia dużo mniej niż każdy z nas.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jeżeli pójdzie na policję, w zasadzie o nic nie będą mogli jej oskarżyć.

– Ona by tego nie zrobiła.

– A jeśli pomyślała, że się na nią wypiąłeś... Co ją powstrzyma przed kolejną próbą szantażu?

– Ona nie... Nie teraz, skoro już wie, że Calloway maczał w tym palce.

– Nie wiadomo. Dlatego zrób tak, Westie... dzwoń do niej, ślij SMS-y, pukaj do jej przyjaciół i rodziny, zajrzyj do kina, w którym pracuje... Znajdź ją, a potem padnij na kolana i się pokajaj. Westie, ona musi wrócić. Koniecznie.

Na linii zapadła cisza, po czym rozległ się odgłos wycierania nosa.

– Spróbuję, Mike. A co z Callowayem?

– Wszystko po kolei, Westie. Daj mi znać natychmiast, jak ją znajdziesz.

– Znaleźć? Kogo? – Majcher stał w drzwiach po lewej stronie Mike'a, który rozłączył się i schował komórkę do kieszeni marynarki.

– Nikogo – skłamał i spojrzął na zegarek, jakby mu się śpieszyło. – Kiedy dojadą tu twoje chłopaki? Mam parę spraw do załatwienia...

– Oni nie przyjadą, Mike. – Gangster rozejrzał się, sprawdzając, czy nie ma jakichś świadków. – Zmieniłem zdanie. Obaj wiemy, że nie mają z tym nic wspólnego. Ale sądząc z twojej spoconej twarzy i z tego, jak ci się trzęsą ręce, ma to chyba coś wspólnego z telefonem, który właśnie odebrałeś.

– Dzwonił Westie – przyznał Mike, ocierając czoło. Dzień był parny. Koszula kleiła mu się do pleców.

Po chwili namysłu Majcher uśmiechnął się.

– Zdradził ci mój mały plan?

– Według mnie jest za późno na podmianę brakujących obrazów.

Gangster wolno pokręcił głową.

– Zimno.

– Wobec tego co ty kombinujesz? – Mike splótł ręce na piersi, próbując opanować ich drżenie.

Calloway wciągnął zapach ulicy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Mnie się zdaje, że każdy z nas coś kombinuje, Mike... nawet ty – odparł w końcu. – A to znaczy, że będą zwycięzcy

i przegrani. Założysz się, w której grupie ja się znajdę? Wracajmy do środka, łykniemy coś zimnego. – Otworzył i przytrzymał drzwi. Mike spojrzał na nie. Przypomniała mu się scena z *Chłopców z ferajny*... jak pewien typ spod ciemnej gwiazdy proponuje żonie głównego bohatera futro. Miała tylko wejść do magazynu i sama sobie wybrać...

– Muszę się zbierać.

Majcher najwyraźniej czytał w jego myślach.

– Jasne, Mike – powiedział spokojnie. – Ale zrób coś dla mnie, dobrze?

– Co?

Twarz gangstera przesłonił ponury uśmiech.

– Mam nadzieję, że dziewczyna Westiego wróci do domu. Przekaż mu to ode mnie...

29.

– Coś ci się nie śpieszyło – rzucił Ransome do telefonu, z pretensją w głosie. Siedział przy biurku i dla odmiany zajmował się prawdziwą pracą. Dokładnie tak wyraził się detektyw sierżant Ben Brewster: „prawdziwą pracą”. Zgryźliwy sukinsyn. Ale nareszcie Glenn zadzwonił i miał dla niego informacje.

– Mam dwie wiadomości, dobrą i złą – zagrzemiał.

– Zawsze wolę usłyszeć najpierw tę złą, Glenn... dzięki temu mam na co czekać.

– Wczoraj Majcher kazał pana śledzić. Detektyw mocniej ścisnął słuchawkę.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

– Dowiedziałem się o tym przed chwilą od Johnno...

Ransome zastanawiał się, czy Johnno widział go, jak odwiedził centralę First Caledonian. Trzeba przyznać, że był dobry – detektyw go nie zauważył.

– O której to było?

– Mniej więcej od jedenastej do trzeciej.

A zatem Majcher pewnie już wiedział, że Ransome był u Allana Cruikshanka. W sumie miało to swoje dobre strony... Majcher pewnie przykręci bankierowi śrubę z jednej strony, a detektyw z drugiej.

– A ta dobra wiadomość? – zapytał.

– Mam dla pana cztery nazwiska. Majcher najpierw chciał z nimi pogadać, ale potem się rozmyślił. Podejrzewam, że to ci, których wziął do tej roboty.

Detektyw zapisał nazwiska, które podał mu Glenn.

– Co to za jedni? Tylko Bellboy coś mi mówi.

– Mnie też.

Ransome westchnął głośno.

– No dobra, czas na łatwe pytanie: gdzie jest teraz Majcher?

– U Brylantowego Jima w Gorgie.

– W tej sali bilardowej? – Detektyw postukał długopisem w notatnik, podziękował swojemu TOZI i rozłączył się. W zatłoczonym biurze ktoś puścił bąka i popsuł powietrze. Ludzie wachlowali się podkładkami do pisania, rozległy się jęki i prośby o otwarcie okna. Smród nie dotarł jeszcze do Ransome'a, ale detektyw zdawał sobie sprawę, że jeśli teraz wstanie i wyjdzie, wszyscy zwałą to na niego. Wobec tego siedział i przyglądał się nazwiskom w notatniku.

Billy, Kev, Dodds i Bellboy. Bellboy to był prawdziwy kawał żuła. Reszta to pewnie jego kumple, więc miejscowi gli-niarze na pewno ich znają. Wraz z Mikiem Mackenziem i Cal-lowayem mogli stworzyć paczkę zdolną przeprowadzić taki

skok. „Mam tu całą bandę” – mruknął pod nosem. Choć wciąż jeszcze nie był pewny co do Allana Cruikshanka i profesora Gissinga. Ba, na pewno o tym wiedzieli, wiedzieli wszystko. Ani chybi Mackenzie im się zwierzył, przechwalał się, popisywał.

A więc przez niego byli w to zamieszani.

Przez niego byli współwinni.

Czyli że jeden z nich może zacznie sypać. Jak dotąd Ransome nie pogadał sobie jeszcze z Gissingiem. Z tego, co o nim wiedział, był przekonany, że zna się na takich jak on. W latach pięćdziesiątych prawdopodobnie brał udział w demonstracjach przeciwko bombie atomowej. Był zwolennikiem studenckiej rewolty z sześćdziesiątego ósmego roku, niestety w Edynburgu nie mógł znaleźć nikogo, kto by podzielał jego poglądy. Typowy, podążający za aktualną modą lewak, który się zestarzał, ale wciąż zagorzały wróg policji, a zatem raczej nieskłonny do współpracy.

Pozostawał więc tylko bankier, Allan Cruikshank. Ransome postanowił, że zanim złoży mu drugą wizytę, odczeka jeszcze dzień, ale nie więcej, niech się chłop wykańcza nerwowo; oby tylko wcześniej nie padł na tętniaka. Ale skoro już detektyw zaczął się zastanawiać nad kandydaturą profesora, doszedł do wniosku, że z nim też może mieć niezły ubaw. Najpierw jednak musiał puścić w obieg cztery nazwiska i znaleźć kumpla, który mu je sprawdzi. A poza rym zdołał się uporać z kolejnym centymetrem korespondencji przychodzącej.

– Czas na przerwę – powiedział sobie, wydzierając kartkę z notatnika.



W akademii Mike spędził bezowocnie pół godziny. Nie zastał ani Gissinga, ani jego sekretarki. Drzwi do sekretariatu stały otworem, ale profesorski azyl zamknięty był na cztery spusty. Na biurku sekretarki piętrzyły się papiery i dzwonił telefon. Mike miał ochotę odebrać – a nuż to Gissing? – lecz dotknął tylko dzbanka z kawą, stojącego obok telefonu. Był jeszcze ciepły, a zatem sekretarka nie mogła być daleko – chyba że urwała się wcześniej z pracy. W końcu napisał coś na kartce i wsunął ją pod drzwiami do gabinetu Gissinga; były na niej tylko dwa słowa – KONIECZNE SPOTKANIE – oraz jego inicjały. Schodząc na dół, postanowił odwiedzić Westiego. Piwnica stanowiła istny labirynt. Pracowało tam wielu studentów, ale żaden nie widział Westiego. Wreszcie jakiś mężczyzna z brodą i w okularach – ciut za stary jak na studenta, urzędujący w pracowni na wpół zawalonej belami siana – poinformował go, że Westie pracuje w sąsiednim pomieszczeniu. Tyle że go tam nie było. Przez otwarte na oścież drzwi widać było ślady niedawnej działalności. Wisiało tam siedem gotowych obrazów w ramach, a dwa inne czekały na wbicie haków w ścianę, o którą się opierały. Haki leżały tuż obok, wraz z niewielkim młotkiem. Mike miał nadzieję, że chłopak wypuścił się na poszukiwania Alice. Oby tylko nie leżał skulony i nacięty na kanapie w mieszkaniu i się nie rozklejał.

– Pan jest handlarzem? – zapytał brodac z sąsiedniej pracowni. Wycierał dłonie w fartuch. Dopiero po chwili Mike zorientował się, że prawdopodobnie chodziło mu o marszanda, a nie o dealera, i pokręcił głową. – Wczoraj był tu jakiś facet, wyglądał jak wykidajło – ciągnął brodac. – Różni się tu kręcią... – Wrócił do swojej roboty.

– Przepraszam! – zawołał za nim Mike. – Czy pana zdaniem Westie jest dobry?

– Zależy, co pan uważa za dobre – odparł tamten i zniknął z widoku.

Mike zastanowił się i doszedł do wniosku, że nie potrafiłby odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Wrócił na górę i otworzył drzwi prowadzące na zewnątrz. Ktoś właśnie wchodził, więc cofnął się o krok. Mężczyzna podziękował skinieniem głowy i minął go, lecz nagle stanął jak wryty. Mike uświadomił sobie, że to przecież Ransome. Wbił wzrok w podłogę, ale było za późno.

– Pan Michael Mackenzie? – odezwał się detektyw.

Mike udawał zaskoczonego.

– Owszem – przyznał. – Czy my się znamy?

– Pański serdeczny przyjaciel Majcher Calloway nie wspominał panu o mnie? Albo Allan Cruikshank? – Ransome wyciągnął rękę i czekał, aż Mike zrobi to samo. W tej sytuacji Mike uścisnął mu dłoń.

– Allan? – powiedział. – Nie, chyba mi o panu nie mówił. Pan z nim pracuje?

Detektyw roześmiał się. Przeszli na bok, w okolice recepcji, żeby nie blokować przejścia studentom.

– Jestem policjantem, proszę pana. Pan Cruikshank z pewnością panu o mnie wspominał.

– Niby dlaczego?

– Dlatego, że prowadzę śledztwo w sprawie pańskiego przyjaciela Majchra Callowaya.

– Nie nazwałbym go przyjacielem, chociaż pan wciąż używa tego słowa.

– Kim więc dla pana jest? Może współnikiem... czy to lepsze słowo?

– Chodziliśmy razem do szkoły średniej, Tynecastle... niedawno wpadliśmy na siebie na mieście.

– I odkryliście, że obaj interesujecie się sztuką– dorzucił Ransome z zadumą. – Czy właśnie to zainteresowanie sprowadziło pana tutaj, panie Mackenzie?

– Jestem kolekcjonerem. – Mike wzruszył ramionami. – Wkrótce będzie wystawa dyplomowa, więc chciałem się zorientować, na co można liczyć.

Detektyw kiwał głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

– A zatem nie chciał pan ostrzec profesora Gissinga, żeby ze mną nie rozmawiał?

Mike roześmiał się, choć nie przyszło mu to łatwo.

– A niby dlaczego miałbym to robić, na miłość boską? – Kończąc zdanie, zaniósł się kaszlem; już miał powiedzieć: „inspektorze”, ale nie pamiętał, czy Ransome podał mu swój stopień służbowy. Wystarczy, że chlapnął coś bez sensu przy Laurze, taka wpadka nie mogła się więcej powtórzyć.

– Nie wypiera się pan znajomości z profesorem Gissingiem?

– Niewątpliwie znam go bez porównania lepiej niż Majchra Callowaya.

– Wobec tego wie pan, gdzie mogę go znaleźć.

– Jego gabinet mieści się na ostatnim piętrze. Ale nie jestem pewny, czy go pan zastanie.

– No nic, sam się przekonam. – Ransome uśmiechnął się i chciał odejść.

– Chwileczkę, o co tu chodzi? Najpierw Allan Cruikshank, a teraz profesor Gissing... mam wrażenie, że rozmawia pan z połową moich przyjaciół. – Mike silił się na beztroski ton, ale napotkał tylko stalowe spojrzenie detektywa.

– Nie sądzę, panie Mackenzie, żeby pański krąg przyjaciół był aż tak skromny. – Wyglądało na to, że na tym skończy, a jednak dodał: – Właśnie wracam ze spotkania z niejakim Jimmym Allisonem... byłby to pewnie nadmiar szczęścia, gdyby jego też pan znał. – Patrzył, jak Mike zaprzecza ruchem głowy. – Został napadnięty w wieczór przed skokiem na magazyn w Granton. Słyszał pan chyba o tym napadzie, panie Mackenzie?

– O tej kradzieży? Jasne – przyznał Mike.

– No więc ten kustosz, specjalista w swojej dziedzinie, mieszka o rzut beretem stąd, w jednym z tych nowych apartamentowców nad kanałem.

– I?

– I nie ma go w domu. Jego żona odchodzi od zmysłów. Wezwała nawet policję, szkoda tylko, że mnie nikt nie zawiadomił. Widzi pan, on zaginął. Od wczoraj nigdzie nie można go znaleźć. Żona się martwi, czy nie doznał wstrząśnienia mózgu.

Chryste, najpierw Alice, a teraz jeszcze to...

– Mógł wpaść do kanału – rzekł Mike po chwili.

– Tak pan uważa, panie Mackenzie? – Ransome wysunął szczękę. – Ciekawe w tym jest to, że Allison zna profesora Gissinga.

– Roberta Gissinga zna połowa miasta. – Mike przerwał. – Pan chyba nie sądzi, że profesor miał coś wspólnego z tym...

Reakcją detektywa było tylko drgnięcie ust.

– Po naszej rozmowie mam natomiast dla pana dobrą wiadomość – oświadczył Ransome. – Moim zdaniem to nie pański głos jest na taśmie. Ale już wkrótce będą wiedział, kto dzwonił.

– Dzwonił? Dokąd?

– Niech pan zapyta swojego przyjaciela Allana. – Detektyw uklonił się lekko i odszedł. Mike odprowadzał go wzrokiem, dopóki ten nie zniknął w głębi budynku; oddychał głęboko, szczęśliwy, że wybrnął z kłopotliwej sytuacji. Allison zaginęła... ciekawe, o co tu chodzi? Może rzeczywiście ma wstrząśnienie mózgu. Ale biedak mógł też skończyć na dnie kanału. Należało tylko stuknąć go w łeb, nic więcej, ale Mike powinien tam być i dopilnować tego osobiście.

Może jednak Allan miał rację... może należy podrzucić gdzieś te obrazy i anonimowo dać cynk policji. Kłopot w tym, że jedno z płócien wciąż było w rękach Nienawiści. Poza tym po kopiach mogliby trafić do Westiego, gdyby już zidentyfikowali je jako fałszywki. No i musiałby przekonać studenta i profesora, żeby także oddali swoje.

Sam się o to prosiłeś, Mike, powiedział sobie w duchu.

– O Jezusie, Gissing! – Walnął się dłonią w czoło. A jeśli sekretarka już wróciła? Jeśli otworzyła drzwi gabinetu? W takim razie Ransome znajdzie na podłodze kartkę od niego...

Jeszcze kilka razy stuknął się w głowę i zobaczył, że mijający go studenci z teczkami pod pachą wlepiają w niego wzrok.

– Przygotowuję performance – wyjaśnił i ruszył do drugiej z kolei ulubionej świątyni dumania: parku Meadows.

• • •

Bank First Caledonian zamykano o szóstej i o tej porze Allan uznał, że może już bezpiecznie odbierać telefon domowy. W ciągu dnia nie podnosił słuchawki, więc teraz sprawdził wiadomości – było ich kilka, wszystkie od jego sekretarki, która pytała, gdzie jest, niepokoiła się, czy aby nie zachorował, zawiadamiała, że odwołuje wszystkie jego spotkania. Nie było nic od Mike'a ani Roberta Gissinga; detektyw też się nie nagrał. Z rana Allan wyłączył komórkę i nie miał specjalnej ochoty jej włączać. Czuł, że wygada wszystko pierwszej osobie, która do niego zadzwoni. Gdyby był wierzący, mógłby się przejść Leith Walk do katolickiej katedry, gdzie niewątpliwie można się było wyspowiadać. Zastanawiał się nawet, czy nie pogadać z Margot, ale ona tylko by go obsztorcowała, a może nawet wyśmiała jego ciężką dolę, szczęśliwa, że uwolniła się od skończonego idioty.

Od południa burczało mu w brzuchu, ale nie miał apetytu. Wypił już osiem albo i dziewięć szklanek wody, a mimo to

wciąż czuł pragnienie. Oglądanie telewizji za dnia nie przyniosło mu ukojenia. Leciał jakiś talk-show dla gospodyń domowych, w którym bez końca gadano o międzynarodowym handlu skradzionymi dziełami sztuki. Pod koniec każdej godziny nadawano najświeższe wiadomości, ale wtedy gasił telewizor, nie chcąc nic słuchać o skoku. Obudziwszy się rano z krótkiego i niespokojnego snu, ogolił się i włożył garnitur, z mocnym postanowieniem, że pójdzie do pracy jak zwykle. Wytrwał w tej decyzji aż do momentu, gdy podszedł do drzwi. Położył rękę na klamce i zamarł. Po drugiej stronie był cały ten przerażający świat. Jedynie mieszkanie zapewniało mu względny azyl. Większość dnia spędził więc przy oknie, zastanawiając się, czy Ransome albo inny policjant nie wyjdzie z komisariatu, żeby po krótkim spacerku do jego kamienicy nacisnąć dzwonek z napisem CRUIKSHANK. Nie zauważył dziennikarzy, widać media już się tym nie interesowały. Radiowozy jeździły wte i wewte. Policjanci w cywilu wychodzili przed komisariat, żeby zapalić i uciąć sobie pogawędkę. Nastawiając uszu przy otwartym oknie, Allan słyszał jednak tylko świergot ptaków na drzewach i warkot autobusów na Leith Walk.

Mógłby wsiąść do któregoś z tych autobusów i pojechać, gdzie oczy poniosą. Albo wskoczyć do pociągu zmierzającego na południe. Polecieć samolotem za granicę. Miał paszport i dwie karty kredytowe (limit jednej z nich był już na wyczerpaniu). Co go powstrzymywało? Czy chciał, żeby go złapali? Wizytówka Ransome'a, którą miał w portfelu, promieniowała, przypominając mu stale o swojej obecności. Od nietykalności

dzieliło go tylko jedenaście cyfr numeru telefonu. Czego właściwie tak się bał? Że Mike i Robert Gissing pójdą siedzieć? A może gniewu Majchra Callowaya? Że trafi na łamy gazet i na ławę oskarżonych? Opróżniania kibli razem z kumplami spod celi? Siedząc na podłodze salonu, oparty plecami o ścianę, podciągnął kolana i objął je rękami. Jego sekretarka na dziś już skończyła. Nie będzie więcej telefonów z pracy. Jeżeli przetrwa ten wieczór, może sprawy przybiorą lepszy obrót. Może jutro będzie lepiej. Może wszystko dobrze się skończy.

30.

Dochodziła jedenasta, gdy Majcher Calloway wrócił wreszcie do domu. Ostatecznie postanowił jednak pogadać ze swoją młodą ekipą. Rozmowa telefoniczna nic by nie dała – należało spotkać się osobiście. Dopiero patrząc komuś prosto w oczy, można się zorientować, czy cię okłamuje, czy nie. Majcher wyraźnie czuł, że Mike nie kłamie. To nie on podgrandził te bohomyzy. Pozostawało jeszcze wielu innych podejrzanych, ale wyglądało na to, że te cztery dzieciaki też nie łżą.

– Zrobiliśmy tylko to, co nam kazano, ani mniej, ani więcej – oświadczył Bellboy, przemawiając w imieniu całej grupy. Brakowało mu połowy zębów, ale był wygadany. Przynajmniej w porównaniu ze swoimi kumplami.

Majchrowi cały dzień zszedł na spotkaniach. Na Lothian Road był klub ze striptizem, któremu kończył się okres dzierżawy, i obecne kierownictwo planowało przenieść działalność gdzie indziej. Zwrócono się do Majchra z propozycją przejęcia

tego dochodowego interesu. Sęk w tym, że gangster czuł, że najlepsze dziewczyny zostaną przy swoich dawnych pracodawcach, a znalezienie nowych talentów nie było takie łatwe. Poza tym lokal wymagał remontu, który zgodnie z wyceną miał kosztować od siedemdziesięciu pięciu do stu kawałków „za naprawę znakomitą robotę, dzięki czemu będzie to klub dla klientów z górnej półki”. Kto by się na to nabrał? W oknach i na ulotkach zawsze pisano „dla VIP-ów”, chociaż klientela składała się z ostatnich kanalii albo z koleśki urządzających wieczory kawalerskie. Majcher roztropnie zapytał więc Johnno, kim są stali bramkarze, i zadzwonił do jednego z nich. W rezultacie dowiedział się, że lokal od trzech miesięcy zdycha powolną śmiercią.

– Nie warto na niego splunąć, panie Calloway.

I po interesie.

Majcher czekał na różne telefony – od Nienawiści, od Edvarda. Wciąż sprawdzał komórkę, czy nie ma jakichś wiadomości, ale na razie panowała cisza. Pod koniec dnia zwolnił Glenna i Johnno z obowiązków, podrzucił ich do jednego ze swoich pubów, ale nie przyjął zaproszenia na „Jednego szybkiego”. Wracając do domu, słuchał kawałka Dire Straits, po którym świat zawsze wydawał mu się lepszy. Zaparkował bmw na podjeździe – garaż należał się bentleyowi – i przez chwilę stał zapatrzony w pomarańczową zorzę na nocnym niebie. Swego czasu w sklepie na Królewskiej Mili sprawił sobie teleskop, ale nie na wiele mu się przydał. Wyjaśniono mu, że to wina latarni, które zakłócają naturalne światło. Wobec tego oddał teleskop sprzedawcy i zmusił go do zwrotu pełnej ceny zakupu. Potem

okazało się, że oddali mu dwadzieścia funciaków więcej, niż zapłacił, ale to akurat nie spędzało mu snu z powiek.

Niektórzy z jego ludzi zastanawiali się, dlaczego postanowił zamieszkać w nowo wybudowanym osiedlu, skoro w zasadzie stać go było na dowolny dom w Edynburgu. Ale te trzy-, czteropiętrowe gmaszyska na Nowym Mieście mu nie pasowały. Za bardzo wymyślne i sztywne. Nie chciał też hektarów ziemi, stajni i całego tego kramu, bo wiązałoby się to z opuszczeniem miasta. A on urodził się i wychował w Edynburgu. Niewielu mogło powiedzieć o sobie to samo – na ulicach wszędzie słychać było angielski akcent, nie mówiąc już o studentach, dzieśniatkach tysięcy studentów. Ale to było miasto Majchra, które chcąc, nie chcąc, kochał na zabój.

Dom – wolno stojący, okazały, postawiony na narożnej działce – był pogrążony w ciemności. Sąsiad ostrzegał go, że powinien zostawiać na górze zapalone światła, żeby odstraszać złodziei. Majcher nawet nie próbował mu tłumaczyć, że złodzieje nie są aż tak głupi. Czy ten gość myślał, że tacy czają się wokół chałupy i zachodzą w głowę, po kiego cała rodzina zebrała się na piętrze? Przypomniawszy to sobie teraz, roześmiał się w duchu. Z drugiej strony sąsiedzi byli w porządku – ani razu nie protestowali, jeśli zbyt głośno puszczał muzykę albo zapraszał paru chłopaków i panienki na imprezę. Ten dom był pomysłem jego żony, Liz... Ale nie upłynął nawet rok, odkąd w nim zamieszkali, gdy zaczął zżerać ją rak. Zawsze dobrze żyła z sąsiadami i większość z nich stawiała się na pogrzebie. Prawdopodobnie po raz pierwszy zdali sobie wtedy sprawę, że jej

mąż jest człowiekiem wpływowym. W olbrzymim kondukcie pogrzebowym przeważali potężnie zbudowani mężczyźni w ciemnych okularach, poruszający się zgodnie z wytycznymi Glenna i Johnno.

Nic więc dziwnego, że nie skarżyli się na hałasy.

Znów zachichotał pod nosem, podszedł do drzwi i włożył klucz w zamek. Dom miał jeszcze jedną zaletę – dziesięcioletnią gwarancję. W dodatku budowlańcy dorzucili system alarmowy gratis... Inna sprawa, że Majcher nigdy z niego nie korzystał. Zamykając za sobą drzwi, od razu poczuł się lepiej. Wrócił tam, gdzie mógł się rozluźnić, odprężyć, zapomnieć o zmartwieniach. Wypije dwie szklaneczki whisky i obejrzy jakąś szmirę w telewizji. Kolację dostarczą mu z pobliskiej hinduskiej restauracji. Albo z jego ulubionej pizzerii. A gdyby naszła go chęćka na rybę z frytkami... no cóż, facet, który je sprzedawał, też wskoczyłby na motorower, po prostu dlatego, że Majcher to Majcher. Tego wieczoru jednak miał ochotę tylko na whisky... szczerze mówiąc, może nawet na trzy albo cztery szklaneczki, żeby pozbyć się uporczywych myśli o Mackenzie, Ransomie i Nienawiści. Najbardziej nie ufał amatorom. Tacy jak Nienawiść i Edvard – a nawet Ransome – znali zasady gry. Ale Mackenzie i jego paczka to była inna para kaloszy, co oznaczało, że sprawy mogą przybrać kiepski, wręcz katastrofalny obrót. Rzecz jasna Majcher odegrał w tym wszystkim jedynie drugorzędną rolę. Gdyby gliniarze zaczęli wokół niego węszyć, to co? Znajdą coś? Miał gdzieś, czy Mackenzie, bankier i profesorek wylądują w pierdłu. A bo to jego

problem? Z drugiej strony nie da się ukryć, że byłby to dla niego cios, gdyby Westie poszedł siedzieć wraz z nimi...

Mając głowę nabitą takimi myślami, wszedł do salonu, zapalił światła i z zaskoczeniem zobaczył, że ktoś na niego czeka... aczkolwiek niezupełnie z własnej woli. Gościem okazał się pobity, posiniaczony mężczyzna, skrępowany i zakneblowany. Siedział na jednym z krzeseł, które ktoś wysunął na środek pokoju, tak żeby był to pierwszy widok, jaki Majcher zobaczy po wejściu do salonu. Wzrok mężczyzny wyrażał błaganie, mimo że patrzył tylko jednym, maleńkim jak szparka okiem, bo drugie miał tak spuchnięte, że nie mógł go otworzyć. Pod nosem i wokół ust widniały strupy krwi; krew spływała też z jego lewego ucha, płamiąc mu koszulę. Na resztkach włosów zasychał pot, a spodnie i koszulę miał w strzępach.

– To jest pan Allison – przedstawił go Nienawiść, wychodząc z kuchni. Jadł banana, którego wziął z miski z owocami.

– Wiem.

– Ależ oczywiście. To pan pobił go pierwszy, nie mylę się? Majcher wycelował w olbrzyna palec.

– Nikt sobie nie pozwala na coś takiego – powiedział cicho. – Nikt nie wchodzi do mojego domu, żeby urządzać tu bajzel...

– Czy my urządziliśmy tu bajzel? – odparł Nienawiść spokojnie. Rzucił skórkę od banana na podłogę i obcasem czarnego kowbojskiego buta wdeptał ją w dywan... dywan Liz.

– Nie wiesz, z kim zadzierasza – ostrzegł go Majcher,

oddychając ciężko i próbując wziąć się w garść. Nienawiść puścił jego słowa mimo uszu, skupiając uwagę na Jimmym Allisonie. Ten wzdrygnął się, gdy olbrzym wyciągnął do niego rękę, ale on zerwał mu tylko z ust srebrną taśmę.

– Zna pan zasady, panie Allison – przypomniał mu Nienawiść i odwrócił się do Majchra, trzymając dłoń na czubku głowy więźnia. – Z pewnością wiadomo panu, że pan Allison jest kustoszem Galerii Narodowej. Specjalizuje się w szkockim malarstwie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Jak mi powiedział, ma szczególną słabość do McTaggarta oraz Samuela Bougha. – Schylił się tak, że jego twarz zrównała się z twarzą kustosa. – Czy prawidłowo wymawiam ich nazwiska, panie Allison?

Przerażony kustosz zacisnął powieki i przytaknął ruchem głowy.

– Na ironię zakrawa fakt, że panu Allisonowi w krótkim czasie przydarzyły się dwa jakże podobne niefortunne wypadki – ciągnął Nienawiść, prostując się. – Niestety, takie są skutki wynikające z zagrożenia, jakim jest Internet. Jego nazwisko pojawiło się, kiedy szukałem w okolicy eksperta, który mógłby powiedzieć mi coś więcej o Samuelu Uttersonie. Nasza rozmowa... gdy wreszcie do niej doszło... była niezwykle pouczająca. Do tego stopnia, że postanowiłem zlecić panu Allisonowi ekspertyzę *Zmierzchu nad Rannoch Moor*.

Teraz to Majcher na chwilę zamknął oczy. Zdawał sobie sprawę, co to oznacza – że kustosz wie stanowczo za dużo. Nie ma mowy, żeby w tej sytuacji Nienawiść pozwolił ujść biednemu staruszkowi z życiem. Zaczął więc szukać w myślach

dogodnego miejsca na pochówek, a zarazem obserwował, jak olbrzym znów schyla się nad kustoszem, zdejmując dłoń z jego głowy i przesuwa nią w dół twarzy, tak że w końcu ujął go pod brodę.

– A teraz zechce pan podzielić się swoimi wnioskami z panem Callowayem – zwrócił się śpiwnie do więźnia. – Niech mu pan powie to samo, co mówił pan mnie.

Allison z wysiłkiem poruszył grdyką, jakby próbował nabrać trochę śliny do wysuszonych ust. A kiedy otworzył usta, na sekundę przed tym, zanim się odezwał, Majcher dobitnie uświadomił sobie, co ten przerażony człowiek zaraz powie...

31.

Mike'owi śnił się sztorm na morzu. Nie wiadomo dlaczego zwolnił załogę i samotnie wypłynął w długi rejs, po czym zorientował się, że nie potrafi sterować tym jachtem. Było tam za dużo przycisków, przełączników i dźwigni. Z map niewiele wynikało, chociaż zaznaczył miejsce docelowe – Sydney – wielkim krzyżykiem. Wkrótce znalazł się w samym sercu sztormu, a łódź nabierała wody. Rozbryzgi fal kłuły go w policzki i zdał sobie sprawę, że jest przemoczony do suchej nitki. Obudziwszy się, stwierdził, że istotnie ma mokrą twarz. Ktoś stał nad nim z pustą szklanką w ręku. Usiadł gwałtownie, jedną ręką ocierając oczy, a drugą sięgając do kontaktu. Zapalił nocną lampkę i zobaczył, że człowiekiem z pustą szklanką jest Majcher Calloway, za którym stało dwóch mężczyzn; jeden z nich wyraźnie był zdany na łaskę i niełaskę drugiego.

– Co jest, do ciężkiej cholery?! – warknął Mike, mrugając.
– Jak się tu dostaliście?

– Mój przyjaciel Nienawiść znakomicie radzi sobie z zamkami – wyjaśnił Majcher Calloway. – Niech ci się nie zdaje, że tylko tobie się to przytrafiło. Ubieraj się.

Zdezorientowany, z głową pełną pytań, Mike opuścił nogi na podłogę, ale nie wstał.

– Może zostawilibyście mnie na chwilę samego? – powiedział, ale Majcher wolno pokręcił głową, a następnie, ku zaskoczeniu Mike'a, padł na kolana i cmokając, sięgnął pod łóżko i wyciągnął cztery obrazy.

– Wciąż się niczego nie nauczyłeś? Niemal się spodziewałem, że znajdzie je za kanapą. Jezu, moglibyśmy się stąd wynieść razem z nimi, zanim byś się obudził. – Majcher wstał i rzucił Mike'owi spodnie. – Nie czas na skromność, Michaelu – rzucił ostrzegawczym tonem.

Mike westchnął, włożył dżinsy i sięgnął po T-shirt wiszący na oparciu krzesła.

– O co chodzi? – rzekł, wciągając koszulkę przez głowę.

– Wiesz, kto to jest? – spytał Majcher. Mike nie sądził, żeby miał na myśli Nienawiść, którego rozpoznał niemal natychmiast. Natomiast jeśli chodzi o mężczyznę, którego olbrzym podtrzymywał, żeby mógł zachować pion, mężczyznę o zmasakrowanej twarzy i w zakrwawionej koszuli, no cóż... w ogóle starał się na niego nie patrzeć. Z powrotem usiadł na łóżku i włożył buty.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł, biorąc zegarek z nocnego stolika.

– Ładny – odezwał się Nienawiść, mając na myśli zegarek. – Cartier... model Santos sto. – Nawet gangster spojrział na niego ze zdumieniem. – W domu mam taki sam – wyjaśnił

olbrzym i zwrócił się do Mike'a: – Poczytałem sobie o panu w Internecie, panie Mackenzie. Jest pan zamożny. I całe szczęście... dzięki temu może uda nam się znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Wszystko w swoim czasie, dobra? – upomniał go Majcher i powiedział do Mike'a: – Pytałem, czy znasz tego oto przyjaciela pana Nienawiści. Nazywa się Jimmy Allison... coś ci to mówi?

Mike zrobił wielkie oczy.

– Ten rzeczoznawca?

– A także ofiara dwukrotnego pobicia. Zgodzisz się ze mną, że to gruba niesprawiedliwość. – Zrobił efektowną pauzę. – Zwłaszcza że tobie od nikogo się nie dostało. A teraz zapierdalał do salonu. Czeka nas męska rozmowa. – Zebrał wszystkie cztery obrazy i pomaszerował do drzwi. Nienawiść odczekał, aż Mike ruszy za nim, po czym zamknął pochód, taszcząc Allisona. Mike unikał wzroku więźnia. Pomysł, żeby dać kustoszowi w łeb, wyszedł od Gissinga, ale przecież on się na to zgodził. Mało tego, przyznał nawet profesorowi, że to „genialne”. Teraz nie potrafił znaleźć usprawiedliwienia dla swojej ówczesnej radości... ich plan zupełnie nie liczył się z konsekwencjami. A swoją drogą, co właściwie Nienawiść ma do Allisona? Mike nie wątpił, że uzyska odpowiedź w salonie, chociaż obawiał się tego, co jeszcze może go tam spotkać.

Nienawiść rzucił kustosza na krzesło. Starszy pan miał ręce związane na plecach, a usta zaklejone taśmą. Mike miał ochotę nalać sobie szklaneczkę, obawiał się jednak, że zawiodą go

ręce. Poza tym zmaltretowany Allison mógłby to odebrać jako kolejną torturę.

– Co to jest? – zapytał Majcher. Odłożył obrazy na pod ręczny stolik i wskazywał na kanapę, na której stało jeszcze jedno płótno.

– To twój Utterson – odparł Mike. – *Zmierzch nad Ran-noch Moor.*

– Zgadza się. A co ja z nim zrobiłem?

– Dałeś go Nienawiści. – Mike nie miał pojęcia, do czego to wszystko zmierza.

– A co zrobił Nienawiść?

– Nie wiem.

– To się zastanów, kurzy mózdzku!

Tymczasem Nienawiść zwrócił uwagę na system kina do-mowego.

– Pioneer – zauważył. – Porządna marka.

– Jezu, przymkniesz ty się?! – wydarł się na niego Maj-cher.

Mike zastanawiał się, czy to dobrze, że dźwiękoszczelne mieszkanie nie pozwala sąsiadom piętro niżej słyszeć tego, co się dzieje na górze; może jednak wołałby, żeby zawiadomili policję, że z góry dobiegają niepokojące dźwięki.

– I co, doszedłeś do jakichś wniosków? – Znów zwrócił się do niego Majcher.

Mike przetarł oczy i zaczesał włosy do tyłu.

– Domyślam się, że Nienawiść postanowił oddać obraz do ekspertyzy... pomimo moich ostrzeżeń. Udał się więc do pana Allisona, który jest ekspertem od tego malarza, temu z kolei

jakimś cudem przydarzył się wypadek, wobec czego przyjechaliście po pomoc do mnie, zamiast zabrać go na pogotowie.

Mike wytrzymał spojrzenie Callowaya przez całe dwadzieścia sekund. Gangster warknął, porwał Uttersona z kanapy i podsunął mu go pod nos.

– Nie jestem znawcą w tym towarzystwie, więc może ty będziesz wiedział lepiej – rzucił opryskliwie. – Kiedy dokładnie to namalowano?

– Na początku dwudziestego wieku...

– Czyżby? Może i masz rację. Przyjrzyj się uważniej. A zwłaszcza powiedz mi, co widzisz w dolnym lewym rogu.

Mike nie wiedział, czego się spodziewać. Pewnie podpisu artysty. Zobaczył wrzos, długie źdźbła trawy i znów wrzosy.

– Dokładnie w samym rogu – odpowiedział Majcher. A kiedy już Mike to zobaczył, zamknął oczy. – No i? – ponaglił go gangster.

– Wygląda na to, że coś leży w trawie, niemal całkiem ukryte – wymamrotał.

– I coś ci to przypomina, Mike?

– Prezerwatywę... zużytą prezerwatywę.

– A mógłbyś nas oświecić, w jakim celu malarz cieszący się tak znakomitą opinią jak Samuel Utterson miałby dodawać akurat taki szczegół?

Mike otworzył oczy.

– Cały Westie – oświadczył. – To coś w rodzaju jego znaku firmowego. Kopiuje słynne obrazy, po czym dodaje jakiś dysonans, na przykład samolot czy telefon komórkowy...

– Albo prezerwatywę – dorzucił Majcher. Mike przytaknął ruchem głowy. – Widzisz, Mike, nie rozumiem tylko jednego, tylko to jedno nie mieści mi się w głowie... dlaczego mi to zrobiłeś? Naprawdę uważasz mnie za takiego tępaka, który nic nie zauważy?

– Prawdę powiedziawszy, nie zauważył pan – wtrącił Nienawiść.

– Teraz ja mówię! – Majcher znów wydarł się na niego.

– Nie mam pojęcia, jak do tego doszło – powiedział Mike.

– Słowo daję.

Gangster wybuchnął gromkim śmiechem.

– Mike, stać cię na coś lepszego!

– Zapewniam cię, że nie, bo taka jest prawda.

– No to chodźmy zapytać Westiego, zobaczymy, co będzie miał nam do powiedzenia w ostatnich minutach życia. Najpierw jednak musimy załatwić drobną kwestię mojego honorarium. Otóż, Michaelu Mackenzie, milionerze od komputerów, chcę od ciebie dostać sto siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów... gotówką do rączki. Dzięki temu Nienawiść wykona zadanie i będzie mógł wrócić do domu. Biorąc pod uwagę, ile zmartwień mi przysporzyliście, powinienem zażądać więcej, ale zaczniemy licytację od stu siedemdziesięciu...

– Sto osiemdziesiąt – wtrącił Nienawiść.

Majcher wskazał na niego.

– Pan z tyłu proponuje sto osiemdziesiąt. Czy ktoś da więcej? Co pan powie na dwieście tysięcy? – Przeszył Mike'a wzrokiem. – Po raz pierwszy...

– Zaraz, niech tylko sięgnę po portfel – wycedził Mike, za

co zarobił cios w brzuch. Kolana odmówiły mu posłuszeństwa. Nigdy nie poczuł czegoś takiego. Brutalna siła, szybkość i precyzja... Oceniał, że może wytrzymać jeszcze minutę, zanim zwymiotuje na własną podłogę. Przydałoby się oddychać głęboko...

Gangster przykucnął przed nim, chwycił go za włosy i poderwał jego głowę tak, że spojrzeli sobie w oczy.

– Uważasz, że jestem w nastroju do żartów? – syknął. W kąciку jego ust pojawiła się piana.

– Nie trzymam gotówki w domu – wysiekał Mike, oddychając z trudem. – Nigdy nie wiadomo, kto i kiedy się napotoczy. Ale nawet... zlecenie do banku... trochę potrwa... takiej gotówki nie wypłacają od ręki. – Wciągnął haust powietrza. – Poza tym jak tylko wspomnę o gotówce, zaczną bić na alarm.

– Pranie brudnych pieniędzy – przytaknął Nienawiść. – Bank będzie musiał zawiadomić władze.

– A tobie co? Nagleś się zrobił pieprzonym bankiem Szkocji?! – ryknął na niego Majcher.

– Słuchajcie – rzekł Mike, który zaczął dochodzić do siebie. – Te cztery obrazy są warte o wiele więcej niż to, czego się domagacie. Może weźmiecie sobie trzy, a zostawicie mi jeden... – Ruchem głowy wskazał Altisona. – Mamy na miejscu eksperta, który może poświadczyć ich autentyczność.

Majcher wlepił w niego wzrok.

– Nie brakuje ci zimnej krwi, Mike – przyznał. – Co ty na to? – rzucił przez ramię do Nienawiści. – Chcesz sam wybrać?

W odpowiedzi olbrzym podszedł do podręcznego stolika, uniósł pejąż plaży Cadella i przebił go pięścią na wylot. Następnie spokojnie wziął Monbodda – wspaniały portret Beatrice – i potraktował go w ten sam sposób.

– Rozumiemy się? – zapytał.

– Chyba tak – odparł Mike i znów jęknął. Gdy Majcher puścił jego włosy, zaczął wstawać ostrożnie, sprawdzając, czy kolana się pod nim nie ugną. Obraz... Nienawiść rzucił go z powrotem na stół. Czy da się go jeszcze odrestaurować? Trudno powiedzieć. A dwa szpetne płótna wybrane przez Allana leżały sobie spokojnie, niepokalane. – I co teraz? – zapytał retorycznie.

– Zaczekamy tu do rana – odparł Majcher. – Potem zajrzemy do banku, a na koniec złożymy przyjacielską wizytę naszemu fałszerzowi, który już nie żyje.

Mike podniósł portret Beatrice.

– Niemożliwe, żeby to były same falsyfikaty – mruknął pod nosem.

– Grunt, że mój jest fałszywy – oświadczył gangster. – To był gruby błąd.

– Ale nie mój.

Majcher skwitował to wzruszeniem ramion.

– Tak czy siak, to ty jesteś przy forsie.

– Której bank nie wypłaci od ręki!

– Słyszałeś o czymś takim jak przelew, Mike? Mam rachunki we wszelkich możliwych bankach, na rozmaite nazwiska. Przelejesz szmal na jeden z nich, ja raz-dwa zlikwiduję konto i Nienawiść dostanie to, co mu się należy.

Olbrzym wyraźnie nie był zachwycony takim scenariuszem. Mike domyślił się, że jak na jego gust, i tak już zbyt długo czekał na zwrot długu.

– Jak myślisz, dlaczego Westie to zrobił? – zapytał Majchra.

– Wkrótce się dowiemy. – Gangster wziął po jednym obrazie Allana do każdej ręki i przyglądał im się uważnie. Jego bezwartościowy Utterson leżał porzucony na podłodze, gdzie w każdej chwili ktoś mógł go nadepnąć. Podsunął Allisonowi jednego Coultona. – I jak, Jimmy... może te dla odmiany są prawdziwe? – Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do Mike'a. – Może je sobie wezmę, chyba że masz jakieś zastrzeżenia.

– Nie są moje, tylko Allana.

– Więc jakoś to z nim załatwisz.

Mike nie spuszczał wzroku z kustosza. Musiał jakoś odwrócić ich uwagę i nieszczęsny Allison był jego jedyną szansą.

– Bardzo mi przykro z tego powodu – powiedział cicho, chociaż nie był pewien, czy kustosz w ogóle jeszcze coś słyszy. – To znaczy, przykro mi z powodu tego, co pana czeka... – Starszy pan spojrzał na niego, na ile pozwalał mu stan oczu; najwyraźniej jego słuch nie ucierpiał. – Ja jestem im potrzebny, przynajmniej jeszcze przez dzień czy dwa – tłumaczył dalej Mike. – Rozumie pan, mam pieniądze, na których im zależy. Natomiast pan... w ich pojęciu pan już zrobił swoje.

Nienawidź wygląda mi na kogoś, kto woli mieć zapięte wszystko na ostatni guzik. Może pan przysięgać na głowę swoich wnucząt, że nie zawiadomi pan policji, ale on nie będzie ryzykował.

– Ani słowa więcej! – powiedział Skandynaw ostrzegawczo.

– Sądziłem, że powinien wiedzieć. – Mike odwrócił się do Majchra. – Ja naprawdę nie mam pojęcia, w co pogrywał Westie. Gissing sprawdził wszystkie osiem obrazów... – Urwał, bo nagle coś zaświtało mu w głowie.

– I co? – ponaglił go gangster.

– Nic.

– Mam napuścić na ciebie Nienawiść? Widziałeś, do czego jest zdolny.

Jakby dla podkreślenia jego słów, olbrzym zbliżył się o kilka kroków. Dzięki temu Jimmy Allison zyskał niepowtarzalną szansę. Zerwał się na równe nogi i puścił się biegiem. Walnął w najbliższe drzwi, które się otworzyły, ale kiedy próbował je za sobą zatrzasnąć, Nienawiść skoczył i wsunął nogę w szczelinę. Majcher zaniósł się śmiechem, bo uświadomił sobie, że kustosz wpadł do sypialni Mike'a, skąd nie było innej drogi ucieczki. Z kolei Mike dokładnie wiedział, co robi. Wyrznął barkiem wytrąconego z równowagi gangstera i też puścił się biegiem – korytarzem do drzwi wyjściowych. Otworzył je i popędził po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. Wybiegł z budynku i z ulgą zobaczył, że Majcher nie zabrał ze sobą ochroniarzy. Bmw było jednak zamknięte, wobec tego popędził dalej, do muru. Wdrapał się na niego i zeskoczył do ogrodu sąsiada. W świetle księżycy pokonał trawnik i przelazł do następnego ogrodu. Dwa siedzące na parapecie koty błysnęły na niego ślepiami, ale na szczęście nie było psów – a więc obyło się bez szczekania. Jeszcze jeden mur i wrócił na ulicę.

A raczej na przesmyk, którym miejscowi chodzili na skróty, ale który był zbyt wąski, by dało się tam wjechać samochodem. Wszedł w alejkę i ruszył dalej. Poklepał się po kieszeniach spodni, sprawdzając, czy na pewno ma przy sobie portfel. Miał, a więc dysponował kartami kredytowymi i gotówką, ale nie miał telefonu komórkowego. Ani kluczy do mieszkania; inna sprawa, że nie był pewien, czy w ogóle odważy się wrócić. Wolał nie myśleć o spustoszeniach, jakich dokonają tam Majcher i Nienawiść, ani o tym, jak wyładują się na nieszczęsnym kustoszu...

Miał ograniczone możliwości działania. Mógł się gdzieś schować i przeczekać do rana, zakładając, że nie zamarznie na śmierć, albo wyjść na główną ulicę i złapać taksówkę. Po dziesięciu minutach, może po kwadransie, przycupnął za żywopłotem, żeby odsapnąć. W tej okolicy domy były wiktoriańskie, głównie dwu- i trzypiętrowe bliźniaki. Niektóre przerobiono na małe hotele. Przez chwilę rozważał szalony pomysł, żeby mimo nocnej pory wynająć pokój. Ale był stanowczo za blisko swojego mieszkania.

– Taki już mój los – mruknął pod nosem, gdy odzyskał nieco siły. Ocena szkód: obtarte dłonie, podrapane piszczele i kolana. W piersi czuł kłujący ból, płuca paliły go żywym ogniem. Wiedział, że powinien iść prosto do mieszkania Westiego i ostrzec chłopaka przed tym, co go czeka. A jeżeli Majcher zna adres studenta? Wtedy też pójdzie tam w pierwszej kolejności. – Zawsze jeszcze możesz pójść na policję – wyszeptał. Czy w ten sposób mógłby uratować życie Allisonowi? Ale, co miałby im powiedzieć? I po co, skoro Calloway, Nienawiść i Allison -

na pewno zniknęli już z jego mieszkania. Zamknął piekące oczy, próbując uporządkować myśli.

Powiedzmy, że Majcher wiedział, gdzie szukać Westiego. Jeśli tak, to najlepszym wyjściem dla Mike'a było pójść do Allana. Mogliby stamtąd zadzwonić do chłopaka i sprawdzić, czy odbiera telefon. Ale możliwe, że szwendał się po ulicach, szukając Alice... A w ogóle to dlaczego miałby się nim przejmować? Przecież to przez tego durnego sukinsyna wszystko szlag trafił!

– Z niewielką pomocą przyjaciół – przyznał Mike niechętnie.

Tkwiąc w swojej kryjówce, usłyszał charakterystyczny warkot diesla nadjeżdżającej taksówki. Zapiszczały hamulce, gdy samochód zatrzymał się przed jednym z hoteli. Z taksówki wysiadła para w średnim wieku; rozmawiali głośno i bełkotliwie. Mike wyjrzał zza żywoplotu i uznał, że nadarza się okazja. Nonszalancko wyszedł z ukrycia, wymachując ręką. Taksiarz zdążył już zapalić światelko na dachu, lecz zgasił je na jego widok. Mike usiadł z tyłu i omal nie udusił się zapachem przestodzonych perfum poprzedniej pasażerki. Zamknął drzwi i opuścił szybę, złakniony świeżego powietrza.

– Gayfield Square – polecił kierowcy.

– Masz pan szczęście, żeś mnie pan złapał – powiedział taksiarz. – Już miałem zjeżdżać do domu. – Nie bardzo mógł dojrzeć pasażera w lusterku wstecznym, bo Mike osunął się na siedzeniu jak najniżej. – Zdaje się, żeś pan się sponiewierał, co? – gadał dalej. – No i dobrze, czasami człowiek musi się

trochę wyładować, no nie? Inaczej cały ten kraj by wyleciał w powietrze.

– Co prawda, to prawda. – Mike wyglądał przez okno, wypatrując jadącego wolno bmw albo dwóch zwałistych facetów. Ale ulice były puste.

– To miasto jest zupełnie wymarłe – ciągnął taksiarz. – W Edynburgu przeszkadza mi tylko jedna rzecz: tu nigdy nic się nie dzieje. Przyznasz pan?

32.

W miarę jak Mike opowiadał swoją historię, wyraz przerażenia na twarzy Allana pogłębiał się. Ulżyło mu dopiero wtedy, gdy Mike zaczął go przeproszać, że oba Coultony wpadły w łapy Majchra.

– A niech je sobie weźmie – rzekł Allan; sądząc z tonu, mówił jak najbardziej poważnie. – No to skoro pozbyliśmy się już nieuczciwie zdobytego łupu, spokojnie możemy wystawić Callowaya Ransome'owi.

– I zostawić profesora na lodzie? Poza tym Majcher bez wahania opowiedziałby im wszystko i w rezultacie i tak wylądowalibyśmy za kratkami. No i trzeba pamiętać o Westiem...

Próbowali dodzwonić się do studenta na komórkę, ale zgłosiła się tylko poczta głosowa. Po sygnale Mike nagrał mu ostrzeżenie, które Allan uzupełnił rykiem:

– I to wszystko przez ciebie, skończony kretynie!
Mike się rozłączył.

– Mam nadzieję, że gdzieś się szlaja, a nie leży naćpany albo zalany w trupa.

– Gdyby miał za grosz rozumu, wyjechałby z kraju.

– Kto wie, może już to zrobił – mruknął Mike w zadumie.

– Jeśli o mnie chodzi, mogą się zachlać na śmierć, on i ta jego pazerna panienska. – Allan zaczął spacerować po pokoju, rozluźniając krawat i rozpinając koszulę pod szyją.

– Dlaczego jesteś ubrany? – zapytał nagle Mike. – Jest środek nocy.

Allan spojrzał na siebie.

– Jeszcze się nie kładłem.

– I chodzisz w domu pod krawatem?

– Nieważne... Mike, co my teraz zrobimy? W tej chwili tylko to się liczy. Wiedziałem, że tak to się skończy! Wiedziałem, że wszystko się posypie!

– Allan, ty przede wszystkim musisz się uspokoić. – Mike miał ochotę dodać, że to do jego domu włamali się bandyci. To jemu grożono, jego napadnięto, to on musiał ratować się ucieczką i z duszą na ramieniu skakać przez płoty do cudzych ogrodów. To jego znali zarówno Majcher, jak Nienawiść... i to jego obwiniali za wszystko.

Patrząc na przyjaciela, uznał jednak, że nic by to nie dało. Allan mamrotał, że „cały ten plan zdał się psu na budę”. Mike powtórzył więc ostatnią radę, patrząc, jak Allan przytakuje z roztargnieniem, zdejmując okulary i przeciera je rąbkiem chusteczki. Dolał sobie kawy – nie proponując jej przyjacielowi – i na chwilę złożył głowę na oparciu fotela. Na kilka sekund

zamknął nawet oczy, ale otworzył je zaraz, bo w myślach ujrzał rozjuszoną twarz Majchra Callowaya. Przyjdzie mi za to wszystko drogo zapłacić, to nie ulega wątpliwości, pomyślał. Allan wlepił w niego wzrok.

– Co ten Westie sobie wyobrażał? – pytał. – Nie mógł się oprzeć, żeby nie zostawić swojego cholernego podpisu? A może chciał nas zrobić, bo uważa nas za „establishment”? I jak to się stało, że tam, w magazynie, nie zamienił fałszywki na oryginał? Myślisz, że po prostu dał ciała?

– Utterson był w twoim skarbcu, Allan – przypomniał mu Mike cicho.

– Co proszę?

– Utterson Majchra to jeden z obrazów, które ty wyniosłeś z magazynu.

– Wobec tego nic nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że w furgonetce zostawiliśmy oryginał? A co to za historia z tymi innymi obrazami, które podobno wybrały się na wagary? W końcu ile ich zabraliśmy?

– Musimy pogadać z Gissingiem – oświadczył Mike. – Majcher i Nienawiść najpierw rozmówią się z Westiem, a potem dobiorą się do niego.

– A na koniec do nas?

– Nie martw się, Allan... jestem pewien, że akurat ty jesteś na samym dole jego listy.

Odpowiedział mu błady uśmiech.

– Nie chciałem ci robić przykrości, ale zapewniam cię, że nie jestem na samym dole. – Wywołało to śmiech Mike'a, co

z kolei spłoszyło Allana. Mike wyprostował się i uszczypnął w nos. Allan oddychał ciężko i ocierał oczy. – Jakim cudem się w to wpakowaliśmy, Mike? – zapytał. Ten wolno pokręcił głową.

– Nieważne... skupmy się raczej na tym, jak się z tego wywinąć.

– Zawsze mamy to... – Allan wyjął coś z górnej kieszonki koszuli i podał przyjacielowi. Mike spojrzął na drobny druk. Była to wizytówka detektywa inspektora Ransome'a, pozaginana i poplamiona, wraz z dopisanym ręcznie numerem telefonu komórkowego.

– Ostatnia deska ratunku – powiedział, chowając wizytówkę do portfela. – Przede wszystkim chodźmy zobaczyć się z Gissingiem.

– A jeśli tam na nas czekają? – Nerwy Allana znów dały znać o sobie.

Mike zastanawiał się przez chwilę.

– Mam plan – oświadczył w końcu przyjacielowi. – Ale musimy wziąć twój samochód. Po drodze wyjaśnię ci dlaczego...

• • •

Taksówkarz miał rację – Edynburg był niemal wymarły. Był to nieustający tutejszy problem – brak ożywionego życia nocnego, tak charakterystycznego dla większych miast, jak Glasgow czy Newcastle. Niewielki ruch na ulicach łatwo pozwalał dostrzec samochód Allana. Na ich korzyść przemawiało jednak to, że Mike znał bmw Majchra, a ten nie miał pojęcia,

jakiej marki samochodem porusza się Allan. Poza tym Majcher spotkał Allana tylko przelotnie, a Nienawiść w ogóle go nie znał. Dlatego Mike leżał na tylnym siedzeniu i kazał Allanowi wypatrywać beemek. Za każdym razem, gdy musieli się zatrzymać na skrzyżowaniu czy czerwonych światłach, Allan zaciskał dłonie na kierownicy. A kiedy inne auto stawało za nim czy obok, cały sztywniał i gapił się tępo przez przednią szybę. Mike wiedział, jak to wygląda – pijany kierowca, który boi się, że każą mu dmuchać w alkomat. Miał tylko nadzieję, że Majcher i Nienawiść też doszliby do tego samego wniosku.

Po ulicach kręciły się nieliczne taksówki z zapalonymi światłami na dachu na znak, że są wolne, i szukały nieistniejących klientów. Mike pomyślał, że można by nadrobić drogi i przejechać obok kamienicy Westiego, żeby sprawdzić teren, wątpił jednak, czy Allan by się zgodził, a zresztą chyba nie warto było ryzykować. Jechali do Gissinga, który mieszkał pod miastem, w wielkim, wolno stojącym domu w Juniper Green. Mike i Allan byli tam na kilku przyjęciach, a profesor przedstawił ich krytykom, wykładowcom z akademii i kilku uznanym artystom; jeden z nich w trakcie kolacji cały czas bazgrał coś na papierowej serwetce, którą Allan ukradkiem schował do kieszeni, kiedy zaczęto sprzątać ze stołu. Teraz, gdy zostawili za sobą centrum miasta, Mike przypomniał mu tę sytuację, mając nadzieję, że oderwie to myśli przyjaciela od innych rzeczy.

– Zawsze chciałem ją oprawić – odparł Allan, kiwając głową. – Żałuję tylko, że nie poprosiłem go o podpis na tym draństwie...

Przejechali jeszcze z półtora kilometra, zanim Mike oznajmił, że są już blisko.

– Zatrzymaj przy krawężniku – zaproponował. Do domu Gissinga mieli jeszcze kilkaset metrów. Niski kamienny mur odgradzał go od głównej arterii dojazdowej do miasta. Niedługo szczyt muru wieńczyły żelazne sztaby, ale podczas drugiej wojny światowej usunięto je i trafiły do fabryk zbrojeniowych. Gissing opowiedział im tę historię przy portu i koniaku.

– To wierutna bzdura, ma się rozumieć – oznajmił ze śmiechem. – Zgromadzili tony żelastwa, które w końcu zatopili w Firth of Forth. Bo nie nadawało się do niczego, za to cywile mieli poczucie, że spełnili patriotyczny obowiązek.

Mike przypomniał tę sytuację Allanowi, który zgasił silnik i reflektory, po czym kiwnął głową i podał przyjacielowi swoją komórkę. Ustalili, że skorzystają z budki telefonicznej, jeśli jest w pobliżu, ale nigdzie jej nie dostrzegli. Mike wybrał numer i odetchnął głęboko, czekając, aż ktoś odbierze.

– Ktoś się włamuje do mojego sąsiada! – krzyknął. – Słyszałem brzęk rozbijanego szkła. Staruszek mieszka sam, więc martwię się o niego... zajrzę tam, ale przyślijcie szybko radiowóz! – Podał adres Gissinga i rozłączył się. – A teraz czekamy – powiedział, zwracając telefon.

– Teraz mają twój głos na taśmie – zauważył Allan.

– To akurat najmniejsze z moich zmartwień.

– Nie da się ukryć – przyznał Allan. – Wiesz, że mają też nagranie z Westiem... Ransome mi je puścił. Twierdził, że po odgłosie silnika potrafią określić markę samochodu.

– Ransome pieprzy głupoty – odparł Mike, mając nadzieję,

że w jego głosie nie słyhać trapiącej go niepewności. Po tym, jak sam rozmawiał z detektywem, Ransome bez trudu rozpozna jego głos na nagraniu. Niestety, głos Allana też już znał. Nieważne. Na dłuższą metę nie miało to znaczenia...

Policja okręgu Lothian i Borders miała spokojną noc, skoro wóz patrolowy zjawił się w niecałe pięć minut; światła koguta odbijały się od okolicznych budynków i drzew. Zgasły, kiedy radiowóz zaparkował. Policjanci nie jechali na sygnale; albo nie chcieli spłoszyć przestępców, albo ze względu na śpiących sąsiadów. Edynburg to przyjazne miasto. Z radiowozu wysiadło dwóch mundurowych. Żaden nie fatygował się z wkładaniem czapki. Byli w czarnych kamizelkach kuloodpornych narzuconych na białe koszule z krótkimi rękawami. Jeden miał w ręku latarkę, którą oświetlił dom profesora. Otworzyli furtkę od ogrodu i podeszli ścieżką do frontowych drzwi. Mike czekał. Na ulicy parkowało kilka innych samochodów i chciał się przekonać, czy któryś z nich nagle nie odjedzie.

– Nic się nie dzieje – oświadczył Allan. Dwaj policjanci zniknęli na tyłach domu.

– W porządku, ruszaj, tylko powolutku...

Allan uruchomił silnik, włączył reflektory i objechał dom dookoła. Mike obserwował okolicę z tylnego siedzenia. Światło latarki rzucało olbrzymie cienie na sąsiedni dom i garaż, z którego Gissing nie korzystał od czasu, gdy wyrósł ze swojego sportowego samochodu.

– Podjedź jeszcze kawałek i zawróć – polecił Mike.

– Tak jest, *bwana*. – Allan wrzucił kierunkowskaz, skręcił

w boczną uliczkę, zawrócił na trzy i ruszył z powrotem tą samą trasą, którą tu przyjechali. Policjanci wrócili przed dom i próbowali dzwonić do drzwi i zaglądać przez szczelinę skrzynki na listy. Mike usłyszał trzaski krótkofalówki. – Nie ma go w domu – rzekł Allan.

– Albo tylko udaje, że go nie ma – dodał Mike. Chociaż sam w to nie wierzył. Znów zaparkowali, tym razem po drugiej stronie ulicy, tyłem do domu Gissinga. Po dwóch minutach radiowóz odjechał, a kilka sekund później rozległ się dzwonek komórki Allana.

– Pewnie dzwonią z centralni policyjnej – domyślił się. – Ciekawi ich, dlaczego robimy sobie takie żarty.

– Więc tym bardziej nie powinieneś odbierać.

– Ani mi się śni. Zawsze mogę zgłosić kradzież komórki...

– Jak chcesz, ale wątpię, żeby Ransome dał się wyprowadzić w pole.

– Fakt.

W końcu telefon przestał dzwonić. Na wszelki wypadek siedzieli w samochodzie jeszcze pięć minut, po czym Mike poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Podjechać pod dom? – zapytał Allan.

– Przejdźmy się. Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

Wysiedli i mając się na baczności, cichutko ruszyli w stronę domu. Światła w sąsiednich posesjach były pogaszone. Żadnym z aut na ulicy nie było bmw.

– Może Calloway już go porwał – syknął Allan.

– Może – przytaknął Mike bez przekonania.

– Gliniarze mogą tu wrócić w każdej chwili.

– Owszem.

Mike pchnął drewnianą furtkę i ruszył ścieżką przez ogród pod wielkie okno wykuszowe salonu. Przycisnął twarz do szyby, ale żaluzje były zaciągnięte od środka. Po lewej stronie drzwi frontowych ujrzał drugie okno – od jadalni Gissinga, tej samej, w której Allan zwędził serwetkę z rysunkami malarza – ale i tutaj żaluzje były opuszczone.

– Odciski palców – szepnął Allan ostrzegawczo.

Mike uświadomił sobie, że przyciska dłonie do szyby.

Wzruszył ramionami i ścieżką obok garażu przeszedł na tyły domu.

– Nic nie rozumiem. – Allan deptał mu po piętach. – Wygląda na to, że dom jest opuszczony... myślisz, że znalazł sobie jakąś kryjówkę? Jeżeli nie pojawi się na wystawie prac dyplomatycznych, ludzie nabiorą podejrzeń...

W ogrodzie na tyłach domu panowała cisza. Nagle zza chmur wyszedł księżyc, całkiem nieźle oświetlając cały teren. Oranżeria, w której po kolacji popijali wtedy porto i kawę, siedząc na skrzypiących meblach z wikliny, teraz była pusta. Całe wyposażenie zniknęło, nie pozostało tam nic. W oknie kuchennym nie było żaluzji, dzięki czemu Mike mógł zajrzeć do środka. Ale i kuchnia też została ogołocona.

– On dał nogę! – jęknął Allan.

– To jedyne możliwe wyjaśnienie – zgodził się z nim Mike. Cofnął się o kilka kroków i wszedł na trawnik. Jego buty zapadały się w nieskoszoną trawę. Nagle trącił obcasem coś

twardego... tekturową tablicę przymocowaną do drewnianego pałą. Podniósł ją tak, by Allan mógł przeczytać słowa NA SPRZEDAŻ, na których naklejono kartkę z jednym, jedynym słowem:

SPRZEDANE.

– Pewnie moczy już tyłek w jakiejś cholernej Limpopo – mruknął Mike, rzucając tablicę na ziemię.

33.

Świtało już, gdy Allan wysadził Mike'a przed jego mieszkaniem.

– Jesteś tego absolutnie pewny? – zapytał zza kierownicy.

Mike skinął głową.

– Idź na policję, Allan, albo nie... twój wybór.

– Może jednak pójdę z tobą? – Allan zadarł głowę, spoglądając na ostatnie piętro. – Kto wie, może oni jeszcze tam są?

Mike pokręcił głową.

– Nie, ale wielkie dzięki. – Miał nadzieję, że z jego głosu przebija pewność siebie. Ale psychicznie był wykończony. – Tylko pamiętaj... bez względu na to, jakie wyjście wybierzesz, nie wracaj do domu, dopóki ta sprawa nie skończy się w ten czy inny sposób.

– A dlaczego ty wracasz do siebie?

– Bo to ja znam odpowiedzi.

Mike wyciągnął rękę i uścisnął dłoń przyjaciela. Przy okazji wcisnął mu wizytówkę z numerem Ransome'a. Zatrzasnął za sobą drzwiczki, dwa razy stuknął w dach samochodu i patrzył, jak Allan odjeżdża. Bmw Majchra Callowaya zniknęło. Oczywiście nie wynikało z tego, że nie zostawił na górze swoich zbirów, a jednak Mike wszedł do budynku i zamiast pójść po schodach, wsiadł do windy. Minęło zaledwie kilka godzin, odkąd ratując życie, zbiegał tymi schodami, z duszą na ramieniu, zostawiwszy u siebie trzech mężczyzn. Miał tylko nadzieję, że nie zostanie stygnących zwłok Jimmy'ego Allisona...

Kiedy drzwi windy otworzyły się na ostatnim piętrze, zawałał się. Drzwi jego mieszkania były otwarte na oścież, tak jak je zostawił. Wsiadł z windy do przedpokoju i przekonał się, że tamci wzięli na nim odwet. Obrazy, które wisały przedtem na ścianach, były już nie do uratowania – leżały na podłodze, podeptane i poszarpane, jak gdyby rzuciło się na nie z pazurami jakiegoś dzikie zwierzę. Mike wyobrażał sobie, jak szalejący z gniewu gangster, z wyszczerzonymi zębami, drze je na strzępy i skacze po nich, żeby poprawić sobie humor.

– Ciekawe, jak wyjaśnię to ubezpieczycielom – powiedział na głos.

Gdy wchodził do salonu, szkło chrzęściło pod jego stopami. Nikt na niego nie czekał, nie było też zwłok. Wreszcie zaczął oddychać. Czerwone strużki na fotelu, na którym siedział Allison, oraz kałuża wsiąkającej w dywan krwi świadczyły o tym, że kustosz został ukarany za próbę ucieczki. Mike zadumał się

nad dalszym losem nieszczęśnika, ale tylko przez chwilę. Wiedział, że musi myśleć o tym, co go czeka, i w jakim stopniu może wpłynąć na bieg wydarzeń. Jednak zmęczenie wzięło górę i padł na kanapę. Obok kominka zobaczył rozlaną wodę, a w powietrzu unosił się lekki zapach moczu. Pewnie znów Calloway, a może Nienawiść. Rozbity telewizor to pewnie też robota olbrzyma. Oba Coultony Allana zniknęły. Podniósł szczątki portretu pędzla Monbodda. Beatrice uśmiechała się do niego, a raczej to, co zostało z jej twarzy. Kiedy spróbował wsadzić strzępy obrazu w ramy, z płótna odpadły kawałki farby. Kobieta na obrazie wyglądała jak ofiara wypadku drogowego, poprzecinana bliznami twarz przypominała fragmenty układanki.

– Wybacz – mruknął, kładąc portret obok siebie.

Pomijając rozbity telewizor i zdewastowane obrazy, nie zauważył innych zniszczeń. Wstał, przeszedł do kuchni i nalał sobie wody z kranu. Rozwalanie telewizora z pewnością nie obyło się bez hałasu, co musiało uświadomić obu bandziorem, że mogli obudzić sąsiadów. Mike przeszedł z pełną szklanką do pokoju komputerowego, popijając po drodze. Podłoga była usłana różnymi gratami, ale wystarczy posprzątać, i już. Klawiatura ociekała whisky – resztkami z butelki, którą zostawił na szafce na dokumenty. No i dobrze, będzie musiał wymienić i jedną, i drugą. Szafka, w której trzymał wyciągi bankowe i papiery dotyczące swoich inwestycji, nie została otwarta. W koszu na śmieci leżał wprawdzie nóż kuchenny, co świadczyło, że ktoś próbował manipulować przy zamku. Ale klucz leżał w szufladzie nocnego stolika, a zatem nie

próbowali go szukać. Szuflady biurka były wyciągnięte, a ich zawartość albo została wyrócona do góry nogami, albo walała się na podłodze. Wszystkie da się uporządkować.

Inspekcja mieszkania sprawiła, że odzyskał nieco siły. Pomyślał, że gdyby sam postanowił splądrować czyjeś mieszkanie, zabrałby się do tego o wiele staranniej, bardziej profesjonalnie. To był tylko przejaw małostkowego, mściwego wandalizmu. Calloway zapomniał o pierwszej zasadzie w interesach, we wszelkich interesach.

Nigdy nie angażuj się osobiście.

W sypialni znalazł zapasową paczkę papierosów. Wyszedł na balkon i pałac, spoglądał na miasto. Świergotały ptaki; здавало mu się nawet, że z oddali słyszy odgłosy budzących się zwierząt w zoo na Corstorphine Hill. Dopalił papierosa do samego końca, wrócił do środka, przeszedł do kuchni i wyjął z szafki śmietniczkę i zmiotkę. Sprzątaczką przychodziła w piątki, uznał jednak, że to wykracza poza zakres jej obowiązków. Zmiotł odłamki ekranu telewizora, lecz zmęczenie znów dało znać o sobie, dlatego położył się na kanapie. Zamknął oczy i wrócił myślami do tego, od czego wszystko się zaczęło – do rzuconych mimochodem słów Gissinga: „Repatriacja przynajmniej części tych uwięzionych dzieł sztuki... Bylibyśmy bojownikami o wolność...”. Do tego, jak zaczął rozważać taką możliwość i jak potem znów wpadł na Majchra Callowaya w Galerii Narodowej. Jak gangster próbował dowiedzieć się czegoś na temat sztuki, a przynajmniej czy da się z niej wyciągnąć jakieś zyski. Jak później oświadczył Gissingowi, że powinni to zrobić. Jako cel chciał obrać którąś z instytucji – centralę

banku albo firmę ubezpieczeniową – ale profesor miał inne plany...

– Teraz wszystko jasne – powiedział na głos, unosząc szklankę w niechętym toaście na cześć intrygi Gissinga.

Z nich trzech tylko Mike'a stać byłoby na kupno obrazów, które zamierzali ukraść. Dlaczego więc na to przystał? Mało tego, nie dość, że się na to zgodził, to czasami sprawiał wrażenie pomysłodawcy tego przedsięwzięcia. Dlaczego?

– Bo grałeś na moich uczuciach jak na jakimś pieprzonym stradivariusie, profesorze – powiedział do pustych ścian.

Gissing z ochotą pozostał na drugim planie, dzięki temu nie ściągał na siebie podejrzeń. Przed rokiem planował dokładnie taki sam skok, tyle że nie miał skąd wziąć współników. Aż tu nagle na jego orbicie pojawili się Allan i Mike, więc zbadał ich słabości... ocenił potencjał.

I doszedł do wniosku, że nadają się idealnie.

A wszystko przez to, że Mike się nudził. I że czegoś pragnął, rzecz jasna... portretu Beatrice, jedynej rzeczy, której nigdy nie mógłby kupić, choćby był nieskończenie bogaty. Do tego doszedł Calloway, który pozwolił mu zasmakować życia w całkiem innym świecie. Za młodu, w szkole, Mike marzył, żeby Calloway przyjął go do swojego gangu, w którym hierarchia zależała od siły i bezwzględności, a nie od rozumu i sprytu. Na pierwszym roku studiów wykoleił się. Wszczynał burdy w barze zrzeszenia studentów. Na imprezach zachowywał się nieprzewidywalnie. Wygrał najwyżej połowę potyczek, aż w końcu się opamiętał, dostosował się do reszty, dopasował...

– Jekyll i Hyde – mruknął pod nosem.

Jedno tylko nie dawało mu spokoju. Czy Calloway i Gissing byli wzmiankowi? Podejrzywał, że nie, a zatem natknął się na gangstera w galerii przypadkowo... był to pewnie jedyny niezaplanowany element całego planu. Sam zaproponował wciągnięcie Callowaya do gry, czyli to on odpowiadał za obecny bajzel. Nie wątpił, że Gissing widzi to właśnie w ten sposób...

Leżał z głową opartą na poręczy kanapy i z zamkniętymi oczami. W trakcie powolnej przejażdżki z Allanem po Edynburgu wyjaśnił mu co nieco, dodając swoje przypuszczenia i domysły. Kilkakrotnie Allan musiał zatrzymać samochód, żeby poukładać sobie wszystko w głowie. Dopytywał się o szczegóły i – przynajmniej początkowo – nie przyjmował do wiadomości tego, co mówi Mike; w końcu jednak zaczął tłuc dłońmi w kierownicę.

– Allan, jesteś rozsądnym facetem – przekonywał go Mike.
– Sam wiesz, że tylko taka wersja wydarzeń trzyma się kupy.

Potem przypomniał mu, że to Edynburg wydał na świat sir Arthura Conan Doyle'a, którego bohater, Sherlock Holmes, słusznie zauważył, że prawdą jest to, co pozostanie, kiedy odrzucisz wszystko, co niemożliwe.

Nie był pewien, czy Allan pójdzie na policję. Może on też wróci do domu i weźmie na przeczekanie. Natomiast jeśli chodzi o Mike'a... jego los był już przypieczętowany; przeznaczenie zapowiedziało się skrzypnięciem deski w podłodze w korytarzu.

Po chwili usłyszał jednak, że ktoś woła go po imieniu, z troską w głosie i z pytajnikiem na końcu.

– Laura? – krzyknął, wstając z kanapy. Uświadomił sobie, że nie zapalił świec, ale żaluzje nie były zaciągnięte, więc rozpoznał ją bez problemu, gdy stanęła w progu pokoju. – Zmieniam wystrój – wyjaśnił, widząc, że opadły jej nie tylko ręce, ale i szczęka.

– Co się stało?

– Drobną sprzeczką.

– Z kim? Z Godzillą? Zdobył się na blady uśmiech.

– Co ty tu robisz?

Weszła w głąb pokoju, lawirując między odłamkami szkła.

– Dzwoniłam do ciebie., pod numer domowy i na komórkę. A że nie odbierałeś, przestraszyłam się. Mike, w coś ty się wpakował? – Ale odpowiedź była zbyt cicha. Laura podniosła portret Beatrice. – Wiedziałam. – Westchnęła. – Wiedziałam, że ten napad to twoja sprawa. Jak to zrobiłeś?

– Podmieniłem oryginały na kopie. – W takim ujęciu wydawało się to takie proste i uczciwe.

– Których ekspertyzą zajął się Gissing? – Pokiwała głową. – A więc on też brał w tym udział? A co z brakującymi obrazami?

Wzruszył ramionami.

– Niestety, nie mam z tym nic wspólnego. Widzisz, przez cały czas zdawało mi się, że jestem członkiem zespołu, a tymczasem byłem wystawiony na odstrzał jako kozioł ofiarny. – Parsknął śmiechem na myśl, że rozpierała go taka pycha. – Napijesz się czegoś? – Uniósł pustą szklanekę po wodzie.

- Nie.
- Pozwolisz, że sobie doleję...? – Znów ruszył do kuchni; Laura poszła za nim. – Prawdę mówiąc, nie byłem jedynym kozłem ofiarnym – mówił dalej. – Popełniłem błąd i wciągnąłem w to kogoś z zewnątrz.
- Callowaya? – domyśliła się.
- I postanowiono, że to on idealnie nadaje się na odstrzał. Wiesz, to filister, i właśnie o to w tym wszystkim chodziło... my kontra oni.
- A więc Ransome od początku miał rację... byłeś współnikiem tego bandyty?
- Tak samo jak Allan i pewien student malarstwa z akademii, ma na imię Westie.
- I profesor Gissing – uzupełniła.
Zanim odpowiedział, wychylił szklankę wody.
- On był na samym szczycie, owszem – przyznał cicho. – Profesor Robert Gissing. I zwiął z wszystkimi brakującymi obrazami.
- Nigdy go nie lubiłam. I nie mogłam zrozumieć, co ty w nim widzisz.
- Jaka szkoda, że mnie przed nim nie ostrzegłaś.
Wciąż trzymała obraz Monbodda.
- I wszystko z powodu tego portretu?
- Owszem, wszystko przez ten portret – przyznał.
- Dlaczego jest dla ciebie taki ważny, Mike?
- Myślę, że znasz odpowiedź.
- Chcesz powiedzieć, że ona jest podobna do mnie? – Laura spojrzała na strzępy portretu. – Zdajesz sobie sprawę, że

jest w tym coś odrażającego? Nie lepiej było zaprosić mnie na randkę?

– Byliśmy raz na randce, Lauro... nie wyszło najlepiej...

– Zbyt łatwo się poddajesz. – Wciąż wpatrywała się w obraz. – Kto go zniszczył?

– Nienawiść.

– Słucham?

Uświadomił sobie, że ona nic nie wie o olbrzymie.

– Taki jeden, któremu Calloway był winny pieniądze... To długa historia.

Przez dobrą minutę żadne z nich się nie odezwało. W końcu Laura przerwała ciszę.

– Pójdiesz do więzienia, Mike.

– Możesz mi wierzyć lub nie, Lauro, ale w tej chwili więzienie to najmniejsze z moich zmartwień.

Laura, tak jak wcześniej Mike, usiłowała przywrócić płótnu pierwotny kształt.

– Była śliczna, prawda?

– Jeszcze jak – przytaknął. I zaraz sprostował: – Wciąż jest piękna.

Laura zamrugła, powstrzymując łzy. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i tulić, dopóki cały świat wokół nich się nie rozwieje. Odwrócił się, odstawił szklankę na suszarkę i oburącz przytrzymał się skraju zlewozmywaka. Słyszał, jak Laura odkłada obraz. Objęła go rękami od tyłu i oparła głowę na jego ramieniu.

– Co zamierzasz zrobić, Mike?

– Uciec – rzucił; żartował, choć nie do końca. – Jeśli zechcesz, to z tobą.

Czy miał inne wyjście? Mógł zapłacić Majchrowi i Nienawiści tyle, ile żądali, ale na zawsze zdałby się na ich łaskę i niełaskę i nie miał złudzeń, że ciągnęliby od niego pieniądze, dopóki całkiem by go nie wydoili. Poza tym był jeszcze kustosz – jeśli znajdą jego zwłoki albo sam się znajdzie, poturbowany, policja będzie miała kolejną sprawę do rozpracowania. Przy współudziale Ransome'a już wkrótce gliniarze zastukają do pewnego mieszkania na ostatnim piętrze, z pakietem trudnych pytań do jego właściciela.

– Zadzwoń do Ransome'a – oświadczyła Laura. – Chyba sam widzisz, że to jedyne rozsądne wyjście.

Odwrócił się do niej.

– Jak dotąd rozsądek nie odgrywał tu większej roli – powiedział. Nadal obejmowała go lekko. Ich twarze niemal się zetknęły, lecz nagle w salonie przesunął się jakiś cień. Mike spojrzał ponad ramieniem Laury.

– Nie przeszkadzajcie sobie – wycedził przeciągle jeden z goryli Callowaya i powiedział do partnera: – Wiszę ci dwie dychy.

Drugi oprych uśmiechnął się.

– A nie mówiłem? Niech sobie szef gada, co chce, warto było tu zajrzeć. – I zwrócił się do Mike'a: – Będziesz się stawił, Mackenzie?

Mike pokręcił głową. Laura puściła go i odwróciła się do dwóch intruzów.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego – rzekł Mike. – Puście ją, to pójdę z wami, gdzie chcecie.

– Brzmi rozsądnie – odparł Glenn i razem z partnerem weszli do kuchni.

– Pan Calloway powinien prowadzić jeden z tych programów telewizyjnych o urządzaniu wnętrz, co nie? – rzucił Johnno. – Remont na poczekaniu...

Obaj gangsterzy ryknęli śmiechem. Ale patrzyli nie na Mike'a, tylko na Laurę. Mike dotknął jej ramienia.

– No już, spadaj stąd – polecił.

– Mam cię zostawić z tymi dwoma zwierzakami?

– Idź stąd! – Szturchnął ją w plecy.

Przeszyła żołnierzy Callowaya wściekłym wzrokiem.

– Tak się składa, że dobrze znam detektywa Ransome'a. Jeżeli panu Mackenzemu spadnie choć włos z głowy, opowiem mu wszystko!

– Kiepski pomysł, Lauro – mruknął Mike.

– On ma rację, panienko. W tej sytuacji ty też pójdiesz z nami...

Mike rzucił się na dwóch osiłków, wrzeszcząc na Laurę, żeby uciekała. Ale Glenn cisnął go na podłogę, a Johnno chwycił Laurę za ramię i obrócił, drugą dłonią tłumiąc jej krzyki. Mike przyklęknął, lecz kopniak w twarz posłał go na podłogę kuchni; znieruchomiał, leżąc na wznak. Gdy Glenn przycisnął go kolanem, miał wrażenie, że jego wnętrzności eksplodują. Ujrzął szeroki uśmiech za zaciśniętą pięścią, pięścią, która nagle zderzyła się z jego szczęką. W jednej chwili uświadomił sobie, że traci przytomność. Ciekaw był, czyjego łódź na niego czeka.

I czy jeszcze kiedyś zobaczy Laurę.

34.

Ransome obudził się ze świadomością, że taki jego parszywy los. Dochodziła piąta – jak na niego, wcale niezły wynik: przespał cztery i pół godziny. Przypomniał sobie, że pani Thatcher sypiała chyba jeszcze mniej. Zostawił Sandrę w łóżku, poczłapał do drzwi sypialni i zszedł na parter, po drodze gasząc światła na schodach. W salonie zapalił lampę obok kanapy i wziął pilot do telewizora. Wiedział, że przeglądanie nagłówków wiadomości w telegazecie i na stronach serwisu BBC Ceefax zajmie mu dziesięć, piętnaście minut. Potem będzie miał do wyboru informacje na Sky News albo w BBC24. Wyjrzał przez wąską szparę między zasłonami. Na ulicy panował spokój. Przed laty, jeśli budził się tak wcześnie, z przyjemnością ruszał w miasto i zaglądał do piekarni i całonocnych kafejek, słuchając, jak taksówkarze z nocnej zmiany opowiadają o swoich przygodach. Sandra zaczęła się jednak uskarżać, że budzi i ją, i sąsiadów, wycofując samochód z podjazdu. Nie wielu jego kolegów z pracy miało okazję poznać Sandrę. Nie

znosiła oficjalnych uroczystości, przyjęć ani wypadów do baru. Pracowała w administracji państwowej służby zdrowia i miała własny krąg znajomych – kobiety bywające na odczytach autorskich, w muzeach, chodzące do kina na zagraniczne filmy albo umawiające się na herbatkę. Według teorii Ransome'a żałowała, że nie uczyła się lepiej i nie poszła na studia – na przykład na uniwersytet – tylko skończyła szkołę dla sekretarek. Sprawiała wrażenie wiecznie niezadowolonej ze swojego losu, więc nie chciał tego potęgować, hałasując nad ranem silnikiem samochodu, mimo że nikt z sąsiadów nigdy się na to nie skarżył.

Gwizd czajnika też mógłby ją obudzić, więc zadowolił się szklanką mleka i dwiema tabletkami na niestrawność. Dolatujący z korytarza cichy pisk przypisał jednemu z ptaków na dworze, ale dźwięk nie ustawał, uznał więc, że się pomylił. Jego marynarka wisiała przy drzwiach wejściowych. Wieszak był pomysłem Sandry i biada mu, gdyby powiesił ubranie na końcu poręczy albo na oparciu krzesła. W wewnętrznej kieszeni marynarki zostawił komórkę. Ten dźwięk nie oznaczał, że bateria wymaga naładowania – był to SMS z ubiegłego wieczoru, od Donny'ego, jego znajomka pracującego w Centralnym Rejestrze Skazanych. Wiadomość była zwięzła: ODDZWON. Wrócił więc do salonu, starannie zamknął drzwi i spełnił prośbę – oddzwonił.

- Donny, to ja.
- Chryste, człowieku, masz pojęcie, która godzina?
- Właśnie odebrałem twoją wiadomość.

– Można z tym poczekać do rana. – Donny zaniósł się kaszlem i zaczął charczeć.

– Nawijaj.

– Daj mi chwilę.

Ransome słuchał, jak Donny zwleka się z łóżka. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Znow kaszel i pociąganie nosem. Potem, już z innego pokoju, dobiegł szelest papierów.

– Gdzieś tu to miałem...

Detektyw stanął przy oknie, wyglądając na zewnątrz. Środkiem jezdnii biegł lis; najwyraźniej czuł się jak u siebie. O tej porze to zresztą całkiem możliwe. Ransome mieszkał przy cichej, zadrzewionej ulicy. Domy pochodziły z lat trzydziestych, dzięki czemu były względnie tanie w porównaniu z georgiańskimi i wiktoriańskimi nieruchomościami położonymi niecały kilometr dalej. Gdy wprowadzali się tu z Sandrą, dzielnicę tę nazywano Saughtonhall, ale obecnie agenci nieruchomości mówili o niej Corstorphine, a nawet Murrayfield, licząc na to, że uda się podnieść cenę o kilka tysięcy. Przez pewien czas Sandra i Ransome żartowali nawet, czy ich ulica podpada pod „południowe Murrayfield” czy „południowe południowe Murrayfield”.

Jeszcze ciut na południe i mieszkalibyśmy pod bokiem więzienia Saughton, pomyślał.

– Nie ma pośpiechu, Donny – mruknął do słuchawki.

– No, już mam. – Ostatni szelest papierzysk. – Kawał wrednego sukinsyna.

– Kto?

– Ten wytatuowany wiking... chciałeś, żebym ci go namierzył, pamiętasz?

– Oczywiście. Przepraszam, Donny.

– Nazywa się Ame Bodrum. Pochodzi z Kopenhagi, ale zwykle jest w rozjazdach. Odsiedział dwa lata za coś, co pewnie podpada pod ciężkie uszkodzenie ciała. Zadawał się z Aniołami Piekieł, a teraz uchodzi za egzekutora długów, zwłaszcza dla ich oddziału z siedzibą w Haugesund, w Norwegii. Podobno tłuką szmal na przemyśle prochów do Niemiec i Francji... nie wspominając o Wielkiej Brytanii.

– Tyle to sam wiem, Donny. Masz coś jeszcze?

– Z grubsza to samo plus zdjęcia policyjne. Za trzy godziny będziesz miał cały ten majdan na biurku. – Donny przerwał.

– To co, mogę wracać do wyrka?

– Śpij smacznie, Donny.

Ransome rozłączył się i położył komórkę na parapecie. A więc Nienawiść działał jako pośrednik... Nie, był kimś więcej... egzekutorem długów. Glenn twierdził, że Calloway był komuś winien pieniądze za narkotyki, konkretnie zagranicznemu oddziałowi Aniołów Piekieł. Znaczyło to, że Majcher ma zgryz i gwałtownie potrzebuje zastrzyku gotówki. A kto z ich znajomych był przy forsie? Mackenzie, wystąp! Albo First Caly – o, witam ponownie, panie Cruikshank. Ransome uznał, że z czymś takim może już pójść do szefa, poprosić o całodobową inwigilację, może nawet o nakazy przeszukania. Nie wchodził w paradę Hendricksowi – nie musiał wspominać o napadzie – więc dlaczego szef miałby go splewić? Jeżeli tylko znajdą się

środki, Ransome rozwiąże całą sprawę sam, bez pomocy i gratis.

Potrzebował tylko zgody szefa.

Odszedł od okna, stanął plecami do ulicy i dlatego dopiero po chwili zorientował się, że jego komórka wibruje. Ktoś do niego dzwonił: ani chybi Donny miał coś jeszcze, może coś najwyższej wagi. Parapet był wąski i komórka spadła na podłogę, gdy po nią sięgnął. Obudowa poleciała w jedną stronę, karta w drugą i połączenie się urwało. Klnąc w duchu, złożył telefon i go włączył. Ekran pękł, ale wyświetlacz LCD wciąż działał. Zero wiadomości. Sprawdził ostatnie połączenie. Nie znał tego numeru, ale przecież komórki Donny'ego też nie znał, prawda? Nacisnął więc przycisk „połącz” i przycisnął aparat do ucha.

– Dziękuję, że pan oddzwonił, inspektorze. Myślałem, że nam przerwano połączenie...

To nie był głos Donny'ego. Ransome w ogóle go nie kojarzył.

– Przepraszam, kto mówi? – zapytał.

Po drugiej stronie zapadła cisza, jakby rozmówca zastanawiał się, co zrobić – rozłączyć się, póki nie jest za późno, i tak dalej. Nagle detektyw usłyszał chrząknięcie, a kiedy padło nazwisko, od razu skojarzył je z twarzą. Bądź co bądź, dopiero co myślał o tym facecie. Czy to się dzieje naprawdę? A może się zdrzemnął i przyśnił mu się taki miły sen? Najpierw Arne Bodrum, a teraz to... Ransome usiadł i rzucił śpiewnie do telefonu:

– Chyba ma pan jakieś zmartwienie, panie Cruikshank. Może mi pan o tym opowie...?

• • •

– Miło, że wpadłeś – oświadczył Majcher Calloway.

Mike otworzył oczy i zorientował się, gdzie jest – w opuszczonej sali bilardowej. Przed nim stał Majcher. Nieco dalej Nienawiść oglądała układ bil na stole. W jednym rzędzie stało pięć krzeseł – Mike siedział na ostatnim z prawej, ze skrzepowanymi na plecach rękami i kostkami przywiązanymi do nóg krzesła. Spojrzał w lewo i obok siebie zobaczył Laurę, związaną tak samo jak on. Przeprosił ją cichym jękiem, na co podziękowała mu powolnym mrugnięciem. Dalej siedział Westie, ze łzami w oczach, a następnie Alice, świdrująca Majchra jadowitym wzrokiem. Na końcu tej ławki pechowców siedział nieszczęsny kustosz, Jimmy Allison, oszołomiony i samotny, chociaż zawinił tylko tym, że jest uznanym ekspertem w swojej dziedzinie.

– Obudź się, kretynie – mówił Calloway do Mike'a. – Czas na porządny wycisk.

Nienawiść wziął w łapsko czerwoną bilę i ruszył w kierunku krzeseł, podrzucając bilę i łapiąc ją z głośnym plaśnięciem dłoni.

– Dużo tych zwłok – zauważył. – Trzeba będzie się ich gdzieś pozbyć.

– Miejsc wiecznego spoczynku nam nie brakuje – zapewnił go Calloway. – Jest Morze Północne, są góry Pentland, nie mówiąc już o tych wszystkich budowach wokół Granton...

– I zwrócił się do Mike'a: – Westie złożył już uniżone przeprosiny. – Poklepał młodego człowieka po policzku; chłopak wzdrygnął się i zamknął oczy, spodziewając się najgorszego. Widząc to, gangster parsknął śmiechem i znowu skupił się na Mike'u: – Ale nie przybyło mi od tego wiedzy.

– I oczekujesz, że ja cię nią nafaszeruję?

– Zanim my nafaszerujemy ciebie – warknął Nienawiść.

– Mam nadzieję, że bez premii za kiepskie żarty – odparł Mike.

Olbrzym zacisnął palce na bili i zamierzył się pięścią.

– Mówiłem ci, on jest mój! – prychnął Calloway, celując palcem w Skandynawa.

– W twojej sytuacji nie będziesz mi rozkazywał – odgryzł się Nienawiść gangsterowi.

– W moim mieście to ja ustaliam zasady – odpalił Calloway. Przypominało to oglądanie dwóch zamkniętych w klatce bestii... dzikich, śmiertelnie groźnych, broniących swojego terytorium.

Nienawiść splunął na podłogę i wyładował część narastającej furii na bili, ciskając nią w ścianę za krzesłami. Gdy spadła – poza zasięgiem wzroku Mike'a – nie potoczyła się, a zatem rozpadła się na kawałki.

Calloway pochylił się tak, że jego twarz zrównała się z twarzą Mike'a.

– Moi chłopcy mówili, że rycersko próbowałeś bronić swojej damy serca... Ale nie sądzisz, że powrót do mieszkania to był durny pomysł?

– Równie durny, jak skopanie i pocięcie obrazów wartych pół miliona funtów, skoro mogliście je sobie zabrać.

– Krew mnie zalała, jak zwykle – wyjaśnił gangster. – Poza tym po kiego chuja mi jakieś obrazy? – Wyprostował się, przeszedł wzdłuż krzeseł i zatrzymał się przed studentem.

– Zostaw go! – wydarła się rozjuszona Alice. – Dotknij go jeszcze raz, a urwę ci jaja!

Calloway niemal zapał z zachwyty; nawet Nienawiść posłał jej krzywy, pełen podziwu uśmiezek.

– Twarda z niej sztuka, co, Westie? – rzekł gangster. – Od razu widać, kto w waszym związku nosi spodnie... – I ponownie zwrócił się do Mike'a: – Westie twierdzi, że to Gissing wpadł na pomysł zamiany mojego obrazu na fałszywkę. Jego zdaniem ty o tym nic nie wiedziałeś.

– Byliście w domu Gissinga? – Mike zczekał, aż Majcher kiwnie głową. – No to widzieliście dowody na własne oczy. Przypuszczam, że wyjechał już wczoraj. A może nawet wcześniej... dlatego nie można było się do niego dodzwonić. Myślałem, że się tylko przyczał, ale raczej zapadł się pod ziemię. Dom musiał wystawić na sprzedaż już wiele tygodni temu, czyli że od dawna miał wszystko zaplanowane.

– A co takiego zaplanował, Mike?

– Wypuść ich, to ci powiem.

– Nikt się stąd nie ruszy – wtrącił Nienawiść, celując w Mike'a palcem. Palec obleczony był w lśniącą czarną skórę... z rękawiczki dla kierowców, którą olbrzym naciągał na dłoń; potem zajął się drugą rękawiczką.

Mike wiedział, co to oznacza... że za chwilę przystąpi do

pracy, pracy fizycznej. Bez zostawiania odcisków palców. Przeniósł wzrok na Callowaya.

– Powinniście wiedzieć jedno, obaj. Ja się was nie boję. Kiedyś może i się bałem, ale teraz już nie.

Nie była to czysta fanfaronada – w tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak wyzbyć się strachu. Stał przed nim osilek, którego znał ze szkoły, ale Mike ani drgnął. Miał świadomość, że pozostali go obserwują; nie tylko Laura, Westie i Alice, lecz nawet Allison, który choć skrupowany, wychylił się, żeby mieć lepszy widok. Tymczasem Nienawiść skończył naciąganie rękawiczek i także odgrywał rolę widza.

– Powinieneś się bać – tłumaczył gangster.

– Wiem – przyznał Mike, wzruszając ramionami na tyle, na ile pozwalały mu więzy. – Ale jakoś się nie boję. Pewnie dlatego, że tylko ode mnie możesz wydusić tyle pieniędzy, ile ci potrzeba.

– Mogę skombinować od groma forsy bez twojej pomocy! – ryknął Majcher, ale nawet Nienawiść nie wydawał się przekonany tym wybuchem.

– Puść ich – powiedział Mike spokojnie. – Kiedy stąd wyjdą, opowiem ci całą historię.

– Nie ma mowy – warknął Nienawiść.

– A na cholerę mi „cała historia”? – rzekł Calloway. – Wiem, że mnie wykiwano, i tylko to się liczy. – Wyprostował się i zaczął gimnastykować ramiona, szykując się do roboty. – Nienawiść, kogo chcesz zabić najpierw?

– Najsilniejszego – padła odpowiedź. – Najsłabszych zawsze zostawiaj na koniec.

– Mądrze powiedziane – przyznał gangster. – Wobec tego chyba powinniśmy zacząć od naszej specjalistki od urywania jaj.

– No, dalej! – rzuciła Alice, obnażając zęby.

– Z miłą chęcią, skarbie.

Mike zdał sobie sprawę, że musi zacząć opowiadać całą historię – tylko w ten sposób mógł odwlec ich koniec.

– Nie tylko ciebie wykiwano – rzucił do Callowaya. – Nas też... wszyscy byliśmy przeznaczeni na odstrzał. Gissing najpierw zasiał ziarno w mojej głowie, a później podlewał je, mówiąc o zamianie obrazów. Plan był opracowany tak znakomicie, że musiał nad nim myśleć od dawna. Zresztą sam się do tego przyznał. I nagle poczuł, że musi go wprowadzić w czyn natychmiast... a do tego potrzebował współników... współników, którzy mieli beknąć za niego.

– Ciebie i twojego postrzelonego kumpla, Cruikshanka? Swoją drogą, niech ci się nie wydaje, że o nim zapomniałem.

Mike skinął głową i natychmiast tego pożałował. Waląc go w łeb, Glenn spisał się na medal.

– Mnie i Allana – przytaknął, powstrzymując mdłości. – Gissing już dawno upatrzył sobie Westiego jako kandydata do roli fałszerza. Ciebie nie chciał w to wciągać... przypuszczam, że obawiał się ryzyka. Ale szybko zmienił zdanie. Wtedy wydawało mi się, że coś za łatwo go przekonałem, a teraz już wiem, co kombinował... z nas wszystkich ty najbardziej nadałaś się na kozła ofiarnego, policja marzy, żeby cię wreszcie przyskrzynić. No ale nagle wyskoczyłeś z tym, że też chcesz dostać obraz... W jego przekonaniu jesteś zwykłym prostakiem.

Nie mógł ci dać oryginału... dla niego byłoby to świętokradztwo. Poza tym nie sądził, że rozpoznasz falsyfikat, więc kazał Westiemu namalować jeszcze jedną kopię, ale tak żeby nikt z nas o tym nie wiedział.

Westie kiwał głową. Wszedł Mike'owi w słowo:

– Profesor odwiedził mnie i powiedział, że musi mieć drugą kopię Uttersona i że nikomu nie mogę pisać o tym ani słowa. Spytałem go po co, a on na to, że lepiej, żebym trwał w nieświadomości. To „trwanie w nieświadomości” mnie zabolowało... wiedziałem, że on zawsze uważał mnie za ignoranta.

– I dlatego kiedy skończyłeś drugą kopię, dodałeś ten mały ozdobnik? – domyślił się Mike.

Westie znów pokiwał głową.

– Podmieniliśmy płótna, kiedy wróciłeś z Allanem do magazynu, żeby sprawdzić, czy wszystko gra. Profesor ukrył Uttersona pod ramą jednego z obrazów, które wybrał dla siebie... wpasował się idealnie. – I zwrócił się do gangstera: – Słowo daję, panie Calloway, gdybym wiedział, że to dla pana, nigdy bym na to nie poszedł.

Mike patrzył, jak gangster znów klepie studenta po policzku. Myślał o innych wskazówkach, które powinny naprowadzić go na trop: precyzja i doskonałość planu Gissinga oraz słowa profesora, kiedy mu powiedział, że na początku wszystko wydawało się takie proste: „Jak każdy plan, dopóki go gruntownie nie przemyślisz...”. Tak, Gissing planował ten skok od dawna, lecz nie po to, żeby ukraść kilka obrazów – podkradał je od lat, ale nikt nie zauważył braków. Podczas swoich licznych

wizyt w magazynie „w celach naukowych” od czasu do czasu wynosił jakieś arcydzieło. Nagle jednak dowiedział się, że wkrótce, po raz pierwszy od lat, mają przeprowadzić inwentaryzację – gruntowną i szczegółową. Uświadomił sobie, że wówczas brak obrazów wyjdzie na jaw. Przyśpieszył więc przejście na emeryturę, nie mówiąc o tym nikomu spoza akademii. Wystawił dom na sprzedaż. A potem zaczął szukać współników. Kiedy po raz pierwszy przedstawił im swój plan, zrobił wszystko, żeby skusić Mike'a portretem żony Monboda, Allana zaś cennymi Coultonami... żerując na ich chciwości. Po inwentaryzacji i odkryciu braków policja skupiłaby się na tych frajerach... przecież dokonali kradzieży, prawda? A skoro tak, to logika podpowiadała, że właśnie oni zwinęli brakujące płótna. Tymczasem Gissing zdążyłby już gdzieś się rozpląnąć. Mike przypuszczał, że wyjechałby za granicę. Na pewno nie do krajów, o których im opowiadał; raczej do jakiegoś ulubionego miejsca, o którym nikt nie wiedział. Najpierw wspominał o Hiszpanii, a potem zmienił zdanie i mówił o zachodnim wybrzeżu Szkocji... jedno z jego rzadkich potknięć, którego znaczenia Mike powinien się domyślić.

– Robi się nudno – burknął Nienawiść w panującej ciszy. – Czas kogoś zabić.

– To Gissing jest tym, kogo powinieneś załatwić – oświadczył Mike z naciskiem, świdrując Callowaya wzrokiem. – Obiecaj, że jak już ze mną skończysz, nie puścisz mu tego płazem.

– Masz to jak w banku – obiecał gangster. – Na razie

jednak zgadzam się, że pan Nienawiść ma rację... starczy już tego gadania.

– Najwyższy czas – rzekł olbrzym i wałną pięścią w drugą dłoń.

Mike odwrócił się do Laury. Siedzieli tak blisko siebie, że niemal mógł ją pocałować na pożegnanie.

– Przykro mi, że cię w to wpakowałem.

– I słusznie. – W jej głosie zabrzmiała stalowa nuta. – Więc może w ramach przeprosin jakoś nas z tego wyciągniesz?

Wciąż patrząc jej prosto w oczy, powoli kiwnął głową, choć ból rozsadzał mu mózg. Z tego gestu przebijała pewność siebie, tak samo jak z oczu. Jego zmysły wyostrzyły się, tak jak bezpośrednio po dokonaniu napadu, a poza tym był z kobietą, którą kochał. To się nazywa życie, pomyślał. Szkoda tylko, że... Laura zażądała, żeby ich z tego wyciągnął. Czy mógł jej odmówić?

Ba, gdyby tylko miał jakiś plan...

Jakikolwiek.

35.

Johnno i Glenn stali na warcie przed salą bilardową. Johnno palił papierosa, wyraźnie podenerwowany.

- Co jest? – spytał Glenn.
 - Dlaczego zostawili nas na dworze?
 - Może to i lepiej... w razie czego nie będą mogli nas wezwać na świadków.
 - Myślisz, że Majcher załatwi ich wszystkich? – Johnno szerzej otworzył oczy.
 - Bardzo prawdopodobne.
 - A co tu, kurde, robi ten Nienawiść? Mam z nim porachunki za to, co mi zrobił z ręką.
 - Niektóre potyczki lepiej sobie odpuścić.
- Johnno spojrział na partnera.
- Odpuścić sobie?
- Glenn wzruszył ramionami.
- Jak myślisz, na kogo spadnie sprzątanie tego bajzlu, co go tam narobią?

– Na nas – przyznał Johnno i pstryknął niedopałek na jezdnię. – A w ogóle to o co w tym biega? Wiesz coś?

– Mam pewne podejrzenia... ale mówię ci, lepiej nie wiedzieć.

Johnno złapał się za krocze.

– Zaraz się zleję. Myślisz, że mogę...? – Ruchem głowy wskazał drzwi sali bilardowej. Była tam ubikacja, ale po drodze musiałyby przejść obok całego towarzystwa.

Glenn wolno pokręcił głową.

– Na twoim miejscu wybrałbym się tam. – Machnął ręką w kierunku przesmyku między budynkami po drugiej stronie ulicy.

– Może i masz rację.

Glenn patrzył, jak Johnno przechodzi przez jezdnię i znika w alejce za rzędem śmietników. W ręku trzymał już komórkę. Gdy tylko stracił kolegę z oczu, zaczął wybierać numer.

• • •

Mike zupełnie nie był przygotowany na śmierć, ale jeśli miał przeżyć, to tylko z Laurą. To przez niego się tu znalazła. Przyszła do jego mieszkania, bo się o niego martwiła, czyli że jej na nim zależało. W tej sytuacji mógł jedynie uratować jej życie, a raczej (bądźmy szczerzy) podjąć próbę i zginąć.

Atmosfera w sali bilardowej była pełna napięcia. Nienawiść zrobił krok w przód. Majcher Calloway nie sprawiał wrażenia, że chce go powstrzymać, przeciwnie – wyglądało na to, że będzie mu pomagał i go podjudzał. Alice przestała obrzucać ich obelgami, bo właśnie dostała w twarz. Westie zagryzł wargę,

ale nie zaprotestował, więc przez dobre pół minuty dla odmiany wyżywała się na nim. Siedzący na końcu Jimmy Allison wyglądał na człowieka zgnojonego przez życie i pogodzonego z losem. Mike miał wrażenie, że kustosz stracił godność, przestał panować nad fizjologią i jego łzy zmieszały się z krwią na koszuli.

– Za długo już siedzę w tym przeklętym kraju – mówił Nienawiść. – Chcę wracać do domu... bez względu na to, czy odzyskam pieniądze mojego klienta, czy nie. – Odwrócił się do Callowaya z uśmiechem, który jeszcze bardziej oszpecił jego paskudną twarz. – Edvard na pewno się ucieszy, kiedy mu opowiem, jak chciałeś go wykołować i podrzucić mu fałszywy obraz.

– Tłumaczyłem ci dziesięć razy... nie miałem pojęcia, że to podróba! – warknął Calloway. Nagle napięcie ustąpiło z jego twarzy, gdy dotarł do niego sens wypowiedzi olbrzymia. – Nie powiedziałaś mu? – zapytał ze spokojem, który nie wróżył nic dobrego.

– Daj mi tylko forszę, a nigdy się nie dowie.

– Ale ja już się z nim dogaduję – rzekł Majcher. Mike zobaczył, że gangster spogląda na studenta. Jasne... Aniołowie Piekła ze Skandynawii prowadzili handel międzynarodowy, a cenne obrazy stanowiły świetny zastaw. Na rozkaz Callowaya Westie miał namalować więcej kopii, którymi bandyta chciał oszukać pracodawców Nienawiści... tych samych pracodawców, którzy nie wiedzieli jeszcze, że chciał im wtrzyąć fałszywego Uttersona...

Mike był pod wrażeniem. Widział, jak Calloway w mgnieniu

oka rozważył wszelkie kombinacje i możliwości. I jak zareagował z prędkością błyskawicy. Nienawiść był odwrócony do niego plecami – patrzył na rząd jeńców i zastanawiał się, kto powinien umrzeć pierwszy. Nie słyszał odgłosu podnoszonego kija bilardowego, nie wyczuł zmiany ciśnienia powietrza, gdy kij z rozmachem trafił go w tył głowy. Cios był tak silny, że kij przełamał się na pół; odłamki posypały się na kolana Mike'a. Alice wrzasnęła, a Laura pisnęła cicho. Olbrzym zachwiał się i omal nie upadł na Mike'a, ale nie zwałił się na podłogę. Callo-way zasypywał go ciosami od tyłu, krzycząc na swoich goryli, żeby mu przyszli z pomocą. Otworzyły się drzwi i wbiegł jeden z nich.

– Johnno! Wal go, ile wlezie! – rozkazał Majcher.

– Nie mogłem się, kurwa, doczekać – warknął Johnno i ruszył do boju. Celnie przykopał zgiętemu wpół olbrzymowi, który broczył krwią z nosa. Nienawiść jednak przeszedł do obrony – wyrznął Callowaya barkiem, posyłając go na środek sali. Mike uświadomił sobie, że Alice znów wrzeszczy, ale nie ze strachu. Nie bała się tego, co działo się na jej oczach, tylko wzywała pomocy, próbując oswobodzić się z więzów. Zrozumiał dlaczego: wytrzeszczała oczy na otwarte drzwi, za którymi rozciągał się świat zewnętrzny, tak krzepiąco niezmienny, bezpieczny. Chodnik, latarnia, jezdnia... Każdy przechodzień musiał ich zauważyć i wezwać pomoc. Może pasażer samochodu albo kierowca taksówki jadący powoli w poszukiwaniu klienta... Westie też wpadł na ten sam pomysł. Zaczął się wiercić i korzystając z wszelkich punktów oparcia, ślizgał się i

podskakiwał, byleby się wydostać, byleby znaleźć się gdziekolwiek, tylko nie tu.

– Nie zostawiaj mnie! – wydarła się na niego Alice.

– Sprowadzę pomoc – wystękał; obcas jego buta zazgrzytał po podłodze.

W miarę jak się posuwał do przodu, zostawiał za sobą ślad i Mike – nagle i bez sensu – wyobraził sobie ślimaka wyruszającego w powolną, heroiczną podróż. Odwrócił się i spojrzał na Laurę – nie spuszczała wzroku z toczącego się przed nią pojedynku. Policzki, nos i czoło miała zbryzgane krwią... krwią olbrzymiego Skandynawa.

Natomiast Jimmy Allison... jego ramiona podskakiwały w napadzie obłąkańczego śmiechu, gdy obserwował rozwój sytuacji. Johnno skoczył Nienawiści na plecy i oplótł mu szyję ramieniem. Calloway wstał i szykował się do szarży. Mike wciąż był pod wrażeniem elastyczności myślenia gangstera. W mgnieniu oka sprzymierzeniec Majchra stał się jego wrogiem. Mike nie był jednak pewien, czy śmierć olbrzymia uratuje ich grupę od tego samego losu, dlatego sam też zaczął się mocować z więzami. Westie był już w pół drogi do drzwi, natomiast Alice wciąż wzywała krzykiem pomocy.

Calloway miał pytanie do Johnno:

– Gdzie jest Glenn, do kurwy nędzy?!

– Myślałem, że biegnie za mną. – Odpowiedź padła przez zaciśnięte zęby, bo Johnno nadal próbował wydusić z olbrzymia życie. Ten jednak rzucił się w tył i padł na jeden ze stołów. Mike'owi zdawało się, że słyszy ostry trzask – podobny do odgłosu pękającego kija bilardowego – gdy kręgosłup Johnno

zderzył się z drewnianą bandą stołu. Ręka opadła z szyi przeciwnika i kiedy Nienawiść się cofnął, Johnno zwałił się na podłogę jak kłoda; jego twarz wykrzywił ból. Tymczasem Calloway wyprowadził celne kopnięcie tam, gdzie boli najbardziej, a Mike od razu przypomniał sobie szkolne czasy. Ale cios nie wywarł spodziewanego efektu – Nienawiść zamachnął się i wyrzucił gangstera pięścią w szczękę. Poprawił jeszcze raz i Calloway runął na podłogę, nieprzytomny. Olbrzym doszedł do siebie w jednej chwili. Na nosie miał bąbelki krwi, oddychał z trudem. Obrzmiała po duszeniu twarz była niemal fioletowa. Chwiejnie podszedł do drzwi, zamknął je z trzaskiem, po czym nachylił się, żeby pozbawić studenta wszelkiej nadziei na wolność. Westie wrzasnęła z bólu, gdy olbrzym zaczął go wlec przez całą salę za włosy. Nienawiść znów ustawił jego krzesło między Laurą i Alice. Gdy puścił chłopaka, z rękawiczki spadło mu kilka włosów. Alice obrzucała go najgorszymi wyzwiskami, ale nie zwracała na nią uwagi. Obejrzał się chwiejnie na Majchra i Johnno, sprawdzając, czy z ich strony nic mu już nie grozi. Po chwili z zadowoleniem odwrócił się do Mike'a i pozostałych.

– Zabiję was wszystkich – wycedził ochryplym głosem. – A potem wracam do domu.

– Twoim pracodawcom nie spodoba się, że nie odzyskałeś ich pieniędzy – oświadczył zimno Mike. – Pamiętaj... możesz je dostać tylko ode mnie.

Ale Nienawiść pokręcił głową.

– Wystarczą im fotografie zwłok.

– Nie sądzisz, że policja się tym zainteresuje?

– Mnie już tu dawno nie będzie. – Znow się obejrzał. – Calloway musi umrzeć, a nie mogę zostawić świadków. – Wskazał na Mike'a. – Ciebie zostawię sobie na koniec, przyjacielu.

– Czy to znaczy, że jestem najślabszy?

– Wszyscy jesteście słabi! Całe to miasto jest słabe! – Nienawiść poderwał głowę, spojrzął na sufit i jęknął cicho... zdaniem Mike'a nie tyle z bólu, ile z rozczarowania bezgraniczną głupotą ludzi, których spotkał przy okazji tego zlecenia. – Weź takiego Callowaya... przecież to idiota, więc jakim cudem został szefem? Wszyscy jesteście durni, sztuka w sztukę.

– Może i masz rację.

– Jasne, że tak. – Na zakrwawionej twarzy olbrzyma rozlał się szeroki uśmiech. Nienawiść sięgnął do tyłu, zza kołnierza koszuli powoli wyciągnął smukły, błyszczący sztylet i rozejrzał się po swoim królestwie. Calloway leżał nieprzytomny na podłodze; z jego ucha ciekła krew. Bezwładny Johnno jęczał z nieopisanego bólu; był wprawdzie przytomny, lecz pewnie tego żałował. A piątka związanych jeńców dalej siedziała na krzesłach.

– Powinieneś się stąd wynieść, zanim Glenn sprowadzi odsiecz – poradził mu Mike.

– Glenn?

– Pamiętaj, że Calloway ma dwóch goryli. Masz niewiele czasu.

– Znajdź swojego szefa martwego, i was też.

Mike doszedł do wniosku, że w końcu wyczerpał wszelkie

argumenty. Pozostawało mu jedynie rzucić się na olbrzyma i zaprawić go głową w brzuch. Wiedział, że to beznadziejne, ale co miał do wyboru? Nienawiść zaśmiał się cicho, jak gdyby czytał w jego myślach. Mike odwrócił się do Laury. Z całych sił próbowała powstrzymać łzy.

– Niezupełnie tak sobie wyobrażałem zakończenie naszej historii – powiedział ze skruchą.

– Jak na drugą randkę, przyznam, że bywało lepiej.

Westie, który znów zaczął się szarpać z więzami, ponownie zwałił się z krzesłem na podłogę. Alice wyraźnie chciała pójść w jego ślady. Allison, z zamkniętymi oczami, wciąż rechotał; najwidoczniej postradał zmysły. A wszystko to dla kilku obrazów, pomyślał Mike. I dlatego że byłem znudzony, rozpieszczony, zauroczony i chciwy.

I pozwoliłem, żeby wykołował mnie najgorszy z drani – profesor Robert Gissing.

Wkurzała go myśl, że Gissing się z tego wywinął i napawa się emeryturą w otoczeniu Bóg wie ilu arcydzieł. Koktajle na patio, leniwe dni na słońcu...

– Jeszcze jedno – powiedział, na co olbrzym spojrział na niego z irytacją. – Powtórzę ci to, co mówiłem Callowayowi... wszystkich nas wykiwał Robert Gissing. Znajdź go, a zdobędziesz kolekcję obrazów wartą grube miliony. Nie zapomnij powtórzyć tego swojemu klientowi po powrocie do domu.

Nienawiść przemyślał to sobie i wolno pokiwał głową.

– Dzięki za dobrą radę – odparł. – W zamian za to załatwię cię szybko... nie obiecuję, że bezboleśnie, ale szybko...

Stanął przed Laurą, nachylił się ku niej i cofnął rękę z nożem. Uszy Mike'a przeszył krzyk dziewczyny. Zamknął oczy i po raz ostatni szarpnął więzy. Nagle rozległ się inny dźwięk – trzask wykopywanych drzwi. Mike otworzył oczy i ujrzał, że do sali wpada tłum ludzi w czarnych kamizelkach kuloodpornych; niektórzy mieli na głowach hełmy z noktowizorami. Każdy miał na piersi wielki biały napis POLICJA. Pierwszy z funkcjonariuszy przyklęknął na jedno kolano i Mike uświadomił sobie, że policjant celuje z pistoletu w olbrzyma. Nienawisć zamarł na chwilę; nóż zawisł w powietrzu. Laura siedziała z otwartymi ustami, choć na widok policjantów przestała krzyczeć. Nienawisć odwrócił głowę i spojrzał Mike'owi w oczy. Jego wzrok wystarczał za tysiąc słów. Policjanci krzykiem powtarzali wciąż ten sam rozkaz i Skandynaw w końcu usłyszał. Nóż ze szczękiem upadł na podłogę, a olbrzym podniósł ręce, zgodnie z poleceniem uklęknął, założył ręce za głowę i czekał na kajdanki.

Policjanci rzucili się na niego. Schowali pistolety dopiero wtedy, gdy kajdanki zatrasnęły się na nadgarstkach Nienawisści.

– Podobno ktoś tu ma broń palną – odezwał się jeden z ludzi z noktowizorami.

– Ja nie widziałem – powiedział Mike.

– Zdejmijcie mnie z tego pieprzonego krzesła! – wrzasnęła Alice.

Mike spoglądał w stronę drzwi. Stał w nich Glenn, goryl, który nagle zniknął. A obok niego detektyw inspektor Ransome, z rękami w kieszeniach spodni. Pogwizdując, Ransome

wszedł w głąb sali. Spojrzał na Callowaya, przykucnął i dotknął jego szyi, sprawdzając puls. Pocierając krew gangstera kciukiem i palcem wskazującym, z zadowoleniem wstał i podszedł do rzędu krzesel.

– Ktoś jest ranny? – zapytał.

Słyszając to, Laura gruchnęła śmiechem.

– Gdzie ty masz oczy, Ransome? – powiedziała. – Ten facet na końcu ledwie dycha!

Detektyw kazał dwóm policjantom zapakować kustosza do karetki, po czym schylił się po nóż olbrzyma, szukając śladów krwi. Gdy się przekonał, że jest czysty, przeciął nim taśmę krępującą nadgarstki Laury. Pomimo błagań Alice, najpierw uwolnił jeszcze ręce Mike'a. Następnie podał nóż Laurze i poprosił, żeby czyniła honory pani domu. Spojrzała na Nienawiść, potem na nóż, ale Ransome zacmokał.

– Wystarczy tego dramatu jak na jeden dzień – rzucił drwiąco. – Sami zajmujemy się panem Bodrumem.

– Dla pana on może jest Bodrum, ale dla mnie to Nienawiść, i zawsze tak będzie – wtrącił się Mike.

Podczas gdy Laura przecinała taśmy krępujące Alice i Westiego – który narzekał, że podczas upadku złamał rękę – detektyw pomógł Mike'owi uwolnić nogi z więzów, a potem wstać.

– Lepiej? – zapytał.

Mike przytaknął. Kręciło mu się w głowie, która bolała go coraz bardziej.

– Jak pan nas znalazł? – wykrztusił.

– Glenn Burns nas zawiadomił. Choć szczerze mówiąc,

i tak już byliśmy na waszym tropie... – Detektyw obejrzał się na drzwi, a Mike poszedł za jego wzrokiem. W progu stał Allan, nieco zażenowany. Gdy Mike z uśmiechem skinął mu głową, wszedł do sali i obejrzał pobożowisko.

– Chryste, Mike – rzucił, obejmując przyjaciela.

– Ile mu powiedziałeś? – wyszeptał mu Mike do ucha.

Allan przestał go ścisnąć; jego spojrzenie nie zostawiało wątpliwości. Wszystko!

– Przepraszam – bąknął.

– Nie ma za co – odparł Mike.

– Mam nadzieję, że było warto – mruknął Ransome.

– Porty i lotniska – powiedział Mike, chwytając detektywa za łokieć. – Nie możecie dopuścić, żeby Robert Gissing uciekł z kraju.

– Na to już chyba za późno, panie Mackenzie. Poza tym mnie nie interesuje wasz Zabójczy Kwintet... w tej sprawie pogada sobie z wami detektyw inspektor Hendricks. – Ransome ruchem głowy wskazał Callowaya. – To jest mój łup, na który polowałem... więc w zasadzie powinienem wam chyba podziękować, że mi go podaliście na tacy. – I odszedł z uśmiechem, w chwili gdy przybyli sanitariusze. Nienawiść już stał w otoczeniu policjantów i czekał, aż go wyprowadzą.

– Chyba nieprędko wrócisz do domu! – zawołał do niego Mike.

– Nie ja jeden – odciął się olbrzym.

– Coś w tym jest – przyznała Laura.

36.

– Będzie pan zeznawał przeciwko Callowayowi? – zapytał Ransome.

Mike'a prowadzono właśnie do policyjnej furgonetki; obok niego szedł Allan. Obyło się bez kajdanek. Na miejscu zbrodni pojawił się detektyw inspektor Hendricks trochę nabzdyczony. Mike patrzył, jak Ransome wyjaśnia mu sytuację, co bynajmniej nie poprawiło humoru drugiemu detektywowi, za to Ransome po tej rozmowie wyraźnie nabrał wigoru.

Mike wzruszył ramionami. Dobre pytanie.

– Właściwie powinno być na odwrót – odpowiedział detektywowi. – W końcu to przecież ja wciągnąłem go w całą sprawę.

– Ale będzie pan zeznawał? – Zabrzmiało to niczym stwierdzenie faktu, a nie pytanie. – Jeśli tak, zostanie pan potraktowany łagodniej.

– To znaczy?

Ransome zbył go wzruszeniem ramion.

– Sześć lat zamiast ośmiu. Wyjdzie pan za trzy. Nie wątpię, że stać pana na najlepszych adwokatów w kraju, panie Mackenzie, a oni bez trudu przedstawią pana w sądzie jako naiwnego playboya, który zadał się z niewłaściwym towarzystwem. Albo znajomy psychoanalityk zaświadczy, że miał pan ograniczoną poczytalność.

– Niby że mam nie po kolei w głowie?

– Nie był pan sobą w czasie popełniania przestępstwa.

– A co ze mną? – zapytał Allan. – Co mnie grozi z tego tytułu?

– Z grubsza to samo, tyle że pan postąpił jak należy, sam zgłosił się na policję i przy okazji uratował pięć osób od tortur i pewnej śmierci.

– W zasadzie siedem – sprostował Mike. – Nienawiść nie miał zamiaru zostawić Majchra i Johnno przy życiu.

– Widzi pan? – zwrócił się Ransome do Allana. – Na dobrą sprawę jest pan bohaterem.

Obok policyjnej furgonetki stała karetka, do której pakowano na noszach Jimmy'ego Allisona, z maską tlenową na twarzy. Kolejne nosze czekały na Johnno. Jeden z nich wymagał transfuzji krwi i założenia szwów, a także być może dożywotniej opieki psychiatrycznej.

Drugi potrzebował nowego kręgosłupa.

Mike znów zadumał się nad zimną krwią Gissinga – latami kradł obrazy i nigdy nie został złapany, ale teraz mógł wpaść przez zwykłą inwentaryzację. Profesor pomstował na ukrywanie przed publicznością ważnych i pięknych dzieł i paplał na ten temat wszystkim dookoła... po to tylko, żeby znaleźć kilku

naiwniaków, na których spadłaby cała wina. I załatwił napad na Allisona, żeby sam mógł się zająć ekspertyzą fałszywych płócien.

Był to wspaniały plan, chociaż tyle rzeczy mogło pójść nie tak. Ale Gissing nie miał wyboru. I wbrew wszelkim przeszkodom, udało mu się. W rezultacie Mike, Allan i Westie mieli teraz wylądować w więzieniu. Allan był zdruzgotany, za to Westie chyba niezbyt się tym przejmował. Mike słyszał w sali bilardowej, jak chłopak tłumaczył Alice, że więźniowie mają prawo malować i tak dalej.

– Możliwe, że kiedy wyjdę, zyskam tylko lepszą markę. Złej sławy nie kupisz w supermarkecie...

Niewykluczone, że coś w tym było, a mimo to zarobił od Alice solidny cios w złamaną rękę i zawył, zgięty w pół, podczas gdy ona odwróciła się i odeszła.

Mieli ją zabrać na przesłuchanie. Ich wszystkich czekały przesłuchania, zwłaszcza Nienawiść, który wciąż szamotał się z kajdankami i ze swoją eskortą. Był jak niepokromiony żywioł i Mike dziękował Bogu, że olbrzyma zabrano osobnym pojazdem.

– Czy jak już się znajdziemy w więzieniu, wszyscy trafimy na ten sam oddział co Calloway i Nienawiść? – zapytał Mike Ransome'a.

– Wątpię. Znajdziemy dla was zakład o najłagodniejszym rygorze.

– Ale Calloway i tak będzie miał tam swoich kumpli. Detektyw parsknął śmiechem.

– Pan go przecenia, panie Mackenzie. W więzieniach

Majcher ma dużo więcej wrogów niż przyjaciół. Nic złego wam się nie stanie, niech mi pan wierzy na słowo.

Obok rozległy się krzyki. To dał się Glenn Burns, którego prowadzono w kajdankach do radiowozu.

– Ransome, jesteś mi coś winien, do kurwy nędzy! Wszystko zawdzięczasz mnie!

Nie zwracając uwagi na jego wybuch, detektyw skoncentrował się na Mike'u. Drzwi policyjnej furgonetki były otwarte na oścież. Za nimi była metalowa klatka z ławką dla dwóch osób.

– A więc to Gissing ma wszystkie zaginione obrazy? – zapytał.

Mike przytaknął.

– Ale dwa z tych, które ukradliśmy, ma Calloway, zakładając, że nie zdążył się ich pozbyć.

Ransome skinął głową.

– Pan Cruikshank opowiedział mi o tym. A inny obraz mają Westwater i jego dziewczyna?

– Płótno DeRasse'a.

– A co zostało panu, panie Mackenzie?

Mike zastanowił się nad odpowiedzią.

– Pewnie zdrowie. I historia, którą będę opowiadał wnukom. – Patrzył, jak wyprowadzają Laurę z sali bilardowej. – Nawiasem mówiąc, Laura nie ma z tym nic wspólnego. Wiem, że się znacie...

– Musi złożyć zeznanie – rzekł Ransome. – A potem obojście odwiezę ją do domu.

– Dzięki. – Mike zajrzał w głąb policyjnego wozu.

- To nie takie proste, prawda? – spytał Ransome.
- Co?
- Być mózgiem grupy przestępczej.
- O to niech pan zapyta Roberta Gissinga.

Laura zauważyła ich i podeszła. Położyła dłoń na przedramieniu Ransome'a.

- Mogłabym zamienić słówko z twoim więźniem?

Detektyw nie wyglądał na zachwyconego, ale nie wytrzymał jej spojrzenia, a poza tym zobaczył, że z sali bilardowej wyprowadzają w kajdankach Majchra Callowaya, który ocknąwszy się, ujrzał wokół siebie śmietankę policjantów z okręgu Lothian i Borders.

– Zaraz wracam – rzucił detektyw ostrzegawczo, odchodząc do oszołomionego gangstera.

Laura nachyliła się i cmoknęła Mike'a w policzek.

– Prosiłam cię, żebyś nas z tego wyciągnął, i wyciągnąłeś – powiedziała.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie miałem w tym większego udziału – przypomniał jej.

– Właśnie – wtrącił się Allan. – Skoro już mówimy, kto komu uratował życie...

Laura obdarzyła go promiennym uśmiechem, przytuliła i ucałowała, po czym znów odwróciła się do Mike'a. Pocałowała go znowu, tym razem w usta. Allan udał, że się odwraca, by dać im przynajmniej złudzenie, że są sami. Zarzuciła Mike'owi ręce na szyję, a on poczuł falę ciepła rozchodzącą się po jego ciele.

- Długo będziesz w więzieniu?

- A zaczekasz na mnie?
- Ja zapytałam pierwsza.
- Ransome uważa, że jakieś trzy lata. Radzi mi też, żebym wziął najlepszych prawników, bez względu na koszty, oraz psychiatrę, który podważy moją poczytalność.
- Czyli w rezultacie zostaniesz nędzarzem?
- I wariatem... myślisz, że to wpłynie na nasze wzajemne stosunki?

Roześmiała się cicho.

- Pożyjemy, zobaczymy.

Zadumał się przez chwilę.

- Będę się musiał dowiedzieć, jak często przysługują mi odwiedziny...
- Nie dziel skóry na niedźwiedziu, Mackenzie... zdaje się, że w więzieniu śmierdzi i pełno tam maniaków seksualnych, nie sądzisz?

- Pewnie tak... na przykład taki Allan.

Podeszło dwóch mundurowych, żeby zapakować Mike'a i Allana do furgonetki. Laura i Mike przytulili się znowu i pocałowali po raz ostatni, długo i przeciągle.

- Gdybym wiedział, że taka drobnostka wystarczy, żeby cię zdobyć... – mruknął Mike.
 - Dość już tego – przerwał im jeden z mundurowych.
 - Jeszcze jedno – powiedział Mike do Laury, kiedy ich rozdzielili. – Będę potrzebował różnych rzeczy. Może zrobię ci listę zakupów, zanim mnie odwiedzisz?
 - Co to za rzeczy?
- Udał, że się zastanawia.

– Atlasy – odparł w końcu. – Atlasy świata... – Był już w pół drogi do furgonetki. – Do tego przewodniki, albumy o sztuce, spis muzeów i wykaz znanych galerii.

– Zamierzasz się poprawić, tak?

Uznał, że najrozsądniej będzie jej przytaknąć. Nie zrozumiała go, jeszcze nie. W przeciwieństwie do Allana, który obrzucił go wielce mówiącym spojrzeniem.

Mówiącym, że jak tylko go wypuszczą, Mike będzie musiał sobie znaleźć współników...

Epilog

Profesor Robert Gissing pracował w gabinecie swojego białego domu w centrum Tangerangu. Wystrzał gaźnika motoroweru wyrwał go z marzeń. Okna były otwarte na oścież, słońce stało wysoko na czystym błękitnym niebie. Profesora dolatywały odgłosy handlu prowadzonego na ulicznym bazarze przed jego domem. Targowanie się, ploteczki oraz hurgot diesli przedpotopowych furgonów i ciężarówek. Te dźwięki nigdy mu nie przeszkadzały, a teraz silnik motoroweru najwyraźniej zgasł. Czasami Gissing czuł w powietrzu zapach przypraw i kawy, kardamonu, cytrusów i kadzideł. Dodawały smaczku życiu pełną piersią w świecie codziennie zaskakującym swoimi bogactwami. Profesor był tam szczęśliwy, ze swoimi książkami i szklanką herbaty miętowej. Podłogę pokrywały wspaniałe dywany, a ściany obwieszane były arcydziełami malarstwa. Nie miał telefonu, nie dostawał listów. W kafejce na końcu ulicy miał dostęp do Internetu, ale korzystał z niego najwyżej dwa razy w miesiącu, żeby sprawdzić, co nowego słychać w

Wielkiej Brytanii. Do wyszukiwarki wrzucał różne nazwiska, takie jak Mackenzie i Calloway, Westwater i Ransome. Nie znając się specjalnie na komputerach, nie wiedział, czy nie zostawia jakichś śladów – kiedyś czytał artykuł o tym, jak FBI śledziło ludzi wypożyczających książki w bibliotekach i odhaczało tych, którzy brali pozycje takie jak *Mein Kampf* czy *Anarchist Cookbook*. Przypuszczał, że Internet stwarza takie samo ryzyko, uznał jednak, że warto je podjąć. Poznaj swojego wroga i tak dalej.

Rzecz jasna, niewykluczone, że całkiem o nim zapomnieli, bo policja doszła do wniosku, że nie da się go wytropić. A skoro policjanci go nie złapali, to jakie szanse mieli amatorzy tacy jak Mike i Calloway? Zgoda, Mike znał się na komputerach, ale Gissing nie sądził, żeby jego wiedza obejmowała takie rzeczy, jak potajemne tropienie ludzi w sieci.

Mimo to przez pierwsze dwa lata nigdzie nie zagrzewał miejsca na dłużej. Fałszywe paszporty na rozmaite nazwiska kosztowały go tysiące, ale były warte każdego funta, euro i dolara. Tak się złożyło, że jeden z obrazów będących w jego posiadaniu namalował ulubiony artysta pewnego biznesmena z Arabii Saudyjskiej. Kradnąc go, Gissing już o tym wiedział. Kolekcjoner zapłacił połowę ceny, jaką osiągnęłoby to dzieło, gdyby można je było wystawić na aukcji, z zastrzeżeniem, że nigdy nie opuści jego prywatnej galerii.

– To leży w naszym obopólnym interesie – przestrzegł go Gissing. – Ale przede wszystkim w pańskim.

Biznesmen rozumiał sytuację i był zachwycony zakupem. Transakcja ta pozwoliła Gissingowi podróżować z klasą –

Francja, Hiszpania i Grecja, a w końcu Afryka. Od czterech miesięcy jego domem był Tanger, ale sprowadził swój dobytek z magazynu dopiero wtedy, gdy upewnił się, że zostanie tu na dłużej. W miejscowych kafejkach znali go jako „Anglika”, a on nie wyprowadzał ich z błędu. Zapłacił brodę i często chodził w panamie i ciemnych okularach. Po ciężkiej walce ze sobą udało mu się zrzucić dwadzieścia kilogramów. Niezwykle rzadko zastanawiał się, czy gra była warta świeczki. Teraz był przecież zbiegiem. Nigdy już nie mógł wrócić do Szkocji, spotkać się z przyjaciółmi i wyskoczyć z nimi na whisky do porządnego pubu, kiedy na dworze siąpiła mżawka. W takich chwilach siadał, podziwiał swoje obrazy i na jego twarzy rozlewał się szeroki uśmiech, a wszelkie wątpliwości znikwały.

Płyta kompaktowa, której słuchał, skończyła się nagle wraz z ostatnim utworem. Bach, w wykonaniu Glenna Goulda. Profesor przerabiał ostatnio repertuar klasyczny. To samo dotyczyło książek – poprzysiągł sobie, że znów spróbuje podejść do Prousta i ponownie przeczyta Tołstoja. W planach miał nawet naukę łaciny i greki. Doszedł do wniosku, że ma przed sobą jeszcze piętnaście, dwadzieścia lat – mnóstwo czasu, żeby delektować się każdym kęsem, każdym łykiem, każdą nutą, słowem i pociągnięciem pędzla. Pod pewnymi względami Tanger przypominał Edynburg – to wioska udająca miasto. Sąsiedzi i handlarze na targu nie uważali go już za obcego. Właściciel kafejki internetowej zapraszał go do siebie na rodzinne obiady. Dzieciaki na ulicy lubiły się z nim droczyć. Ciągnęły go za brodę i wytykały palcami muszki, które nosił z upodobaniem.

Do kolacji siadał przy stolikach na chodniku, czasami wachlując się kapeluszem.

Stwierdził, że żyje mu się ani lepiej, ani gorzej niż kiedyś w Edynburgu – po prostu inaczej, i tyle. Żałował, że wrobił Michaela i Allana, oczywiście, że żałował. Ale Calloway był pomysłem Mike'a, skądinąd bardzo kiepskim, chociaż patrząc z perspektywy czasu, idealnie nadawał się do celów Gissinga. Rzecz jasna nie wszystko poszło zgodnie z planem. Michael i Allan, nie mówiąc już o Callowayu, przekonali władze, że nie mają nic wspólnego z zaginionymi dziełami. Fotografie Gissinga opublikowały liczne gazety na całym świecie i dlatego musiał wieść koczowniczy tryb życia. To jednak należało już do przeszłości, nareszcie odzyskiwał spokój. Książka z litografiami Picassa napisana była po hiszpańsku... były to jakieś podania ludowe czy coś w tym stylu. Obiecał sobie, że hiszpańskiego też się nauczy, by móc w pełni napawać się tą zdołbyczą. Ale jego ulubionym obrazem była martwa natura Peploe'a, pełna zimnego realizmu i romantyczna. Nie był natomiast przekonany do portretu pędzla Wilkiego. Gdyby potrzebował pieniędzy i musiał pozbyć się czegoś ze swojej kolekcji, z nim zapewne najłatwiej przyszłoby mu się rozstać. Saudyjczyk zgłosił wstępne zainteresowanie, zakładając, że dalsze negocjacje byłyby możliwe. Na razie jednak Gissingowi nie brakowało funduszy.

Ktoś zadzwonił do drzwi, a potem zapukał. Profesor nie wstał od razu, ale kiedy pukanie się powtórzyło, ciekawość wzięła górę. Nie bez trudu zwałókł się z fotela i boso poczłapał do drzwi. Czyżby się kogoś spodziewał?

Odpowiedź brzmiała: tak. Spodziewał się wizyty, nieustannie. Już od dwóch tygodni nie zaglądał do Internetu. Przez ten czas coś mogło się zmienić. Ktoś mógł wyjść z więzienia. Ale nawet na wolności musiałby go jeszcze wytropić...

Drzwi zaczęły się otwierać, zanim jeszcze do nich doszedł.

– Halo? Jest tu ktoś? – W głosie brzmiał obcy akcent, ale nie potrafił go dokładniej określić.

– Czym mogę służyć? – powiedział Gissing, idąc na spotkanie z niezapowiedzianym gościem.